

LOUISE LEE

*Ciżatnia*  
**PROWOKACJA**



*Ostatnia*  
**PROWOKACJA**

LOUISE LEE



przekład Aleksandra Wolnicka

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2016

## Spis treści

Okładka Strona tytułowa Strona redakcyjna Wstęp do sztuki prowokacji, porada nr 1: Ludzkie zoo Naga kobieta Wstęp do sztuki prowokacji, porada nr 2: Zdobyć Toksyczny 8az Wstęp do sztuki prowokacji, porada nr 3: Psychoza Operacja Delaney Betty Blue Kazirodztwo jako tabu kulturowe Kolosalny błąd Wstęp do sztuki prowokacji, porada nr 4: Neotenia Żałoba Literatura kobieca Trener rozwoju osobistego Sébastien Wstęp do sztuki prowokacji, porada nr 5: Faza druga Rzeźnik Alkoholizm w rodzinie Rohypnol Zachowania intymne Wstęp do sztuki prowokacji, porada nr 6: Wybuchowa przesyłka Paradoks prawdopodobieństwa Gwiazdne wojny Alice St Croix Pierwsza miłość Wstęp do sztuki prowokacji, porada nr 7: Gedogen Sensacja na pierwszej stronie Śmierć Początek Wstęp do sztuki prowokacji, porada nr 8: Podziękowania Przypisy końcowe

Tytuł oryginału:  
*The Last Honey Trap*

Redakcja  
Robert Sudół

Projekt okładki  
Bekki Guyatt

Adaptacja okładki  
Magdalena Zawadzka

Zdjęcia na okładce:  
Figure © Lori Andrews/Moment Select/Getty Images  
Car © Jeffrey Blackler / Alamy  
All other images © Shutterstock

Korekta  
Maciej Korbasiński

Redaktor prowadząca  
Małgorzata Głodowska

Copyright © Luise Lee 2015  
Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2016

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-172-7

Wydawnictwo  
**CZARNA  
OWCA**  
[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

**Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.**

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: [sklep@czarnaowca.pl](mailto:sklep@czarnaowca.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

*Dla Calluma i Lyry*

## Wstęp do sztuki prowokacji, porada nr 1:

### Nigdy nie bądź sobą.

Stań się kobietą o szalowym imieniu – do wyboru, do koloru, daj się ponieść fantazji.

*Opanuj zjawiskowy krok modelki*

Suń tak, jakby głowę podciągała ci do góry niewidoczna linka. Dzięki takiemu trikowi szyja się wydłuża, brzuch spłaszcza, a obwisłe cycki zadziornie sterczą do przodu.

*Udawaj Francuzkę*

Udawanie Francuzki to najskuteczniejsza broń każdej uwodzicielki. Owszem, Francuzki bywają płaskie jak deski, mają fatalny zgryz (patrz Vanessa Paradis), a mimo to – Bóg mi świadkiem – stanowią ucieleśnienie zapierającego dech w piersiach kobiecego powabu (patrz Vanessa Paradis).

Oto kilka prostych wskazówek, jak się stać Vanessą Paradis: wrzuć egzemplarz *Feministycznej teorii literatury* do niszcarki. Odtąd twoją biblią będzie *Femme fatale: jak to robią Francuzki*. Postaraj się sprawiać wrażenie łatwej i zarazem niedostępnej, posługując się wyłącznie spojrzeniem.

*Ćwicz na nieatrakcyjnych nieznajomych*

Mężczyźni nie są głupi, od razu cię przejrzą. Dadzą się jednak porwać fascynującej grze – na tej samej zasadzie działa fenomen piłki nożnej, zabawy w doktora oraz tańca erotycznego. Ewolucja tak zaprogramowała facetów, że ulegają pokusie, choć wiedzą, że nie powinni.

*Zawsze kieruj się złotą zasadą*

Moja brzmi następująco: jeden pocałunek z języczkiem przez pięć sekund i sprawa zamknięta.

*Na koniec znajdź odpowiednią motywację*

Moja propozycja: nikt nie powinien być podstępnie zmuszany do życia w kłamstwie – czegokolwiek by ono dotyczyło.

## Ludzkie zoo

Język w moim uchu należy do holenderskiego ministra bezpieczeństwa publicznego i sprawiedliwości.

Obściskujemy się w półmroku ekskluzywnego klubu 101 w londyńskim Mayfair. Ten lokal popularny wśród bogatych i sławnych ludzi może się poszczycić dyskretną, niemal niewidoczną obsługą. Boazeria z ciemnego dębu, przytulne kąciki, sączący się z głośników anonimowy jazz, słowem: idealna miejscówka, jeśli chce się zniknąć w tłumie.

Minister de Groot miał nadzieję na taki właśnie wieczór – spokojny, bez zakłóceń, z wiernym ochroniarzem u boku jako jedynym towarzystwem.

Wspomniany goryl siedzi trzy stoliki za nami. Dostrzegłam go zaraz po wejściu do klubu – z udawaną nonszalancją gadał do własnego nadgarstka. Na imię ma Gustav i choć w tej chwili go nie widzę, czuję na sobie jego spojrzenie, wwiercające mi się w kark. Koleś gapi się na mnie niczym wilk na bezczelne karibu, gdyż kołyszając biodrami, właśnie podeszłam do baru i nieproszona dosiadłam się do jego szefa.

Niepotrzebnie tak się niepokoi. Minister de Groot jest najgrubszą rybą, na jaką przyszło mi dotychczas polować, a do bezczelności mi daleko.

I faktycznie – trochę to trwa, zanim minister złapie haczyk. Wszystkiemu winne są jego stanowisko oraz świadomość, że jest jednym z tych, którzy rządzą światem. Owszem, dla świętego spokoju zgodził się postawić mi drinka, lecz jego pierś pozostała wypięta, a dłonie zaciśnięte na szklaneczce glendronach.

Rozwiałam jego wątpliwości, bawiąc się w milczeniu obrączką. Mam tyle samo do stracenia co ty, zdawała się szeptać mu do ucha.

Jego wzrok powędrował w dół i spoczął na moich piersiach...

Odpowiednio wyprostowana i w odpowiednim staniku mam nienaganny dekolt. Jako fizycznie nieatrakcyjna nastolatka zasłużyłam na estetyczną rekompensatę od losu. Ten uśmiechnął się do mnie przed pięciu laty, gdy kompletnie niespodziewanie moje ciało i twarz nabrały właściwych proporcji. Miałam wówczas dwadzieścia siedem lat i przez rok obserwowałam, jak moja kobiecość rozkwita. Aby postawić kropkę nad „i”, dokładnie przestudiowałam



technikę Alexandra i nabyłam dopasowujący się do kształtu piersi biustonosz typu push-up.

„Zmysłowa, lecz niewinna – powiedział kiedyś o mnie pewien koleś. Pracował na poczcie, w sąsiednim okienku. – Jesteś typem babki, którą faceci bardzo chcieliby pozbawić cnoty. To znaczy, dopóki nie otworzysz ust” – dodał. Alternatywne możliwości zatrudnienia posypały się z nieba niczym konfetti.

Następnie minister de Groot przyjrzał się z bliska mojej twarzy...

Chciałabym wierzyć, że bije z niej inteligencja. Byle nie nazbyt przytłaczająca – za wysokie IQ mogłoby mężczyzn onieśmielać. Wystarczy odrobina, akurat tyle, by zyskali pewność, że mają do czynienia z kobietą, która nie rozpowiada na prawo i lewo, że się z kimś całowała w samej bieliźnie.

Tak się składa, że rzeczywiście tego nie robię. To nie w moim stylu.

Szczerze wątpię, czy minister poświęcił choć chwilę, aby odgadnąć, czym się zawodowo zajmuję, a szkoda. Oszczędziłoby mu to całej masy kłopotów. Poza tym z czysto osobistego punktu widzenia jest mi zawsze bardzo miło, gdy obiekt wykazuje zainteresowanie moją osobą. Niestety, rzadko się to zdarza, co niezwykle mnie rozczarowuje, bo sama nieodmiennie obdarzam mężczyzn zainteresowaniem.

Jak choćby dzisiaj wieczorem.

Zagadnęłam ministra o akcent, cel jego wizyty oraz krawat – londyński aspinal; de Groot wyglądał go dumny jak paw. Pomyśleć, że ktoś tak błyskotliwy, kto podejmuje decyzje w imieniu całego narodu, ślini się ze szczęścia, bo pochwaliłam jego krawat, brzydki zresztą jak noc i nieposiadający żadnego praktycznego zastosowania poza tym, że wskazuje kierunek, gdzie znajduje się jego kuśka.

Gładząc srebrzysty turecki wzór, minister obrócił się na stołku i usiadł z kolanami zwróconymi w moją stronę. Był to wiele mówiący manewr – najwyraźniej jego krocze również chciało wziąć udział w rozmowie.

Trafiony, zatopiony.

Ciekawostka z dziedziny kinezyki: komunikacja międzyludzka w dziewięćdziesięciu trzech procentach opiera się na mowie ciała i sygnałach pozawerbalnych. Co oznacza, że faktyczna wymiana zdań stanowi zaledwie siedem procent. Słowami można z łatwością manipulować, podczas gdy mowa ciała odbierana jest na poziomie podprogowym, w związku z czym trudno cokolwiek udawać – no, chyba że jest się komandosem albo psychopatą.

Powiadają, że to niemy język, ja zaś opanowałam go do perfekcji.

Wyznałam ministrowi, że nigdy jeszcze nie byłam w Holandii. Niemniej jednak kultura jego ojczyzny niezwykle mnie fascynuje...

Dzięki temu miał szansę się wykazać – rzadki luksus, którego facetom skąpią żony – a ja przez cały jego monolog wdzięcznie chichotałam, zadawałam trafne pytania i kokieteryjnie kładłam palce na jego ramieniu, za każdym razem

licząc w myślach do trzech.

Sprawdzona zasada randkowa mówi, że jeśli w ciągu dziesięciu minut towarzysz odwzajemni twój dotyk, między wami coś iskrzy. Podczas udanej pierwszej randki powinno trzykrotnie dojść do fizycznego kontaktu trwającego około trzech sekund każdy.

My tego wieczoru dotknęliśmy się osiem razy.

O godzinie 21.53 minister wstał i tanecznym krokiem zaprowadził mnie do dyskretnego boksu. Następnie zamówił szampana, pochylił się nad moją szyją i odnalazł drogę do mojego ucha.

No i właśnie w tym momencie jesteście.

Choć cieszy mnie dotychczasowy sukces, mam dosyć lizania mi ucha. Kobiety takie jak ja muszą jednak wykonać konkretne zadanie: powinniśmy chichotać jak idiotki i dopieszczać męskie ego bez żadnych zahamowań. Przy tym wciąż sobie powtarzamy, że godnie zarabiamy na życie.

Albo, jak w tym przypadku, rozbijamy bank.

Minister był przekonany, że udamy się do hotelu Mayfair, a konkretnie do apartamentu Schiaparelli, gdzie zwykł zabierać poderwane przez siebie dziewczyny. W sumie szkoda, że tak nie jest; jeśli wierzyć słowu pisanemu, apartament nazwano na cześć projektantki mody, która jako pierwsza dała elegantkom na całym świecie ciuchy w kolorze fuksji. Chińskie antyki, miękka różowa kapa na łóżku – aż mnie świerzbi, żeby zobaczyć to na własne oczy.

Sęk w tym, że ściśle przestrzegam pewnej zasady: nigdy nie idź *do niego* po pierwszej randce.

Mam jeszcze inną zasadę: nie kalaj własnego gniazda.

Dlatego w potrzebie przychodzi mi z pomocą mój brat. Pozwala mi kalać swoje gniazdo. Naturalnie staram się go nie narażać. Jesteśmy z Michaelem współnikami w interesach, to prawda, ale przede wszystkim jestem jego starszą siostrą i moim obowiązkiem jest go chronić.

Mój brat wymaga ode mnie tylko jednego: żebym *pod żadnym pozorem* nie dotykała jego rzeczy.

Ma lekką nerwicę natręctw.

Ja jednak zgrywam zmysłową i uwodzicielską kobietę, co znaczy, że *muszę* przesuwając z miejsca na miejsce różne bibeloty i muskać palcami ramki czarno-białych fotografii.

Jedna z nich przedstawia naszą matkę.

Znaną powszechnie jako Bambi. Czy to dlatego, że wiecznie była czymś wystraszona i zdziwiona? – zapytacie. Nie; dłużej niż zwykle pieszczę dotykaniem ramkę. Ponieważ była Włoszką i tak właśnie miała na imię.

Kobiety takie jak ja ukrywają zwykle wszystko, co mogłoby naprowadzić obiekt na trop ich prawdziwej tożsamości, zwłaszcza zdjęcia matek. Mojej matce

wszakże nic nie grozi; odkąd widziano ją po raz ostatni, minęło dwadzieścia pięć lat. Jeżeli ja nie potrafię jej odszukać, nikt tego nie dokona.

– Panie ministrze de Groot. – Odwracam fotografię Bambi twarzą do ściany.  
– Proszę złożyć rozsądną ofertę.

Minister jest zaskoczony. Jego dotychczasowe założenia wzięły w łeb.

– Królowa nocy – mówi. – Nigdy bym się nie domyślił.

Bo nie jestem królową nocy.

– Gdybym wiedział, wcześniej przeszedłbym do interesów... – Przegląda zawartość swojego portfela. Wyjmuje z niego jedną kartę kredytową za drugą, aż znajduje American Express i przesuwa nią po moim ramieniu, w górę i w dół, jakby rozcierał mi biceps.

Ciekawe, ile holenderskich prostytutek nosi ze sobą terminale płatnicze?

– Pięćset – mówi.

– Słucham?

– Za noc. Pięćset funtów.

Prycham lekceważąco.

Gdybym miała się przespać z facetem za pieniądze – co, nawiasem mówiąc, nigdy mi się nie zdarzyło i nie zdarzy – zażądałabym o wiele więcej niż marne pięć setek.

–W takim razie sześćset?

Nie zniżam się do odpowiedzi. Wiem, że w przeszłości płacił za seks pięciokrotnie więcej. Wciska ludziom kit, że w poprzednim wcieleniu był Maurycym Orańskim, księciem Nassau – trwonienie pieniędzy na niewolnice seksualne zaspokaja jego megalomańskie ciągoty, choć podobno ze względów bezpieczeństwa wybiera raczej ekskluzywne dziwki. W ciągu dwóch tygodni zarabiają tyle, ile można dostać za artykuł w brukowcu, więc zwyczajnie nie opłaca im się sprzedawać swoich historii prasie. Czasami zresztą miło jest pogadać z prostytutką. W przeciwieństwie do żony wysłucha, pokiwa głową, a potem jeszcze będzie jęczeć z rozkoszy, jakby nigdy przedtem nie obciągała równie podniecającemu facetowi.

Tak, ministrowi bardzo odpowiada ten staroświecki układ biznesowy bez zbędnych zobowiązań.

Popatrzcie tylko na niego, aż się uśmiecham wbrew sobie; wydaje mu się, że jest na aukcji dobroczynnej.

– Siedemset!

Przywierając biustem do jego piersi, odpowiadam półszepem:

– Jestem warta swojej ceny, panie ministrze.

Z przyjemnością obserwuję, jak to na niego działa. Udawana zmysłowość bywa ryzykowna, a banalne teksty potrafią zatruć powietrze na podobieństwo aromatu przejrzałego stiltona. W tym jednak przypadku mój ton i wycucie czasu

są doskonale.

Minister wręcz klaszcze w dłonie.

– Ostro się targujesz. To mi się podoba. Ty mi się podobasz, Isabello.

Nie mam na imię Isabella.

Ale posługuję się tym imieniem, ponieważ budzi silne skojarzenia erotyczne i ma w sobie latynoski ogień. Ukradłam je jednej dziewczynie, z którą chodziłam do szkoły. Nazywała się Isabella Purdy-Valentine. Jej rodzice naprawdę się postarali – chłopcom stawało, ilekroć wyczytywano jej nazwisko podczas sprawdzania listy obecności.

Minister de Groot też ma erekcję, która wędruje za mną po pokoju niczym różdżka radiestety.

– Dziewięćset? Daj spokój, Isabello, to cholerna kupa forsy.

Całkowicie się z nim zgadzam. Niemniej jednak jego oferta odstaje cokolwiek od niemoralnej propozycji Roberta Redforda, opiewającej na okrągły milion dolarów.

Oczy mi błyszczą, gdy wyglądam wyimaginowane fałdy spódnicy na krągłych biodrach.

– Wiele kobiet, Pieter, wymaga wielkich sum pieniędzy.

Na moment zapominam o zmysłowych ruchach. Podchodzę do regału i przesuвам grubą księgę *Rodzina: cud natury* doktora Dana Hallidaya.

Gdyby minister zadał sobie trud, aby zapoznać się z tym dziełem, dowiedziałby się z notki na okładce, że „podstawowa komórka społeczna stanowi klucz do szczęścia”.

To poważna obietnica.

Wiem jednak, że nawet nie weźmie książki do ręki. Mężczyźni nie zawracają sobie głowy poradcami, kiedy już ich mózg zawędruje na południe.

Mój pierwszy mąż stale myślał członkiem. Raz za razem przeżywał objawienia, i to w najmniej spodziewanym otoczeniu, na przykład takim jak moja najlepsza przyjaciółka. Nakryłam ich na gorącym uczynku, mimo to zdołali oboje zareagować świętym oburzeniem, jakbym oskarżyła ich o coś niewyobrażalnego, na przykład o wjazd skradzionym samochodem do sklepu albo zaproszenie ognia w lesie.

Ostatecznie mój małżonek przyznał się do niewierności, zrzucając jednak całą winę na mnie. Wmawiał znajomym, że to ja spoczęłam na laurach i pozwoliłam, aby w naszym związku przygasł żar erotycznych uniesień. Rzecz jasna broniłam swojego stanowiska – „Po prostu jestem trochę nieśmiała” – lecz faceci i tak przez pewien czas trzymali się ode mnie z daleka. Dla kobiety nie ma gorszej łutki niż opinia, że jest gnuśna w łóżku.

Dzisiaj wieczorem mój uśmiech obiecuje ministrowi czystą lubieżność.

– Isabello, Isabello. Puścisz mnie w skarpetkach.

Akurat.

– Tysiąc pięćset?

– Już lepiej. – Ukradkiem zaglądam mu do nosa. Facet ma twarz mięsistą i pofałdowaną niczym szczeniak rasy shar pei, ale nie zauważam ani jednego włoska. Dobre i to; lubię u mężczyzn nieowłosione dziurki w nosie.

Mój mąż numer dwa był okropnie włochaty. Nago wyglądał tak, jakby miał na sobie kostium goryla, tyle że bez łba. Wysłałam za niego, szukając pocieszenia po wcześniejszym zawodzie miłosnym. Wydawał się bezpieczną przystanią; co jak co, ale to przyjaźń powinna być najtrwalszym fundamentem małżeństwa, prawda? Okazuje się, że lepiej się sprawdza obsesyjna, zwierzęca namiętność, która nie chce wygasnąć.

Po trzech latach małżeństwa wciąż czuliśmy się nieswojo w sypialni. Funkcjonowaliśmy w różnym tempie: posuwista rumba kontra rytmy disco.

Mój drugi mąż uważał, że jestem za to współodpowiedzialna. Terapeuta powiedział, że mężczyzna nie chce mieć w żonie siostry ani najlepszej przyjaciółki – i miał rację. Woli wieczność u boku udomowionej ladacznicy.

Nachylałam się, żeby sprawdzić zawartość torebki. Moja twarz znajduje się teraz na wysokości kolan. Nazywa się to skłonem tułowia w przód w staniu, dla purystów *uttanasana*. Tej pozycji nauczył mnie mój trener rozwoju osobistego. Ma ona przywracać spokój umysłu, redukować stres oraz napięcie ciała. Dzisiaj dzięki niej minister de Groot może dłużej pogapić się na mój tyłek.

Idę mu na rękę – opieram się o parapet i wyglądam przez okno na Greek Street. Patrzę na chodnik skrzący się blaskiem z kafejek i restauracji, wsłuchuję się w magnetyczny szum przypominający dźwięk elektrycznej pułapki na muchy. Można zostawić swoje codzienne sprawy za sobą i niepostrzeżenie wtopić się w mrok. Wiele tutejszych mieszkań ma wejścia wprost od ulicy, bo świadczy się w nich usługi w ramach legalnej prostytucji. Jeden taki lokal jest naprzeciwko, bezpiecznie usytuowany nad kuszącą czerwienią witryną libańskiej knajpy.

Wychylałam się i wyglądam na ulicę – przytrzymując się delikatnie parapetu, bo mam lekki lęk wysokości – podziwiam łysiny, końskie ogony oraz dach czarnej limuzyny bentley continental flying spur. O drzwi od strony kierowcy opiera się ochroniarz ministra.

Wpatruje się we mnie nieruchomym wzrokiem. Jego spojrzenie jest pełne odrazy.

A powinien patrzeć na mnie z podziwem, bo wiem o nim całkiem sporo...

Nazywa się Gustav Aart Nijstad i jest jednym z może tuzina osób w Holandii, które nie potrafią mówić po angielsku lepiej niż rodowici Anglicy. Może brak znajomości tego języka ma być przejawem patriotyzmu – bądź co bądź Gustav to niezwykle oddany pracownik holenderskiego rządu, a zwłaszcza ministra de Groota. Jego zadaniem jest towarzyszyć swemu chlebodawcy i bronić go do

ostatniej kropli krwi (własnej), na co gotów jest w każdej chwili, gdyby tylko ministra ktoś zaatakował. Kiedy akurat nie wypatruje skrytobójców, wystaje przed hotelami i prywatnymi mieszkaniami z wejściem od ulicy. Kontrakt zobowiązuje go oczywiście do zachowania wybryków ministra w tajemnicy, lecz w zasadzie to niepotrzebne – Gustav wolałby wykonać trójskok do kotła z wrzącym olejem niż skompromitować Pietera de Groota. Gdyby miał znajomych, ci nabijaliby się z niego, żartując, że się podkochuje w swoim tłustym szefu. Gustav pewnie by ich powystrzelał, bo zakonspirował się w szafie tak głęboko, że praktycznie wyemigrował do Narnii.

Jak widać, jestem dobrze poinformowana. Ale też mam świetnego informatora.

Spójrzcie tylko, co za palant; pokazuję ochroniarzowi środkowy palec. Jego podbródek unosi się ku mnie, ku ukochanemu szefowi, który stoi gdzieś za mną. W tej pozycji Gustav przypomina usychającą z miłości surykatkę.

Obracam się, przysiadam na parapecie, z palcami opartymi o zimną szybę, i posyłam ministrowi blady, lecz szczerzy uśmiech, ponieważ Pieter de Groot to człowiek balansujący na krawędzi. W przeciwieństwie do Gustava nie podpisałam żadnego kontraktu. No, może raz, kiedy zaczynałam pracę na poczcie, ale to było dziesięć lat temu i o ile nazwisko ministra nie zostało w nim dopisane na dole drobnym drukiem, to mam całkowitą swobodę mówienia, czego chcę i komu chcę.

Ależ głupiec z tego ministra.

De Groot przysuwa się bliżej, chwyta mnie w tali i prowadzi do holu, jakbym była rozkosznie nadąsanym brzdącem.

– A zatem tysiąc pięćset – stwierdza rzeczowo. – Przenieśmy się teraz do sypialni.

W mieszkaniu jest tylko jedna sypialnia – pokój mojego brata, ale tam obowiązuje całkowity zakaz wstępu. Nie chcąc mu się narażać, pociągam ministra na sofę. Jego opasły brzuch wyciska resztki powietrza z leżących pod nami poduszek – tych samych, które brat przykazuje mi *zawsze* układać w porządną stertę pod ścianą. To niezwykle ważna zasada.

Minister znowu dobiera się do mojego ucha.

– Dwa tysiące. – Odpycham go od siebie. – Ale nie możesz tu zostać na noc.

– Zgoda. – Uśmiecha się triumfalnie. – Zapłaciłbym ci nawet pięć tysięcy.

Zachowuję kamienny spokój. Tego wieczoru nie zainkasuję od niego ani pensa, mimo to czuję się oszukana, kompletnie wystrychnięta na dudka. Minister najwyraźniej uważa, że ubił świetny interes.

– A więc, panie ministrze... Robił pan to już kiedyś? No, wie pan... – Walę prosto z mostu: – Płacił pan kobiecie za seks?

Moje pytanie rozbawia go do łez. Przesuwa się na bok i moje narządy wewnętrzne wydają westchnienie ulgi.

– Dlaczego o to pytasz, Isabello?

– Bo znam wielu takich mężczyzn jak ty, Pieter. Bogatych. Sprawujących władzę. Sławnych. I nigdy nie przestają mnie zadziwiać słabości takich wpływowych ludzi jak ty.

Wymierzam mu mocnego klapsa w pośladek i przywołuję na twarz minę mówiącą: „Opowiedz mi o swoich świństewkach, bo cholernie mnie to kręci”.

Muszę się przy tym naprawdę wysilić.

De Groot pobłażliwie wzrusza ramionami. Nie dostrzegam u niego najmniejszych wyrzutów sumienia.

– Jestem bardzo zepsutym człowiekiem. Odczuwam niekontrolowany pociąg do profesjonalistek, a ty, Isabello, jesteś najnowszym z moich licznych podbojów.

– To obrzydliwe. – Mój uśmiech jest szczery. – Mów dalej.

Jego zwierzenia są wyczerpujące i oddają pełnię jego demoralizacji. Od czasu do czasu minister tryka biodrem moje udo, ale głównie zajęty jest wyliczaniem swoich brudnych sekretów. Widzę, że sprawia mu to olbrzymią frajdę. Jego monolog nabiera tempa, a ja doznaję nagłego olśnienia. Ciekawe, że potrzebowałam aż dwóch nieudanych małżeństw, żeby odkryć uniwersalną prawdę, a mianowicie, że nowe znaczy pociągające.

Wraz z tym objawieniem spływa na mnie świadomość czego innego: instytucja małżeństwa jest przereklamowana, podobnie jak monogamia, prawda, szacunek oraz honor. Prędzej czy później ktoś mniej atrakcyjny, głupi czy wręcz niesympatyczny zawróci twojemu partnerowi w głowie tak bardzo, że będzie on sobie w łóżku wyobrażał, iż twoje łopatki, biodra i pośladki należą do tej osoby. A wszystko z jednego powodu: bo ona *nie będzie tobą*. Wszystko, co *nie jest tobą*, będzie bardziej seksowne, bo nowe znaczy pociągające. Tak cholernie pociągające, że warto nawet zakpić z miłości, a małżeństwo zmienić w okrutny żart.

Zwierzenia dobiegają końca i de Groot zaczyna majstrować przy pasku od spodni, gotów wreszcie zrealizować transakcję.

„Pospiesz się!” – błagam w myślach brata, bo okropnie dziś zwleka.

Wreszcie widzę, jak wchodzi do salonu, i krzyczę przestraszona – nie za głośno, żeby nie niepokoić sąsiadów, ale w sam raz, żeby minister przestał rozpinąć pasek i poderwał głowę do góry.

– Kurwa mać! – wrzeszczy na widok mężczyzny o gabarytach małej żyrafy spoglądającego na nas z góry

Mój brat ma na imię Michael, po świętym Michale Archaniele. Metr dziewięćdziesiąt wzrostu, dwadzieścia osiem lat i mięśnie pleców przypominające złożone ptasie skrzydła. Twarz erudyty i wyjątkowo dobronudny wygląd – taki miks Noëla Cowarda z Lenniem Smallem (opóźnionym umysłowo uroczym mordercą z powieści *Myszy i ludzie*), tyle że z włosami rudoblond. Mówi z przepięknym, śpiewnym akcentem z południowo-zachodniej Anglii, który wznosi

się i opada łagodnie niczym pagórkowaty krajobraz Purbeck, o ile ktoś z was zna Dorset.

Jest także dość kiepskim aktorem, więc nawet ja dziwię się, jak groźnie brzmią jego słowa, gdy mówi:

– Gniecicie moje poduszki.

Zszokowany minister zrywa się na równe nogi i niepewnym ruchem wyciąga dłoń na powitanie.

Michaela nie interesują uprzejmości. Wczuł się w rolę zdradzonego męża. Wzburzony łypie spode łba na obcego faceta w swoim salonie i wskazuje mnie oskarżycielsko palcem.

– Ona jest mężatką – syczy.

Zasadniczo mówi prawdę. Od lat nie widziałam męża numer dwa, jednak z całą pewnością on wciąż mnie szuka, pragnąc zrzucić małżeńskie więzy i zadzierzgnąć nowe z jakąś udomowioną ladacznicą poderwaną w Poole. Może sobie szukać. Wyświadczam tej dziewczynie przysługę.

– To ty masz męża? – Minister patrzy na mnie z odrazą, jakby nie widział wcześniej obrączki na mojej dłoni i sam nie był niewiernym mężem matki czworga dzieci. Teraz dla odmiany to ja wzruszam lekceważąco ramionami. Mogłabym mu o sobie wiele opowiedzieć.

Ale naturalnie jego to w ogóle nie obchodzi. Faceci generalnie mają takie rzeczy w dupie.

Minister podnosi rękę do góry, jakby Michael mierzył do niego z pistoletu, i rozpaczliwymi ruchami brody wskazuje drzwi wejściowe.

„Nie zabijaj mnie” – błagają niemo jego oczy.

Najpierw jednak Michael musi sobie pobiadolić. Zwraca się więc do mnie: – Jak mogłaś mi to zrobić?

Okropnie mi go żal. Jak dotąd nie dostał żadnej roli. Tyle lat szkoły teatralnej, a na przesłuchaniach ciągle zjada go trema.

Minister niczego nie zauważa. Jest za bardzo zaabsorbowany manewrami mającymi na celu wyminięcie Michaela i dotarcie do drzwi. Myśli tylko o tym, żeby znaleźć się znów w pobliżu wiernego Gustava.

Nawet się nie ogląda. Nie prosi o mój numer telefonu. Nie myśli o ponownym spotkaniu w przyszłości. Nie mam wątpliwości, że już nigdy nie zobaczę holenderskiego ministra bezpieczeństwa publicznego i sprawiedliwości.

W salonie zapada cisza, a ja i brat patrzymy na siebie i głęboko wzdychamy.

Potem on podnosi jedną z rozrzuconych poduszek, z taką miną, jakby to był martwy pies.

Szybko chwytam torebkę.

– Kup sobie nowe. – Muszę odwrócić jakoś jego uwagę, bo choć od roku nakrywa mnie z „kochankami”, nadal jest swoim najsurowszym krytykiem.



Siadam na sofie i poklepuję miejsce obok siebie.

– Znakomite wycucie czasu, współniku. – Kiwam głową z uznaniem.

Michael strzepuje niewidoczny pyłek ze stolika do kawy.

– Byłem do bani. Szympanś lepiej by sobie poradził.

– Szympanś nie wniósłby takiego elementu dramatycznego napięcia. Jak ty to zrobiłeś? Musiałeś wcześniej ćwiczyć rolę, mam rację?

Wygładza bonżurkę.

– Staram się odwoływać do własnych emocji i przeżyć. – Mruży oczy, usiłując sobie przypomnieć, co napisano na ten temat w podręczniku dla aktorów.

– Rozwijam wewnętrzne zdolności sensoryczne.

– To chyba bardzo trudne.

– Owszem.

– Ale jak widać działa.

– Rzeczywiście – przyznaje nieskromnie. – Najważniejsze to zrozumieć motywację postaci, utożsamić się ze swoim bohaterem. Tak jak to robią Christian Bale i Dustin Hoffman.

– A po co ta bonżurka? – Poprawiam mu aksamitne klapy, jakbym była jego matką.

– Korzystam z metody Stanisławskiego – wyjaśnia mój brat. Nagle oczy mu się rozszerzają. – Masz ochotę na sushi?

Walę go pięścią w udo.

– Jasne.

Ech, to jego rozkojarzenie!

W jednej chwili potrafi ulec jakiejś namiętności, aby za moment porzucić ją dla innej, bardziej intrygującej. Zawsze taki był. W szkole stale wyprowadzał nauczycieli z równowagi. Siostra Angela, której regularnie grał na nerwach, powiedziała mu kiedyś, że jest uczniem specjalnej troski. Michaelowi było z tego powodu ogromnie przykro. Ucisnął dłoń zakonniczy; trzydzieści dziewięć punktów w skali autyzmu dziecięcego wydało mu się żałośnie marnym wynikiem – następnym razem bardziej się postara.

Mama też uważała go za fenomen i z powagą powtarzała mu, że liczą się właśnie takie ulotne chwile prawdziwej pasji. Z pewnością zaś są najbardziej autentyczne, trwają bowiem zbyt krótko, aby skaził je fałsz. „Asperger, akurat” – drwiła; Michael był po prostu jedyny w swoim rodzaju.

Odgarniam mu włosy z czoła.

– A zatem sushi. Ale najpierw muszę dokończyć robotę. Tymczasem tu odkurz. Potem zjemy i zamkniemy sprawę.

Oboje jesteśmy za starzy, żeby przybijać piątkę, ale i tak z przyjemnością to robimy.

Północ.

Odkurzacz zaczyna ryczeć, ja zaś podchodzę do regału i ostrożnie wysuwam opasły poradnik zatytułowany *Rodzina: cud natury*.

Jego autor, doktor Dan, występował kiedyś w telewizji śniadaniowej jako ekspert od relacji międzyludzkich. Zdjęcie na okładce przedstawia jowialnego mądrego człowieka – łysego jak kolano, z wąsem niby szczotka do zamiatania – który odmienił życie milionów Brytyjczyków.

Otwieram książkę.

Wewnątrz nie ma kartek. Ten poradnik nie był wart papieru, na którym go wydrukowano. Z czasem okazało się, że doktor Dan to hochsztapler, który w dodatku bije żonę, bez żalu więc zniszczyłam dzieło jego życia i zastąpiłam strony pełne świętoszkowatych porad bezprzewodowym urządzeniem wielkości talii kart.

Kamera to prawdziwe cacko – kąt widzenia sześćdziesiąt dwa stopnie, rozdzielczość 380 linii TV, wbudowany superczuły mikrofon i obiektyw sprytnie ukryty w małym otworze wywierconym w grzbiecie książki.

Na wszelki wypadek mam jeszcze kamerki w torebce i w wykrywaczu dymu nad sofą.

Gdyby nagranie z dzisiejszego wieczoru trafiło w nieodpowiednie ręce, mogłoby zniszczyć karierę ministra. Jednak intencją mojej klientki nie jest doprowadzenie de Groota do politycznego upadku.

Nie jestem głodna, mimo to jem – Michael uwielbia przyglądać się, jak pożeram jego maki sushi, gratulując mu talentu kulinarnego. Później przerzucam na komputer nagranie z dzisiejszego wieczoru, ale najpierw odwracam stojącą na półce fotografię mamy przodem do pokoju.

Spoglądam w jej oczy wielkie niczym guziki płaszczka i zastanawiam się, czy świat nadal stanowi dla niej zagadkę. Zakładając, rzecz jasna, że Bambi Love wciąż go zamieszkuje.

Druga rano.

Klientka czeka na nas w lobby hotelu Knightsbridge w Chelsea.

Siedzimy w samochodzie przed światłami na King's Road, ja na fotelu pasażera, Michael za kierownicą, bębniąc nierówno palcami w rytm muzyki płynącej z radia. Słuchamy free jazzu, gatunku, który w latach siedemdziesiątych stanowił oprawę dla nadawanych późnym wieczorem amerykańskich filmów o didżejach prowadzących nocne audycje, policjantach albo seryjnych mordercach obserwujących przez lunetę kobiety z naprzeciwka będące zawsze w negliżu. Na ścieżki dźwiękowe tych produkcji składała się nieodmiennie mieszanka melancholijnego, budzącego grozę jazzu, jak w *Brudnym Harrym*. W tym ostatnim przypadku kompozytorem był Lalo Schifrin.

Spoglądam przez szybę.

Słowo o muzyce filmowej: pewnego dnia Lalo Schifrin napisze ścieżkę

dźwiękową do filmu o moim życiu – coś eksperymentalnego i ponadczasowego, około piętnastu kawałków z motywem przewodnim granym na perkusji i niespokojnym rytmem elektrycznej gitary basowej. Zakładając rzecz jasna, że wcześniej nie umrze.

Żeby do tego nie dopuścić, żegnam się ukradkiem: pocieram skroń, bawię się guzikami marynarki, strzepuję pyłek z lewego ramienia, poprawiam prawy rękaw. Muszę to robić w sekrecie, ponieważ Pan Bóg to nie moja działka. Poza tym Michael na pewno by do mnie dołączył. On akurat wierzy w Boga – religia jest dla niego łatwiejsza do zaakceptowania niż prawda naukowa.

Mrugam powiekami, mówiąc w duchu: „Amen”. Mój wzrok pada na wyłożoną gąbką kopertę obok moich nóg. Wewnątrz znajduje się dzisiejszy urobek w postaci nagrania wideo oraz odbitek zdjęć.

To będzie prosta wymiana, niemniej jednak właśnie tego momentu boję się najbardziej. Wyobrażam sobie minę klientki, obrzydzenie, z jakim zareaguje na fotki męża, i aż ściska mnie w żołądku.

Michael zauważa, że nagle ucichłam, i z całej siły wali mnie pięścią w udo.

– Za tydzień są twoje urodziny – obwieszcza z powagą.

Rozcieram nogę i gapię się na parę nastolatków całujących się żarłocznie pod latarnią.

– Założę się, że to Francuzi – mówię.

– Flo, musisz to jakoś uczcić! Może wybierzemy się do klubu albo na drinka?

– Czyli znowu będzie jak w pracy.

– Świetnie! – cieszy się Michael. – Zaproszę Sébastiena.

– Super – mruczę. – Spędzę urodziny, robiąc za przyzwoitkę.

Publiczne okazywanie uczuć to domena Michaela. Za bardzo żyje chwilą, *za mało* przejmuje się wymogami etykiety społecznej – zupełnie jak ta francuska parka całująca się tak, jakby od tego zależało ich życie.

– Myślisz, że on próbuje jej wyciągnąć gumę do żucia z przetyku?

Michael bierze to na serio.

– Krzyknij przez okno, żeby spróbował palcami, Flo!

– Po prostu im zazdroścę.

– Ja też – odpowiada, chociaż to nieprawda.

Wyczerpana, opadam na oparcie i wracam do tematu urodzin.

– Mam ochotę na spokojny wieczór we własnym towarzystwie. Po dwudziestych dziewiątych urodzinach nie wypada dalej liczyć.

– Ty przecież kończysz trzydzieści trzy lata.

– A jeszcze mniej wypada, żebyś mi to wypominał. Pozwól mi pobyć samej. Obejrzę jakiś film – *Bezsenność w Seattle*, *Przeminęło z wiatrem*. – Zwracając się w stronę zakochanych Francuzów, dodaję w myśli: Coś romantycznego.

– *PS. Kocham cię.* – Michael wymienia ten tytuł, bo kiedyś kupił mi taką książkę. Dotąd jej nie przeczytałam, ale on o tym nie wie. Wydaje mu się, że byłam nią zachwycona.

Światło zmienia się na zielone.

Odprowadzam spojrzeniem całującą się parę, aż ich podskakujące głowy nikną ze wstecznego lusterka.

Które nie pozostaje długo puste.

Dziesięć metrów za nami sunie czarny motocykl marki Triumph Scrambler. Mrużąc oczy, przyglądam mu się w lusterku, a następnie odwracam głowę. Przez tylną szybę widzę tylko czarną skórę i długie jasnoblond włosy; kosmyki wysuwają się spod kasku po bokach i z tyłu niczym oryginalne odblaski.

Naukowy fakt dotyczący blondynek: mężczyźni podobno je wołają, lecz one nie mają się z czego cieszyć. Cierpią bowiem na niedostatek eumelaniny, ciemnego barwnika we włosach. W skali Fischera-Sallera motocyklista za nami to bezwarunkowo typ B.

Czyli praktycznie albinos.

Ja dla odmiany mam nadmiar eumelaniny. Jak Pocahontas. Ochrzcił mnie tak pewien pijak, kiedy trzy lata temu po raz pierwszy przyjechałam do Londynu z plecakiem i dyplomem prywatnego detektywa w bocznej kieszeni (w internetowym kursie zdobyłam sto procent punktów).

Szeroko otwartymi oczami oglądałam wtedy stolicę.

Pijak siedział na stopniach dworca Paddington. „Ej, Pocahontas!” – zawołał za mną rozwścieczony. W kącikach jego warg zebrała się spieniona ślina. Mimo to uśmiechnęłam się do niego i pomachałam mu, jakbym naprawdę tak się nazywała, bo w kreskówce Pocahontas była naprawdę śliczna. W rzeczywistości już nie tak bardzo – sprawdziłam w Wikipedii.

Motocykl wydaje głośny pomruk, przyśpiesza i powoli nas wyprzedza. Obserwuję, jak sunie za szybą od strony Michaela. Odruchowo chwytam z podłogi kopertę i chowam ją pod marynarkę.

Niepotrzebnie.

Jasnowłosy motocyklista nie zaszczycą nas – mnie ani koperty – choćby jednym spojrzeniem. Wygląda na to, że interesuje go tylko jezdnia.

## Naga kobieta

Leżymy na brzuchu i oglądamy *Aniolki Charliego*. Bambi i ja. Palcami wsuwa mi do ust kawałki frittaty – to się nazywa „ograniczanie strat” i ma miejsce wtedy, gdy mama ogląda telewizję i wykorzystuje swoje długie paznokcie, żeby przенosić jedzenie z talerza prosto na mój język.

Żadnych okruszków.

To bardzo ważna zasada.

Kiwa głową w stronę ekranu.

– We Włoszech one są jeszcze bardziej seksowne – szepcze, jakbyśmy były w kinie.

Nie jesteśmy. Jesteśmy same w salonie i oglądamy powtórki. Gdyby był z nami tata, od razu by ją ofuknął.

„«Seksowny» to nie jest słowo, jakiego powinno się używać przy dziecku” – powiedziałyby.

Jak dla niego za szybko dorastam. Zapomina, że mam już siedem i pół roku, więc kiedy mama mówi „seksowne”, z lubością chichoczę.

Mama uciska mnie szorstko:

– Florence, bo go obudzisz.

No jasne.

Piętro wyżej śpi Michael.

Ma trzy lata i jest jak cholerny wrzód na dupie. Mój brat – zawsze grzeczny, cichy i nieabsorbujący.

Sęk w tym, że ja byłam tutaj pierwsza.

– Czy każdy kraj ma swoje *Aniolki Charliego*? – pytam zaciekawiona.

Mama kręci głową, jakby kompletnie mi odbiło.

– Aktorki są te same, tylko mówią innym językiem.

– Przecież wiem – przytakuję dojrzałe.

– To się nazywa dubbing – dodaje Bambi.

– To też wiem.

– *Bugiardo*. – Mama uśmiecha się, nie odrywając wzroku od twarzy Farrah Fawcett; jej szpony wciskają mi do gardła ziemniaki zasmażane z jajkiem.

Słowo o językach obcych: *bugiardo* po włosku znaczy „kłamczucha”.

Śmieję się z lubością, cichutko.

Te żarciki to nasz sekret, mój i mamy. Tata pracuje na poczcie, więc nie ma czasu na wygłupy. Michael z kolei to jeszcze dzieciak, brak mu dorosłego poczucia humoru. Za to mama jest *przezabawna*. Nie przy wszystkich, tylko przy mnie. W towarzystwie innych jest okropnie nieśmiała.

Jest też bardzo piękna, zupełnie jak aktorki z tych starych seriali

kryminalnych, które tak uwielbia oglądać.

Przyglądam się ukradkiem jej twarzy.

Rzęsy, włosy i oczy ma w kolorze ciemnej czekolady, a cerę porcelanowoblada w odcieniu, jaki mieliby wszyscy południowcy, gdyby przez całe życie trzymano ich zamkniętych w piwnicy. Mamy oczywiście nikt w piwnicy nie zamykał; po prostu woli trzymać się na uboczu.

Uwielbia zwłaszcza te seriale, które oglądała w Monte San Savino we Włoszech, skąd pochodzi. W dzieciństwie marzyła, że kiedyś zostanie policjantką, tak jak jej tata. Nie był rzecz jasna policjantką, tylko *poliziotto*, po włosku – policjantem. Niestety zginął na służbie i wszystkim jego krewnym zabroniono pójść w jego ślady, ponieważ włoskie matki są okropnie bojaźliwe.

Bambi czekała zatem, aż Michael podrośnie, żeby w tajemnicy podjąć pracę prywatnego detektywa i wieść podwójne życie, o którym nie wiedziałby nikt poza mną.

Ze szczegółami przedstawiła mi swoje plany walki z przestępczością.

– Będę nosiła takie stylowe sztruksy, *piccolina*, z szeroką nogawką, dopasowane w biodrach. Do tego opiętą koszulkę polo, w której cycki wyglądają jak odwrócone rożki do lodów. – Nade wszystko pragnęła mieć spiczaste piersi.

Frittata jest już zjedzona, więc mama używa paznokci, żeby połaskotać mnie w ramię, a ja wydaję z siebie westchnienie rozkoszy – głębokie, pełne zadowolenia, z rodzaju tych, które nas samych zaskakują.

– Jak będę duża, chcę mieć paznokcie takie długie jak twoje – mówię.

– A nie dłuższe?

– Nie, taka długość mi się podoba.

– A mnie się podoba twój styl. – Mama ruchem głowy wskazuje ekran. –

Teraz oglądajmy, bo zaraz koniec.

Oto inne ulubione powtórki Bambi:

*Cagney i Lacy.*

*Magnum.* (On też jest bardziej seksowny we Włoszech).

*Posterunek przy Hill Street.*

*CHiPs.*

Dzięki mamie sporo się dowiaduję o morderstwach. W Ameryce liczba przestępstw z użyciem broni lawinowo rośnie. „Z.w.d.d.s” znaczy „zmarł w drodze do szpitala”. „Sprawca” to zawsze zły człowiek, podobnie jak „psychol”, „świr” oraz „zbok”. A policyjna furgonetka nazywa się „suka”.

Na górze Michael chyba się jednak obudził. Mama teatralnie jęczy zniecierpliwiona. Ja jęczę naprawdę. Na chwilę przytula mnie do siebie i obie udajemy, że nic nie słyszymy.

Udajemy, że jesteśmy tylko we dwie.

Muskam palcami jej wisiorek – złotą papryczkę chili. Wisi na łańcuszku

cienkim jak jedwabna nitka. Naturalnie nie jest to prawdziwa papryczka, tylko *cornicello*, czyli róg na szczęście, chroniący przed złym spojrzeniem. Nie jestem pewna, o co chodzi z tym spojrzeniem – wiem tylko, że szkodzi matkom oraz ich dzieciom, przynajmniej we Włoszech.

Michael dalej gaworzy. Nie ma za grosz wycucia. Zdaję sobie sprawę, że nie powinnam tak myśleć, ale czasami marzę, aby przez kilka tygodni znowu być jedynaczką i nie wysłuchiwać tych słodkich niemowlęcych odgłosów – okropnie mi przeszkadzają.

– Jutro sobota, *piccolina*. – Mama zakrywa mi uszy dłońmi i obiecuje: – Obejrzymy sobie *Drużynę A*.

Zawsze dotrzymuje słowa. Ja jednak milczę, bo chcę ją ukarać. Tak robią dorośli, kiedy czują się przez kogoś zranieni. (Widywałam to setki razy i opisałam tę technikę w swoim tajnym notesie detektywa).

– Pan T po włosku brzmi *o wiele* zabawniej. – Mama pstryka mnie w nos. – Taka prawda.

Ponieważ jestem mistrzynią milczenia, wychodzę do ogrodu, tupiąc przy tym gniewnie. Dopiero gdy mam pewność, że mama na mnie nie patrzy, biegnę w podskokach do Żółtego Domku.

Żółty Domek znajduje się w niedużym lesie za naszym ogrodem. Wiedzie do niego drabina o trzynastu szczeblach – spory wysiłek dla kogoś, kto ma siedem i pół roku i jest dziewczyną, cierpiącą w dodatku na lęk wysokości. Na szczęście świetnie się wspinam. Udaję, że gram w filmie, a dostanie się na szczyt to dla mnie sprawa życia lub śmierci.

Na podłodze zbitej z desek leży *Atlas ptaków Wielkiej Brytanii*. Przesuwam go nogą, bo okładkę pokrywają martwe muchy wysuszone na wiór. Potem klepię się po udzie jak prawdziwy gliniarz i siadam z szeroko rozsuniętymi nogami na wiaderku przewróconym dnem do góry.

W kącie, w opakowaniu po chipsach, ukryty jest mój notes detektywa, a na parapecie leży plastikowa czerwona lornetka. Przecieram soczewki rękawem.

Słowo o lornetkach: trzeba patrzeć od właściwej strony, w przeciwnym razie wszystko wydaje się strasznie małe.

Wciskam lornetkę w oczodoły i mrużąc powieki, reguluję ostrość. Patrzę na nasz dom, zaglądam w okno kuchenne.

Czuję przyjemne mrowienie w żołądku. Na blacie siedzi Michael, na piersi ma ściereczkę do naczyń w kwiatki. Jej rogi są zatknięte na karku za dekolt jego bluzy, jakby mama strzygła mu włosy. Nie robi tego – po prostu chroni ubranko Michaela przed zabrudzeniem, bo plamy i wszelki bałagan budzą w niej „południowy temperament”.

Mama karmi go frittata, a w przerwach opowiada coś, co sprawia, że Michael chichocze. Tylko ona potrafi go rozśmieszyć. Zwykle Michael rzadko się

śmieje.

Nagle widzę tatę. Wrócił wcześniej z pracy i jak co dzień mocno przytula mamę, ujmując jej twarz w dłonie, jakby od dawna jej nie widział. A przecież widzieli się rano przy śniadaniu – byłam tam i wszystko opisałam.

W tajnym notesie detektywa skrupulatnie zamieszczam meldunek:

„Godzina 16.36. W domu jesteśmy tylko mama, tata, Michael i ja. W okolicy spokój. Bez odbioru”.

Rodzice mnie nie widzą, bo pełnię misję w Żółtym Domku, a mimo to mówię do nich szyfrem.

– Słoniowy sok – szepczę przez brudną szybę, udając, że na mnie patrzą – ponieważ „słoniowy sok” oznacza „kocham cię”, ale tylko wtedy, gdy wypowie się to bezgłośnie. Potem znów wzdycham z rozkoszą – po raz drugi tego samego dnia. Ale się rozpędziłam.

Poprzedniego wieczoru zażyłam tabletkę nasenną.

Ani się obejrzałam, a już jest ranek i jakiś drań podkreślił głośność w całym Londynie.

Napierają na mnie odgłosy ulicy – symfonia na taksówki, piętrowe autobusy oraz smarty przeciskające się między studentami, biegaczami i rowerami sponsorowanymi przez bank Barclays. Klaksony, dzwonki rowerowe, życzliwe pokrzykiwania, rytmy reggae, poranne audycje radiowe, *Madame Butterfly*; melodia samochodowych silników wznosi się i opada, ulotna niczym orgazm.

Nie pamiętając, abym w ogóle spała, wpatruję się nieprzytomnie w okno, za którym widać tylko milczące niebo.

Oto Londyn.

Moja tajna kwatera znajduje się na Torrington Place, w pobliżu Tottenham Court Road, rzut beretem od londyńskiego West Endu. Mieszkam na najwyższym, siódmym piętrze czynszówki z czerwonej cegły – spore wyzwanie dla dziewczyny z lekkim lękiem wysokości. Mimo to wybrałam sobie to orle gniazdo, bo jestem uparta jak osioł i w nim stawiam czoło demonom. Na szczęście mam swoje książki; sięgają aż pod sufit, wzmacniając ściany, budując mur z myśli i prawd.

Uwaga, ważne: w życiu trzeba zawsze szukać oparcia w pewnikach.

Moje lokum stanowi znakomitą bazę wypadową dla prywatnego detektywa.

Ci na poziomie chodnika nie mają pojęcia o moim istnieniu, chyba że mijając budynek, zadrą głowę do góry. Rozplotkowani studenci, wiecznie spóźnieni rowerzyści, biegacze z plecakami pełnymi schludnie złożonych rzeczy do przebrania się w pracy. Ja za to widzę ich jak na dłoni. Na parapecie trzymam lunetę, bo od czasu do czasu nachodzi mnie ochota na podglądanie ludzi.

Ale nie dzisiaj.

Ponownie przeliczam pieniądze zarobione na sprawie de Groota sprzed tygodnia. Trzy tysiące. Ktoś mógłby powiedzieć, że to nieźle jak za jeden wieczór,



lecz nie wiedziałyby, o czym mówi. Prowokacja przypomina burzenie fabrycznego komina – dziesięciosekundowa spektakularna implozja, poprzedzona wieloma tygodniami pieczołowitych przygotowań.

Chowam banknoty z powrotem do poszewki poduszki i natychmiast ogarnia mnie niepokój. To normalne w tej branży wspominać swoje ofiary – wściekle, często dysponujące środkami, aby mnie odnaleźć i zniszczyć.

Z torebki wyciągam gaz pieprzowy i wsuwam go pod sąsiednią poduszkę, tę po stronie łóżka zarezerwowanej zazwyczaj dla męża.

Słowo o ajurwedzie: medytacja pozwala pohamować natłok myśli, oczyszcza umysł i pomaga osiągnąć transcendencję.

Przez równe dziesięć sekund oddycham głęboko i staram się o niczym nie myśleć. W dwunastej sekundzie spoglądam na zasłaną ubraniami podłogę i zauważam sukienkę. Tę samą, w której tydzień wcześniej uwiodłam holenderskiego ministra bezpieczeństwa publicznego i sprawiedliwości. Jeżeli ktokolwiek dysponuje środkami, aby mnie odnaleźć, to właśnie on.

Powraca wspomnienie klientki, która zleciła mi tę sprawę...

Widok jej twarzy, gdy spotkałyśmy się w lobby hotelu Knightsbridge. Najlepiej zapamiętałam podbródek, bo kiedy wręczyłam jej kopertę z nagraniem relacji o pozamałżeńskich igraszkach ministra de Groota, dumnie wyciągnęła szyję o dobre kilka centymetrów w górę – gest rzadko przeze mnie widywany w podobnych sytuacjach. Jej podbródek zdawał się mówić: „Dziękuję, pomogła mi pani odzyskać honor”. Poczułam się wtedy jak członek służb ratowniczych.

Moją klientką była Linda de Groot, przez dwadzieścia siedem lat żona ministra. Obecnie rozwiedziona, zachowała nazwisko byłego męża niczym sentymentalną pamiątkę.

„W pracy jest niezastąpiony – powiedziała podczas naszego pierwszego spotkania. – Byłabym samolubna, gdybym chciała pozbawić naród holenderski takiego polityka”.

Z tego powodu nie miała zamiaru ujawniać nikomu grzeszków ministra – niezwykle, zważywszy na to, że przed trzema laty Linda de Groot weszła do łazienki obok małżeńskiej sypialni i zastała w niej ministra de Groota na sedesie. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że siedziała na nim okrzakiem Edith Lammers, minister edukacji.

Podczas naszego pierwszego spotkania Lidia płakała: „Nikt nie powinien czegoś takiego oglądać”.

Uwierzyłam jej na słowo. Nie chciała jednak dokopać Pieterowi – równie dobrze mógłby cierpieć na przykrą chorobę genetyczną – tylko jego kochance Edith Lammers, a raczej Edith de Groot, obecnej żonie ministra.

Cel Lidii był jasno sprecyzowany: „Chcę, żeby ta suka poczuła, jak to jest być zdradzaną”.

„Nienawiść i chęć zemsty są równie groźne i podstępne jak nowotwór” – przestrzegłam ją, lecz klienci są zwykle zbyt zranieni, aby się tym przejmować.

Dostarczyłam pierwszej żonie upragnioną amunicję.

Druga żona nie zasłużyła na to, żeby się z nią patyczkować.

Co do mnie, sprawa była zamknięta.

Ponieważ nie mam nic lepszego do roboty, wsuwam dłoń między uda. Bądź co bądź, dzisiaj są moje urodziny. Na wszelki wypadek rzucam okiem na drzwi.

Są zamknięte na zatrask, rygiel oraz dwie zasuwki – bez tarana nikt nie wejdzie do środka, mimo to zachowuję czujność. To pozostałość z czasów dojrzewania, kiedy tata mógł mnie nakryć w każdej chwili. Z tamtej epoki pozostało mi też myślenie o Bogu, chociaż ostatnio staram się nie umiejscawiać go w żadnej konkretnej religii.

Powiem inaczej: myślenie o Bogu, Allahu, Sziwie czy jakimkolwiek innym bóstwie podczas polerowania muszelki bywa wyjątkowo irytującym reliktem wczesnej młodości.

Spójrzmy prawdzie w oczy: imię nie ma znaczenia. Wszystkich bogów łączy jedna koszmarna cecha:

Dokładnie wiedzą, co robimy.

W moim przypadku wszystkiemu winna jest nauka w szkole prowadzonej przez zakonnice. Katolicyzm dawkowany codziennie przez czternaście kolejnych lat skutkuje przyzwyczajeniami, których trudno się potem wyzbyć. W końcu się to udaje, lecz Bóg (jakkolwiek Go nazywamy) z uporem powraca w oparach chrześcijaństwa (czy jakiegoś innego eklezjastycznego trunku), sprawiając, że człowieka aż mdli od wyrzutów sumienia. W dodatku pojawia się zawsze wtedy, gdy najmniej się Go spodziewamy, zazwyczaj w trakcie masturbacji.

„Dziecię moje, widzę cię”.

Jest jeszcze coś, o czym staram się nie myśleć, kiedy się onanizuję: zmarli.

Sama ukrećłam na sobie ten bicz. W hospicjum poprosiłam babcię, żeby nade mną czuwała. Pamiętam, jak zawodziłam: „Babciu, obiecaj, że nigdy mnie nie opuścisz, że zawsze przy mnie będziesz! Przysięgnij!”. Ona zaś ścisnęła moją rękę tak mocno, że jej pierścionek z brylancikami odcisnął się na moim kciuku. Z żarliwością, na jaką stać jedynie umierającą Irlandkę, przyrzekła: „Mój duch zawsze będzie stał przy tobie, moje kochane dziecko, we dnie i w nocy, na wieki wieków amen, tak mi dopomóż Bóg”.

Wolną ręką zarzucam kołdrę na głowę. Mam nadzieję, że wyglądająca mi zza ramienia babcia się odwróci i złoży moje zachowanie na karb urodzinowych przyjemności. Najprawdopodobniej i tak gdera z powodu stert zakurzonych książek i czasopism, brudnych ramek do zdjęć oraz tego, że moje mieszkanie od ponad roku nie widziało szmaty ani szczotki.

Staram się skoncentrować.

Trudno nie wyobrazić sobie, że babcia siedzi za mną z niezadowoloną miną i nuci *Przyjaciela mamy w Jezusie*, ignorując to, że jej wnuczka dokonuje samogwałtu pod poszarzałą kołdrą, którą, Chryste Panie, naprawdę przydałoby się wyprać.

Cholera jasna, poddaję się.

Bóg wykonuje triumfalny taniec i płasając, znika z mojej głowy.

Mój wzrok pada na kabel od laptopa. Przyciągam do siebie gniewnie komputer i kładę go na kolanach.

Moja skrzynka pocztowa nigdy się nie zapełnia, dziś jednak znajduję w niej dwa zapytania, co jak na tę branżę oznacza znakomity wynik.

Zaginiony pszyjaciel

Środa 25/6/14, godz. 02:23

Od: tarikma68@yahoo.co.uk

Do: info@londonpiservices.uk.net

Szanowni Państwo,

Ja chciałby skorzystać z Państwa usług, żeby odnaleźć zaginioną osobę. Chodzi o dawnego pszyjaciela, z którym ja chciałby się znowu spotkać. My się bardzo pszyjaźnili, ale potem on wyjechał i teraz mi smutno. Nie widziałem go od dwónastu lat i chciałbym zapytać, czy możecie pszyjać moją sprawę. Ten pszyjaciel chyba wrócił do Libii. Proszę powiedzieć, ile to może kosztować, bo ja nie mam durzo pieniędzy.

Z poważaniem,

Tarik Mohammad Amazigh

Wyjaśnijmy sobie jedną rzecz. Z zasady trzymam się z daleka od krajów targanych wojną domową i zamieszkami na tle religijnym. Unikam też klientów, którzy twierdzą, że są spłukani, bo nieodmiennie okazuje się, że kłamią. Po prostu nie są dość zdesperowani, żeby wyłożyć niezbędną gotówkę. Aby prywatne dochodzenie zakończyło się sukcesem, obie strony muszą być jednakowo zaangażowane. Właśnie tak jak drugi nadawca:

Pomocy!

Środa 25/6/14, godz. 03:39

Od: steveloveskatie@gmail.com

Do: info@londonpiservices.uk.net

Witam,

Poszukuję swojej byłej dziewczyny, Katie Helen Knight (data urodzenia: 13.06.1985; numer ubezpieczenia: JL 56 78 00 B; dotychczasowe numery telefonów komórkowych: 08750 567329, 08750 333901, 07739 324578, 07654 900051, 07739 566773, 08756 892486, 07871 677811, 07899 545452).

Rozstaliśmy się w przybliżeniu 38 miesięcy i 3 dni temu, wkrótce potem

wyprowadziła się z mojej okolicy. Chociaż przez dłuższy czas z powodzeniem monitorowałem jej ruchy, 06.06.14 o godzinie 13.34 straciłem ją z oczu. Mam uczciwe zamiary – jak tylko ją odnajdę, zamierzam ponownie się oświadczyć. Kłopot w tym, że jej mąż czuje się zagrożony przez nasz związek i próbuje mnie od niej odsunąć. Zafundował pranie mózgu jej, jej rodzinie i znajomym, którzy ignorują moje telefony, listy oraz wizyty. Wielka szkoda, ale domyślam się, że są między młotem a kowadłem.

Czy mogą mi Państwo pomóc? Załączam akta sprawy (dotychczasowe adresy, pracodawcy, wykształcenie, krewni, posiadane pojazdy, zainteresowania, itd.). Proszę o informację na temat kosztów.

Serdecznie pozdrawiam,

Steve

Akta sprawy liczą dwadzieścia trzy strony. Założę się o całą forszę schowaną w mojej poduszce, że koleś ma sądowy zakaz zbliżania się do swojej byłej. Nie da się jednak ukryć, że tacy prześladowcy to kopalnia złota. Tkwiąca we mnie romantyczka podziwia ich determinację, nieugiętość, oddanie oraz gotowość do działania i wyłożenia konkretnej kasy. Nie to, co niektórzy:

Zaginiony pszyjaciel

Środa 25/6/14, godz. 04:44

Od: tarikma68@yahoo.co.uk

Do: info@londonpiservices.uk.net

Szanowni Państwo,

On może być w Maghrebie.

Z poważaniem,

Tarik Mohammad Amazigh

Gdybym była jak inni prywatni detektywi, Tarik Mohammad Amazigh nie doczekałby się odpowiedzi. Na ogół jednak dziękuję piszącym za ich zainteresowanie – trzeba odwagi i pewnej dozy szaleństwa, żeby się skontaktować z prywatnym detektywem. Skoro nie mogę pomóc, chcę chociaż wskazać właściwy kierunek postępowania.

Re: Zaginiony pszyjaciel

Środa 25/6/14, godz. 11:02

Od: info@londonpiservices.uk.net

Do: tarikma68@yahoo.co.uk

Drogi Tariku,

Obawiam się, że nasze kontakty w Libii i pozostałych krajach Maghrebu są ograniczone. Uprzedzam także, że poszukiwania prowadzone na skalę międzynarodową są bardzo kosztowne. Jeżeli mimo to jest Pan zdecydowany,

proszę się zwrócić do agencji specjalizującej się w danym regionie geograficznym. Może się Pan również skonsultować z Międzynarodową Federacją Stowarzyszeń Prywatnych Detektywów.

Powodzenia.

Londyńskie Biuro Usług Detektywistycznych

Zauważcie, że podpisuję się jako „Londyńskie Biuro Usług Detektywistycznych”. W kupie rażniej. Wystarczy rzut oka na moją stronę internetową, aby się przekonać, że wymyśliłam sobie całe biuro konsultantów:

Keith odpowiada za inwigilację – piętnaście lat służył w wydziale specjalnym Scotland Yardu.

Maureen zajmuje się informatyką – obsługiwała wcześniej między innymi mongolskiego giganta komputerowego Bull-Tech.

Ken specjalizuje się w weryfikacji danych dotyczących zatrudnienia – pozostałość po czasach, gdy prześwietlał kandydatów do służby w rodezyjskiej milicji.

Słowo o działalności prywatnego detektywa: tego rodzaju konfabulacje są konieczne.

Podobnie jak numer infolinii, wyświetlający się na stronie dużymi cyframi – pomaga stworzyć złudzenie profesjonalizmu. Spójrzcie tylko, jacy jesteśmy zapracowani; zarabiamy tyle, że oprócz wykwalifikowanych specjalistów musimy zatrudniać telefonistki. Świadczymy usługi na takim poziomie, że możecie się z nami skontaktować za darmo.

W rzeczywistości wszelkie połączenia są przekierowywane na komórkę – jedyną komórkę należącą do jedyne go pracownika, którego biuro mieści się na tylnym siedzeniu renault kangoo. Gdy brakuje mu rąk do pracy, zawsze może liczyć na pomoc chętnego ojca albo najlepszego kumpla. „Pomożesz mi prowadzić obserwację?” – pyta, marszcząc lekko brwi, ponieważ nie może im zapłacić. Nie ma sprawy; wspomniany ojciec albo kumpel o mało nie klaszcze w dłonie z zachwytu, jakby właśnie wygrał wczasy all inclusive na Malediwach.

Oto czego jeszcze dowiedzie się z mojej strony internetowej:

„Prywatni detektywi świadczą wiele usług. Powszechnie sądzi się, że tylko śledzimy niewiernych małżonków, podczas gdy zdrady małżeńskie stanowią w istocie niewielki odsetek spraw”.

Poniżej ciągnie się długa lista: ustalanie ojcostwa, wykrywanie kłamstw, odzyskiwanie dzieci, szpiegostwo korporacyjne, poszukiwanie osób, za których ujęcie wyznaczono nagrodę, i tak dalej. Oferta została zamieszczona ze słodką świadomością, że nikt nigdy nie zażąda ode mnie podjęcia podobnych działań.

Zasadniczo prywatni detektywi mają jedno główne zadanie: śledzić niewiernych małżonków. I jeszcze jedno: odnajdywać osoby zaginione. Ale to

rzadziej.

Rzecz jasna, są jeszcze zlecenia korporacyjne, najczęściej z gazet – wówczas praca prywatnego detektywa bywa nieco monotonna i polega na śledzeniu niewiernych celebrytów.

Odpisuję właśnie Steve'owi Prześladowcy, gdy radosny wibrujący dźwięk zawiadania mnie, że otrzymałam nową wiadomość. Trzy zapytania jednego dnia! Zadowolona otwieram e-mail, lecz zaraz marszczę brwi; nie znam tej Alice, a ona zwraca się do mnie po nazwisku.

Elementarna zasada prywatnego detektywa brzmi: nigdy, przenigdy nie podawaj klientom swojego prawdziwego nazwiska.

Sprawa małżeńska

Środa 25/6/14, godz. 11:04

Od: asc345@hotmail.com

Do: info@londonpiseservices.uk.net

Szanowna Panno Love,

Zarekomendował mi Panią znajomy, który pragnie pozostać anonimowy, podobnie jak ja – przynajmniej na początku. Był on niezwykle zadowolony z Pani usług i co najważniejsze, zapewnił mnie o Pani dyskrecji, która w tej sprawie jest szczególnie istotna.

Czy mogłybyśmy się spotkać? Proszę wybrać dogodny czas i miejsce.

W trakcie spotkania spodziewam się otrzymać od Pani pełne zestawienie kosztów. W ramach usługi interesuje mnie obserwacja zakończona prowokacją. Niewykluczone, że konieczne będzie zebranie dodatkowych informacji. Sprawą najwyższej wagi jest dla mnie zdobycie dowodów w postaci zdjęć oraz nagrania wideo.

Pragnę jeszcze raz podkreślić, że moja szczególna sytuacja osobista wymaga całkowitej dyskrecji. Zależy mi na starannych przygotowaniach i skrupulatnym wykonaniu zadania. Chciałabym, aby podjęła się go Pani tak szybko, jak tylko pozwoli na to terminarz Pani zajęć. Ostateczna decyzja zapadnie rzecz jasna po naszej rozmowie, podczas której ocenię pod kątem fizycznym Pani przydatność do realizacji tego zlecenia.

Z niecierpliwością oczekuję odpowiedzi.

Kłaniam się,

Alice

Babka zamierza sprawdzać, czy fizycznie się nadaję do tej roboty? Bezczelna suka! Mimowolnie w mojej głowie rodzi się pytanie: czy rzeczywiście się do tego *nadaję*?

W łazience wisi zamglone lustro, a nad nim jarzeniówka. Pociągam za brudny sznurek i biała rurka szumi i trzeszczy, dopiero po chwili roztacza

niekorzystne blade światło. Przysuwam twarz do lustra.

Skórę wokół oczu plami rozmazany tusz do rzęs, między zębami utkwiał zielony kawałek wodorostów z sushi. Wiem, że powinnam się martwić, skąd Alice zna moje nazwisko, ale w tej chwili przejmuję się tylko tym, że mam za długi nos i jestem za stara, aby sprostać jej szczególnym wymaganiom.

Z prysznicza spadają mi na twarz krople gorącej wody. Zaciskam powieki i obmyślam plan.

Na spotkanie włożę sukienkę od Karen Millen i kolczyki od Tiffany'ego. Do tego zapach Chanel nr 5 i staranny dyskretny makijaż. Uczeszę się w gładki kok – albo nie, najlepiej w koronę. Albo rozpuszczę lekko potargane włosy jak Beyoncé. Pokażę Alice, że idealnie się nadaję do tej roboty.

Najpierw jednak podnoszę z podłogi nieświeżą ścierkę, owijam nią głowę i dzwonię do Michaela.

Ledwo wybiło południe; mój brat nadal leży w łóżku, więc nagrywam wiadomość.

– Hej, leniu! Chcesz zarobić parę funciaków? Po południu szykuje się spotkanie z potencjalną klientką.

Na podłodze dostrzegam swoją pechową dwupensówkę. Musiała mi wypaść z kieszeni. Podnoszę ją i umieszczam ostrożnie na skrzynce stojącej przy łóżku.

– Zapowiada się normalka, ale na wszelki wypadek chcę cię mieć w odwodzie. Powiedzmy, o piątej? Tam, gdzie zwykle?

## Wstęp do sztuki prowokacji, porada nr 2:

### Nie mów nikomu, czym się zajmujesz.

#### *Zalety tej pracy:*

jest totalnie odlotowa. Kiedy mówisz innym, jak zarabiasz na życie, od razu się rozpromieniają, wyglądają, jakby chcieli ci bić brawo. Odwzajemniasz ten entuzjazm, bo ludzki podziw nigdy ci się nie nudzi. Najbardziej cieszą cię ich miny. Przez jedną, krótką, wolną od ściemniania chwilę szczerości z całego serca inni pragną być *tobą!*

#### *A teraz proza życia:*

armia żądnych zemsty, okpionych facetów będzie łaknęła twojej krwi – o ile zdołają cię namierzyć. Dlatego najlepiej nikomu nie mówić, czym się zajmujesz.

#### *Na wszelki wypadek:*

*Nie wtajemniczaj rodziny ani przyjaciół*, chyba że absolutnie musisz. Oznacza to mniej okrzyków zachwyty, ale pozwala zachować anonimowość.

*Skombinuj coś do obrony.* Broń palna jest nielegalna. Osobiście używam gazu pieprzowego, bo choć również jest zabroniony, zachodzi mniejsze prawdopodobieństwo, że zostanę oskarżona o zabójstwo, gdy go użyję. Równie skuteczny bywa pistolet na wodę, napełniony roztworem soli i mielonego chili. Stosować z umiarem, bo piecze jak diabli.

*Postaraj się o współnika.* Będzie cię krył, jeśli trzeba, a skuteczność inwigilacji gwałtownie wzrośnie. Tylko wybierz rozsądnie – prowadzenie potajemnej obserwacji to robota skazująca człowieka na cholerną samotność. Dlatego współnik, jako jedyny uczestnik twoich eskapad, może się stać dla ciebie wszystkim.



## Zdobycz

Piąta po południu, hotel Charing Cross.

Michael jest już na miejscu. Ubrany jak bogaty ziemianin, w głębi baru udaje, że czyta „Vogue’a”, nonszalancko sącząc mojito. Wzdycham skrycie na ten widok. Jego przebrania nieodmiennie przyciągają uwagę.

Na wprost widzę swoją klientkę Alice.

Dokładnie wykonała moje instrukcje. Siedzi przy wykuszowym oknie, w fotelu w kolorze kości słoniowej, zwrócona twarzą do wejścia. Przed nią na stole stoi imbryk z herbatą, a na fotelu naprzeciwko leży egzemplarz „The Independent”.

Zauważa mnie, przybieram więc życzliwy wyraz twarzy i uśmiecham się serdecznie.

Mam to doskonale przećwiczone, bo zawsze działa na klientki. Pierwsze wrażenie jest najważniejsze. Mam góra trzy sekundy, aby zdobyć to zlecenie, wykorzystuję zatem ten czas do maksimum.

Oprócz uśmiechu prezentuję też próbkę swojego repertuaru: idąc, prowokacyjnie kołyszę biodrami, odgarniam włosy z twarzy i odrzucam je do tyłu, stwarzając iluzję sztucznego wiatru. Na koniec współczująco przechylam głowę w bok, jakbym mówiła: „Jestem po twojej stronie”.

Alice nie odwzajemnia uśmiechu.

Przekładam gazetę i siadam na wprost niej w fotelu. Ledwo dostrzegalnie kiwa mi głową.

Co dość niezwykle w tej branży, Alice nie jest zadbaną i wystrojoną kobietą w średnim wieku. Może mieć około trzydziestki. Ubrana modnie, w ciuchy z wyższej półki, ale nie topowych marek, bardziej przypomina mi uczennicę ekskluzywnej szkoły dla dziewcząt niż Kate Moss. Jeśli chodzi o wygląd, w skali od jednego do dziesięciu dałabym jej siedem. Jest ładna, ale nie piękna. Idealny materiał na żonę lekarza albo gracza w polo, na pewno nie na czyjąś kochankę – pod tym względem biję ją na głowę.

Odczuwam przyjemną satysfakcję.

Wtedy ona otwiera usta i muszę zmienić zdanie. Babka ma szansę nawet na ósemkę, natychmiast mnie oczarowuje. Co za hipnotyczny głos; mam wrażenie, że pięści moją szyję długimi paznokciami.

– Proszę mi wybaczyć, panno Love, okropnie się denerwuję. Nigdy nie przypuszczałam, że porwę się na coś takiego...

Wyraźny, melodyjny, odrobinę dziecinny irlandzki zaśpiew sprawia, że mam ochotę ją stąd przegonić. Uciekaj, niewinna istoto, zanim będzie za późno! W ciągu dwudziestu minut nakłonię cię do zrobienia czegoś niemoralnego. Zaproponuję akcję, która złamie ci serce, chociaż na koniec zapewne dodam: „Jeśli wszystko

dobrze się potoczy, przekona się pani, że ma fantastycznego, wiernego faceta”.

– Proszę się odprężyć, jest pani w dobrych rękach. – Dotykam lekko blatu stolika. – Proszę przedstawić swoją sytuację, zobaczymy, czy będę w stanie pani pomóc. Zapewniam, że wszystko, co usłyszę, zachowam w ścisłej tajemnicy.

Aż mnie skręca w środku na tę drętwą gadkę. Na próżno usiłuję dorównać kobiecie, która pod względem wokalnym zdecydowanie mnie przewyższa. Jestem jak Eliza Doolittle recytująca *Deszcz w Hiszpanii*. Nagła zmiana sposobu mówienia stawiałaby pod znakiem zapytania moją poczytalność, więc się hamuję.

– Nie jest pani wyjątkiem, Alice. Wszystkie kobiety w pani sytuacji się denerwują. Byłoby poniekąd dziwne, gdyby było inaczej. – „Poniekąd”, psiakrew.

– Tak, wiem. Dziękuję. Jestem pewna, że to naturalne odczuwać niepokój.

Owszem – niepokój, potem uniesienie, następnie obrzydzenie, wreszcie mściwość.

– Zna pani moje nazwisko – zauważam.

– A pani moje imię.

Rozglądam się po sali. Widzę dwóch mężczyzn siedzących osobno – jeden czyta gazetę, drugi smaruje masłem ciepłą bułeczkę. Jakaś staruszka usiłuje wysłać SMS-y. Michael przy barze popija drugie mojito za osiem funtów.

– Nie podaję klientom prawdziwego nazwiska. – Łypię wściekle na brata. – Dla dobra wszystkich zainteresowanych powinnam pozostać anonimowa. Chciałabym wiedzieć, kto jest pani informatorem.

– Proszono mnie o dyskrecję.

– Kto panią prosił?

Alice wygładza spódnicę.

– Osoba, która mi panią poleciła.

– To znaczy?

– To delikatny temat. Ta osoba korzystała z pani usług w konkretnym celu...

– Zwraca się do swoich kolan. – Naprawdę, nie widzę potrzeby...

Wstaję i zarzucam torebkę na ramię.

– Przykro mi, Alice. Nie ufamy sobie, a to jest absolutnie kluczowe.

– Mój partner jest osobą publiczną – szepcze.

– Tacy jak on to moja specjalność – kłamię.

– Ta sprawa może się okazać *wyjatkowo* trudna, panno Love.

– Spodziewam się.

– Chcę powiedzieć: trudniejsza niż zwykle.

Siadam, zaintrygowana i odrobinę zniecierpliwiona.

– Może zaczęłyby pani od początku?

Alice powoli nalewa nam earl greya do filiżanek.

– Mój partner i ja znamy się od bardzo dawna. Uczyliśmy się w tej samej szkole średniej. Chodziliśmy ze sobą z małymi przerwami. Wszystko to było

bardzo niewinne, choć zawsze coś do siebie czuliśmy. – Marszczy nos. Nagle wydaje się taka bezbronna. – Niestety, były nam pisane odmienne losy.

Nachylam się nad stolikiem.

– Kim jest pani partner?

Alice wyjmuję z torebki brązową kopertę i kładzie ją przede mną na blacie.

– Spotkaliśmy się ponownie pół roku temu, kiedy po latach odwiedził rodzinne strony. Cork. Stamtąd pochodzi. Oboje stamtąd pochodzimy. – Pozwala sobie na uśmiech. – Można by pomyśleć, że rozstaliśmy się ledwo dzień wcześniej. Żadnej świty, tylko on i ja, szkolna para zakochanych. Powiedział, że przy mnie czuje się, jakby wrócił do domu. – Patrzy mi z przejściem w oczy. – Wierzy pani w istnienie bratnich dusz?

Nawet nie muszę się nad tym zastanawiać.

– Znacznie ciekawsza byłaby odpowiedź na pytanie, czy od razu staliście się bratnimi duszami, czy potrzebowaliście na to więcej czasu.

Alice nie robi żadnych uników.

– W naszym przypadku to było jak grom z jasnego nieba.

Kiwam głową.

– Najlepsza opcja.

– Oczywiście poznaliśmy się jako zupełnie dzieciaki. – Próbuje się tłumaczyć, lecz pozwólcie, że powiem wam słowo o bratnich duszach: wiek nie ma w tych sprawach żadnego znaczenia.

– W ciągu tych wszystkich lat spotykałam się z różnymi mężczyznami, panno Love. A on z pewnością spotykał się z wieloma kobietami. To jego sprawa, w tej chwili bez znaczenia. Jego menedżer wolał tych romansów nie nagłaśniać, bo nie pasowały do jego wizerunku. – Wypija łyk herbaty. – Przez kilka ostatnich miesięcy znowu się do siebie zbliżyliśmy. Jestem jego słodką tajemnicą, a on moją.

I jak im nie zazdrościć?

– Kim on jest? – pytam jeszcze raz.

– Wyjątkowo utalentowanym człowiekiem. Nie mam jednak złudzeń: sławie towarzyszą różne pokusy.

Zerkam na kopertę, na której napisano „Florence Love”. Moje prawdziwe imię i nazwisko.

Mrużę oczy.

– Więc pani przyjaciel interesuje się kobietami?

– Nie bardziej niż przeciętny mężczyzna.

– Alkohol? Narkotyki?

Nieczcierpliwie kręci głową.

– Bardzo dba o kondycję.

Osuwam się na oparcie fotela.

– To co ja tutaj robię?

Teraz Alice nachyla się nad stolikiem.

– Boję się, że czegoś nie dostrzegam. Że przez lata on stał się innym człowiekiem. Że jest mniej... – waha się, czy to właściwe słowo – uczciwy.

– I prowokacja ma rozwiązać te wątpliwości?

– Nie oczekuję, że mnie pani zrozumie. – Alice niespokojnie kręci się w fotelu.

– Więc proszę mi to wytłumaczyć.

Widzę, że jej nozdrza niemal niedostrzegalnie się rozszerzają. Wyraźnie nie ma ochoty na tę rozmowę, niemniej jednak ulega i przedstawia mi konkrety.

– Kiedy miałam dwa latka, matka opuściła nas dla innego mężczyzny. Tak po prostu. Nawet się nie obejrzała. Och, mój tata starał się jak potrafił, ale nie był już tym samym człowiekiem co dawniej. Zawsze uważał, że byli z matką bratnimi duszami. Żadna inna nie mogła się z nią równać, nawet ja. Zmarł w ubiegłym roku.

Dotykam ręką serca.

Właśnie *dlatego* nie prowadzę psychoterapii dla ludzi pogrążonych w żałobie. Gdy składam kobiecie kondolencje, mam ochotę płakać razem z nią/nad nią. To się nazywa współczucie, nie empatia, a współczucie nikomu na nic się nie przyda, jeśli wierzyć mojemu terapeutycie.

Alice ciągnie, oglądając uważnie swoje kolano:

– Tata miał zawał. Nie przypuszczam, aby moje serce lepiej zniosło podobną sytuację. To musi być okropne wiedzieć, że najszcześniejsze chwile życia mam już za sobą i nawet one były grą pozorów, gdyż ten, którego miałam za bratnią duszę, był tylko wytworem mojej romantycznej wyobraźni.

Te słowa mnie dobijają.

Niechętnie przyznaję, że polubiłam Alice. Szczególnie podoba mi się, gdy chowa twarz w dłoń, szepcząc:

– Zachowuję się kompletnie nieracjonalnie.

Kładę rękę na jej dłoni.

– Jest pani po prostu rozważna.

Odwzajemnia mój uścisk. Przez ułamek sekundy czuję się tak, jakbyśmy były przyjaciółkami.

– Jeżeli źle go oceniłam i nie jest już tym samym człowiekiem, którego pamiętam sprzed lat, nasz związek opiszą wszystkie gazety, panno Love.

Gazety?

– Jeżeli okaże się niewierny, cały świat będzie oglądał mój upadek. To okrutne. – Pozbywszy się zbroi, Alice mówi teraz zupełnie otwarcie: – Oznajmił menedżerowi, że chcemy się ujawnić. Niech cały świat wie, że związał się z kimś na poważnie. – Milczy przez chwilę. – Mogę mówić szczerze? Okropnie się tego boję.

„Cały świat”?

– Nikt się chyba nie spodziewa, że pani partner do śmierci będzie kawalerem – mówię.

– Yoko Ono, Linda McCartney, Priscilla Presley, Maria Magdalena, wszystkie one dostawały pogroźki. Bycie jego dziewczyną nie sprowadza się tylko do sesji zdjęciowych i branżowych przyjęć. Dochodzą do tego ciągle scysje mojego partnera z jego otoczeniem. Oni chcą dawkować informacje, on woli opcję „szalony romans”, bo to bardziej romantyczne – dodaje rozbawiona i w końcu przechodzi do sedna: – Teraz zamierza pokazać mnie światu. Mam mu towarzyszyć na czerwonym dywanie.

– Serio? – To wszystko jest bardzo ekscytujące.

Alice tak nie uważa.

– Podczas ceremonii rozdania nagród, od dziś za dwa tygodnie, w czwartek. Podobno w czwartki ludzie są w najlepszym nastroju, bo nadciąga weekend. Będą więc bardziej wyrozumiali, słysząc, że ich idol nie jest już do wzięcia.

– Fascynujące...

– Wierzę, że *jesteśmy* bratnimi duszami – zapewnia mnie żarliwie – i ponad wszystko chcę, abyśmy byli *normalną* parą: chodzili na spacer z psem i do teatru, założyli rodzinę. Chcę robić to wszystko, co robią zwykli zakochani, być spontaniczna, nie roztrząsać, czy nam coś wolno, czy nie. Ale najpierw, panno Love, muszę mieć pewność. Zanim znajdę się na świeczniku.

– Na jakim świeczniku?

Patrzy na mnie poirytowana – najwyraźniej nie zrozumiałam ani słowa z jej wywodów.

– Mam na myśli strzelające flesze, nagonkę mediów, pismaków z „Daily Mail” komentujących moją figurę i braki w garderobie albo spekulujących, czy jestem w ciąży. Zdjęcia, na których mój partner rozmawia z dziewczyną – *jakąkolwiek* dziewczyną – i wybuchającą natychmiast medialną histerię. Muszę mieć całkowitą pewność. Nie jestem celebrytką z pierwszych stron gazet ani do tego nie aspiruję. Jestem zwykłą nauczycielką z Cork. Uczę w podstawówce.

– Fajna praca – stwierdzam.

Potakuje, bo praca jest rzeczywiście fajna.

– Ten świat to dla mnie zupełna nowość. Wie pani, że istnieje cała machina dbająca o nieskazitelny wizerunek mojego partnera w mediach? Dzięki temu sprzedaje więcej płyt. Jego ludzie zrobią wszystko, żeby podtrzymać ten wizerunek, są nawet gotowi mnie okłamywać. A ja chcę wiedzieć, komu mogę zaufać, panno Love. Muszę to wiedzieć.

Kolejne zdanie Alice wszystko mi wyjaśnia:

– Nie chcę skończyć jak mój tata.

Odruchowo spoglądam na Michaela.

Mój brat zapomniał o naszym istnieniu. Pogryzając kokieteryjnie słomkę,

gawędzi szeptem z barmanem. Serce podchodzi mi do gardła. Gdyby Michael z nami siedział, jego serce również byłoby teraz jak szalone. Jedyna różnica między nami polega na tym, że on wyrzuciłby w górę swoje długie ramiona i zapewnił Alice, że dokładnie wie, jak ona się czuje.

Że oboje – i on, i ja – dobrze wiemy, co znaczy stracić jednego z rodziców.

Nigdy bym się do tego nie przyznała, ale prawda jest taka, że dla mnie było to znacznie trudniejsze. Michael był wtedy jeszcze mały. Żal po stracie to nie dyscyplina olimpijska, żeby ze sobą rywalizować, mimo to moje wspomnienia są bardziej żywe. Dlatego w przeciwieństwie do brata tak dobrze rozumiem Alice; może byłoby lepiej, gdyby nasi rodzice w ogóle się nie spotkali, gdybyśmy nigdy się nie urodzili?

– Proszę zaplanować tygodniowy wyjazd – wraca mi głos. – Nie do Cork, gdzie indziej. Żeby on wiedział, że go pani nie zaskoczy. Niech mu pani o tym jak najszybciej powie, bo musi mieć czas, żeby zmienić plany, skoro będzie miał cały dom dla siebie.

– Tylko nie w domu. – Alice robi przerażoną minę. – Tak nie można!

Skoro tak woli. Ale w ten sposób możemy wywołać jeszcze większy skandal.

– Muszę wszystko wiedzieć, Alice: dokąd chodzi na drinka, gdzie pracuje, jak wygląda jego rozkład dnia.

Kręci głową.

– To nie takie proste. On nie chodzi do pubów. Z reguły nie zna nawet swojego planu dnia. Rano zjawia się asystent i mówi mu, co ma robić. Poza tym głównie siedzi w domu.

– Adresy, posiadane nieruchomości, dane osobowe, zainteresowania, upodobania seksualne... – Mimowolnie puszczam do niej oko. – Nie chciałabym się przystawiać do niewłaściwego faceta.

Wyrzucam sobie tę nonszalancję, lecz Alice po raz pierwszy się do mnie uśmiecha. Ósemka, bezwarunkowo ósemka.

– Aha, jedno zdjęcie chyba powinno wystarczyć – mówi i podsuwa mi brązową kopertę.

W środku jest magazyn „Time Out New York”. Wyciągam go i kręcę głową, ponieważ pomimo wszystkich wskazówek najwyraźniej wciąż czegoś nie rozumiem.

Alice nachyla się i muska palcami okładkę.

– Moim partnerem jest Scott Delaney.

Scott Delaney.

Uśmiecha się do mnie ze zdjęcia z mikrofonem w dłoni. W tle widać jego zespół. Patrzy prosto na mnie – we mnie. Prędko odwracam czasopismo okładką do dołu. Moje obiekty rzadko bywają ludźmi aż tak znanymi. Kogo próbuję oszukać?

*Nigdy* nie są tacy przystojni. Odruchowo dotykam włosów.

– Ile to będzie kosztowało? – pyta mnie Alice.

– Tanio nie będzie.

Unosi dumnie podbródek.

– Dzięki tacie jestem wypłacalna. Jaka jest pani skuteczność?

Też unoszę podbródek.

– Bardzo wysoka.

– Znakomicie. W takim razie proszę podać swoją cenę.

– Pięćdziesiąt funtów za godzinę pracy obejmującej zebranie niezbędnych informacji, wstępną obserwację oraz sporządzenie raportu. Osobno pokrywa pani wydatki służbowe i łapówki. Nagranie wideo i zdjęcia są wliczone w cenę. Sama prowokacja kosztuje łącznie tysiąc funtów. Po czterech godzinach, jeśli obiekt nie połknie haczyka, przedstawię pani swoją bezstronną opinię, ale koniec końców to pani będzie musiała ocenić jego zachowanie i stwierdzić, czy mam kontynuować. Na ile to możliwe, wszystkie moje rozmowy z obiektem będą nagrywane.

Mam ochotę śmiać się w głos.

W oczach Alice dostrzegam błysk podniecenia. A nie mówiłam! Ta gra potrafi zdemoralizować najczystszy umysł.

Kręci głową z lekkim niedowierzaniem.

– Nie mam pojęcia, jak zdoła się pani do niego zbliżyć.

Ja też nie mam pojęcia.

– Proszę zostawić to mnie. I pamiętać, że mam jedną niezłomną zasadę: nigdy, przenigdy nie sypiam z obiektem prowokacji.

Mina nieco jej zrzedła. Może dopiero teraz dociera do niej, na czym polega moje zadanie. A może jest odrobinę rozczarowana? Żyjemy w naprawdę popierdolonym świecie.

– Seks nie jest konieczny, Alice. Nie, kiedy mogę zdobyć coś lepszego, pełne przyznanie się do winy.

– Ale pocałunki wchodzą w grę?

– Owszem. Z języczkiem, pięciosekundowe, w sam raz, aby stwierdzić, czy facet ma ochotę się łajdaczyć. I sprawa zamknięta.

Alice obraca w dłoniach portmonetkę wielkości śliwki.

– Jak mam pani zapłacić?

– Tysiąc z góry gotówką. Zaliczka jest bezzwrotna. Codziennie będę meldować e-mailem o postępach.

Przez głowę przelatują mi różne pomysły. Mam tylko czternaście dni, żeby szczegółowo poznać życie pięknego, sławnego na cały świat mężczyzny, wkręcić się w jego otoczenie i go uwieść.

Wciąż ugniatając miniaturową portmonetkę, Alice mamrocze:

– Muszę pójść do bankomatu.

– Nie musi pani – odpowiadam stanowczo. – Powinna pani wrócić do domu i poważnie się zastanowić, czy naprawdę chce pani pójść tą drogą.

– No tak. – Wygląda na nieco zagubioną. Bierze płaszcz i gazetę.

– Proszę do mnie napisać, jeśli się pani zdecyduje.

– Dobrze. Dziękuję, tak zrobię.

– Aha, proszę też podać nazwisko osoby, która mnie pani poleciła. Obawiam się, że ten warunek nie podlega negocjacjom. – Liczy się też ostatnie wrażenie, więc chwytam ją za rękę, kiedy mnie mija. – Jeśli wszystko dobrze się potoczy, przekona się pani, że ma fantastycznego, wiernego faceta.

Po prostu nie potrafię się zamknąć. Mam wrażenie, że zaraz wybuchnę śmiechem.

W odpowiedzi Alice nachyliła się i z wdzięcznością mnie przytuliła. Jej uścisk trwa o ułamek sekundy za długo.

– To, panno Love, jest fundamentem, na którym można budować wspólną przyszłość.

Poklepuję ją serdecznie po plecach i zastanawiam się, kto tu kogo przekonuje.

Pieprzony Scott Delaney.

Alice wychodzi, a ja zerkam na Michaela. Wyglupia się, rzucając mi znad czasopisma zezowate spojrzenia. Unosi w górę kciuki jak wtedy, gdy nurkowaliśmy w dzieciństwie – ja w masce, on robiący głupie miny, wsadzający kciuki w policzki – a potem na wyścigi wypływaliliśmy na powierzchnię, żeby się nie opić wody, tak nam się chciało śmiać. Michael, jak to on, znowu zapomina się uśmiechnąć, ale w środku cały aż promienieje.

Nieoczekiwanie mam ochotę rzucić mu się na szyję, mocno go wyściskać i przeprosić, bo z niczego tak się nie cieszę jak z tego, że nasza matka go urodziła.

– Głupek – szepczę, przechodząc obok. – Chodźmy lepiej to oblać. Mam zlecenie.



## Toksyczny 8az

Scott *Scat* Delaney

Zaczerpnięte z Wikipedii, wolnej encyklopedii:

**Scott Delaney**, znany również jako **Scat Delaney** (urodzony 13 września 1980 r.), wokalista jazzowy o irlandzkich korzeniach. Laureat licznych nagród, w tym dwóch Grammy[1][2] oraz wyróżnienia Brit Award.[3] Jego debiutancki album znalazł się w pierwszej dziesiątce najchętniej kupowanych płyt w Wielkiej Brytanii. Komercyjny sukces przyniosła mu nagrana w 2011 r. płyta *So What*. Album z 2013 r., zatytułowany *Scat and Django*, cieszył się jeszcze większym powodzeniem, docierając na szczyt amerykańskiego notowania Billboard 200 oraz zajmując pierwsze miejsca w australijskim zestawieniu płytowym ARIA i na europejskich listach przebojów. Delaney występuje najczęściej na kameralnych koncertach w takich salach jak Birdland, Le Caveau de la Huchette czy U Ronniego Scotta. Choć żyje jak odludek, sprzedał już ponad 20 milionów płyt na całym świecie.

Michael, z ręką na sercu, mrużąc powieki, czyta ze strony otwartej w swoim iPhone.

– Ksywka „Scat” ma związek z jego stylem śpiewania – cytuje z internetu – polegającym na wykonywaniu improwizowanych melodii poprzez naśladowanie odgłosów instrumentów.

Poprawiam mu fular. To prawda: Scott Delaney jest taaaki boski, że współcześni nadali mu ksywkę na cześć dźwiękonaśladowczej techniki wokalnej.

– Nikt nie scatował lepiej niż Ella Fitzgerald – stwierdzam.

– Możemy pójść na jej koncert? – błaga od razu Michael.

– Odeszła już do Jezusa, skarbie. – Mój brat nie ma bladego pojęcia, kim była Ella Fitzgerald, ale wygląda, jakby miał się zawalić cały jego świat. Szybko go uspokajam: – Co innego Scott Delaney. Pod warunkiem, że dobrze rozegramy tę partię.

Mrugam do niego, ale robię to nieszczerze. Moja pewność siebie nagle się ulotniła. Kogo próbuję oszukiwać?

Nie nadaję się do tego fizycznie; obawy Alice były w pełni uzasadnione.

Scott Delaney jest zbyt przystojny, zbyt utalentowany. Powinna go podrywać kobieta z tej samej ligi co on: Angelina Jolie, ewentualnie Elizabeth Taylor w roli Kleopatry. Albo Helena Trojańska, gdyby nie była postacią mityczną.

Z drugiej strony Alice też nie należy do pierwszej ligi. To zwykła nauczycielka z Cork.

Pub, który wybrał mój brat, nazywa się „Konsekwencja”. Ledwo wchodzimy, klaszcze na barmana i nie sięgając po portfel, woła:

– Szampan dla jubilatki!

Ze znużeniem wyciągam portmonetkę i podaję barmanowi pięćdziesiąt funtów. Przyjmuje pieniądze, nie żądając, żebym się wylegitymowała.

A ja wciąż czuję się jak szesnastolatka.

Facet po prostu robi swoje, nie ma też żadnych złudzeń co do mojego wieku. „Jesteś już kobietą”. W ogólnym zgiełku wyczytuję z jego ust nieme pytanie: „Jeden kieliszek czy dwa?”.

– Dwa – odpowiadam, podnosząc w górę palce ułożone w kształt litery V.

– Flo, posłuchaj tego. – Michael poprawia fular i teatralnie chrząka. – „Scott Delaney poznał muzykę jazzową dzięki swojemu dziadkowi, który później oferował darmowe usługi ogrodnicze muzykom, aby ci pozwalali Scottowi scatować razem z nimi na scenie”.

– Urocze – przyznaję.

– Czego się nie robi dla rodziny – kiwa mądrze głową mój brat.

– W czwartek za dwa tygodnie w Londynie odbędzie się ceremonia rozdania nagród. Jakich?

Michael wrzuca to w wyszukiwarkę.

– Urban Music Awards. Pójdziemy?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo do tej pory robota ma być wykonana.

Spodziewany wynik: katastrofalna porażka.

Rozglądam się po barze. Znajomi gawędzą, śmieją się i wesoło do siebie pokrzykują. Pary siedzą w całkowitym milczeniu. Przygnębiające. Wzdycham, zastanawiając się, po co w ogóle ruszali się z domu.

– Michael, chyba powinniśmy być realistami. Najprawdopodobniej nie jestem w jego typie.

– Zamknij się. Jesteś w typie każdego faceta. Ja bym się skusił.

– To byłoby kazirodztwo.

Otula się ciasniej tweedową marynarką.

– Wiesz, co mam na myśli.

Wiem i nagradzam go za ten komplement, wskazując stanowczo jego telefon.

– Znajdź mi jakieś trupy w szafie. Przez ostatnie dziesięć lat Scott Delaney musiał zrobić coś złego. Sado-maso, tanie blondyny, psychofanki?

Podczas gdy Michael szuka haków na Scotta Delaneya, ja zauważam siedzącego w kącie mężczyznę z jasnymi włosami do ramion. Kogoś mi przypomina: motocyklistę, który minął nas tego wieczoru, gdy zamykaliśmy sprawę de Groota. Naturalnie to nie on. Jeśli chodzi o odcień blond, to według skali Fischera-Sallera ten tutaj byłby literą D. Niemniej jednak udaję, że to ów odziany

w czarną skórę swobodny jeździec, i przyglądam mu się spod zmrużonych powiek, jakbym grała w filmie. To scena, w której dostrzegam ukrytego w kącie groźnego, lecz dziwnie pociągającego prześladowcę. Często się tak bawię: udaję, że jestem gwiazdą we własnym filmie.

Nie minęła nawet minuta, gdy Michael stwierdza kategorycznie:

– Scott Delaney jest czysty jak łąza.

Ruchem głowy wskazuję telefon, jakby za krótko mył zęby.

– Sprawdź jeszcze raz, dokładniej. Nikt nie jest czysty jak łąza.

To święta prawda. Każdy ma jakąś piętę achillesową. W przypadku Michaela to niewysocy, narcystyczni mężczyźni, którzy odróżniają produkty marki Dyson od Electroluxa. W moim – obsesyjność. Nie ma nic bardziej romantycznego niż gdy ktoś zostawia ci trzydzieści sześć wiadomości w poczcie głosowej, podgląda cię zza ogrodzenia, włamuje się do twojej skrzynki odbiorczej. Uśmiecham się kokieteryjnie do blondyna, jakby ten wcześniej mnie zaczepiał. Nie zaczepia, tylko przegląda program telewizyjny.

Mimo woli powracam myślami do ślubu numer jeden. Z zażenowaniem spoglądam w przeszłość.

Osobiście wybrałam czytanie z Listu św. Pawła do Koryntian, 13, 4-7. Ale ubaw. Miłość wcale nie jest cierpliwa ani łaskawa. Zazdrości, szuka pokłasku, unosi się pychą i szuka swego. Pamięta to, co złe, a już z pewnością niczemu nie wierzy i w niczym nie pokłada nadziei – ale czy nie na tym polega jej cholerny urok? Cudownie jest myśleć, że gdzieś tam na świecie żyje ta jedyna osoba zdolna nakłonić nas do naprawdę złych rzeczy, bo tylko przy niej – i przy nikim innym – nasz moralny kompas tak niebezpiecznie się rozregulowuje.

– Wiesz, co powinnaś zrobić? Udawaj niedostępną w towarzystwie Delaneya. – Michael z powagą wskazuje swojego iPhone'a. – To się nazywa psychologia odwrócona.

Śmieję się i mierzwię mu włosy.

– Powinieneś napisać książkę. Serio.

– O czym?

– O sztuce uwodzenia.

– Dlaczego?

Sanskryt, suahili i sarkazm są dla mojego brata równie niezrozumiałe. Znów skupiam uwagę na koleśku z programem telewizyjnym. Tak, obsesyjni faceci to faktycznie bezpieczna opcja. Wystarczy się nie ugiąć, konsekwentnie zgrywać nieosiągalną i zachowywać się jak ostatnia suka, a będą przy nas trwali do końca życia. Mój mąż numer jeden wszędzie za mną łąził, sprawdzając, czy nie jestem za mocno umalowana i nie mam za krótkiej spódnicy. Twierdził, że to uwłacza mojej godności. A ja się na to godziłam, bo w tamtym czasie liczył się dla mnie przede wszystkim kompromis.

Pozwólcie, że zilustruję to przykładem: moja była najlepsza przyjaciółka, która z nim teraz jest, maluje się jak dziwka. I choć życzę jej, żeby zdechła, dała mi bardzo cenną lekcję. Uległość jest równie pociągająca, co szumy w uszach.

– Mam! – wrzeszczy Michael, wpatrując się w wyświetlacz telefonu.

– To mów.

– Nie, mam pracę! – Unosi podbródek i mówi stanowczo, bez śladu akcentu z południowo-zachodniej Anglii: – Skonsoliduj swój kredyt. Oferujemy przystępne miesięczne raty, dzięki czemu... – robi pauzę dla większego efektu – *ty możesz żyć pełnią życia!*

– Niemożliwe! Wzięli cię do tej reklamy? Super!

Ja też krzyczę, bo naprawdę się cieszę. Michael nigdy jeszcze nie pracował jako aktor. W zasadzie poza zleceniami, które mu podsuwam, i krótką fuchą polegającą na trzymaniu na Tottenham Court Road transparentu z napisem „Tania galanteria skórzana – tędy” nigdzie na poważnie się nie zaczepił.

– Wystąpię w telewizji, Flo. – Mój brat bębni otwartymi dłońmi w kontuar (ja mu wtóruję), a potem mówi: – Muszę zadzwonić do Sébastiena.

Z komórką przy uchu przechadza się w tę i z powrotem.

– Seb! Tu Michael. Nie zgadniesz, co się stało...

Rozglądam się po knajpie, obserwuję mężów i narzeczonych ignorujących kobiety, za którymi się kiedyś uganiali, do których wzdychali i z myślą o których walili konia.

Szczególnie bacznie przyglądam się koleśowi z programem telewizyjnym, jakby naprawdę mnie fascynował, a reżyser kierował właśnie kamerę prosto na moją twarz.

Odgrywam teraz rolę dziewczyny z Pieśni nad Pieśniami. Odtwarzam sobie nawet w myślach odpowiedni fragment: „Bo jak śmierć potężna jest miłość, a zazdrość jej nieprzejednana jak Szeol, żar jej to żar ognia, płomień Pański”<sup>1</sup>.

I... cięcie.

Scott Delaney nigdy tak na mnie nie spojrzy. W tej branży pewność siebie to podstawa, postanawiam zatem, że rozsądniej będzie unikać mężczyzn, którzy obniżają moją samoocenę.

Michael klaszcze i rozkłada ręce.

– Seb już tu jedzie.

Wydaje mu się, że to coś mnie obchodzi.

Lepiej będę się zwijać. Sébastien nie wyłazi z domu bez grubej warstwy makijażu. Podkład, puder, tusz do rzęs, błyszczak – wygląda to wszystko bardzo naturalnie, ale i tak zawsze gapię się na niego jak sroka w gnat. Jest za bardzo nieskazitelny. Jego włosy i baczki wydają się domalowane. Ramiona, klatkę piersiową i podbródek ma tak gładkie, że musiał chyba poddać całe ciało zabiegowi elektrolizy. Sztywny uśmiech wygląda jak po botoksie u kukielki z serialu

*Thunderbirds*. Strzela przy tym oczami, jakby miał w karku przełącznik. No dobra, nie ma żadnego przełącznika, ale i tak strzela oczami jak wariat. Nic dziwnego, że niepewnie się przy nim czuję.

Poza tym Sébastien cierpi na lekki niedobór wzrostu. Bez kubańskich obcasów ma nie więcej niż metr pięćdziesiąt osiem, co znaczy, że jego oczy znajdują się na wysokości sutków mojego brata.

Naprawdę nie ogarniam, dlaczego Michael tak mu nadskakuje.

Dzisiaj na przykład można by przypuszczać, że to Sébastien dostał angaż do reklamy albo że to są jego trzydzieste trzecie urodziny. Wątpię, czy naprawdę ma na imię Sébastien.

Wracam do domu potwornie zatłoczonym metrem.

Osaczona przez facetów w garniturach i energicznych turystów siedzę i rozmyślam o Scotcie Delaneyu. O sposobach uwiedzenia sławnego człowieka. Ukrywam twarz w dłoniach, bo to absurdałne, kompletnie beznadziejne zadanie. Przypominam sobie ojca Alice, który umarł, bo jego serce nie wytrzymało utraty bratniej duszy.

Słowo o zawałach: w kręgach lekarskich tragiczny w skutkach atak serca nosi nazwę „fabrykanta wdów”.

Najsmutniejsze w tym wszystkim jest to, że po śmierci ojca Alice nikt nie owdowiał. Jego przeznaczeniem było nie być potrzebnym nikomu.

Mój tata twierdzi, że mama była jego bratnią duszą. Ale jak to możliwe? Na co dzień tata żyje, jakby nic się nie stało. Co wtorek wystawia worki ze śmieciami. Na grządce za domem hoduje karczochy, pietruszkę oraz werbenę. Nagrywa programy przyrodnicze, prowadzi rachunki, myje zęby i śmieje się z żartów.

Miałam osiem lat, gdy znaleziono datsuna mamy. Na fotelu pasażera siedział martwy obcy facet, Bambi natomiast zniknęła bez śladu.

Ostatecznie uznano, że w ostatniej chwili pojawiły się u niej wątpliwości i wysiadła z auta, zostawiając kochanka samego. Do szyb przymocowane były ręcznie wykonane naklejki: „Niebezpieczeństwo – toksyczny gaz. Nie otwierać drzwi”.

Z jakiegoś powodu właśnie te naklejki zapamiętałam najlepiej. Może widziałam je na zdjęciu w gazecie? A może policja przyniosła fotografie, żeby tata zidentyfikował samochód? Tak czy siak, rozpoznałam charakter pisma mamy. Jej „g” zawsze wyglądało jak ósemka.

„Niebezpieczeństwo – toksyczny gaz”.

Przez dwadzieścia pięć lat zastanawiałam się, dlaczego do nas nie wróciła. Jedyne wytłumaczenie, jakie się nasuwało, to to, że ani przed próbą samobójczą, ani po niej nie miała dla kogo żyć.

Tata siedzi na brzegu wąskiego łóżka i potrząsa mnie za ramię. Powieki mam sklezione po śnie. Wkurzona, wycieram śpiochy i mrużąc oczy, spoglądam na

czerwone cyfry na wyświetlaczu radia z budzikiem: dopiero sześć po piątej.

Za oknem nadal jest ciemno, ale na dole są jacyś ludzie. Słyszę niewyraźne głosy, zupełnie jak podczas przerwy w koncercie. Przyglądam się tacie i strach zapiera mi dech w piersiach. Jego twarz wydaje się stara jak twarz Pana Boga.

Powoli podciągam kołdrę pod szyję i szepczę:

– Co się stało, tatusiu?

Patrzy na mnie przez dłuższą chwilę, lecz wzrok ma zamglony, jakby wcale mnie nie widział. Ale to nie jest najgorsze: jego brwi układają się w najsmutniejszy kształt, jaki można sobie wyobrazić. Nigdy dotąd nie widziałam, żeby się tak układały. Dotyka mojego policzka, lecz w jego spojrzeniu jest zbyt wiele miłości, a kiedy się odzywa, mówi nienaturalnym głosem, cienkim jak u dziewczyny:

– Mam bardzo, bardzo złą wiadomość, Florrie.

Po policzku spływa mu duża słona łza.

Moje serce ma ochotę krzyczeć. Ściskam jego dłoń i wołam: „Nie!”, bo cokolwiek chce mi powiedzieć, nie jestem na to gotowa. Głos taty, ta łza, żadnego: „Wstawaj, pobudka, śpiochu”, żadnych kiełbasek skwierczących na patelni w kuchni, żadnego gaworzenia Michaela. Nie jestem głupia. Wiadomość, którą tata chce mi przekazać, jest nie tylko *zła*, jest fatalna.

Ktoś umarł.

– Florrie, skarbie, chodź do mnie.

Wyciąga ramiona. Mam go pocieszyć? Czy może on chce pocieszyć mnie? Nie jestem pewna, o co mu chodzi. Tak czy owak, nie życzę sobie tego. Dopóki mi nie powie, co się stało, moje życie jest dokładnie takie samo jak wczoraj wieczorem, kiedy kładłam się spać.

Ale tata tego nie rozumie.

– Chodź do mnie, kochanie, proszę...

Wścikła wałę go pięścią w pierś, co jest *straszliwym* grzechem, ale nie czuję się winna, bo on nawet tego nie zauważa. Po prostu patrzy na mnie spod tych ściągniętych brwi.

– Nie – mówię stanowczo. – Nie mów tego, do cholery.

Pierwszy raz w życiu *przeklinam* na głos. Tata nie uderza mnie jednak w rękę, co tylko potwierdza moje najgorsze obawy.

Do głowy przychodzą mi trzy okropne słowa: „Michael nie żyje”.

Zaciskam dłonie na brzuchu, kołyszę się w przód i w tył.

„Michael nie żyje”.

„Michael nie żyje”. To wyłącznie moja wina.

Mam sekret, którego nie mogę nikomu zdradzić: kilka razy, kiedy Michael kładł się spać i zostawaliśmy tylko we troje – mama, tata i ja – wyobrażałam sobie, jak by to było, gdyby nigdy się nie urodził.

„Nie wypowiadaj życzeń zbyt pochopnie” – ostrzegł mnie kiedyś tata przy

całkiem innej okazji, lecz jego słowa utkwily mi w głowie.

Co ja najlepszego zrobiłam?

Tata znowu próbuje mnie objąć, lecz z moich ust wyrywa się niski jęk, przypominający muczenie krowy.

Bo to nie jest cała prawda.

Zdarzało mi się pomijać Michaela w modlitwach.

„Panie Boże, miej w opiece mamusię, tatusia, kózki, króliczka, którego widziałam kicającego w zaułku, pana mleczarza, babcię Love i dziadka Love...”.

Nigdy nie widziałam dziadka Love – przynajmniej od czasu, gdy byłam nie większa od jego przedramienia – a mimo to modliłam się za niego częściej niż za mojego braciszka. Malutki święty Michał mógł się obyć bez boskiej pomocy; nasi rodzice poświęcali mu tyle uwagi, ile potrzebują mali chłopcy.

Przysięgam, że tylko się na niego dąsałam. Od czasu do czasu zwyczajnie żałowałam, że nie jestem już taka mała jak on. Mam przecież osiem lat i jestem cholernie dorosła; nie ma nic słodkiego w byciu ośmiolatką.

Z całej siły zaciskam dłonie pod kołdrą i modlę się jak jeszcze nigdy w życiu.

„Niech to będzie dziadek Love, niech się okaże, że to on umarł”. Właściwie nawet go nie znam. Miał dobre życie – nie wiem tego na pewno, ale w ten sposób przedstawiam to Jezusowi. „Jeżeli okaże się, że Michael żyje, zostanę zakonnica i już zawsze będę się codziennie modliła za biednych. I za Michaela. Wynagrodzę mu te wszystkie modlitwy, w których o nim zapomniałam”.

To nie Jezus mi odpowiada, tylko kłótniwa część mojego umysłu:

„Spójrzmy prawdzie w oczy, Florence – z Michaeliem zawsze było coś nie tak. I tak by długo nie pożył. Wiele wskazywało na to, że umrze. Nie śmiał się wtedy, kiedy trzeba, denerwował się, gdy jedzenie na jego talerzu się zmieszało...”.

Zaczynam przeciągle zawodzić.

Tata nie daje się zbyć. Przyciąga mnie gniewnie do siebie, więc w końcu się poddam i przytulam do jego piersi przyobleczonej w koszulę. Pachnie gotowanymi warzywami; woń brokuł, purée ziemniaczanego, jakiegokolwiek jedzenia wydaje się w tej chwili niestosowna, a myśl, że kiedykolwiek miałabym znowu coś zjeść, jest okrutna, wręcz nie do zniesienia.

Mój żołądek wykonuje fikołka. Wymiotuję tacie na kolana.

Teraz kołyszymy się oboje; moja głowa spoczywa bezwładnie na jego piersi. Tata robi, co może, żeby mnie uspokoić, ale w tej chwili potrzebuję tylko jej.

– Mamusiu – jęczę. – Ja chcę do mamusi.

Tata obejmuje mnie bardzo, bardzo mocno. Odpycham go, ale on nie puszcza.

– Tak bardzo cię kochała. – Mówi, jakby zrobił coś złego. – Pamiętaj o tym.

Nigdy by cię nie skrzywdziła, gdyby wiedziała, że jest inne wyjście...

Ona?

Wpatruję się w niego przez dłuższą chwilę, bo mam wrażenie, że spoglądam przez lornetkę trzymaną z niewłaściwej strony. Znajduję się w tunelu, a tata jakieś półtora kilometra dalej. Nie widzę wyraźnie jego twarzy, tylko zarys sylwetki. Przyciskam podbródek do klatki piersiowej, bo szyja nie wytrzymuje ciężaru mojej głowy.

Tata powiedział: „Tak bardzo cię kochała”.

– Musimy być silni dla Michaela, *piccolina*. – Jego głos dobiega z bardzo daleka, mała głowa taty wskazuje mi drzwi... A konkretnie podest schodów i pokoik Michaela... Naraz olbrzymie dłonie podnoszą w górę moją bezwładną głowę. Patrzą w wielkie zapłakane oczy taty. – Musimy być silni dla siebie nawzajem.

Niemal widzę, jak moja matka odpływa w dal.

Wściekła na cały świat wymierzam łokciem kuksańca dziewczynie stojącej przede mną w metrze. Ja siedzę, ona stoi; pośladkami zawadza o moją głowę.

Dziewczyna odwraca się i łypie na mnie z góry.

– Zrobiłaś to specjalnie?

– Owszem – mówię do siedzącego obok mnie starszego faceta. – Jej tyłek przyprawia mnie o ból głowy.

– Jak cię walnę, to dopiero rozboli cię głowa.

– Całujesz takim ryjem swoją dziewczynę?

– Nazywasz mnie lesbą?

Cóż za oburzająca insynuacja. Nie mam nic przeciwko lesbijkom. Raz się z jedną przespałam. Wstaję. W wagonie panuje ścisk, dziewczucha – a zwłaszcza jej krocze – znajduje się zdecydowanie za blisko mnie.

Składam dłonie i oznajmiam:

– Shorinji kempo to sztuka walki. Może o niej słyszałaś?

Dziewczyna wpatruje się we mnie wojowniczo, ani myśli uciekać wzrokiem – to trzeba jej oddać.

– Rozumiem, że nie słyszałaś. Będzie bolało jak cholera. Chcesz darmowej prezentacji? W takim razie śmiało, atakuj. Uprzedzam tylko, że mój cios łokciem pozbawi cię życia.

W wagonie robi się cicho jak makiem zasiał. Ja i homofobiczna lesbia przez dłuższą chwilę mierzymy się wzrokiem. Potem unoszę dłonie jak do ciosu karate, chociaż zapewne wyglądam przy tym niczym chirurg czekający na włożenie rękawiczek przed operacją – przez ten tłok brakuje mi miejsca na łokcie.

Tamta w końcu załapuje, mruży oczy, mamrocze coś pod nosem o wariatkach i sukach, po czym pierwsza odwraca wzrok i przesuwając tyłek nieco w lewo.



– *Domo arigato gozaimashita* – dziękuję jej po japońsku, siadam i odwracając się do starszego gościa obok, wzdycham ciężko. „To dzisiejsze społeczeństwo” – miałabym ochotę powiedzieć, gdyby nie to, że on i pozostali pasażerowie zawzięcie unikają patrzenia w moją stronę.

Przyznam, że w głębi duszy liczyłam na owację.

Nic dziwnego, że mało kto występuje w filmach kręconych na podstawie swojej biografii. Pomimo całej hollywoodzkiej magii nie ma nic fajnego w oglądaniu własnego życia na ekranie. Nie jest to ani zabawne, ani nawet urocze.

Czuję, że mam wypieki. Wbijam spojrzenie w cudze sznurówki i stawiam czoło nieubłaganym faktom: kobieta mojego pokroju nie ma żadnych szans u takiego faceta jak Scott Delaney.

Po wyjściu ze stacji metra przy Goodge Street odbieram telefon od taty. Przypomina mi, że nie widzieliśmy się już od czterech miesięcy.

– Wpadnę, jak tylko będę mogła. Obiecuję.

Mówię to zupełnie szczerze. Sęk w tym, że ilekroć wsiadam do autobusu na Victoria Station, mam wrażenie, jakby ktoś obrzucał moje serce kamieniami. Kiedy dojeżdżamy do Christchurch, ledwo mogę dźwignąć się z miejsca. To jak powrót na miejsce śmiertelnego wypadku.

– A jak się ma moja jubilatka? – pyta śpiewnie tata.

– Świetnie! – Przetrząsam kieszenie w poszukiwaniu kluczy.

– Jak kurs komputerowy?

– O, znakomicie, naprawdę.

– Cieszę się – mówi całkowicie usatysfakcjonowany.

Tata nie widzi sensu w nadmiernym doksztalceniu się. Matura, studia, dyplom z biologii ewolucyjnej – dla niego to wszystko było uroczym kaprysem. Uważał, że koniec końców będę potrzebowała posady na całe życie, takiej, która pozwoli mi na przerwę na ślub i dzieci, a potem na powrót do pracy. W tym celu kupił dla mnie wiejski urząd pocztowy.

Mojemu bratu zamierzał zaś pewnego dnia przekazać w spadku resztę swojego imperium handlowego: stragan z warzywami. Szanse, że Michael kiedykolwiek włoży fartuch, są takie same jak to, że zrobi to Elvis Presley.

Niemniej w ten sposób związał nas ze sobą na wieki. Urząd pocztowy i stragan są niczym przymocowane do naszych nadgarstków linki z włókna węglowego, takie, jakich używają astronauty wychodzący w przestrzeń kosmiczną. Tata postarał się, żeby w przeciwieństwie do żony jego dzieci nie odfrunęły zbyt daleko.

Za bardzo nas kocha, wiem. Dlatego tak bardzo mi go szkoda.

Trzeba jednak przyznać, że tata uważa nasz pobyt w Londynie za znakomity pomysł. „Nigdy nie jest się za starym na urlop naukowy” – tłumaczy klientom pod naszą nieobecność. Nie trzeba dodawać, że spodziewa się nas z powrotem. Dotyczy

to zwłaszcza Michaela – tata z wielką niechęcią zareagował na pomysł, aby brat dołączył do mnie w Londynie. Zagadałam go jednak z kretesem; ostatecznie skończyły mu się argumenty i pozwolił Michaelowi tu przyjechać. To takie kobiece kłapać dziobem bez wytchnienia. Uroczyście przyrzekłam czuwać na moim młodszym braciszkiem.

– Czego się w tym tygodniu nauczyłaś? – pyta teraz tata.

– Przerabiamy tadorastyczne systemy operacyjne.

– Bardzo się nam taki przyda na poczcie. Trzeba iść z duchem czasu.

Czasami wolałabym, żeby był mniej wyrozumiały. Żeby postawił na swoim, od czasu do czasu spuścił mi łanie, zabronił realizować marzenia i podążać za głosem serca. Ta jego bezgraniczna wiara w trafność mojego osądu, cała ta ślepa miłość sprawiają, że czuję się jak ostatni nieudacznik.

– A co tam słyhać u twojego brata? – pyta jeszcze.

Marszczę brwi, bo nie mogę znaleźć kluczy. Nie ma ich w kieszeni. Ani w torebce. Miałam je przy sobie, wychodząc po południu z mieszkania...

– Wszystko w najlepszym porządku...

Zapominam przekazać mu wspaniałą nowinę o angażu Michaela do reklamy telewizyjnej i naciskam w domofonie przycisk mojej sąsiadki Zanny – trzymam u niej zapasowy komplet kluczy.

Tata z entuzjazmem opowiada mi o przebudowie magazynku pocztowego, ja tymczasem przeskakuję po dwa stopnie i na ostatnim schodku stoję jak wryta.

Przed sobą mam drzwi swojego mieszkania. Z wąskiej szczeliny przy framudze pada promień światła, w którym wirują drobinki kurzu.

– Przepraszam cię, tato, ale przychodzą dziś do mnie koleżanki. – Ostrożnie podchodzę bliżej i popycham stopą drzwi. Otwierają się na oścież. Wsuwam głowę do środka. Nikogo nie ma. – Muszę przyrzadzić drobne przekąski.

– Dziewczyny, tak? I bardzo dobrze. Wobec tego nie będę ci przeszkadzał. Wszystkiego najlepszego, moja śliczna.

Cmokam do słuchawki i szybko się rozłączam, po czym omijam ręczniki, sterty ubrań, książki w twardej i miękkiej oprawie oraz opakowania po daniach na wynos i docieram do materaca. Siadam i rozglądam się po pokoju. Ktoś mniej spostrzegawczy mógłby uznać, że wszystko jest tak, jak było, kiedy wychodziłam.

Ale nie jest.

Wystarczy spojrzeć na mój laptop, który wystaje spod papierów rozrzuconych na podłodze.

Podstawowa zasada prywatnego detektywa: wychodząc z domu, zawsze ukryj komputer pod warstwą dokumentów. Dodatkowo ułóż go pod określonym kątem (powiedzmy 135 stopni) w stosunku do wybranego punktu w przestrzeni. Nieproszeni goście nie noszą przy sobie kątomierzy. Zanim zapoznają się z historią twoich wyszukiwań w internecie, zawartością plików oraz e-maili, zainstalują

program szpiegujący i przejrzą fotki z wakacji, zdążą zapomnieć, jak gruba była warstwa papierów przykrywająca laptop i pod jakim kątem był on ułożony. Uznają, że to drobiazg bez znaczenia – właściciel takiej nory pewnie z trudem trafia do łazienki, więc jak mógłby zauważyć, że jego komputer przesunął się o centymetr w prawo? Postawią na niedbalstwo i to będzie ich błąd.

Żeby nie było żadnych wątpliwości: nie mieszkam w takim bałaganie z wyboru. Niezupełnie.

Weźmy na przykład to opakowanie tabletek nasennych. Poprzedniego wieczoru rzuciłam je na podłogę. Wylądowało dwadzieścia centymetrów na północny zachód od egzemplarza *Zachowań intymnych: klasycznego studium intymności człowieka*. Szansa na to, że znajdzie się na postawionej do góry dnem skrzynce obok łóżka (przynajmniej w naszym wszechświecie), są równe zero – niemożliwa trajektoria.

Przerażenie ściska mi żołądek.

Wiedziałam, że to tylko kwestia czasu, że prędzej czy później ktoś mnie odnajdzie.

Prowokacja różni się od typowych działań prywatnego detektywa. Trzeba się obnażyć. Śmiać się w twarz facetom z ogromnymi majątkami i wielkim ego. Naturalnie niejeden poprzysięga zemstę. Kilku może dotrzymać słowa. Wiem, co sama zrobiłabym komuś mojego pokroju – rozmyślałam nad tym przez siedemset dwanaście nocy z rzędu.

Wyciągam spod poduszki gaz pieprzowy i trzymając go przed sobą w wyprostowanej ręce, skradam się do łazienki. Zaglądam za drzwi i do kabiny prysznicowej, uderzam pięścią w cienką zasłonkę w oknie, potrząsam drewnianą ramą okienną.

Tamta dziewczyna w metrze specjalnie trącała mnie tyłkiem, żeby wywołać sprzeczkę; chciała mi ukraść klucze na prośbę jakiegoś faceta, któremu się naraziłam.

Nie bądź śmieszna. Pocieram twarz; musieliby być cholernie szybcy, żeby zdążyć.

Dokładnie zamykam drzwi – zatrzask, rygiel i obydwie zasuwki. Potem przeliczam pieniądze ukryte w poszewce. Nic nie zginęło.

Dobiegający z korytarza niespodziewany łoskot sprawia, że na moment tracę oddech.

Na tym piętrze są jeszcze dwa inne mieszkania – jedno po prawej, drugie po lewej stronie. Na prawo mieszka pracująca para. Słyszę przez ścianę, jak się ze sobą bzykają. Ona udaje orgazm, a on popiskuje niczym duszona szynszyla. Z lewej strony mieszka Zanna, starsza pani, którą uwielbiam. Ilekroć ją widzę, muszę się powstrzymać, żeby nie poklepać jej po głowie, bo jest niska jak betonowy pacholek i ma miękkie siwe loczki niczym szczeniak rasy lagotto

romagnolo.

Ona też mnie uwielbia, bo pomogłam jej opracować drzewo genealogiczne jej rodziny, dzięki czemu odnalazła sens życia. W podzięcie obdarowuje mnie teraz szydełkowanymi cudeńkami, takimi jak na przykład ocieplacz na rolkę papieru toaletowego. Albo ściągany sznurkiem ażurowy woreczek na minikabaczka albo małą cukinię. Trzymam w nim pojemnik z gazem pieprzowym, choć się do tego nie przyznaję – nie jestem pewna, jakie są jej poglądy na temat broni chemicznej.

Zanna ma zapasowe klucze od mojego mieszkania i wpuszcza mnie, ilekroć zapodzieję swój komplet. Parka z prawej nawet nie mówi mi dzień dobry, przynajmniej kiedy są razem; zdybany w pojedynkę Pan Szynszyla rozplęwa się w uśmiechach.

Przez ścianę z lewej strony sący się *Sonata księżycowa* Beethovena.

Bliskość Zanny dodaje mi otuchy. Ale wygląda na to, że dzisiaj ma gościa. Nasłuchuję, jak drepczą w tę i z powrotem po drewnianej podłodze. Tańczą walca. Moje tętno się wyrównuje.

Uwielbiam starych ludzi i choć nie chciałabym być jednym z nich, to stwierdzam, że mają w sobie coś pokrzepiającego. Wszystko jest dla nich takie czarno-białe. Nie muszą się przejmować, że kogoś obrażą, bo i tak wkrótce kopną w kalendarz. Rozumiem to i bardzo to sobie cenię. Podobna swoboda i szczerłość działają na mnie jak ożywczy prysznic.

Chowam gaz pieprzowy z powrotem pod poduszkę i upominam siebie w duchu, że przecież robię to, o czym zawsze marzyłam. Bambi byłaby ze mnie taka dumna.

Niestety, każda wymarzona praca ma swoje wady – to coś, o czym moja matka nie miała okazji osobiście się przekonać.

Nagle ją dostrzegam.

Moją pechową dwupensówkę. Stoczyła się ze skrzynki i znów leży na podłodze. Prawda spada na mnie niespodziewanie niczym wiadro szczyń na łeb.

Mam dość tego ciągłego strachu.

Dokonałam tego, o czym marzyłam, zrealizowałam swoje fantazje.

Ludzie mnie oklaskiwali i zazdrościli mi takiego życia.

Uwodziłam bogatych mężczyzn i znajdowałam rozmaitych łajdaków.

Nosiłam przebrania, krzyczałam do taksówkarzy: „Za tym samochodem!”, sikałam do papierowych kubków, instalowałam podsłuchy i myszkowałam w cudzych koszach na śmieci.

Wręczałam łapówki, wyłudzałam informacje, śledziłam ludzi i włamywałam się do ich komputerów.

Odhaczyłam wszystkie pozycje. Zaliczyłam dreszczyk emocji. Brawo ja!

A teraz chcę się wycofać.

Muszę się wycofać.

Wkładam bejsbolówkę, postanawiając odwiedzić dawną przyjaciółkę oraz była kochankę. Kobietę, z którą spotykałam się po mężu numer dwa.

## Wstęp do sztuki prowokacji, porada nr 3:

### Stwórz krąg zaufanych kontaktów.

A więc porzuciłaś przyjaciół i bliskich. Witamy w klubie – poznaj swoich informatorów, zwanych również „kontaktami”.

*Najważniejsza wskazówka.*

Wybierając informatorów, kieruj się intuicją i pozwól sobie na odrobinę *je ne sais quoi*.

*Kto jest najlepszym informatorem?*

Rozgoryczeni administratorzy sieci, w stu procentach. Jedyne warunki: muszą mieć dostęp do baz danych i haseł. Postaraj się zdobyć po jednym z następujących sektorów: podatkowego, więziennictwa, wydziału komunikacji, państwowej służby zdrowia oraz banku Barclays. W branży mówi się na to „poker królewski”.

*Czy można się zaprzyjaźnić z informatorem?*

Uchowaj Boże.

*Czy można pójść z którymś do łóżka?*

Tak. W tym zawodzie człowiek żyje na emocjonalnej pustyni; dobrze jest mieć jakiś punkt zaczepienia w rzeczywistości.

*A jeśli się zakocham w swoim informatorze?*

Taki związek z góry skazany jest na porażkę. Rozstanie będzie z pewnością nieprzyjemne, lecz przede wszystkim cholernie smutne. Twoje grono przyjaciół i tak nie jest zbyt liczne.

Dlatego najlepiej nigdy nie zakochiwać się w informatorach.

## Psychoza

W XVII wieku nostalgię uważano za chorobę. W dodatku taką, na którą mogą cierpieć wyłącznie Szwajcarzy, lekarze byli bowiem przekonani, że wywołuje ją hałaśliwe podzwanianie krowich dzwonek w Alpach. Wygląda więc na to, że mam w sobie całkiem sporo ze Szwajcarki.

Maeve Rivers dla odmiany nie ma w sobie ani odrobiny krwi szwajcarskiej.

– Wpuścisz mnie czy nie? – szepczę do mojej byłej.

Maeve otula ciasno piersi szlafrokiem i stopą w kapciu blokuje drzwi wejściowe.

– Co ty tu robisz, do cholery?

– Akurat przechodziłam. – Uśmiecham się; to silniejsze ode mnie. Na jej widok zawsze mam ochotę chichotać jak nastolatka. Dziś jednak Maeve nie jest do śmiechu. – Spałam – warczy na mnie.

Czyli jej mąż jest w domu.

– Dzisiaj są moje urodziny. – Klaszczę w dłonie, lecz jej wzrok mnie mrozi. Zaglądam nad jej ramieniem do holu. – Mogę krzyczeć przez próg, jeżeli tak wolisz.

Niechętnie odsuwa się na bok i syczy:

– Zdejmij buty!

Robię cyrk, skradając się na paluszkach do salonu, ale Maeve nie przyłącza się do zabawy. Czuję się jak skończona idiotka.

Dawniej lubiła takie wygłupy, śmieszyło ją wszystko, co robiłam. Teraz uważa moje poczucie humoru za dziwactwo. Moje żarty wprawiają ją w zakłopotanie. Zastanawiam się, co jest prawdziwsze: przeszłość, dokonana i oczywista, czy terażniejszość, w której z perspektywy czasu nic nie wydaje się już takie jednoznaczne.

Z mieszkania Maeve roztacza się widok na Hyde Park.

Tego wieczoru nie zawracam sobie głowy widokami, tylko od razu siadam na słynnym fotelu jaju według projektu Arne Jacobsena i gapię się na obraz wielkości dywanu, wiszący na ścianie. Banksy. Psiakość, Maeve naprawdę ma pieniędzy jak lodu. „Jakkolwiek by patrzeć – powiedziała kiedyś – poza nimi nie liczy się nic innego”. „A miłość?” – zasugerowałam, odgarniając jej lok znad oka i całując ją w nagie ramię. To miał być przykład, nie zamierzałam mącić jej w głowie.

Maeve wchodzi do salonu z dwoma kubkami, ale żadnego mi nie podaje. Stawia za to jeden na stole.

Nie jest klasyczną pięknoscią. Wysoka, krągła nie tam gdzie trzeba, z odrobiną za długą szyją i burzą kanarkowożółtych włosów może wyglądać nieco

dziwnie na zdjęciach, w rzeczywistości jest jednak urzekająca. Ożywienie jej służy. Dodaje jej charyzmy, a także dowcipu, inteligencji oraz bezwzględności. Pracownicy, przyjaciele, najbliżsi – wszyscy są nią w tej samej mierze oczarowani, co się jej boją.

Oczywiście z wyjątkiem mnie. A nawet gdyby, nigdy bym tego nie okazała. W łóżku nazywałam ją Boudiką, cholerną królową Icenów. Doceniała, że się jej nie podlizuję.

– W niedziele czytam twoją gazetę.

To miał być zgrabny początek rozmowy. Nie chciałam stwarzać wrażenia, że czekam na oklaski, lecz Maeve Rivers, redaktor naczelna „Daily News”, najbardziej poczytnego brukowca na świecie, zaczyna mi teatralnie bić brawo.

Po raz drugi tego dnia moja twarz oblewa się rumieńcem.

Poznałyśmy się właśnie przez gazetę. Sprzedawałam Maeve ploteczki – pikantne drobiazgi, z których jej dziennikarze potrafili zrobić sensację na pierwszej stronie. Słabość pewnego ministra do orgietek sado-maso, o której dowiedziałam się pewnego pijackiego wieczoru od jego asystentki. Albo romans znanego piłkarza z nieletnią dziewczyną – włamałam się do jej poczty głosowej. Niezbyt to było moralne, wiem, ale w tamtych czasach absolutnie *de rigueur*.

Ale potem zlecenia się skończyły, a zaczęły sprawy sądowe, komisje parlamentarne i ogólna wrzawa w związku z naruszeniami cudzej prywatności. Oficjalnie media zdystansowały się od takich osób jak ja, choć, rzecz jasna, cały proceder trwał. Tyle że dziennikarze sami teraz wygrzebują brudy i za wszelką cenę starają się nie zostawiać twardych dowodów swoich poczynań.

Maeve siada w drugim końcu pokoju, jakbym była zakaźnie chora.

– Czego ode mnie chcesz, Florence?

Czuję się trochę zraniona i zdaję sobie sprawę, że słyhać to w moim głosie, gdy odpowiadam:

– Mówiłaś, że gdybym kiedyś czegoś potrzebowała...

– To było dziesięć miesięcy temu.

– Obietnica to obietnica.

– Znowu paliłaś trawkę?

– Ktoś mi się włamał do mieszkania.

– Przykro mi.

– Jakieś podejrzenia?

– A powinnam jakieś mieć?

Mój półuśmiech w założeniu ma być kokieteryjny.

– Swego czasu wkurzyłyśmy mnóstwo ludzi.

– To ja wkurzyłam mnóstwo ludzi. – Maeve jest wyraźnie znudzona.

– Wierz mi, tobie nic nie grozi.

– Nikt cię o mnie nie wypytywał?



– Gazeta od roku nie korzysta z twoich usług. Jesteś wymarłym gatunkiem.

Jej lodowaty chłód zbija mnie z tropu. Odruchowo podchodzę, przyklękam obok niej i delikatnie kładę rękę na jej dłoni.

– Maeve, nie byłoby mnie tutaj, gdybym nie znalazła się w rozpaczliwej sytuacji. Potrzebuję twojej pomocy.

Przez chwilę wpatruje się we mnie niczym bokser przed walką. Potem ciężko wzdycha, opuszcza podbródek i spogląda na mnie ze znużeniem. Mimowolnie obrysowuję palcem zarys jej szczęki.

Biorę głęboki oddech.

– Musisz mi dać jakąś normalną pracę, Maeve.

– Cholera, jesteś niemożliwa! – Zrywa się na nogi.

Nie rozumiem, w czym rzecz. Kiedy zdecydowałam się zakończyć nasz romans, powiedziała, cytując: „Gdybyś kiedykolwiek czegoś potrzebowała, wszystko jedno czego, wal do mnie jak w dym. W dzień czy w nocy, zawsze odbiorę od ciebie telefon”.

Nie chciała puścić mojej ręki, kiedy próbowałam wyjść wtedy z restauracji. Jeśli mam być szczerą, zrobiła z siebie widowisko. Nie osądzałam jej – tak samo zachowywałam się przy mężu numer jeden, chociaż nie składałam mu żadnych obietnic, których nie zamierzałam dotrzymać. W przeciwieństwie do Maeve. No i proszę. Minęło raptem dziesięć miesięcy, a zrobiłam z siebie kretynkę, przychodząc tutaj.

– Coś ci zginęło? – pyta, podchodząc do drugiego fotela, żeby być dalej ode mnie.

– Złodziej głównie się rozglądał.

– Czyli w sumie nic się nie stało.

Marszczę brwi.

– Uważasz, że powinnam po prostu zmienić zamki?

– Dobry pomysł. – Rzuca szybkie spojrzenie na drzwi. No tak, jej mąż Harry śpi w sypialni w głębi korytarza.

Ja jednak ani drgnę.

– Zrealizowałam twój czek.

– Zauważyłam.

– Wszystko ci zwrócę. To była podbramkowa sytuacja. Czesne za studia Michaela, jego rachunek w barze, rachunek za komórkę. Kazałam mu odtąd dzwonić tylko na kartę. – Nie jestem pewna, czy Maeve w ogóle mnie słucha.

– Nie chcę tych pieniędzy.

– Nie można tak nagle zmienić zdania – wytykam jej.

Nasz ostatni wspólny wieczór upłynął na niekończącym się roztrząsaniu, dlaczego nie mogę się już z nią widywać. Powiedziałam jej wówczas, że nie jestem lesbijką – nie tak otwarcie zdeklarowaną jak ona. Chwytając się ostatniej deski

ratunku, wypisała mi czek na pięć tysięcy funtów. Żeby pomóc przyjaciółce o nieregularnych dochodach? Żeby mnie skusić do powrotu? Żeby zaciągnęła u niej niespłacalny dług? Nie poczułam się tym urażona. Najlepsza jest miłość, która sprawia, że jesteśmy zdolni do najgorszego. Zgodziłam się zachować czek na wszelki wypadek, pod warunkiem że jeśli kiedykolwiek go zrealizuję, oddam jej wszystko co do pensa. Przypieczętowałyśmy umowę pożegnalnym lizankiem na tylnym siedzeniu jej astona martina V12 zagato.

Nie może jej teraz nie dotrzymać. Cholernie mi głupio, że muszę tak na nią naciskać.

– Powiedziałam, że wszystko ci oddam, Maeve.

– Coś jeszcze?

Staram się nie tracić panowania nad sobą i rzucam z udawanym optymizmem:

– Wiesz, jeśli chodzi o pracę... Myślałam o tym, żeby zacząć od nowa.

Mogłabym pisać felietony.

Śmieje się, jakbym powiedziała znakomity dowcip.

– Odkąd to masz doświadczenie jako dziennikarka?

– Doświadczenie jest nieistotne. Będę pisała anonimowo. To może być coś w rodzaju bloga. „Wspomnienia zawodowej uwodzicielki”.

Maeve wstaje i otwiera drzwi do holu, ale ja jeszcze nie skończyłam – obmyślałam tę przemowę, odkąd wyszłam ze swojego mieszkania.

– To bardzo na czasie, Maeve. Blogowanie, pikantne sekrety, klimaty jak z *Piękności dnia*...

Maeve mówi nagle przez zaciśnięte zęby:

– Poradzić ci coś, Florence? Znajdź faceta ze znanym nazwiskiem, naturalnie żonatego. Prześpij się z nim i sfilmuj, jak to robicie. A potem weź te tony nagrań, zadzwoń do wydawcy, usiądź wygodnie i ciesz się swoją nową pozycją celebrytki z pipidowy.

Każde jej słowo ocieka jadem.

Przez chwilę nie wiem, co mam odpowiedzieć.

Sądziłam, że Maeve na mnie zależy. Wygodnie było mi w to wierzyć przez prawie rok.

– Nigdy... nigdy bym tak nisko... – Rozczarowanie, oburzenie, smutek odbierają mi głos.

Chciałabym powiedzieć, że świadczę profesjonalne i dyskretne usługi jako prywatny detektyw. Anonimowość ma dla mnie nadrzędne znaczenie. Kieruję się surowym kodeksem etycznym. Nie robię i nigdy nie zrobiłabym niczego, co mogłoby skompromitować mnie albo klienta. Gdybym potrzebowała referencji, zdobyłabym je bez problemu, i to na pęczki, a wszystkie byłyby najlepsze. Na litość boską, Maeve, kochałaś mnie kiedyś!

– Nie jestem pieprzoną prostytutką. Przestrzegam złotej zasady: jeden pocałunek z języczkiem przez pięć sekund i sprawa zamknięta.

Twarz Maeve przypomina posąg z Wyspy Wielkanocnej.

– To świetna zasada – mamroczę, bo widzę, że chce się mnie pozbyć. Idę więc do wyjścia, głośno tupiąc i wołając na cały głos: – Siemasz, Harry, nie chciałabym być na twoim miejscu!

Jednego Maeve nie może mi odebrać: godności.

Drzwi zatrząskują się za mną.

Czy to moja wina, że zakładałam, iż do końca jej nędznego żywota pozostanę piętą achillesową Maeve?

Przygnębiona, przekręcam klucz w zamku i otwieram drzwi do swojej kawalerki. Przeszukuję potencjalne kryjówki, oceniam ułożenie poszczególnych przedmiotów względem innych i stopień ich ukrycia pod papierami, sprawdzam zasuwę, zapadki oraz rygle. Wreszcie siadam na materacu i naciągam kołdrę na głowę, tworząc coś w rodzaju indiańskiego namiotu, w którym mogę się skryć przed całym światem.

Ludzie samotni czują się o wiele mniej samotni, wierząc, że ktoś za nimi tęskni.

Szczególnie w dniu ich urodzin.

Żadne koleżanki nie odwiedzą mnie dziś wieczorem. Nie będzie picia prosecco, malowania sobie nawzajem paznokci, tańców, bitew na poduszki ani wspólnego oglądania komedii romantycznych. Jeśli mam być szczerą, nigdy nie obchodziłam urodzin w ten sposób, nigdy nie urządziłam babskich imprez. Okej, raz – z Olivią, moją przyjaciółką ze studiów. No i proszę, jak to się skończyło – Olivia i mój pierwszy mąż parzą się teraz i płodzą dzieci w idyllicznym hiszpańskim mieście Toledo.

Klepię się energicznie po kolanach.

Bez pomocy Maeve będę musiała wyczarować dla siebie nową ścieżkę kariery.

– Jaki zawód poza fuchą prowokatorki może wzbudzać w ludziach podziw i zachwyty? – pytam na głos, chociaż w tej burzy mózgów nie bierze udziału gromadka przyjaciółek, które narzekałyby na facetów, planowały wspólne wypady na zakupy, nalewały słodkiego likieru do kieliszków i śpiewały: „Flo najlepszą przyjaciółką jest...”.

Samotnie rozważam możliwości.

Z wyjątkiem dziennikarstwa – w tej branży doświadczenie najwyraźniej jest niezbędne.

Wciążam laptop do namiotu z kołdry i wpisuję w wyszukiwarkę hasło: „najlepsza praca na świecie”. Znajduję artykuł napisany przez mężczyznę, który wylicza: zawodowy tester prostytutek, wodnych zjeżdźalni, gier Warcraft oraz

prezenter w programie *Top Gear*... Potem sprawdzam swoją pocztę.

Jest jedna wiadomość. W dodatku taka, jakiej wcale nie chcę.

Re: sprawa małżeńska

Czwartek 26/6/14, godz. 23:59

Od: asc345@hotmail.com

Do: info@londonpiservices.uk.net

Witaj, Florence,

Potraktuj, proszę, ten e-mail jako zlecenie podjęcia uzgodnionych działań w najbliższym możliwym terminie. Polecił mi Ciebie Twój były partner.

Całuję,

Alice

Colin? Był pierwszym prywatnym detektywem, z którym pracowałam po przyjeździe do Londynu. Na samą myśl o nim krew się we mnie gotuje. Mimo to wybaczam Alice, że się z nim skontaktowała. Nie wiedziała przecież, jaki z niego fiut. Ważniejsze, że wreszcie mi ufa. Na koniec napisała „całuję”, to bardzo sympatyczne.

Słowo o mnie.

Nie jestem jak inne prowokatorki. One rzuciłyby się na to zlecenie, postawiły twarde warunki, po czym, jak tylko zaczęłyby się schody – a w tym przypadku przewidywałam nie lada trudności – znikłyby jak sen. Serio, żałowałam, że brak mi takiego tupetu. Sęk w tym, że moje ego dorównuje wielkością Ameryce Południowej. I wymaga ode mnie absolutnej perfekcji. Maeve uważała wręcz, że moja sumienność graniczy z patologią.

„Przesadna, chora motywacja to klucz do zawodowego i osobistego sukcesu. Spójrz tylko na mnie” – mówiła.

Akurat. Według mnie w zachowaniu pani Rivers nie było nic chorobliwego. Skubiąc szorstką skórę na podeszwie stopy, rozmyślam o chorobach psychicznych. Dotykają najinteligentniejszych ludzi, na przykład naukowcy często są autystyczni. Artyści przejawiają symptomy zaburzeń afektywnych dwubiegunowych, politycy bywają uzależnieni od seksu, a seryjni zabójcy cierpią na różne psychozy.

Psychoza – to brzmi fascynująco.

Wpisuję „psychiatria sądowa” do wyszukiwarki i zastanawiam się, dlaczego wcześniej na to nie wpadłam. Profilowanie sprawców przestępstw jak w serialach telewizyjnych to fucha zdecydowanie zasługująca na oklaski. Klaszczę cichutko pod kołdrą. W moim namiocie robi się duszno, zamykam więc laptop, przybieram pozycję embrionalną, żeby oszczędzać tlen, i zaczynam myśleć o normalnych rzeczach: kursach doszkalających z psychologii, uniwersytetach oraz miastach, gdzie najlepiej studiować, mieszkać i pracować w zawodzie psychiatry sądowego.

Manchester. Bohater serialu *Cracker* tam mieszkał – klasyczny antybohater,

a zarazem błyskotliwy i utalentowany profiler policyjny. Jutro kupię sobie wszystkie sezony. Psychiatra sądowy – to tak do mnie pasuje.

Usiłuję przypomnieć sobie nazwiska seryjnych morderców, mam przecież o nich tyle książek. Charles Manson. Małżeństwo Birnie. Dennis Nilsen. Richard Ramirez zwany „Nocnym Prześladowcą”, bo zakradał się przed świtem do sypialni swoich ofiar, bił je, dźgał nożem, gwałcił, okaleczał, a potem znowu gwałcił. Ted Bundy – wykształcony, charyzmatyczny, przystojny, a jednocześnie socjopatyczny gwałciiciel, porywacz i nekrofil; masakrował i hańbił kobiety podobne do jego byłej, która wystrychnęła go na dudka.

Jestem ostatnią suką.

Wystrychnęłam na dudka całe mnóstwo facetów. Lidia de Groot może o tym zaświadczyć.

Naraz zaczynam zbyt szybko oddychać.

„Wybaw mnie ode złego – targuję się z Bogiem – a do końca życia co niedziela będę w kościele”.

Jednak Bóg jest równie niewzruszony jak Maeve. Nie materializuje się obok mnie pod kołdrą w obłoku nieziemskiego światła, nie szepcze czule i uspokajająco, nie otula mnie boskim ciepłem. Na tym polega zasadniczy problem z Bogiem: nie robi nic, żeby uwiarygodnić swoje istnienie.

Odrzucam kołdrę i zapalam światło.

Tabletki nasenne wciąż leżą równo ułożone na skrzynce obok łóżka. Wmuszam w siebie jedną, po czym rzucam opakowanie przez pokój niczym frisbee. Ląduje jakieś piętnaście centymetrów na południowy wschód od różowej koperty, którą ktoś wsunął pod drzwiami. Kiedy? Nie mam bladego pojęcia.

Marszczę brwi, bo nie cierpię urodzin, szczególnie własnych; chcąc nie chcąc, zaczynam się wtedy zastanawiać, czy dziecko może ponosić część odpowiedzialności za uparcie przedłużającą się nieobecność matki.

Na czworakach podkradam się ostrożnie do koperty, podnoszę ją i wyjmuję ze środka okolicznościową kartkę.

Na której napisano tylko jedno zdanie: „Tego dnia myślę o Tobie, X”.

Brakuje podpisu. Jest zresztą całkiem zbędny. Skupiam się na jednym słowie.

„Tego”...

Czytam to słowo raz za razem, na okrągło, aż wreszcie zaczynam jęczeć. Dziwny, niski lament wydobywa się gdzieś z głębi mojej klatki piersiowej. Może z płuc? Nie, raczej z serca. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek wydała z siebie podobny dźwięk.

„Tego”.

„Tego”.

„Te80”.

Z trudem opanowuję odruch wymiotny.

„Te80”.

Różowa koperta jest czysta, nie ma na niej nawet mojego imienia. Na kartce widnieją narysowane balony, co wzrusza mnie do łez, bo jako dziecko bardzo je lubiłam. Obwąchuję klapkę koperty, ale nie rozpoznaję zapachu śliny.

Podchodzę do okna i wbijam wzrok w przestrzeń.

Czy to naprawdę ona? Mama mnie odnalazła?!

Na dachu po przeciwnej stronie ulicy coś się porusza – kot, podglądacz, superbohater? Nierówna powierzchnia tworzy tam tor przeszkód w sam raz dla superbohaterów. Mogą biegać, wyskakiwać w powietrze, ćwiczyć przewroty i walczyć z broniącymi dachu mutantami w ludzkim przebraniu. Może należy do nich moja matka; przeskakuje z budynku na budynek jak akrobatka, zmieniając się w gaz, przenika do mieszkań przez zamknięte okna, a wszystko dlatego, że kiedyś, zanim jeszcze dała nogę z auta pełnego spalin, nawdychała się chemicznej mieszanki, dzięki której nabrała nadprzyrodzonych zdolności.

Wiem, wiem... Ale przez tę jedną cudowną chwilę wszystko wydaje się możliwe.

Na przykład to, że to ona dostała się do mojej kawalerki.

Po raz kolejny wybieram numer Michaela – brak odpowiedzi. Wybiegam na korytarz i łomocę do drzwi mieszkania Zanny.

Otwarcie ich zajmuje jej całą wieczność.

– Dzisiaj są moje urodziny – oznajmiam prędko. – A właściwie już były. Wczoraj.

Zanna spogląda w górę na moją twarz – ma pastelowobłękitne oczy i włosy rzadkie jak u niemowlaka – a z jej ust wyrывa się pełne zachwyty westchnienie, jakbym właśnie odpaliła fajerwerki. Ciaśniej otula swoją płaską pierś podomką w dziecięcym rozmiarze i wdaje się w uprzejmą pogawędkę:

– Co dostałaś w prezencie od mamy i taty?

– Tata dał mi urząd pocztowy, kiedy skończyłam dwadzieścia jeden lat. – Lekceważąco macham ręką. – To połączony prezent urodzinowo-bożonarodzeniowy na resztę życia. – Widzę, że nie bardzo wie, co zrobić z tą informacją. – Wcale go nie chciałam – zaznaczam.

Zauważam, że Zanna nie przesuwają się, żeby wpuścić mnie do środka. Zwykle w ciągu kilku sekund siedzę u niej w salonie, pijam herbatę, słucham nowin dotyczących jej najnowszego genealogicznego odkrycia i przyjmuję szydełkowane upominki.

Dziś jednak Zanna najwyraźniej woli konwersować ze mną przez próg.

– A od mamy? – pyta.

– Nie orientuję się, gdzie dokładnie teraz przebywa. – Opieram policzek o framugę.

Zanna kręci głową, może z żalu nade mną – zazwyczaj matki za bardzo kochają swoje dzieci, żeby tak zniknąć bez śladu. Ukradkiem zaglądam nad nią do salonu. Na sofie siedzi jakiś dżentelmen w piżamie i przegląda płyty Zanny.

– Wybacz. – Cofam się. – Nie wiedziałam, że masz gościa.

Drugi rzut oka na mężczyznę wystarcza, abym rozpoznała Norma z miejskiego archiwum.

– O rety. – Poklepuję Zannę po ramieniu, choć gratulacje przychodzą mi z trudem. O ile się orientuję, Norm jest żonaty. – Jesteś taka nowoczesna – dodaję.

Jeśli mam być szczerą, to ilekroć zaglądam do archiwum, staram się za wszelką cenę unikać Norma. Wystarczy poświęcić mu więcej niż minutę, a zaraz zaczyna snuć opowieści, jak to dwukrotnie uciekł z rąk gestapo – raz z uciętą nogą, a raz z kulą w głowie; jak podkładał bomby jako członek francuskiego ruchu oporu, spał we własnych odchodach ukryty w trumnie pod podłogą w chacie francuskiego wieśniaka, a następnie uwiódł jego córkę, przywiózł ją ze sobą do Anglii i zapłodnił w ciągu dwunastu minut od przysięgi małżeńskiej...

Jest okropnie irytujący, bo swoimi wojennymi wspominkami potrafi przebić wszystkie moje doświadczenia prywatnego detektywa. Zanim odchodzę, upewniam się jeszcze:

– To nie ty wsunęłaś mi do mieszkania kartkę z życzeniami?

– Nie. – Zanna kręci głową bez cienia zażenowania czy skruchy.

– I dobrze – podkreślam. – Bardzo dobrze.

Wracam do siebie.

Aby to uczcić, pocieram zmęczone oczy tak długo, aż pod powiekami zaczynają mi wirować gwiazdy. Nagle rozpościera się przede mną wachlarz nieograniczonych możliwości. Chryste, ależ chce mi się żyć! Jak mogę teraz porzucić Londyn i to mieszkanie? Jeżeli kartka naprawdę jest od mamy, mogłaby znów zgubić mój trop.

Pamiętam jej poszarzałą oliwkową skórę i akcent – na połę włoski, na połę z południowo-zachodniej Anglii – oraz słodki piżmowy zapach jej tanich perfum. Nazywały się Charlie. Mama kupowała je w pobliskiej drogerii – w tym samym miejscu, gdzie zaopatrywała się w lakier do włosów Elnett oraz w tabletki nasenne. No i w lizaki dla nas – takie z wyblakłymi etykietkami, bez daty ważności.

W mojej głowie odżywają dawne hipotezy dotyczące jej zniknięcia. Niektóre wydają się teraz bardziej prawdopodobne od innych. Na przykład ta, że mamę porwał jakiś świr, bo wymyślił, że powinni razem umrzeć. W ostatniej chwili udało jej się wydostać z samochodu, ale spaliny namieszały jej w głowie, powodując kompletną amnezję. Pamięć powracała opornie i stopniowo, przypominając mozaikę przypadkowych wspomnień. Najprawdopodobniej mama robiła, co mogła, aby odzyskać dawne życie, lecz nie było to łatwe. Przeszłość przypominała układankę, której elementy wymieszano w wielkim pudle, a większość z nich

gdzieś się zagubiła. Dlatego przez dwadzieścia lat błąkała się od miasta do miasta, niczym David Banner w telewizyjnej wersji *Niesamowitego Hulka*. Chryste, tytułowy motyw z tego serialu szarpał mi nerwy na strzępy; nawet tata wyłączał wtedy dźwięk w telewizorze.

Tak, tak, tak – dzisiaj ta wersja nabiera sensu.

Przez ułamek sekundy rozważam, czy nie zadzwonić do taty. Ale zaraz wyobrażam sobie, jak przemawia do mnie tym swoim współczującym, zrezygnowanym tonem. Wie, że od czasu do czasu jego dzieci jak tonący brzytwy chwytają się różnych zwariowanych hipotez.

Moja komórka zaczyna wibrować i wyświetla się numer Michaela. Odbieram i w tle słyszę radosny gwar – muzykę, śmiechy, wesołe pokrzykiwania. Dam głowę, że są w jakimś barze dla gejów. Michael pewnie odchodzi od zmysłów ze szczęścia, bo jest z nim Sébastien, z tą swoją nieruchomą jak u lalki twarzą i przenikliwym spojrzeniem. Nie widzę go, a mimo to odruchowo marszczę brwi.

– Cały wieczór do ciebie wydzwaniam – burczę.

– Świętuję. Wystąpię w telewizji! – powtarza mój brat.

– Jestem z ciebie cholernie dumna. Ale zanim zostaniesz gwiazdorem, zejźdź na moment na ziemię i pomóż mi z tym ostatnim zleceniem, dobra?

– Jakim zleceniem? – Michael ma pamięć złotej rybki.

– Hm... Sprawa Scotta Delaneya?

W odpowiedzi słyszę entuzjastyczny pisk. Wyobrażam sobie, że Michael odwraca się do Sébastiena i klaszcze jak wariat.

– Myślałem, że nie chcesz tego brać?

– Zmieniłam zdanie. Stwierdziłam, że wszystko jest możliwe, braciszku.

Postanawiam nie mówić Michaelowi o tajemniczej kartce urodzinowej. Jeszcze nie teraz. Nie mam niepodważalnych dowodów, że to mama ją przysłała, a mój brat głównie takie dowody akceptuje. Z pewnością zaś nie mogłabym odpowiedzieć na wszystkie pytania, które zapewne by mi zadał. Na przykład dlaczego mama jemu nie wysłała anonimowych życzeń i nie włamuje się do jego mieszkania. Oczywiście domyślałam się przyczyn. Mama zdaje sobie sprawę, że to ja gorzej zniosłam jej zniknięcie. Pewnych rzeczy lepiej nie wyjawiać.

Z czasem zdobędę jakieś konkrety.

– A jeśli się okaże, że jesteś za stara? – pyta ni z gruszki, ni z pietruszki mój brat.

– Za stara? Na co?

– Za stara dla Scotta.

– Jesteśmy prawie w tym samym wieku. Wcześniej twierdziłeś, że mogę mieć każdego.

– Bo możesz. Ale jeśli się okaże, że nie jesteś dość atrakcyjna?

Zawsze tak robi, kiedy chce zaimponować swoim znajomym – udaje



zatrokanego, odgrywa głos rozsądku, jakby z nas dwojga to on był mędrce, który czuwa nad siostrą. Sęk w tym, że czasem jego słowa nie odzwierciedlają dobrych intencji. Zmuszam się wtedy zwykle do uśmiechu i biorę uwagi Michaela za dobrą monetę, bo dla takich ludzi jak on akceptacja otoczenia jest niezwykle ważna. Jednak dziś wieczorem jest przy nim Sébastien.

– Przestań się popisywać.

– No cóż, możesz tylko dać z siebie wszystko – mówi, jakby był Dalajlamą, a potem piszczy podekscytowany: – Sébastien poznał Cher!

Ziewam, udaję, że coś przerywa rozmowę, a potem się rozłączam.

Ostatnie zlecenie. W sam raz, żeby dać Bambi czas na nawiązanie prawdziwego kontaktu. Potem splącę Maeve, przeprowadzę się do Manchesteru i zacznę zgłębiać psychikę seryjnych morderców. Ale najpierw muszę podać matce swój nowy adres.

Po raz pierwszy marzę o tym, żeby nie zasnąć. Chcę myśleć o niej przez całą noc. Niestety, mam na to coraz mniej czasu. Od połknięcia tabletki nasennej minęła już godzina i zaczynam odczuwać jej działanie. Nie mogę powstrzymać rozpaczliwego mrugania, jakby ktoś przełączył mnie na tryb przyspieszony.

Gdy w końcu dopada mnie senność, poddaję się jej spokojna, że nowy dzień jest tuż za progiem.

Michael ma rację co do jednego: w sprawie Scotta Delaney'a muszę dać z siebie wszystko.

I zamierzam to zrobić.

Patrzcie i uczcie się.

Mieszkam w Londynie od raptem pięciu tygodni i już znalazłam sobie współnika. To *wspaniałe* osiągnięcie z perspektywy kandydatki na prywatnego detektywa z zabitej dechami wioski na północny zachód od Poole, w dodatku bez doświadczenia.

Żadnego. *Niente*.

Mój współnik ma na imię Colin i jest prawdziwym prywatnym detektywem. Nawet wygląda jak prywatny detektyw. Za dnia pracuje jako taksówkarz i mógłby wam opowiedzieć parę niezłych historyjek. Opowie je zresztą z przyjemnością (ze szczegółami), jeśli się kiedyś spotkacie. Kiedy nie jeździ taryfą, dorabia jako prywatny detektyw, o czym też uwielbia opowiadać, co, nawiasem mówiąc, nie jest najlepszym zwyczajem. Niemniej jednak zaproponował, że przyjmie mnie na próbę (choć nie może mi płacić). Ma się to nazywać stażem – rzecz równie rzadka w tej branży co zęby u kury. Oczywiście bez wahania się zgodziłam.

– Co dwie głowy, to nie jedna – mówi Colin, czekając na cynk. – Zwłaszcza kiedy jedna należy do takiej laski. Nikt się nie spodziewa, że wydyma go kobitka.

Wieczór. Mija trzeci dzień, odkąd dostałam swoje pierwsze zlecenie, i jeśli mam być zupełnie szczerą, ta robota wcale mi się nie podoba. Chodzi

o prowokację. Albo machlowanie, jak mówi mój współnik, z którego powoli wyłazi totalny dupek.

– Nie jestem prostytutką – podkreślam.

– Święte słowa – odpowiada. – prostytutki się nie całują. No, chyba że ktoś ma kupę forsy, to wtedy taka chce zaraz zaciągnąć frajera przed ołtarz.

Słowo o zawodowych uwodzicielkach: te specjalizujące się w prowokacjach całują, i to jeszcze jak!

Cały kłopot polega na tym, że obiekt kompletnie nie jest w moim typie. To zastępca kierownika w restauracji KFC w Lewisham.

Na imię ma Barry. Pięćdziesiąt osiem lat, długie siwiejące włosy przetykane ciemniejszymi, tłustymi pasemkami, gładko zaczesane do tyłu i związane w kucyk. Do tego broda i okulary lotnicze do czytania. Fan zespołu Marillion.

Mimo wszystko jestem profesjonalistką, więc zrobiłam wiele dla tej sprawy. Wytatuowałam sobie nawet na przedramieniu złego klauna, którego wizerunek konsekwentnie zdobi albumy Marillion i związane z zespołem gadzety (patrz okładki takich longplayów/epok jak *Garden Party*, *Fugazi*, *He Knows You Know* itp.).

Tatuaż jest rzecz jasna zmywalny; ważne, że wykazałam się inicjatywą.

Na jego widok Colin nieomal pękł ze śmiechu.

– Będzie od czego zacząć rozmowę – bronię się, uważając, że to był świetny pomysł.

– Skoro tak twierdzisz. – Ruchem głowy wskazuje mój biust. – Obciągnij trochę dekolt, niech zobaczy twoje cycki.

Barry jest bywalcem pubu The Brockley Jack. Wpada tu na piwo z cydrem przed rozpoczęciem zmiany, a potem jeszcze raz po robocie, w zależności od tego, o której kończy. Jego żona jest przekonana, że ma romans z koleżanką z pracy. Nie ma. Już trzeci wieczór siedzę trzy miejsca od niego przy barze, lecz on woli wpatrywać się w swój kufel.

Jego starej najwyraźniej odbiło.

Powoli kończy jej się forsa, więc dzisiaj wieczorem robimy skok na kasę, jak właśnie poinformował mnie Colin.

Jestem zniesmaczona, bo to oznacza, że mam się przystawiać do Colina.

Wyjaśnijmy sobie jedną rzecz.

Jeśli nie liczyć mężów numer jeden i dwa oraz kilku starannie wybranych absztyfikantów między pierwszym a drugim małżonkiem, raczej nie przepadam za całowaniem. Pocałunek to coś niezwykle intymnego. O wiele bardziej intymnego niż seks. Powiecie, że jestem staroświecka, ale jeśli mam z kimś pójść w ślinę, to musi to coś znaczyć.

Stoję w związku z tym przed poważnym dylematem. Prywatny detektyw z natury rzeczy kieruje się wątpliwym kodeksem moralnym. Ma do czynienia

z najróżniejszymi świństwami, z których *najokrutniejsza* jest zdrada. Igranie z cudzymi uczuciami jest bowiem niewybaczalne. Tłumaczę sobie, że robię coś dobrego, i aby uspokoić sumienie, formułuję kilka ogólnych zasad.

Zasady związane z całowaniem: będę się starała całować obiekt w usta *tylko* przez pięć sekund, w dodatku pod warunkiem, że ma superświeży oddech i żadnych resztek jedzenia między zębami. Ale nigdy, przenigdy z języczkiem. No, chyba że obiekt jest obłędnie przystojny.

To już brzmi znacznie lepiej.

Czując się koszmarnie, wchodzę do pubu i zajmuję swoje zwykłe miejsce. Zamawiam piwo z cydrem i udaję, że czytam „Metal Hammer”. Colin zjawia się dziesięć minut później, zamawia colę, siada przy stoliku w rogu i wyciąga „The Sun”. Ukryta kamera wideo obserwuje nas oboje.

Podwijam rękaw, żeby w pełni odsłonić tatuaż, i niechętnie obciążam w dół dekolt bluzki. Po dziesięciu minutach i zerowej reakcji ze strony Barry’ego przesuwam się o dwa miejsca bliżej. Widzę teraz jego profil.

Ma strasznie dużo włosów w nosie. Są tak gęste, że gdybyśmy się całowali, nie miałby jak oddychać. Wiem, tonący brzytwy się chwyta, ale dochodzę do wniosku, że ze względów BHP całowanie nie jest w tym wypadku wskazane. Tak jakbym potrzebowała wymówki. Kto by się chciał całować z takim typem? Jego żona musi być ślepa.

– Cześć. – Udaję, że go wybrałam, bo wydał mi się bezpiecznym partnerem do niezobowiązującej pogawędki. Tak jak w Dorset – w tamtejszych pubach można zagaić rozmowę dosłownie z każdym i mieć pewność, że nie okaże podejrzliwości. Mieszkańcy Dorset są z zamiłowania gawędziarzami, w dodatku wręcz chorobliwie życzliwymi.

Przez krótką bolesną chwilę tęsknię za swoimi krajanami.

Londyńczycy są beznadziejni, jeśli chodzi o zdawkowe pogawędki. Gdy ktoś chce z nimi nawiązać rozmowę, biorą go za niezrównoważonego osobnika, desperata albo cwaniaka. Rozumiem to. Tutejsza gęstość zaludnienia uniemożliwia wszelkie próby porozumienia się z drugim człowiekiem. Taki ścisk musi przytłaczać. Kiedy ktoś stale narusza twoją przestrzeń osobistą, nie sposób się nie krzywić, czego dowodem jest obecna mina Barry’ego.

– W tym tygodniu widzę tu pana co wieczór – szczebioczę.

– Przychodzę tu codziennie od ośmiu lat. A pani co, wydział do walki z alkoholizmem?

– Skąd! Po prostu niedawno przyjechałam.

Co za fatalny początek. Wcale nie chcę spodobać się Barry’emu, a zarazem muszę mu się spodobać. Jeżeli go nie uwiode, to znaczy, że nie nadaję się do tej roboty. Zdecydowanie przewyższam go urodą, ale zaczynam się martwić, że porwałam się z motyką na słońce, jak ktoś, kto nie ma za grosz słuchu, a mimo to

okupuje zestaw do karaoke.

Słowo o prowokacjach: niepodważalna zasada głosi, żeby emanować pewnością siebie i nigdy nie okazywać słabości.

Tymczasem niepewność wychodzi ze mnie wszystkimi porami skóry. Co ja sobie wyobrażałam? Gotowa do wyjścia chwytam torebkę i czasopismo. Nie dla mnie ta zabawa.

– Przepraszam. Nie chciałam się narzucać – mówię.

Barry zauważa mój tatuaż i uśmiecha się szeroko. Tak szeroko, że widzę wewnątrz jego ust: krwawe wybroczyny, długotrwałe zapalenie dziąseł, początki paradontozy.

Rzucam Colinowi rozpaczliwe spojrzenie. Mój wzrok szczegółowo opisuje całą sytuację:

„Paradontoza nie jest zakaźna, ale cholernie obrzydliwa. Całowanie nie wchodzi w grę, na trylion procent. Przerywamy akcję! Przerywamy, mówię!”.

Colin jednak ma to wszystko gdzieś. Jego mina mówi: „Nie patrz na mnie, do cholery!”.

– To z dawnych czasów – oznajmiam, dotykając tatuażu, po czym szybko zmieniam temat, bo mam pustkę w głowie. Poprzedniego wieczoru dokładnie przestudiowałam historię zespołu Marillion, ale w tej chwili nie pamiętam nic na temat rocka neoprogresywnego lat osiemdziesiątych.

Szybkim ruchem głowy wskazuję dłoń Barry’ego.

– Jesteś żonaty?

Z roztargnieniem stuka kompromitującą obrączką o kontuar.

– W poprzednim życiu byłem bardzo niegrzeczny. Skąd jesteś?

Zwrócił uwagę na mój akcent. Postanawiam w duchu jak najprędzej się go pozbyć. Najsympatyczniejsi ludzie na świecie, mieszkańcy południowo-zachodniej Anglii, mają w stolicy fatalną prasę.

Słowo o dialektach: akcent z południowo-zachodniej Anglii wcale nie oznacza lenia, tylko wywodzi się prosto z dworu króla Alfreda Wielkiego. To my mamy prawidłową wymowę. Ale spróbujcie to powiedzieć londyńczykowi.

– Z Gloucester – zmyślam. – Dopiero co przeniosłam się tutaj. Nowa praca. Czuję się trochę samotna.

To akurat święta prawda.

Barry robi się nieco miłszy i proponuje mi drinka. Przyjmuję, lecz natychmiast zaznaczam, że nasza znajomość może być wyłącznie platoniczna.

– Rozumiesz, tęsknię za mężem i dziećmi – dodaję.

Dzielnie przyjmuje wiadomość, że mam rodzinę, i gestem przywołuje barmana.

– Ani się obejrzysz, a odfruną z gniazda.

– Też masz dzieci?

– Uhm. Dorosłe. Dawno poszły w świat.  
– Pewnie teraz, kiedy się wyprowadziły, masz czasami wrażenie, jakbyś się budził obok obcej osoby.

Barry słucha mnie jednym uchem. Najwyraźniej stara się czuć jak najmniej.

– Chyba tak.

– To rozumiałe. Przez całe lata skupiasz się na potrzebach rodziny, dla żony zostaje mało czasu. – Skubię tatuaż. – Wybacz, że tak się mądrzę. Ale sama jestem mężatką, więc wiem, jak to jest.

Co za bzdura – mam dwadzieścia osiem lat i gołym okiem widać, że nic nie wiem o życiu w nieudanym małżeństwie. Ale jestem spostrzegawcza i potrafię to sobie wyobrazić.

Barry pociąga porządny łyk z kufła i podsuwa mi drinka.

– Nic już nas ze sobą nie łączy.

Naraz doznaję olśnienia.

Może, ale tylko może, zdołam to jakoś naprawić. Odmienię Barry’ego i jego związek. Terapia małżeńska to niewykorzystana nisza dla kogoś specjalizującego się w prowokacjach. Co za ironia; ta myśl sprawia, że uśmiecham się radośnie.

– To się nazywa syndrom pustego gniazda – informuję.

Rzeczywiście jest coś takiego. Wiem, bo dogłębnie zbadalam ten temat, zanim zostawiłam tatę i Michaela samych w Laurelbridge. Chciałam mieć pewność, że poradzą sobie beze mnie.

– To mija. Większość par na nowo odkrywa uroki wspólnego życia, na trochę innych zasadach niż dotychczas. Czasami jest nawet lepiej.

Tata i Michael pożegnali mnie na stacji kolejowej w Christchurch. Tata robił dobrą minę do złej gry ze względu na mnie, a przede wszystkim na Michaela, któremu trudno było się pogodzić z moim wyjazdem do Londynu. Łapał mnie za ramiona i powtarzał, że nie wolno mi wyjeżdżać albo że on też chce jechać.

Przyjazd tutaj, aby zacząć wszystko od zera, był aktem odwagi.

Wraca mi odrobina pewności siebie.

– Porozmawiaj z nią – radzę Barry’emu.

– Z kim?

– Ze swoją żoną.

– O czym?

– Powiedz jej, co czujesz.

– Po co?

– Bo to ważne.

Za mało rozmawiałam z tatą. Oboje byliśmy zbyt zajęci realizowaniem własnych ambicji. Niestety, nasze strategie przetrwania wzajemnie się wykluczały.

Myślę o wszystkich pytaniach, których nigdy mu nie zadałam.

– Zapytaj ją, jaką płytę wzięlibyście ze sobą na bezludną wyspę i dlaczego

akurat tę. Albo jaką nową umiejętność zdobylibyście razem, gdybyście mogli. Wymyśl coś, co chciałbyś robić razem z nią.

– Chciałbym nurkować – mówi Barry do barmana. – Tyle że to niemożliwe, moja stara boi się rekinów nawet w basenach miejskich. Nie, Terry?

Barman wybucha śmiechem.

– To się nazywa galeofobia – informuję ich obu.

Fobie to mój konik – mam na tym punkcie kompletnego bzika.

Lęk przed śmiercią to tanatofobia, przed energią jądrową – atomofobia, a przed fioletem – porfirofobia.

– Co trzeci człowiek cierpi na jakąś fobię – dodają.

Barry wyciąga rękę z kuflem w moją stronę.

– Ja dostaję trzęsionki przy psach.

– To akurat kynofobia.

Śmieje się głośno.

– Powiesz mi, jak ci na imię?

Nigdy, przenigdy nie należy zdradzać swojej prawdziwej tożsamości. Colin wyraźnie to podkreślił. Niezrównoważeni klienci, rozwścieczone obiekty, wszyscy oni mogą chcieć się zemścić. „Zwłaszcza na takiej lasce”.

– To nieistotne – odpowiadam. – Skup się na żonie. Wystarczy trochę czasu i wysiłku, a znowu nawiążecie nic porozumienia.

Barry jest tak rozbawiony, że sili się na sarkazm:

– W porządku, pani doktor. Będę się do pani zwracał Mario Curie Skłodowska, okej?

Spoglądam mu prosto w oczy, a mój wzrok mówi: „Maria Curie Skłodowska była pionierką w dziedzinie badań nad radioaktywnością, ty palancie. Moje rady nikomu nie uratują życia”.

Przyznaję, że taki kontakt wzrokowy może być odczytany jako zachęta. Barry niewątpliwie tak to odbiera, bo wsuwa mi dłoń pod żakiet i łapie mnie za pierś.

Siedzimy nieruchomo w milczeniu przez kilka koszmarnych sekund. On rozgląda się wokół z nadzieją, że nikt na nas nie patrzy, a może właśnie że wszyscy patrzą.

Ja z kolei ani drgnę, bo waham się pomiędzy wybuchem niepohamowanej wściekłości a wrodzonym poczuciem profesjonalizmu. Nie wiedząc, co wybrać, obserwuję – w boleśnie zwolnionym tempie – nachylającą się ku mnie twarz Barry’ego.

Jeszcze jedno słowo o Barrym: ma język jak salamandra. Próba wdarcia się do moich ust i dotknięcia migdałków budzi moje przerażenie. Na szczęście jestem tak wściekła, że zaciskam wargi niczym zwieracze.

Wysiłki Barry’ego spełzają na niczym.

Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden.

Dość czasu, żeby Colin zdążył pstryknąć fotkę gwarantującą nam premię z rąk żony bojącej się rekinów, której serce wkrótce zostanie złamane

Biedaczka.

Wymierzam Barry'emu cios karate łokciem w nos. Kość pęka z trzaskiem na dwoje.

Nieprawda.

Przysięgam sobie w duchu, że zapiszę się na kurs sztuk walki, zanim znów będę próbowała kogoś uwieść, chociaż oczywiście już nigdy nie będę próbowała. Koniec z prowokacjami. Czuję się jak obrzydliwy kawał mięsa.

W drodze do taksówki mój wspólnik z podnieceniem poklepuje swoją torbę sportową. Sfotografował co trzeba i jest wniebowzięty. Na najbliższym grillu jego goście poznają ze szczegółami całą operację; boki można będzie zrywać.

– Tylko następnym razem bardziej się postaraj – upomina mnie, jakby reżyserował film pornograficzny. – Udawaj, że sprawia ci to przyjemność.

– Dobra – mówię i spluwam w jedną chusteczkę, po czym przecieram sobie język drugą, nasączoną płynem do higieny intymnej.

Colin odwozi mnie do mojej kawalerki na Torrington Place. Dziękuję mu, że pozwolił mi się sprawdzić, i życzę dobrej nocy, bo tak robią uprzejmi mieszkańcy Dorset. Nie dodaję, że zmieniłam zdanie. Na jego temat. Na temat pracy prywatnego detektywa. Na temat Londynu.

## Operacja Delaney

Kluczem do udanej prowokacji jest odpowiednie przygotowanie. Warto skorzystać z przykładu Abrahama Lincolna, który powiedział: „Gdybym miał sześć godzin na ścięcie drzewa, poświęciłbym cztery na ostrzenie siekiery”.

Sęk w tym, że nie mam czasu kopać zbyt głęboko. Scott Delaney jest jak zamknięta książka; jego machina marketingowa działa bez zarzutu.

Moje zwykłe źródła są tym razem bezużyteczne, bo Scott nie jest obywatelem brytyjskim. Mogłabym zwerbować do pomocy gościa, którego znam w Dublinie, ale co by mi to dało? Scott jest bogaty, sławny, ma kilka nieruchomości, żadnych wyroków w rejestrze sądowym, żadnych notowanych wykroczeń – zresztą nic z tego i tak mi się nie przyda, ponieważ mam tylko jedno zadanie: uwieść go.

Poniedziałek. Dzień pierwszy Operacji Delaney.

Obserwuję londyński dom Scotta, jeden z czterech. Pozostałe znajdują się w Cork, Toskanii oraz Bel Air. Ta konkretna posiadłość to siedemnastowieczny pałacyk zdobiony sztukateriami w okolicy Maida Vale w zachodniolondyńskiej Małej Wenecji.

Pracuję zaledwie od dziesięciu minut, a już muszę iść do toalety.

Śledzenie ludzi tak na mnie działa. Podnieca mnie, że robię coś niewłaściwego. Moje jelita drżą niespokojnie, jakby ktoś łaskotał mnie piórkiem przez odbyt. Dokładnie tak samo reaguję, gdy jestem w bibliotece albo korzystam w nocy z komunikacji miejskiej.

Żeby się czymś zająć, wyciągam z plecaka artykuł – stronę wyrwaną z „Przeglądu Architektonicznego”.

No proszę: poprzednim właścicielem domu Delaneya był amerykański producent muzyczny, który przed wystawieniem nieruchomości na sprzedaż zaprosił do siebie dziennikarzy z ilustrowanego czasopisma – genialne posunięcie, gdy ktoś chce się pozbyć ekskluzywnej posiadłości i wzbudzić zainteresowanie nadzianej klienteli.

Opłaciło się – Delaney wyłożył za dom okrągłe osiem milionów funtów.

Z tekstu wynika, że w środku znajduje się studio nagraniowe, kino oraz łazienki wielkości mojej kawalerki.

Wzdycham. Zdjęcia w artykule to moja jedyna szansa na obejrzenie posiadłości Delaneya od wewnątrz. Alice wyraziła się jednoznacznie: „Rób, co musisz, byle nie tam”.

Dostałam szlaban, a to znaczy, że nie mogę zainstalować podsłuchu w pomieszczeniach ani w telefonie, co ogromnie ułatwiłoby mi zadanie. Jednak klient nasz pan, a ta konkretna klientka okazała się nieugięta: dom Scotta ma



pozostać nietknięty.

Wolno mi za to do woli wałęsać się na zewnątrz. Na szczęście. Alice dostarczyła mnóstwa informacji, w większości bezużytecznych, niemniej jednak interesujących z punktu widzenia, że tak powiem, opinii publicznej.

Oto dziesięć najważniejszych rzeczy, które Alice zdradziła mi na temat muzyka jazzowego światowej sławy i zarazem swojego narzeczonego, Scotta „Scata” Delaney’a:

Numer rejestracyjny jego auta: TB64 MDP.

Numer telefonu komórkowego: 07883 284812.

Dieta: Atkinsa.

Ulubiona gra na konsolę Xbox: *Red Dead Redemption*.

Rozrywki: domator.

Aktualny grafik: w Londynie jeszcze przez trzy tygodnie, odpoczywa między koncertami. Kilka zobowiązań w związku z promocją najnowszego albumu. „Składanka duetów nagranych z udziałem największych sław jazzu i legend popu”. Alice była tak dokładna, jakby czytała z okładki płyty. No i, rzecz jasna, udział w ceremonii rozdania Urban Music Awards za jedenaście dni od dzisiaj.

Osoba odpowiedzialna za grafik: osobisty asystent Harvey Cadwalader.

Harvey Cadwalader: lat trzydzieści dziewięć, absolwent Cambridge. Dyplom z protekcyjności. Konkretny jak guwernantka. „Gdyby to było społecznie akceptowane, karmiłby Scotta łyżeczką”. Fotografia: potężny niczym bramkarz, wyraźnie zamorskie korzenie, na pierwszy rzut oka karaibskie. Z wyglądu przypomina trębacza.

Rodzina Scotta w Londynie: młodsza siostra o imieniu Elle. Lat dwadzieścia cztery. Uwielbia przesiadywać u Scotta. „Darmozjad i pasożyt”. Fotografia: długie włosy barwy karmelu, nogi aż po kości policzkowe. Bezdyskusyjnie dziesięć na dziesięć.

Bliscy przyjaciele Scotta w Londynie: zero.

Alice szczególnie pogardliwie odniosła się do siostry-darmozjada, co jest nawet zrozumiałe – przyszłe żony nie lubią, kiedy bliska krewna narzeczonego góruje nad nimi urodą. Zatkąło mnie, jak zobaczyłam fotkę Elle. Babka to urodzona dziewczyna Bonda.

Poprzedniego wieczoru postanowiłam sama trochę poszperać.

Wpisałam „Scott Delaney” do wyszukiwarki. Jego nazwisko wygenerowało masę wyników: linki do fanclubów i serwisów społecznościowych, poświęconej mu strony w Wikipedii, konta na Twitterze i adresy sklepów internetowych oferujących jego płyty. Większość powieliła dobrze znane mi już fakty. Wkrótce miała się ukazać jego nowa płyta – składanka duetów nagranych z udziałem największych sław jazzu i legend popu. Ulubiony kolor. Dziadek ogrodnik,

któremu Scott zawdzięczał swoją karierę.

Zawęziłam więc wyszukiwanie i wstukałam: „partnerka Scotta «Scata» Delaney”.

Kilka doniesień o flirtach ze sławnymi laskami w typie dziewczyny z sąsiedztwa, ale nic pewnego, żadnej dokumentacji fotograficznej ani oficjalnych potwierdzeń którejkolwiek z zainteresowanych stron. Same plotki – w sam raz, żeby zbudować pożądany przekaz dla fanów: Scott Delaney jest heteroseksualistą do wzięcia.

Jak to zwykle w mojej branży, nie dysponuję nazwiskiem swojej klientki, wrzucam więc w wyszukiwarkę wszystko, co mam: „partnerka Scotta Scata Delaney ALICE”.

Wyskakuje pojedynczy wynik. Link do bloga słynącego z podsycania skandali, demaskującego celebrytów, ujawniającego prawdę o ich uzależnieniach i podającego informacje o ich śmierci na długo przed brukowcami. News o Delaneyu to żadna rewelacja, a jednak to więcej, niż wygrzebał na jego temat jakikolwiek reporter. Sensacyjna informacja sprowadza się do tego, że w trakcie branżowej imprezy jakiś bloger zapytał Scotta o jego pierwszą miłość.

„Alice St Croix – odparł bez namysłu muzyk. – Pierwszy raz siedzieliśmy obok siebie w ławce na lekcji geografii. To była najpiękniejsza dziewczyna, jaką w życiu widziałem”.

I to by było tyle: wszystko, co internet ma do powiedzenia o Alice.

Po tym, jak Scottowi wypsnęło się nazwisko ukochanej, jego świta spisała się na medal. Nie ulega wątpliwości, że kategorycznie zabronili mu pić alkohol w miejscach publicznych i uświadomili, że ma bardzo proste zadanie: odgrywać Boga w teokracji zawiadywanej przez innych. Nic dziwnego, że koleś żyje teraz jak pustelnik i boi się otworzyć usta.

Ale przynajmniej poznałam nazwisko mojej klientki.

Francuskie pochodzenie to niesłychanie wyrafinowana rzecz. Z pewnością w pewnym stopniu tłumaczy fascynację Scotta jej osobą. Francuzki to najbardziej pożądane kobiety na świecie – nawet takie jak Alice, które w skali dziesięciopunktowej mają raptem siedem, osiem punktów.

Na koniec wpisuję do wyszukiwarki „Alice St Croix”.

Bingo.

Figuruje w spisie personelu szkoły podstawowej w hrabstwie Cork.

Szkoła nazywa się Scoil Mhuire agus Maomh Treasa – cholernie ciężko to wymówić, ale przecież my, katolicy, bardzo kochamy patos. Odkrywam też, że Alice zajmuje się uczniami o specjalnych wymaganiach edukacyjnych – jak miło!

W innym życiu opowiedziałabym jej o Michaelu.

Jednak w tym nie dowie się niczego o mnie i mojej rodzinie.

Nauczyciele zajmujący się uczniami cierpiącymi na różne zaburzenia nie są

popularni w internecie, więc poza stroną szkoły nie znajduję już żadnej wzmianki o mojej klientce.

Alice St Croix przebywa obecnie we Włoszech ze swoją koleżanką po fachu. Spędzają urlop w sienieńskim lokum Scotta – liczącej kilkaset lat suszarni orzechów, którą muzyk kazał wyremontować, rozbudować i odpicować. Alice przesłała mi zdjęcie – wygląda to naprawdę bajecznie.

Zabawią tam dziesięć dni, co da mi mnóstwo czasu na uwiedzenie Scotta. Powrót planowany jest na przyszłą środę.

Dzień później, w czwartek, Scott zaprezentuje Alice jako swoją wybrankę podczas transmitowanej na cały świat ceremonii rozdania nagród.

Zakładając, rzecz jasna, że okaże się fantastycznym i wiernym facetem...

Piłeczka jest teraz po mojej stronie. Nie dorównuję temu jazzmanowi pod względem urody ani osiągnięć zawodowych, ale muszę jakoś zaaranżować schadzki z nim – z mężczyzną, dla którego idealny wieczór to spałaszowanie steka z tuńczyka i granie na konsoli.

Mam tylko dziesięć dni.

Zegar tyka głośno niczym zapalnik bomby w kreskówce.

Opieram się o pień drzewa i drapię po głowie. To najbardziej swędząca peruka, jaką mam. Niestety, podczas obserwacji – nieodzowna.

Słowo o prowadzeniu inwigilacji: faceci nie zauważają kobiet z mysimi włosami ściętymi na boba. Do tego nieprzemakalna kurtka z kapturem, para spodni od Marks and Spencer i człowiek staje się niewidoczny jak chwast.

Tak między nami, taka niewidzialność to nic przyjemnego.

Niemniej jednak jestem profesjonalistką, a nieatrakcyjny wygląd to podstawa sukcesu każdej inwigilacji. Nikt nie zwraca uwagi na brzydkich ludzi. Są jak powietrze – Amerykanie mówią tak o statystach.

Dzisiaj jestem statystką.

A to jedna z najdogodniejszych okolic do prowadzenia obserwacji, w jakich kiedykolwiek się znalazłam. Mogę się przechadzać przed domem Scotta, przysiąść na licznych ławkach, zapoznawać się z treścią turystycznej tablicy informacyjnej, studiować umieszczony na niej żałośnie niedokładny plan, stanąć na przeciwległym brzegu kanału w kolejce, żeby popływać barką. W istocie dzięki Regent's Canal mogę obserwować rezydencję Scotta pod dowolnym kątem; zaledwie dwadzieścia kroków dzieli go od strzeżonego żwirowanego podjazdu przed pałacem muzyka. Niczym wielobarwnymi algami kanał oblepiony jest barkami mieszkalnymi o nazwach takich jak „Lwie Serce” czy „Szczęśliwy Traf”, sympatycznie podskakującymi na falach, kiedy środkiem przepływają łodzie pełne turystów. Ścieżki holownicze po obu stronach Regent's Canal roją się od biegaczy. Rowerzyści grają pieszym na nerwach, a zwiedzający snują się jak zauroczeni po tym przedziwnym zakątku Londynu. Przystają, aby zajrzeć do któregoś

z pływających domów, dołączają do zorganizowanych grup podążających za przewodnikami, podziwiają nadbrzeżne żywopłoty.

Stojące na obu brzegach kanału rozległe rezydencje mogłyby równie dobrze służyć jako dekoracje teatralne.

Słowo o pałacykach: jak się widziało jeden, widziało się wszystkie. Ludzie szybko tracą zainteresowanie nimi, dzięki czemu sławni i bogaci są niezauważeni, choć pozostają na widoku.

Sprytne.

Rzeczywiście mieszka tutaj większość sław, lecz ich majestatyczne posiadłości są w gruncie rzeczy takie same. Zapewnia to ich właścicielom anonimowość, mimo że mówimy o Maida Vale, okolicy, do której celebryci ciągną jak muchy do miodu. Do tutejszych mieszkańców, obecnych oraz dawnych, należą między innymi Zygmunt Freud, Robert Browning, Annie Lennox, Kate Moss i ten koleś z Pink Floyd.

A teraz także cholerny Scott Delaney.

Wciąż nie mogę w to uwierzyć.

Lepiej opiszę, jak wygląda jego pałacyk.

Składa się z trzech wysokich pięter oraz przyziemia zaadaptowanego na cele mieszkalne. Elektrycznie sterowana brama ma prawie dwa i pół metra wysokości. Gęste firany – takie, jakie spotyka się w ambasadach i wytwornych hotelach – nie pozwalają dostrzec żadnego ruchu wewnątrz. Z boku widać fragment ogrodu. Uważny obserwator dostrzeże narożnik wolno stojącej przeszklonej altany, coś przypominającego japoński ogród skalny oraz skraj arboretum. Jest tam również ekobasen; chociaż go nie widzę, na pewno znajduje się gdzieś na tyłach, bo tak pisali w „Przeglądzie Architektonicznym”.

Dzwonię do Michaela, żeby go pogonić – piórko w moim tyłku wibruje jak szalone.

Wreszcie nadchodzi rozkołysanym krokiem, ubrany w spodnie od dresu (przykrótkie), bluzę z kapturem (przyciasną) oraz czapkę z daszkiem. W dodatku naśladuje akcent dickensowskiego ulicznika.

– Siemano – rzuca.

Podnoszę na niego wściekły wzrok.

– Spóźniłeś się godzinę.

Przechyla lekko głowę i rozczapierza palce obu rąk, szczerząc się jak idiota – mam się domyślić, za kogo tym razem się przebrał.

– Za włamywacza?

– Za miejscowego – wyjaśnia.

– Stąd? Maida Vale to jedna z najzamożniejszych dzielnic współczesnego świata.

– Wiem o tym.

Mam ochotę uszczyplnąć go z całej siły w oba policzki, bo kłamie – wcale tego nie wiedział.

– Może powinniśmy uzgadniać twoje przebrania przed akcją. – Zarzucam mu na ramię plecak. – Jutro przebierz się za kogoś, kto ma bzika na punkcie punktualności, dobra? – Ruchem głowy wskazuję dom Delaneya. – Ładne gniazdko. Kiedy mnie tu nie będzie, nie spuszczaaj z niego oczu ani na sekundę.

Pięć minut drogi spacerem od domu Scotta, na rogu Edgware Road i Aberdeen Place, znajduje się Café Laville. Przeszklone bistro spina brzegi kanału, a tuż pod nim kryje się początek tunelu, którym wąskie, smukłe barki wpływają do Camden Lock i z powrotem.

Najpierw idę do toalety i przyswajam sobie pięć nowych słów z aplikacji mobilnej słownika oxfordzkiego. Następnie myję ręce mydłem, od którego natychmiast dostaję wysypki.

Potem znajduję wolne miejsce na tarasie, skąd mam widok na kanał poniżej, zamawiam latte i opieram brodę na złożonych rękach, a ręce na balustradzie.

Wody Regent's Canal nie mają w sobie nic romantycznego. Są zawsze stalowoszare niczym lufa pistoletu. Przypominają kałużę i wrażenia tego nie są w stanie zatrzeć barki w psychodelicznych barwach.

Jakieś trzydzieści metrów z przodu zauważam łódź z turystami zmierzającą w stronę tarasu i przychodzi mi do głowy znakomity pomysł. Jutro każe Michaelowi przebrać się za turystę, najlepiej norweskiego – Norwedzy są tacy wysocy, sympatyczni i punktualni. Uważniej przyglądam się pasażerom, ponieważ uświadamiam sobie, że może być wśród nich Bambi. Jest to równie prawdopodobne jak to, że znajduje się w dowolnym miejscu na świecie i robi cokolwiek innego. Na przykład spaceruje z psem poboczem jakiejś drogi.

Myśl jest kompletnie absurdalna, mimo to całkiem poważnie zastanawiam się, jakiego psa mogłaby mieć moja matka. Na pewno jednego z tych, co wyglądają jak myszokoczki. Słodkiego, malutkiego psiaka, robiącego maleńkie i łatwe do sprzątnięcia kupki – mama spanikowałaby na widok czegoś większego od gwiazdki anyżu.

Psia kupa przypominająca gwiazdkę anyżu – Bambi pękłaby ze śmiechu, słysząc tę analogię. Ale ja nie chichoczę, bo humor psuje mi kłótnia pary siedzącej po lewej stronie. Kobieta ze łzami w oczach pochyła się nad stolikiem; facet obok niej wygląda na śmiertelnie znudzonego.

Na świecie żyje siedem miliardów ludzi, a my upieramy się, żeby spędzić wieczność tylko z jednym człowiekiem.

Ironia losu?

Nieważne, kogo wybierzemy i ilu partnerów będziemy mieć, ostatecznie wszyscy zleją się w jednego okrutnika, którego znienawidzimy.

Każda inna osoba w takiej sytuacji poklepałaby płaczącego po ramieniu albo

pogłaskała go po głowie. W najgorszym razie udałaby zatroskanie. Nawet zwierzęta potrafią okazywać empatię. Założę się, że psy podobne do myszokoczków biegają w kółko spanikowane, kiedy ich właściciel płacze.

Ale nie *ten Jedyny*.

Weźmy na przykład mojego męża numer jeden – z czasem przestał ukrywać, że moje cierpienie go nudzi. Otwarcie przyznawał, że jego zdaniem zwyczajnie udaję, a widok moich łez irytuje go czy wręcz wkurza. Poprawcie mnie, jeśli się mylę, ale taki brak współczucia świadczy chyba o poważnych zaburzeniach osobowości.

Dzwoni moja komórka.

To Michael.

– Obiekt na horyzoncie.

W każdym innym przypadku rzuciłabym piąta na stolik i popędziła do niego ile sił w nogach. Jednak mój wzrok przykuwa ktoś na pokładzie barki płynącej do tunelu pod nami.

To mężczyzna. W przeciwieństwie do pozostałych pasażerów, którzy kryją się pod dachem, wygodnie usadowieni na krzeselkach pokrytych czerwonym skajem, on stoi na rufie, chociaż nie jest kapitanem.

Ma góra trzydzieści pięć lat i lodowate spojrzenie. Wpatruje się w wody kanału, jakby tonął w kakofonii własnych genialnych myśli, a jasne, powiewające na wietrze włosy nadają mu wygląd Meduzy. Są w kolorze jasnoblond, w modelowym odcieniu B według skali Fischera-Sallera. Dokładnie takim samym jak u tamtego motocyklisty.

Barka się przybliża, a ja mogę lepiej się przyjrzeć rysom mężczyzny. Ma długi wąski nos, ładny jak u dziewczyny. Do tego mięsiste małżowiny uszne – takie, jakie aż się chce miętosić palcami. Na jego dłoniach nie dostrzegam obrączki ani żadnej innej biżuterii, co wcale nie musi oznaczać, że jest wolny. Z przyzwyczajenia wymyślam życiorys dla mojego urojonego prześladowcy; sprawiam, że papierowa postać nabiera kolorów.

Dochodzę do wniosku, że najprawdopodobniej jest poetą.

Lecz chociaż właśnie obdarzyłam go profesją, blondyn w ogóle nie zwraca na mnie uwagi.

Ubrany w džinsy, T-shirt i ray-bany, przewiązany w pasie polarową kurtką, spogląda na wodę i dalej – w przeciwieństwie do reszty turystów, którzy zachwyceni zadzierają głowy do góry i gapią się na nas, klientów Café Laville. Z dziobu macha do mnie jakieś dziecko. Jego matka robi nam zdjęcie smartphonem, podczas gdy ja mówię bezgłośnie: „Tu nie zoo”, bo nie cierpię, kiedy się mnie fotografuje.

Koleś, który – jak sobie wyobrażam – bezczelnie mnie śledzi, ignoruje to wszystko i z tylnej kieszeni spodni wyciąga książkę.

A nie mówiłam? Dam głowę, że to tomik wierszy.

Próbuję przekazać mu telepatycznie polecenie. „Popatrz w górę!”. Zaraz jednak zmieniam zdanie: „Nie, w żadnym wypadku na mnie nie patrz!”. Mam przecież na głowie mysią perukę i ortalionową kurtkę w sam raz dla maniaków obserwujących pociągi w terenie.

Blondyn na szczęście nie podnosi głowy. Za bardzo pochłania go literatura.

Naraz pojawia się przy nim młoda kobieta. Jest drobna, ledwo sięga mu do ramienia. Wychodzi na pokład, bierze go pod rękę i wtula się w zagłębienie między bicipsem a przedramieniem. W pierwszej chwili czuję w piersi ukłucie rozczarowania, lecz wkrótce uświadamiam sobie okrutną prawdę. On jej nie kocha. Nie przechyla odruchowo głowy w jej stronę. W istocie zdaje się wcale nie zauważać kobiety uczepionej jego ramienia.

Ten związek jest skazany na niepowodzenie.

Za chwilę barka zniknie w tunelu poniżej, wychylam się więc za balustradę, żeby lepiej im się przyjrzeć.

Co za pech: w tym samym momencie Poeta spogląda w górę.

Odruchowo odwracam wzrok. A przynajmniej staram się, bo moje oczy zdają się przywierać do jego oczu i na odwrót. Widzę, jak marszczy brwi. Gwałtowny powiew wiatru mierzwi mu włosy, które szybują ku mnie na podobieństwo białych węży.

„Spójrz w inną stronę!” – woła we mnie głos rozsądku.

A jednak patrzymy na siebie; mężczyzna odchyła głowę coraz bardziej do tyłu, aż w końcu znika w tunelu pode mną.

Opadam na krzesło z głośnym klapnięciem. Przerazenie skrobie mnie pazurkami po karku.

A to dlatego, że Poeta posłał mi najbardziej wściekłe spojrzenie, jakie kiedykolwiek widziałam. Wściekłe i dziwnie znajome.

– Dżinsy Versace – prosta nogawka, sprany czarny denim, w pasie rozmiar 32, nogawka rozmiar 32. Czarna dopasowana batystowa koszulka od Paula Smitha, rozmiar M. Prążkowany kapelusz filcowy od Armaniego w kolorze białym i niebieskim, dostępny w jednym rozmiarze. Jeśli miałbym zgadywać, powiedziałbym, że nosi rozmiar 7,25 cala, co daje obwód głowy 57,7 centymetra.

Kręcę głową z niedowierzaniem.

Spytajcie Michaela o stolicę Mikronezji, a nie będzie miał zielonego pojęcia. Z drugiej strony tacy jak on często mają wąskie specjalizacje. Wiedzą wszystko o komputerach, są pasjonatami komiksów albo potrafią podać dokładną datę dla wybranego dnia tygodnia sprzed wieków, dajmy na to 29 grudnia 104 r. p.n.e.

Ukrytym talentem Michaela jest trafne odgadywanie rozmiarów części garderoby. Nigdy w życiu nie nosił biustonosza ani nie miał dziewczyny, mimo to w ułamku sekundy jest w stanie podać rozmiar miseczki nowo poznanej babki. To

jego popisowa sztuczka na imprezach.

Tym razem nie okazuję jednak entuzjazmu. Spotkanie z Poetą wytrąciło mnie z równowagi.

- A buty?
- Trampki.
- Model?
- Adidas Vintage Turf.
- Rozmiar?

Michael wygląda, jakby był na siebie wściekły.

- Żartuję, wariacie. Boski jest, co?
- Totalnie – odpowiada; widzę, że wciąż zastanawia się nad wielkością stopy

Scotta.

- Materiał zdjęciowy?

Wymownie poklepuje plecak – ukryta jest w nim kamera, której obiektyw wygląda przez maciupęnką dziurkę w pasku naramiennym. Jest tak mała, że gdyby zsunąć kciuk i palec wskazujący, ale tak, żeby się nie zetknęły, odległość między nimi wciąż byłaby większa od średnicy obiektywu. To genialny sprzęt. Wystarczy go porównać z aparatem Canon 1D Mark III, tradycyjnie używanym przez paparazzich i detektywów ze starej szkoły, który ma wymiary gaźnika czterokomorowego. Nie dość, że kosztuje cztery kawałki, to jeszcze rzuca się w oczy.

Kamera cyfrowa jest znacznie bardziej dyskretna – zapewnia doskonałą ostrość, dokładnie rejestruje i łatwiej ją przemycić do luksusowego hotelu w rodzaju Chiltern Firehouse albo do Izby Lordów. Można ukryć to maleństwo w torebce, klapie, czapce, okularach przeciwsłonecznych, długopisie, budziku, gdziekolwiek. Wygląda jak gadżet z filmów o Bondzie, ale spisuje się na medal.

- Dobra, opowiedz, co widziałeś – żądam.

Michael wyciąga z kieszeni bluzy notatnik i kompletnie niestosownym tenorem, jakby nagrywał zwiastun nowego horroru, relacjonuje:

– Scott Delaney wysiadł z auta. Przywiózł go szofer. Numer rejestracyjny wozu: HG59 NHK. Godzina: trzecia czterdzieści sześć. Data: dzień dzisiejszy.

- Marka samochodu?

Michael kręci głową – samochody to nie jego bajka.

- Był sam?
- Tak. Jeśli nie liczyć szofera, który go wysadził i zaraz odjechał.
- A Delaney od razu wszedł do domu?
- Tak.
- Miał coś ze sobą?
- Telefon.
- iPhone'a czy blackberry?



– Tak.

Wybucham śmiechem. Michael mi nie wtóruje. Jest skończonym pedantem. Poza tym czeka na następne pytanie.

– Sam otworzył drzwi?

– Tak.

– Własnym kluczem?

– Nie mogę przysiąc, że to jego klucz.

– Ale wyjął go ze swojej kieszeni?

– Tak.

– Okej. – Siadam na ławce. – No to teraz musimy czekać. Przekonamy się, w co pogrywa, kiedy w pobliżu nie ma przyszłej żony. A potem będziesz miał okazję zobaczyć mnie w akcji.

Michael wielokrotnie widywał mnie w akcji. Mimo to miło jest mieć świadka swoich wyczynów. Szczególnie takiego, któremu nigdy się one nie nudzą.

Ukradkiem przybijamy piątkę.

To dopiero pierwszy dzień obserwacji, lecz coś mi mówi, że czeka nas dziś miła niespodzianka w sprawie Scotta Delaney'a. Moje synapsy płoną.

Nawiasem mówiąc, to okropnie wkurzające, kiedy ludzie przechwalają się swoją niezwykłą intuicją. Coś takiego na kilometr zalatuje pseudonaukowym lansem. Lecz prawda wygląda tak, że naprawdę jestem obdarzona intuicją. Niezwykłą intuicją. Spokojnie, nie ma w tym nic nadprzyrodzonego. Nie jestem żadnym medium i z pewnością nigdy nie komunikowałam się z duchami zmarłych. Z reguły nie sprawdzam w gazetach swojego horoskopu (ani horoskopów moich byłych mężów), ale faktycznie przeczuwam pewne wydarzenia. Darwin mógłby powiedzieć, że to moja przewaga ewolucyjna, jak w przypadku osób obdarzonych wyjątkowym postrzeganiem przestrzennym albo doskonałych pływaków. Albo mężczyzn tak charyzmatycznych, że zostają przywódcami poligamicznych sekt. Tak czy owak, wspomnicie jeszcze moje słowa: dzisiaj zdecydowanie szykuje się coś ważnego.

Sprawa nr 0135/Operacja Delaney.

Poniedziałek 30 czerwca

Godzina 7 rano, początek obserwacji.

Godzina 15.46. Obiekt wysiadł z auta przed swoją rezydencją na Blomfield Road, W2. Przyjechał limuzyną z szoferem, numer rejestracyjny HG59 NHK. Pan Delaney miał na sobie dżinsy Versace z prostą nogawką ze spranego czarnego denimu, przecierane na szwach (w pasie 32, nogawka 32), czarną dopasowaną batystową koszulkę od Paula Smitha (rozmiar M), prążkowany kapelusz filcowy od Armaniego w kolorze białym i niebieskim (jeden rozmiar, obwód głowy 57,7 centymetra) oraz trampki Adidas Vintage Turf (rozmiar nieznany). Niósł telefon komórkowy i otworzył drzwi własnym kluczem.

Godzina 20.51. Zapaliło się światło w salonie od frontu.

Godzina 22.55. Światło w salonie od frontu zgasło.

Godzina 22.56. Zapaliło się światło w holu na piętrze.

Godzina 22.59. Światło w holu na piętrze zgasło.

Godzina 23.30. Koniec obserwacji.

Najwyraźniej pomyliłam intuicję z całym mnóstwem innych uczuć.

Widziałam Poetę o identycznym kolorze włosów jak tamten motocyklista.

Długa chwila kontaktu wzrokowego doprowadziła mnie do zatrważającej konkluzji: ten facet mnie nienawidzi.

Może wziął mnie za kogoś innego? Bądź co bądź, byłam w przebraniu i robiłam za powietrze.

Równie prawdopodobne, że to opętany żądzą mordu pacholek któregoś z moich ofiar.

Dzisiaj także zdałam sobie sprawę, że moja matka może być dosłownie wszędzie i robić co jej się żywnie podoba – co za piękna myśl. Nic dziwnego, że w tej sytuacji moje nadnercza zwariowały, a obraz rzeczywistości mocno się zaciemnił. To się zdarza – spytajcie Darwina – i dowodzi przynajmniej jednego: szczęście to bujda, niewiele więcej jak biochemicznie stymulowany wytwór naszej wyobraźni.

Pierwszego dnia obserwacji punktualnie o 23.30 mój brat i ja, znudzeni i przemarznięci, decydujemy się zakończyć pracę.

Najpierw jednak każe mu przeskoczyć przez elektronicznie sterowaną bramę i przeczołgać się przez półokrągły żwirowany podjazd przed pałacikiem – bardzo ostrożnie, żeby nie uruchomić oświetlenia alarmowego. Michael podkrada się na czworakach do mercedesa SLK i na jego lewej tylnej oponie umieszcza dwupensówkę – moją pechową monetę.

Tata z udręczoną miną miesza duszoną fasolkę z kiełbasą; mam czternaście lat i zadaję mu męczące pytania.

– Skoro mama nie żyje, to gdzie jest jej ciało?

– Nie wiemy, Florrie. Najwyraźniej nie chce być odnaleziona.

– Nie chce? – zachłystuję się z przejęcia.

– Nie chciała.

W dodatku każde pytanie prowadzi bez pudła do następnego, równie męczącego.

– A gdzie są jej ubrania?

– Co?

– Ubrania, które miała wtedy na sobie. I jej wisiołek. – Gładzę się po nagiej szyi. – Zostawiłaby mi go, gdyby planowała umrzeć.

– Nie wiemy, czy planowała umrzeć. – Jak zwykle tata szybko się zaperza. Trzeba jednak przyznać, że wiele razy go o to wypytywałam. – Florence, twoja

mama miała ciężką depresję.

Tyle że nigdy nie zaobserwowałam u niej żadnych objawów. Przecież wyczułabym, że jest nieszczęśliwa. Byłam dzieckiem. Dzieci potrafią wyczuć w swoim otoczeniu każdą, nawet najlżejszą zmianę nastroju. Mama nie miała depresji; na pewno bym coś zauważyła.

– Miała południowy temperament – przypominam tacie.

Kręci głową.

– To była depresja poporodowa.

Rzucam mu podejrzliwe spojrzenie. Zdaję sobie sprawę, że z nim pogrywam, ale tylko w ten sposób, bombardując go pytaniami, mogę przebić jego zbroję i go osłabić.

– Czyli to wina Michaela? To przez niego miała depresję?

– Nie! – Oczy taty płoną z gniewu i wstyd się przyznać, ale się z tego cieszę. Dopóki udajemy, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, ojciec będzie całkiem przyjemną egzystencją. – Twoja matka bardzo go kochała.

Odkłada drewnianą łyżkę, staje twarzą do mnie i opiera się plecami o stół. Najwyraźniej zamierza powiedzieć mi coś bardzo ważnego – coś, co wstrząśnie moim gniewnym nastoletnim umysłem.

Jego twarz jest pełna nadziei. „Boże, niech to do niej dotrze, błagam!” – zdaje się mówić.

– Dlatego zawsze nosiła to *cornicello*. Żeby chronić Michaela. Ten talizman chroni matki i ich dzieci przed złym spojrzeniem.

Jest mi wstyd, ale nie mam ochoty słuchać, że nosiła tę śliczną złotą papryczkę wyłącznie ze względu na Michaela.

Ja też byłam jej dzieckiem.

Wybucham płaczem. Tata się wycofuje. Z natury nie jestem płaczliwa, ale odkąd zaczęłam miesiączkować, płaczę znacznie częściej, zwykle w najmniej spodziewanym momencie. Tata kręci się niepewnie, bierze do ręki drewnianą łyżkę. Okazuje się zupełnie do niczego, kiedy jego córka jest we władzy hormonów.

Tego dnia jednak wpada na genialny pomysł.

Wykonuje łyżką gest mówiący, żebym nie ruszała się z miejsca. Wyciera ręce w ściereczkę i sięga do kieszeni. Potem przetrząsa szuflady kuchenne, wszystkie dziewięć. Następnie szuflady w holu. Odrzuca na bok śrubokręty, baterie, ulotki reklamowe, guziki.

Wreszcie obraca się na pięcie.

Między palcem wskazującym a kciukiem trzyma brudną monetę. Unosi ją do góry niczym ksiądz sprawujący eucharystię.

Przez ułamek sekundy zastanawiam się, czy powinnam powiedzieć „Amen” i wysunąć język.

Głosem zasługującym na akompaniament chóru wyjaśnia:

– To niezwykle rzadka moneta, Florrie. Egzemplarz kolekcjonerski. Coś jak czterolistna koniczyna. Albo kabalistyczny amulet.

Marszczę brwi.

– To zwykła dwupensówka.

Podsuwa mi ją. Biorę ją ostrożnie, bo nie lubię zapachu starych monet.

– W latach tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt jeden–tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt jeden cyfrę dwa na dwupensówkach umieszczano pod pękiem strusich piór. Obok widniały słowa: „NOWY PENS”. Później wszystko się zmieniło!

Pociągam nosem i uśmiecham się wbrew sobie.

– W porządku, Gandalfie.

Tata głębiej wchodzi w rolę.

– Począwszy od osiemdziesiątego drugiego, Mennica Królewska zastąpiła napis „NOWY PENS” słowami „DWA PENSY”. Ale najdziwniejsze jest to...

Przytrzymuje mnie za rękę, jakby się bał, że ucieknę. Wcale nie jestem ciekawa, co jest według niego najdziwniejsze.

– W osiemdziesiątym trzecim w tajemniczych okolicznościach wybito niewielką liczbę monet z napisem „NOWY PENS”.

– Dlaczego?

– Tego nikt nie wie.

I tyle.

Przez dłuższy czas tata po prostu kiwa głową z szeroko otwartymi oczami.

Co za beznadziejna historia. Odsuwam od siebie śmierzącą monetę i usiłuję to sobie jakoś uporządkować.

Michael (przynajmniej teoretycznie) może wspominać złoty amulet, który nosiła na szyi jego zmarła matka. Mnie natomiast tata wciska monetę tak bezwartościową, że poniewiera się z zapasowymi guzikami, których nikt już nigdy nie przyszyje.

Znowu pochyla się nad garnkiem, jakby wszystko zostało załatwione.

Ja natomiast osuwam się na krzesło, czubkami palców trzymając tę wstrętą monetę. Dochodzę do wniosku, że muszę się tacie wydawać bardzo płytkim człowiekiem. To naprawdę przygnębiające, kiedy nasz rodzony ojciec nie ma bladego pojęcia o tym, jacy naprawdę jesteśmy.

Jest druga nad ranem, niemniej jednak muszę się skoncentrować na aktualnym zadaniu, czyli na Scotcie Delaneyu.

Aby to sobie ułatwić, siadam po turecku na materacu i zapalam skręta. Upewniam się, że żar niczym ognista obręcz równo ogarnia jego koniuszek, i się zaciągam. Podziwiam skręta ze wszystkich stron, jakby to było drogie cygaro. Na przykład Cohiba Espléndido, wymyślone przez Che Guevarę; pozwalał je palić

tylko Fidelowi Castro i swoim kumplom marksistom.

Winą za ten brzydki nawyk obarczam męża numer jeden – jego lekarstwo na smutki stało się moim lekarstwem.

W tej sprawie dysponuję bardziej ograniczonymi informacjami niż zwykle. Moje notatki na temat Scotta Delaneya są bardzo skąpe, więc jeszcze raz wpisuję jego nazwisko do wyszukiwarki...

Weźmy na przykład datę urodzenia.

Scott jest zodiakalnymi Rybami – cudowna wiadomość, zważywszy na to, że jestem Rakiem.

Według wszelkich horoskopów mężczyźni Ryby i kobiety Raki tworzą związki doskonałe. Nie potrzebują słów, bo porozumiewają się na poziomie podświadomości. To dlatego, że ich konstrukcja neurochemiczna pozwala im przeżyć najlepiej zbadany przez naukę rodzaj miłości – miłość od pierwszego wejrzenia.

Tak na marginesie, astrologia to jedyna dziedzina, co do której nie ma zgody pomiędzy mną a Richardem Dawkinsem. To wcale nie żaden bełkot, tylko nauka, która rządzi się innymi prawami niż nauka współczesna. To, że nie potrafimy jeszcze zgłębić geometrycznych zależności między planetami, nie znaczy, że powinniśmy lekceważyć ich wpływ na neurochemię i/lub splątane ludzkie losy.

W każdej innej dziedzinie zgadzamy się z Richardem co do joty.

Wadą Ryb jest neurotyczna wręcz lojalność. Gdy już znajdą tego jedynego/tę jedyną (albo tak im się wydaje), ich wierność graniczy ze służalczością. Bardzo rzadko zdarzają im się skoki w bok.

Przyglądam się uważnie zdjęciu na okładce „Time Out New York”, czasopisma, które dostałam od Alice w barze hotelowym. Scott śpiewa, spoglądając w obiektyw aparatu. Jedna dłoń otula mikrofon, druga jest uniesiona, jakby właśnie rozpinał w powietrzu wyjątkowo aksamitne nuty.

Przypatruję się uniesionej dłoni Scotta. Jest owalna, a palce mniej więcej równej długości – mierzę je przy użyciu zapałki. Są też długie i giętke – wystarczy spojrzeć, jak mały palec wygina się delikatnie ku górze. Scott to nie tylko znak żywiołu wody; ma także dłoń w typie wody.

Podwójny fart.

Osoby, które mają dłonie w typie wody, są niezwykle uzdolnione artystycznie, artyści zaś łatwo ulegają emocjom, nie umieją sobie radzić ze stresem i kierują się w życiu uczuciami. Innymi słowy, są postrzeleni, a postrzelonych facetów najłatwiej uwieść.

Klaszczę jak głupia, bo przecież tylko oglądam jego dłoń. Ale radość trzeba czerpać z czego się da.

Podeksytowana do użytku zaprzęgam metoposkopię, znaną też jako chińska sztuka odgadywania charakteru człowieka z rysów twarzy.

Linia włosów jest niezwykle istotna. Chińczycy nazywają ją „wpływem matki”. Największym darem, jaki może przekazać dziecku matka, jest zrozumienie zasad rządzących społeczeństwem – umiejętność dogadzania innym i prezentowania się od jak najlepszej strony. Jako biolożka ewolucyjna mogę to potwierdzić: obycie towarzyskie to jedno z najważniejszych narzędzi przetrwania.

Sęk w tym, że wpływ matki powinien być wyważony.

Jeżeli przekazuje ona swoje opinie w sposób autorytarny i ma jasno sprecyzowane zdanie na temat tego, jakie powinno być jej dziecko, minie wiele czasu, zanim potomek zdoła odkryć swoje prawdziwe powołanie. Perspektywa matki utrwała się w jego psychice, a jej wpływ oddziałuje na niego jeszcze długo po tym, jak wyfrunie z gniazda.

Dziecko opresyjnej matki będzie miało pięknie zaokrągloną linię włosów. Żadnych przerzedzeń, żadnych nierówności, ponieważ nigdy nie wolno mu było mieć własnego zdania.

Linia włosów Scotta Delaneya tworzy najdoskonalszy łuk, jaki kiedykolwiek widziałam. Ich krawędź jest gładka niczym sierp księżycy.

Przypominam sobie, że wcześniej rozpoczął karierę. W wieku piętnastu lat przestał być nikomu nieznanym chłopakiem z Irlandii. Miejsce matki zajęli agenci – może to oni wycięli mu na czole ten idealny łuk.

Stanowczym gestem zamykam laptop i rozmyślając o swoim jutrzejszym przebraniu, przyglądam niesforne kosmyki na skroniach.

## **Betty Blue**

Wtorek. Dzień drugi Operacji Delaneya.

Godzina szósta rano.

Michael dociera nad Regent's Canal wcześniej ode mnie. Wygląda na zmęczonego, lecz uszczęśliwionego – choć dzieli nas jakieś sześć metrów, woła stłumionym głosem:

– Nosi trampki w rozmiarze 10!

Dopadam mojego brata i obejmuję go ospale, usiłując umościć głowę między jego mięśniami piersiowymi. Czuję się tak, jakbym po obu stronach miała cegły, a jednak mogłabym tam zasnąć, w szczelinie między tymi dwiema bułami, kołysana miarowym i przewidywalnym rytmem jego serca.

– Przez całą noc myślałeś o trampkach Delaneya? – mamrocze w jego koszulkę.

– Przez większość nocy – przyznaje. Ramiona zwisają mu nieruchomo po bokach.

Chciałabym, żeby mnie przytulił. Jednak gdyby to zrobił, nie byłby sobą, Michałem, jakiego znam. To nie fair narzucać komuś o odmiennej konstrukcji

psychicznej normy obowiązującej etykiety, więc tylko nasłuchuję uderzeń jego serca i udaję, że ono wyśpiewuje moje imię.

Michael grzebie w kieszeni i wyciąga monetę.

– Leżała na tylnej oponie – mówi.

– Czyli nasz obiekt nigdzie nie wyjeżdżał. Świetnie. – Daję mu kuksańca w ślepi kieszki. – Punktualny i znakomicie zorganizowany. Wiedziałam, że będzie z ciebie pierwszorzędny Norweg.

Sztuczka z monetą na oponie to klasyczna metoda detektywistyczna. Często z niej korzystam w sprawach o zdradę. Lokalne władze też to robią, chociaż ich cel jest zgoła odmienny: chodzi o zdziśiatkowanie rzeszy ludzi podających się za rodziców samotnie wychowujących dzieci. Oto typowy przykład:

Kochanek podjeżdża autem pod dom rzekomej samotnej matki. O północy śledczy kładzie na oponie jego samochodu monetę. Nazajutrz o szóstej rano wraca i jeśli moneta jest na miejscu, to formalnie rzecz biorąc, kochanek nadużył gościnności gospodyni. Wystarczy, że ta sytuacja powtórzy się trzy razy w ciągu tygodnia, i bingo! Lokalne władze mogą odebrać samotnemu rodzicowi zapomogę, posłać go do więzienia, a dzieci oddać pod opiekę rodziny zastępczej. Słowo o wyłudzeniach świadczeń socjalnych: zbyt częste bzykanko równa się konkubinatowi, a konkubinat oznacza, że jest się finansowo odpowiedzialnym za potomstwo innego mężczyzny. Odbieram od Michaela swoją dwupensówkę i chowam ją głęboko do kieszeni dzinsów. Ta moneta symbolizuje skrajne nieszczęście – wszystko, o czym chciałabym zapomnieć. Latami próbowałam ją zgubić, rzecz jasna przypadkiem, bo nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdybym celowo ją gdzieś zapodziała. Dzisiaj jednak sprawy mają się nieco inaczej. Nie zależy mi już tak bardzo, aby z powrotem trafiła tam, skąd się pojawiła – do Strefy Mroku w Mennicy Królewskiej. Może to dlatego, że wszystko się zmieniło i śledzi mnie rodzona matka.

– Miejmy nadzieję, że dziś dopisze nam szczęście – mówię, podczas gdy Michael poprawia mi beret, aby jego zaokrąglony brzeg znajdował się w równej odległości od moich brwi. – Ma być przekrzywiony – informuję go. – Przecież jestem Francuzką.

– Wiem.

Teraz poprawia mi wystającą spod beretu kasztanową perukę. Lubi, kiedy wszystko jest równe i poukładane, jak nasza matka.

Wskazuję jego dzinsy.

– To spodnie taty?

– Tak.

Koszulka Michaela, bordowy T-shirt marki Fruit of the Loom, z całą pewnością jest własnością taty. Na jego nosie zauważam okulary o kwadratowych szklach bez oprawki.

– *Bravo, très norvégien.*

– Chodziło mi o aseksualny styl skandynawski. – Dostrzegam autentyczny błysk w jego oku, co w przypadku Michaela zdarza się niezwykle rzadko. Przez chwilę wygląda, jakby wychodził ze śpiączki. W takich momentach mam wrażenie, że widzę mojego brata takim, jakim mógłby być, gdyby nie jakieś cholerne zaburzenie neurorozwojowe.

Rozpromieniam się.

– Skąd wytrzasnąłeś te okulary?

On też promienieje.

– Pożyczyłem od Sébastiena.

– Są wstrętne – rzucam oschle.

Naraz wstrząsa mną dreszcz. To moje synapsy; znowu wibrują. Niewykluczone, że ostrzegawczy głos intuicji, który słyszałam poprzedniego dnia, nie był wcale pomyłką – po prostu odezwał się za wcześnie, co ma zresztą sens. Jestem Rakiem, a to znaczy, że cechuje mnie brak cierpliwości. Desmond Morris mógłby do tego dodać, iż zbyt rzadkie posługiwanie się szóstym zmysłem sprawia, że czasami mechanizm zwyczajnie się rozregulowuje.

Na lunch idę prosto do Café Laville, skąd, sącąc latte, obserwuję Maida Vale. W istocie jednak wypatruję Poety, gdyż prześladowcy tacy jak on są niewiarygodnie romantyczni tylko wtedy, gdy pozostają wytworem wyobraźni. Jedyne wyjątki stanowią prześladowcy będący naszymi bratnimi duszami.

Mój taki nie jest. Patrzył na mnie wzrokiem Roberta Mugabe. Cieszę się ogromnie, stwierdzając, że nie ma go w pobliżu.

Po dwudziestu minutach działalności kontrwywiadowczej odbieram telefon od Michaela.

Sprawa nr 0135/Operacja Delaney.

Wtorek, 1 lipca.

Godzina 6 rano. Początek obserwacji.

Godzina 16.01. Obiekt wyszedł z domu przy Blomfield Road, W2. Podeszedł do swojego samochodu i otworzył drzwi po stronie pasażera. Wyjął ze skrytki płytę kompaktową. Miał na sobie polarowy dres Nike w kolorze gołębic, rozmiar L, trampki Adidas Vintage Turf, rozmiar 10, i czapkę bejsbolową 59Fifty LA, dostępną w jednym rozmiarze. Następnie wrócił do domu.

Godzina 20.23. Zapaliło się światło w salonie od frontu.

Godzina 22.55. Światło w salonie od frontu zgasło.

Godzina 22.56. Zapaliło się światło w holu na piętrze.

Godzina 22.59. Światło w holu na piętrze zgasło.

Godzina 23.30. Koniec obserwacji.

Podsumowanie drugiego dnia obserwacji:

Ani śladu Poety. Brak nowych informacji o Scotcie Delaney, dzięki którym



mogłabym przeniknąć do jego życia. Wracam do domu o 23.58 i zastaję mieszkanie w takim stanie, w jakim je zostawiłam. Nikt nie wsunął żadnej tajemniczej korespondencji przez szparę pod drzwiami. Matka najwyraźniej nie zmieniła się w gaz i nie dostała się do środka przez zamknięte okno. Nic w mieszkaniu nie zostało poruszone, choćby minimalnie. Nikt nie skasował historii wyszukiwania w moim komputerze ani nie oglądał moich zdjęć – zwłaszcza tego, na którym jesteśmy we trójkę z Michaeliem i tatą, zrobionego na wakacjach w Bideford, kiedy miałam dwanaście lat.

Otwieram skrzynkę pocztową, ale nie znajduję w niej e-maili z kuponami zniżkowymi z Pizza Express. Żaden nigeryjski książę nie potrzebuje mojej pomocy w wydostaniu milionów ze swego konta w brytyjskim banku. Organizacja Cancer Research nie informuje mnie, że dzięki kobietom takim jak ja zebrała już czterysta milionów funtów ani że jestem etycznie zobligowana do uczestnictwa w jakimś marszu, truchcie albo biegu, aby zapewnić przetrwanie naszej słabej płci. Jedyne pięć kilometrów, żeby pokonać raka – tyle co spacer w tę i z powrotem po Oxford Street.

No dobra. Mogę być z wami szczerą?

Bez wahania odmówiłabym wsparcia każdemu, kto miałby do pokonania odległość równą godzinnej rundce po sklepach. Odparłabym, żeby się bardziej wysilili. Ostatecznie taki spacer to nie maraton. Osobiście zależałoby mi na wyniku. Spacer czy marsz charytatywny to poroniony pomysł, odbiera powagę całemu przedsięwzięciu. Zupełnie jakby płaciło się ludziom za oddychanie albo oglądanie telewizji śniadaniowej, albo za to, że istnieją w czterowymiarowej czasoprzestrzeni.

Rozważam, czy na pocieszenie nie pobawić się swoją muszelką, ale przypominam sobie, że nazajutrz o wpół do jedenastej mam spotkanie z trenerem rozwoju osobistego. Wygląda to tak: ja się wywnętrzam, a on mówi mi, jak żyć. Podobnie jak w normalnym związku, tyle że za poradę trzeba płacić. Podczas ostatniej sesji rozmawialiśmy o teleturnieju *Mastermind* i o tym, jaką dziedzinę bym wybrała. Odparłam, że mężczyzn, bo to najprostszy temat. Doktor Malik miał odmienne zdanie w tej kwestii: skoro taka ze mnie specjalistka, to dlaczego mam trzydzieści trzy lata i już dwa rozwody za sobą, a na horyzoncie nie majaczy choćby cień potencjalnego chłopaka?

Nie płacę mu za to, żeby się ze mną cackał.

Wysłałam mu e-mail, żeby odwołać jutrzejsze spotkanie, i skoro już siedzę przy komputerze, piszę do Alice meldunek z dzisiejszej obserwacji z prośbą o przelew kolejnych środków.

Niemal natychmiast w mojej skrzynce pojawia się nowa wiadomość. Zwieszam markotnie głowę.

Jestem prawdziwą profesjonalistką, ale nie mam ochoty czytać e-maila od

Alice, która na pewno jest potwornie rozchwiana emocjonalnie. Przez cały dzień wpatruje się w swoją skrzynkę odbiorczą, a kiedy wreszcie przychodzi meldunek, jej serce wali jak młotem, dopóki go nie przeczyta i nie przekona się, że – przynajmniej do tej pory – jej chłopak pozostaje jej wierny.

Powinna poczuć ulgę, ale jej nie czuje. Meldunek jest żenująco skąpy. Alice płaci mi tyle, że spodziewa się pewnie reportażu z zaprawianej narkotykami orgii. To znaczy, nie pragnie zaprawianej narkotykami orgii, tylko chce wiedzieć, że dobrze wydała swoje pieniądze. Z pewnością zasypie mnie teraz milionem bezsensownych pytań. Czy żaluzje były opuszczone do połowy, czy w trzech czwartych? Czy listonosz przyszedł raz, czy dwa razy? Jak się ma rododendron, ten na lewo od werandy?

Na szczęście wiadomość nie pochodzi od Alice.

Re: Zaginiony przyjaciel

Wtorek 1/7/14, godz. 23:38

Od: tarikma68@yahoo.co.uk

Do: info@londonpiseservices.uk.net

Szanowni Państwo,

Mój przyjaciel już nie w Libii. Źródło informuje, że pojechał do Brazylii.

Z poważaniem,

Tarik Mohammad Amazigh

Kręcę głową z politowaniem. Co za człowiek z tego Tarika Mohammada Amazigha! Odpisuję i ponownie kulturalnie odmawiam. Po raz ostatni wyjaśniam, do kogo powinien się zwrócić, bo wiem, jak to jest poszukiwać zaginionego przyjaciela. Prawdziwi przyjaciele, tak jak prawdziwa miłość i gówniane szczęśliwe zakończenia rodem z telewizji, nieczęsto się zdarzają.

Mam wrażenie, że to jakiś film.

Luke Birmingham jest w moim pokoju na kampusie uniwersyteckim.

Siedzę na pojedynczym łóżku. On siedzi na wprost mnie na krześle przy biurku i popala skręta. Nad jego głową na ścianie z żużlobetonowych pustaków wisi plakat z filmu *Betty Blue*, przyklejony plastyczną masą mocującą.

Już sam ten widok jest tak przejmujący, że zapiera mi dech w piersiach.

Zbieram pozytywne wibracje od Beatrice Dalle i w ogóle z całego tego filmu, bo naprzeciwko mnie siedzi chyba najprzystojniejszy chłopak, jaki dotychczas chodził po ziemi.

Tytułowa Betty z *Betty Blue* to zaburzona psychicznie maniaczka seksualna, ale – o rety – ma babka fantazję. Jeśli kiedykolwiek zaliczę trzecią bazę, będę musiała wziąć z niej przykład.

– To poddziedzina biologii – wyjaśniam Luke'owi Birminghamowi.

A on odpowiada:

– Fascynujące, Flo – i mówi to całkiem serio. Wiem, bo znakomicie odczytuję mowę ciała; o jego entuzjazmie świadczy to, jak się pochyla.

– Zasadniczo badam procesy ewolucyjne, które doprowadziły do powstania różnorodnych form życia na Ziemi. Pochodzenie gatunków. Szczególnie interesuje mnie ewolucja człowieka, rozumiesz, kwestie społeczno-kulturowe.

Nigdy dotąd nie paliłam trawy, ale kiedy Luke mnie częstuje, biorę skręta i się zaciągam, tylko raz i o wiele za szybko, jakby to była trucizna.

Nie mam zbyt bogatych doświadczeń, jeśli chodzi o chłopców, ale nawet ja wyczuwam, że temat robi się nudny. Pora przestać gadać. Jednak ostatnie dwa miesiące były dla mnie prawdziwym objawieniem. Ewolucja jest w stanie odpowiedzieć na niemal każde pytanie dotyczące naszego życia emocjonalnego, co cholernie mnie ekscytuje. To jak psychoterapia dla naukowca – jasne, że nie mogę przestać o tym mówić, bo rzecz jest megaciekawa! Poza tym nie ma nic bardziej podniecającego niż widok faceta, który spija z twoich warg każde słowo, a to właśnie przez cały wieczór robi Luke Birmingham.

Luke Birmingham.

W szkole, jeszcze w Laurelbridge, figurował na pierwszym miejscu na listach marzeń wszystkich dziewczyn. I nic się pod tym względem nie zmieniło. Ale dziś wieczorem jest tutaj, za mną, w moim pokoju w akademiku, i zadaje mi mnóstwo pytań, kiwając z namysłem głową przy każdej odpowiedzi.

Pali ze mną skręta, co sprawia, że czuję się niesamowicie cool.

Zachowuje się tak, jakby widział mnie pierwszy raz w życiu. To najcudowniejsze uczucie pod słońcem, gdy wiemy, że ktoś nareszcie nas dostrzegł.

– W szkole zawsze byłaś bystra – mówi Luke, kiwając głową.

Wtóruję mu, bo to prawda.

– Mam niezaspokojony głód wiedzy.

Luke chichocze i klepie się po kolanie jak, dajmy na to, saksofonista, a ja czuję, że żyję.

Słowo o Luke’u Birminghamie: w szkole nie zdawał sobie sprawy z mojego istnienia, a co dopiero z moich postępów w nauce. W tamtych czasach byłam dla niego statystką. Dlaczego zresztą miałby mnie zauważać? Wokół niego zawsze kręciły się dziewczyny o grubszych, bardziej rozkosznych warkoczach. Takie, które zawsze podciągały w pasie swoje wyprane i wyprasowane szkolne spódniczki, żeby odsłonić opalone i ogolone nogi. Dziewczyny z piersiami, co już samo w sobie było spełnieniem pierwotnych nastoletnich marzeń – fakt z biologii ewolucyjnej, który poznałam na samym początku studiów.

Przechylałam głowę i patrzę na niego pytająco.

– Często bywasz na naszej uczelni. Częściej niż niektórzy studenci.

Luke wyrzuca wypalonego skręta przez okno, a ja wcale się nie martwię, że to mnie woźny może przypisać ten niedopałek.

– Odwiedzam kuzyna – odpowiada. – Studiuje tu medioznawstwo.  
– A co robisz, kiedy cię tu nie ma?  
– Inwestuję w fundusze wysokiego ryzyka.  
– Rany – mówię, bo tego bym się nie spodziewała. – Jakim cudem dziewiętnastolatek ma tyle kapitału, żeby go ryzykownie inwestować?

Luke zamyśla się, marszcząc brwi. Może zawsze tak robi, kiedy się nad czymś zastanawia, a może moje pytanie było niegrzeczne. Chyba zabrzmiało dość sceptycznie. Zerkam na Betty Blue. „Dość tego – mówi. – Jesteś teraz na uniwersytecie”. Ma rację – dawno już zaprzestałam dziecinnych gier.

Jeżeli czegoś się nauczyłam po wyjeździe z Dorset na Uniwersytet Winchester, to tego, że trzech rzeczy nie sposób długo ukrywać: Słońca, Księżycy i prawdy. To tekst mojej najlepszej przyjaciółki Olivii. No dobra, pierwszy powiedział to Budda, ale Olivia mi to powtórzyła, ponieważ dla niej wszystko obraca się wokół Prawdy rozumianej jako: „Bądź zawsze sobą”.

Z miejsca się zaprzyjaźniłyśmy, jeszcze podczas tygodnia adaptacyjnego. Olivia studiuje fizykę, więc z natury rzeczy podchodzi do wszystkiego bardzo racjonalnie.

Życie jest piękne.

Znalazłam przyjaciółkę, a teraz w moim pokoju siedzi Luke Birmingham i dokładnie w tej chwili patrzy na mnie tak, jakby nie mógł oderwać oczu.

To znaczy patrzył, dopóki nie zakwestionowałam jego zdolności inwestycyjnych.

– Zainteresowane osoby zapewniają mi pieniądze – odpowiada z powagą i zabiera się do zrobienia nowego skręta, powoli, jakby miał mi do przekazania niezwykle ważną informację. – Ci ludzie mają do mnie pełne zaufanie. – Kiwa głową.

Jego powaga sprawia, że chce mi się śmiać.

– Czyżbyś zakładał sektę?

Podnosi głowę znad foliowej torebki z trawką i uśmiecha się łobuzersko.

– A co, masz ochotę do nas dołączyć?

– Zależy, jak będzie wyglądał wasz manifest. – Wypada to po prostu fantastycznie. Chyba nigdy w życiu nie powiedziałam niczego równie inteligentnego.

Luke najwyraźniej jest pod wrażeniem, bo wstaje z krzesła i przysuwa dłoń do mojej twarzy.

Moje aorty pompują krew na wyścigi, a tętno słychać chyba na drugim końcu miasta. Odruchowo zamykam oczy, lecz zapominam ściągnąć wargi w uroczy dzióbek, jak to planowałam – i bardzo dobrze, bo Luke nie zwieńcza swoich manewrów pocałunkiem, tylko...

Strzepuje mi coś z nosa.

Chowam głowę w ramionach.

On tymczasem wraca na krzesło, sypie marihuanę na bibułkę i dalej nawija o swojej pracy.

– Projektuję teraz nowy rodzaj gry planszowej – mówi.

Moje policzki pokrywa zdradziecki purpurowy rumieniec; czuję się tak, jakby mnie napiętnowano gorącym żelazem.

Chryste, oby to była rżesa!

– To coś jak połączenie quizu z wiedzy ogólnej z teleturniejem *Jaka to melodia*, tyle że tematem przewodnim jest świat filmu.

Albo okruszek. Oby to był tylko okruszek chipsa z solą i octem, błagam! Dalekie to od ideału, ale i tak nieskończenie lepsze od najczarniejszego scenariusza.

– Mógłbym ją nazwać „Jaki to film?” – Luke macha ręką i wprawnym ruchem ślini krawędź bibułki. – To na razie tytuł roboczy. Zasadniczo chodzi o to, żeby odgadnąć tytuł filmu na podstawie reklamującego go hasła. Tę podstawową koncepcję można w ciekawy sposób rozbudowywać. Dodawać podkategorie, konkretne przedziały czasowe i gatunkowe, hasła z programów telewizyjnych. Możliwości są nieograniczone, sama rozumiesz...

– Zdjąłeś mi z nosa bobek? – pytam prosto z mostu, ponieważ to dla mnie bardzo ważne i nie zdołam się skupić na rozmowie, dopóki ta sprawa się nie wyjaśni.

Luke śmieje się głośno, jakby był w towarzystwie kumpli. Kiwa głową, uświadamiając sobie swoje *faux pas*, i zaciąga się głęboko skrętem.

– To miał być czuły gest. – Przerzywa i przez dłuższą chwilę spogląda mi prosto w oczy. – Po prostu chciałem cię dotknąć.

Policzki mi płoną – mogę się założyć o mój turystyczny telewizor, że wyglądam, jakbym miała zapalenie opon mózgowych.

– To dobrze. – Wskazuję palcem jego nos. – Bo ty masz zapchane obie dziurki.

Luke zamiera na ułamek sekundy, po czym wybucha gromkim śmiechem. Wtóruję mu i już po chwili ryczymy w najlepsze jak dwoje idiotów, jak bliscy kuzyni, którym lata rozłąki nie przeszkadzają mieć ubaw po pachy.

Śmiech przycicha co jakieś dziesięć sekund, gdy Luke dyskretnie wyciera nos; nie wyprowadzam go z błędu, bo wygląda przy tym tak bezbrinnie, że nie potrafię oderwać od niego oczu.

Przerzywam gwałtownie tę zabawę.

– „W Wietnamie nie wieje wiatr, to jest do bani” – rzucam.

Luke podaje mi skręta.

– Że co?

– *Pluton*. Tak brzmiało hasło reklamujące ten film<sup>2</sup>.

Luke dotyka policzków, jakbym była pierwszą kobietą, która go pokonała. A potem mówi:

– „Dorastali poza społeczeństwem. Nie szukali zwady. Chcieli tylko gdzieś przynależeć”.

Zaciągam się odważniej niż poprzednim razem. Tłumię kaszel i bębnię paznokciami w czoło, bo tytuł filmu mam na końcu języka.

– *Wyrzutki!* – krzyczy Luke.

Zanoszę się kaszlem i tupię nogą.

– Dlaczego to zrobiłeś? Już prawie zgadłam!

Usiłuję przypomnieć sobie naprędce inne hasła, ale przychodzą mi do głowy tylko banalne teksty w rodzaju: „A już myśleliście, że można wejść bezpiecznie do wody” albo: „W kosmosie nikt nie usłyszy twojego krzyku”.

Wyciągam rękę w triumfalnym geście.

– „Ile się trzeba namęczyć, żeby odpocząć”.

Luke całkowicie mnie ignoruje. Zamiast tego teatralnie kieruje pytanie do ściany za moimi plecami: – „Spotkali się tylko raz, ale to na zawsze odmieniło ich życie”? – Nie daje mi choćby milisekundy na zastanowienie i odpowiada: – *Klub winowajców!*

– Wiedziałam! Co to za zabawa, jeśli nie pozwalasz innym brać w niej udziału.

– *Wolny dzień Ferrisa Buellera!* – woła, bardzo z siebie zadowolony. – Ja odgadłem, czego dotyczyło twoje hasło.

Kopię go w kolano.

– Jakim cudem?

– Musisz mi wybaczyć. – Oddaje mi kopniaka. – Jesteśmy ulepieni z jednej gliny.

– To znaczy?

Biorę się pod bok jedną ręką, w drugiej unoszę skręta i robię minę Beatrice Dalle, wydymającej wargi na plakacie za plecami Luke’a.

– Jak mam to rozumieć?

– Jeśli coś mnie pasjonuje, mam na tym punkcie bzika.

Z perspektywy czasu uznaję, że zawdzięczam ten moment korzystnemu układowi gwiazd. Na razie wiem tylko, że to jedna z najbardziej romantycznych chwil w moim życiu.

Luke’owi oczy błyszczą – i to jak! Cała jego twarz zdaje się promieniować blaskiem.

Gdy wstaje, podchodzi i przyciąga mnie do siebie, mam wrażenie, że otacza go świetlista aura. Nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Autentycznie trzęsą mi się kolana, jednak on zręcznie mnie podtrzymuje. Jedną dłoń kładzie na moim policzku, drugą opiera w talii, nosem odgarnia mi z oczu kosmyk włosów.

Z bliska wygląda cudownie, zupełnie jak Matt Dillon.

Ciekawe, czy w głębi duszy boi się tak samo jak ja.

Kompletnie zapominam, jak bardzo należy posługiwać się językiem oraz po kilku głębokich pocałunkach powinniśmy przejść do żartobliwych cmoknięć. Kiedy przydarza się coś tak idealnego, mamy wrażenie, że dostaliśmy od życia gotowy scenariusz historii miłosnej. W tej scenie słynny Luke Birmingham całuje mnie, Florence Love, bystrą statystkę. I jest tak cudownie, jakbyśmy występowali w telewizji.

W programie, w którym ja mam stracić dziewictwo.

## Kazirodstwo jako tabu kulturowe

Środa. Dzień trzeci Operacji Delaney.

Godzina 08.23.

– Wiesz co, Michael? Podejdę do Scotta Delaneya tak samo jak do potencjalnego kandydata na męża.

Brat przygląda mi się znad okularów Sébastiena.

– Dziesięć minut temu stwierdziłaś, cytuję: „Michael, to najdurniejsza akcja, w jakiej brałam udział”.

Doskonale mnie naśladuje, ale powstrzymuję się z gratulacjami.

– Facet nie może bez przerwy siedzieć w domu. Kiedy wreszcie wyjdzie i zdołamy ustalić jakiś schemat jego działania, stanę się tajemnicza i nieuchwytna.

– To nie ma sensu.

– Tajemniczość to bardzo atrakcyjna cecha, mój drogi. Wręcz niezbędna, jeśli chce się mieć udany związek. – Wznoszę ostrzegawczo palec. – Nigdy nie bądź sobą.

Michael wygląda na autentycznie rozczarowanego.

Wzruszam ramionami.

– Na tym polega ewolucja, braciszku. To nie cynizm, tylko naukowe podejście.

– W takim razie co poszło nie tak z Lukiem? Jesteś taka cyniczna, a mimo to się z tobą rozwiódł.

Jedna z zasad, których Michael nie jest w stanie zapamiętać, brzmi: nigdy nie wymieniamy w rozmowach imienia ani nazwiska Luke’a. Poza tym Luke wcale się ze mną nie rozwiódł, tylko przeleciał moją najlepszą przyjaciółkę. Czegoś takiego nie można wybaczyć.

Biorę głęboki oddech. Na samą wzmiankę o Luke’u stado wściekłych wron zaczyna dziobać zawzięcie moje serce. Dzieje się tak za każdym razem.

– Mąż numer jeden to znakomity przykład. – Staram się mówić stanowczo. – Wtedy jeszcze nie byłam tajemnicza ze szkodą dla siebie.

Michael energicznie kiwa głową jak ktoś, kto wreszcie wszystko zrozumiał. A to nieprawda. Po prostu jest znudzony i chce, żebym się zamknęła.

Przed oczami staje mi twarz Sébastiena. Co prawda Sébastien to nie kobieta, nie jestem jednak pewna, czy to aby na pewno mężczyzna. Przypomina prototyp z horroru Ridleya Scotta o chodzących manekinach, które rezygnują z ruchomych stawów na rzecz nadzwyczaj ruchomych oczu dużego ssaka.

Wzdrygam się na tę myśl.

– To bardzo ciekawe, jacy ludzie nam się podobają.

– Rzeczywiście – potwierdza Michael. – W dawnych czasach mężczyźni



wybierali kobiety o wielkich waginach, bo to znaczyło, że mogą bezpiecznie rodzić dzieci jedno po drugim. – Gładzi się po brzuchu, jakby był w ciąży. – Zabiłbym za porządnego hamburgera.

Nie odrywając wzroku od drzwi wejściowych Delaneya, wciskam mu do ręki Pavarottiego (jak klasa średnia nazywa dziesiątaka).

– To było wówczas, gdy społeczeństwo interesowało się głównie płodnością i reprodukcją, Michael. W dzisiejszych czasach kobietom wystarczą subtelne ruchy biodrami. – Dokonuję praktycznej prezentacji, żeby mu przypomnieć, jak zmysłowo potrafię się poruszać.

– A teraz idź coś zjeść!

Ale jego już przy mnie nie ma.

Dobrze, że uczę go tych wszystkich rzeczy. Z kim innym miałby gadać? Na pewno nie z Sébastienem. Sébastien ma zbyt usztywnione rysy twarzy, aby móc formułować słowa. W dodatku naprawdę inteligentni ludzie nie depilują się tylko po to, żeby domalowywać sobie włosy na głowie.

Kiedy Michael wraca, robię mu szybki sprawdzian.

Niestety, poziom cukru w jego krwi zdążył już opaść.

– Przecież ja to wszystko wiem – wzdycha znużony.

– Potraktujmy to jak kurs powtórkowy. – Energicznie klaszczę w dłonie. – No dalej, najważniejsze etapy prowokacji to...?

Podpowiadam mu, podnosząc do góry cztery palce.

Michael recytuje jak maszyna:

– Obserwacja. Faza pierwsza. Faza druga. Skok na kasę.

– Obserwacja to podstawa. Zbieramy informację o poczynaniach obiektu, ale bez nawiązywania kontaktu wzrokowego, w przeciwnym razie...

– Gra jest skończona.

– Świetnie. Teraz opowiedz mi o fazie pierwszej.

Michael robi taką minę, jakby miał zaraz zemdleć.

– Przypadkowo wpadamy na obiekt.

– Nie dosłownie, braciszku, nie dosłownie wpadamy. Chodzi o to, żeby obiekt się nami zainteresował. A faza druga?

– Wpadamy na nasz obiekt po raz drugi. Nie dosłownie.

– Pora na delikatny flirt.

Michael kopniakiem posyła do kanału pustą butelkę po wodzie mineralnej. Następnie robi to samo z niedopałkami. I kamieniami.

Wreszcie kopie powietrze.

– A jak wygląda skok na kasę? – przywołuję go do porządku.

– Obiekt nawiązuje kontakt, bla, bla, bla. Umawiacie się, ty przychodzisz spóźniona. Wyglądasz seksownie.

– Seksownie, ale w sposób wyrefinowany. Skup się, Michael.

– Jestem skupiony. Wijesz się jak striptizerka. Robisz ten swój test dotykowy. Całujesz go, ale tylko przez pięć sekund. – Wzdycha nagle z nieszczęśliwą miną; oczy ma smutne jak u psa. – Wiesz, próbowałem tego wszystkiego z Sébastienem, każdego z czterech etapów, Flo.

Moja odpowiedź powinna brzmieć: „Nie całuj go za każdym razem tylko przez pięć sekund. Spróbuj dziesięciosekundowego pocałunku, a później piętnastosekundowego”.

Jednak milczę, bo jest mi trochę głupio.

– Spróbuj to trochę urozmaicić – rzucam niezobowiązująco.

Po czym szybko zmieniam temat i ruchem głowy wskazuję biały pałacyk na drugim brzegu kanału.

– Ale ten się nam nie wywinie, prawda? – Parskam, jakby sukces był już przesądzony. – Scott Delaney nawet się nie zorientuje, co go trafiło. Obserwacja, dwa spotkania i będzie po nim. – Dotykam skrzydełka nosa, jakby tam zamieszkiwała moja intuicja.

– Mam dobre przeczucie. To się stanie dzisiaj. Patrz i ucz się.

Michael gapi się na mnie, jakbym to ja miała osobowość graniczną.

Sprawa nr 0135/Operacja Delaney.

Środa 2 lipca.

Godzina 6.00. Początek obserwacji.

Godzina 9.12. Przyszedł listonosz.

Godzina 20.34. Zapaliło się światło w salonie od frontu.

Godzina 22.55. Światło w salonie od frontu zgasło.

Godzina 22.56. Zapaliło się światło w holu na piętrze.

Godzina 22.59. Światło w holu na piętrze zgasło.

Godzina 23.30. Koniec obserwacji.

Po raz ostatni słowo o intuicji:

Naukowo rzecz ujmując, intuicją nazywamy sytuację, gdy minione doświadczenia oraz informacje z zewnątrz skłaniają nas do podjęcia decyzji na poziomie nieświadomym. Reagujemy wówczas bezmyślnie, nie zdając sobie sprawy, że nasza automatyczna reakcja jest wynikiem procesu logicznej kalkulacji.

Powtarzam: procesu logicznej kalkulacji.

Logika zaś nie gwarantuje stuprocentowej nieomyślności. Daje nam po prostu trochę większe szanse na to, że nie popełnimy błędu. Jak mawiał mój niezapomniany wujek Fergus: „Świat nie zawsze spełnia twoje oczekiwania, złotko”.

Wujek Fergus.

Ten to miał głowę na karku. I, jak sędzę, był pedofilem.

Mam ogromne wyrzuty sumienia – nie dlatego, że wujek Fergus pocałował mnie w usta, kiedy miałam sześć lat, tylko z powodu Alice. Trzeci dzień

obserwacji zbliża się do końca, a ja siedzę na materacu i podliczam, ile ta sprawa już ją kosztowała. Trzy i pół tysiąca funtów. Wychodzi na to, że za każde słowo z przesyłanych jej e-mailem meldunków liczę sobie dwanaście funtów i osiemdziesiąt pensów. Są dyktatorzy, którzy gorzej zarabiają.

Jedyne pocieszenie stanowi dla mnie myśl, że sama tego chciała. Gdyby wpuściła mnie do domu Scotta, mogłabym założyć podsłuch, co niezmiernie by mi pomogło. Zakładając, rzecz jasna, że to jej nazwisko widnieje na rachunkach za elektryczność.

Słowo przestrogi: kiedy instalujecie u kogoś podsłuch i kamery, najpierw uzyskajcie na to zgodę osoby, która płaci rachunki. Kradzież prądu jest przestępstwem. Umieszczenie pluskiew w sypialni obiektu już nie – co za ironia.

Opisując tego wieczoru brak postępów w swoim śledztwie, walę prosto z mostu. Koleś nie wystawia nosa z cholernego domu. O ile nie znajdę jakiegoś sposobu, żeby „przypadkowo” wpaść na tego pustelnika, Alice będzie dalej marnować pieniądze.

W odpowiedzi dostaję od niej piękny, serdeczny list. Błaga, żebym nie rezygnowała. Czytając, wyobrażam sobie jej cudowny głos i żałuję, że nie jestem równie elokwentna. Przypominam sobie historię o jej załamanym ojcu; jego życie legło w gruzach za sprawą bratniej duszy, kobiety, która okazała się zwykłą latawicą. Zastanawiam się, czy w innej rzeczywistości mogłybyśmy zostać z Alice przyjaciółkami.

Szybko przywołuję się do porządku.

Wiadomo, że po skończonej robocie zostanę natychmiast odstawiona na bocznicę; będę ostatnią osobą, której moja klientka chciałaby się wypłakiwać. Na początku prowokatorka zawsze czuje się potrzebna. Klientki powtarzają, że bez niej sobie nie poradzą. To zwykle pochlebstwa, nic więcej.

Wujek Fergus stale mi się przypochebiał...

Mówił, że jestem najładniejszą dziewczynką, jaką kiedykolwiek spotkał. Bzdura. Widziałam swoje zdjęcia: gil do pasa i przerośnięte jedyńki.

Chryste, od lat o nim nie myślałam.

Odsuwam laptop, biorę się do obcinania paznokci u nóg kuchennymi nożyczkami i po raz pierwszy od dziesięciu lat rozmyślam o zboczonym młodszym bracie swojego ojca.

Wujek Fergus zjawiał się u nas z okazji urodzin i świąt Bożego Narodzenia. Wparowywał nieproszony niczym baron narkotykowy, a wszyscy nieomal mu czapkowali. Osoby spoza rodziny zwykle nie wyczuwały napiętej atmosfery, ale ja byłam dzieckiem, zdolnym przeżywać świat wyłącznie w jego najczystszej postaci, nieskażonej hormonami ani doświadczeniem. Nawet teraz, gdy wracam myślą do jego odwiedzin, obraz naszego salonu jest w mojej wyobraźni zabarwiony na szaro niczym film z gatunku neo-noir, a my wszyscy toniemy w półmroku.

Spróbuję wam opisać wujka, choć przyznaję, że upływ czasu mógł zmienić jego postać w moich wspomnieniach w karykaturę: wyobraźcie sobie Johna Travoltę w *Gorączce sobotniej nocy*, tyle że tęgiego, z gęstym czarnym wąsem, sztuczną opalenizną i w ciemnych okularach

Pamiętam też inne rzeczy.

Wujek pachniał intensywnie wodą kolońską – w tamtych czasach był to widomy znak awansu społecznego, zwłaszcza gdy była to gatunkowa marka kupiona w prawdziwej drogerii, jak Kouros albo Aramis. Palił cygara przypominające tłuste, czarne paluchy, a jego oddech czuć było słodową whisky. Nosił też złoty sygnet, gruby złoty łańcuch, złotą bransoletę z identyfikatorem i miał złoty ząb. Nawet jego ford capri 3000E był w żółtawym, musztardowym kolorze.

Nigdy się nie ożenił, lecz był zdeklarowanym kobieciarzem. Sypał jak z rękawa barwnymi opowieściami o swoich podbojach sercowych, nie zważając przy tym na wiek słuchaczy. Byłam chyba za mała, żeby wszystko zrozumieć, ale wiem, że na pewno dokazywał ze stewardesami i konsultantkami Avonu.

Babcia kręciła wówczas głową z taką miną, jakby niepoprawne zachowanie jej syna było powodem do dumy.

Mama na wszelki wypadek śmiała się ze wszystkiego, co mówił.

Tatę natomiast niespodziewanie pochłaniały wtedy różne domowe zajęcia – wstawiał, żeby poprawić dywanik albo dosypać serowych kuleczek do salaterki.

A potem zdarzył się ten incydent z pocałunkiem i wujek Fergus przestał nas odwiedzać.

W sumie to dość niezwykle. Nie do wiary, że dotychczas tak mało o tym myślałam, o tym koszmarnym dniu sprzed dwudziestu siedmiu lat. Dorosły krewniak podstępem zmusił mnie do pocałunku w usta, gdy byłam dzieckiem – to naprawdę duża rzecz.

Przypuszczam jednak, że owo wydarzenie zatarło się w mojej pamięci, nie wytrzymawszy rywalizacji z większym koszmarem – zniknięciem mamy.

Nadal mam kuferek, który dostałam od wujka, co nagle wydaje mi się okropnie dziwne. Kuferek stoi na szafie, trzymam w nim sprzęt potrzebny do inwigilacji. Postanawiam sobie w duchu kupić nowy pojemnik.

To zaskakujące, lecz wspomnienie wujka Fergususa, tego cholernego pedofila, podsuwa mi genialny pomysł. Od razu dzwonię do Michaela.

– Pamiętasz wujka Fergususa? – pytam.

– Nie.

– Brata ojca.

– No tak – orientuje się. – Nie pamiętam.

– Byłeś wtedy mały. – Życie starszego dziecka jest takie samotne. –

Podsunał mi świetną myśl.

– Kiedy?

– Przed chwilą.

– Jest u ciebie?

– Nie. Myślałam o nim i od tego myślenia przyszło mi do głowy coś genialnego.

– Aha. – Słyszę, że się uśmiecha. – Zrozumiałem, że wujek Fergus podsunął ci świetną myśl.

Czasami najlepiej ignorować Michaela.

– Jutro ciąg dalszy obserwacji. Rozleniwiliśmy się, a ta sprawa wymaga nowej taktyki, więc przez pewien czas będziesz sam na posterunku. Dołączę do ciebie po lunchu.

Michael zaczyna biadolić, ale nie jestem w nastroju na fochy – wujek Fergus pocałował mnie, kiedy miałam sześć lat, więc czuję się zbrukana. Do tego podjęłam się zlecenia, które ślimaczy się jak żadne inne, a ja wychodzę na idiotkę. Poza tym chcę już skończyć tę rozmowę, pomyśleć o innych sprawach. Na przykład o tym, czy tata kiedykolwiek wspomniał mamie albo babci o skłonnościach wujka Fergusa do obmacywania małych dziewczynek. Czy gdyby to zrobił, życie wujka Fergusa jakoś by się zmieniło? Do czego by się posunął, żeby zamknąć ludziom usta, ugłaskać swoich najbliższych?

Oto co sama zrobiłabym na jego miejscu: wszystko, co tylko by mi kazano.

Mówię nieco zbyt szybko:

– Wiem, że ostatnie trzy dni okropnie ci się dłużyły, Michael, ale odtąd musimy być bardziej zdeterminowani i sprytniejsi. Widzę cię jutro z samego rana, gotowego do roboty. Bez gadania.

– Potrzebuję wolnego, Flo.

Wyciągam asa z rękawa.

– Michaelu Love, ani się waż leniuchować, do cholery. Jesteś mi coś winien.

Nie pyta, co mam na myśli. Wie, że jeśli zapyta, mam w zanadrzu gotową długą listę.

Burczy więc:

– Okej – a ja słyszę, że naprawdę ma dość.

Jeszcze nie wie, że jutro otrzyma niezwykle cenną lekcję. Dowie się mianowicie, że sporadyczne przekupstwo naprawdę się opłaca.

## Kolosalny błąd

Czwartek. Dzień czwarty Operacji Delaney.

Godzina 13.03.

Maeve patrzy na mnie błagalnym wzrokiem.

Je biznesowy lunch w restauracji The Square w Mayfair. Wparowałam do środka tanecznym krokiem, obojętnie mijając ochronę i szefa sali, którzy z mojej arogancji wywnioskowali, że jadłam tu codziennie. Teraz przyklękam obok Maeve.

– Wybaczcie mi, panowie i panie. – Uśmiech, który posyłam współbiednikom Maeve, wзира głównie z oczu, zmrużonych figlarnie, kokieteryjnie, co jest absolutnie niedopuszczalne w tym towarzystwie, w którym należy sobie zaskarbić sympatię żon.

Zwracam się do Maeve:

– Pogawędzimy?

Jej partnerzy w interesach przestali jeść, rozmawiać, nawet oddychać. Reakcja Maeve kompletnie mnie zaskakuje. Zwykle jest nieustraszona, lecz dziś przebojowość zastępuje dezorientacja. W milczeniu odkłada serwetkę i posłusznie kieruje się do wyjścia. Podążam za nią, kołysząc biodrami, świadoma, że pozostali gapią się na mój tyłek.

Słowo o niewierności: bizneswoman warta miliony odkłada serwetkę i posłusznie kieruje się do wyjścia wyłącznie w konfrontacji z byłą kochanką, o której istnieniu nikt nie powinien wiedzieć.

Naturalnie goście Maeve są zbyt wielkimi profesjonalistami, żeby plotkować, gdy ona wciąż może ich usłyszeć. Zaczną jednak szeptać natychmiast, gdy tylko opuścimy salę.

„A niech mnie, Maeve Rivers! Redaktor naczelna brukowca słynącego z żenujących wstępniaków, który wydatnie się przyczynił do przetrzebienia szeregów celebrytów, ma romans... z inną kobietą”.

Albo coś w tym stylu.

Możliwe też, że będą szeptać:

„Widzieliście tę babkę, z którą ma romans? Co za szprycha”.

Przepraszam, ale prawda wypowiedziana na głos często brzmi narcystycznie. Tym razem prawda jest taka, że jeśli chodzi o wygląd, to dzięki mnie Maeve Rivers trafiła do pierwszej ligi. Jeśli mam być szczerą, chyba to właśnie najbardziej mnie wkurza: że nigdy nie okazała dostatecznej wdzięczności.

Gdybym na przykład usidliła Scotta Delaneya, byłabym mu dozgonnie wdzięczna.

– W co ty, kurwa, pogrywasz? – syczy Maeve, gdy wychodzimy na ulicę. Zapala papierosa i zapomina mnie poczęstować.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– W tej chwili?

– Hm, właśnie.

– Nie chodzi chyba o tę przeklętą kasę?

Wyciągam z kieszeni kopertę i podaję ją Maeve.

– W środku są dwa tysiące funtów.

– Przecież mówiłam ci, że ich nie chcę.

– A ja ci mówiłam, że umowa to umowa.

– Zatrzymaj tę forszę.

– Nie.

– Wiesz co, Florence? Potraktuj to jako zapłatę. – Po jej wargach błąka się cień uśmiechu. – Zapłatę za wyświadczone usługi.

Nie muszę oceniać tego z perspektywy czasu; wiem tu i teraz, że Maeve Rivers właśnie strzeliła sobie w obie stopy z półautomatycznego pistoletu maszynowego. Chodziło mi tylko o drobną przysługę, jak to między przyjaciółkami, na tyle bliskimi, że bawiły się razem nago.

W moim gardle wzbiera groźny pomruk.

– Za wyświadczone usługi?

W odpowiedzi Maeve, bardzo z siebie zadowolona, unosi papierosa i podpira łokieć drugą dłonią niczym jakaś pieprzona Cruella de Mon albo inna Greta Grabo.

Myśli, że wygrała.

Wytrącam jej papierosa z ręki.

Śmieje się ze mnie, więc przysuwam się, aż prawie stykamy się twarzami.

– Nie jestem prostytutką, Maeve. Nie jestem też mężatką, która udaje kogoś innego, niż jest w rzeczywistości.

Ona się nie cofa.

– Jesteś lalunią *do* wynajęcia. W twoim zawodzie udawanie kogoś innego to podstawa.

Grunt to zachować spokój.

– Plan wygląda tak – mówię. – Skorzystam z twojej rady i sprzedam swoją historię, ale chcę, żebyś jako pierwsza poznała szczegóły. Wszyscy będą tym zainteresowani, i te ważniaki w środku, i twoi czytelnicy, całe osiem milionów. Właśnie tak, przysługa za przysługę.

Jej spojrzenie nabiera czujności.

– Jaką historię?

– Naszą, Maeve. Opowiem całemu światu, że jesteś lesbijką, która zdradza męża. W nagrodę będziesz mogła opisać moją karierę celebrytki z pipidowy.

– Szantażujesz mnie?

– *Moi?* Daj spokój. Przecież nie zostawiłabym w torebce włączonej kamery.

– Słucham?!

– Zwłaszcza że byłam taka zajęta. – Przytykam nos do jej nosa. – Patrzeniem, jak wylizujesz mi cipkę.

Nie zrozumcie mnie źle: nigdy nie zostawiłabym w torebce włączonej kamery podczas współżycia seksualnego. No chyba że byłby to element gry erotycznej prowadzonej za obopólną zgodą dwojga dorosłych ludzi.

– Oczywiście mogłam zapomnieć wyłączyć.

– Nagrywałaś nas?!

– Mam tony nagrań. Sama mówiłaś, że wydawcy lubią takie rzeczy.

– Ty odrażająca suko!

– To był zupełny przypadek, Maeve, za każdym razem, kiedy nas nagrywałam. Zwykle przeoczenie. Przysięgam na życie twojej matki. – Ze śmiechem szturcham ją w obojczyk. – Poznałam twoją matkę, pamiętasz? W porównaniu z jej homofobią Hitler wydaje się łagodny jak baranek. Miejmy nadzieję, że własnej córce okaże większą wyrozumiałość.

Maeve z nienawiścią mruży oczy.

Przechodzę do sedna.

– Muszę nawiązać kontakt ze Scottem Delaneyem. Na pewno figuruje w czyjejś książce adresowej – zapewne w twojej albo któregoś z twoich dziennikarzy. A ta wasza wtyka w show-biznesie? Na pewno robił z nim wywiad. Niedługo ma się ukazać nowa płyta Delaneya, składanka duetów nagranych z udziałem największych sław jazzu i legend popu. Delaney ma ją promować w Londynie. Nie mów mi, że nie napiszecie o tym w waszym niedzielnym dodatku.

Maeve wreszcie się cofa i wyjmuje kolejnego papierosa z paczki.

– Jak to sobie wyobrażasz, Florence? Ten swój kontakt ze Scottem Delaneyem?

– Patologiczny umysł, Maeve. Zawsze przypisywałaś sobie patologiczne skłonności, więc jeśli to nie była ściema, znajdziesz sposób, żebyśmy na siebie wpadli. – Wsuwam jej kopertę pod pachę. – Wystarczy mi przelotny kontakt. Wejdę i wyjdę. Nie zrobię nic, co naraziłoby ciebie albo jego na kłopoty. Wszystko absolutnie legalne, słowo. Potrzebuję tylko tej jednej przysługi. Niewykluczone, że później wyjadę z Londynu i zmienię zawód. Pojawiła się nowa możliwość, profilowanie kryminalistyczne... Twój sekret nie musi wyjść na jaw.

W pierwszej kolejności Maeve usiłuje ustalić fakty.

– Zamierzasz uwieść Scotta Delaneya? Chodzi o prowokację?

– Tego nie powiedziałam.

– W takim razie o co?

– Potrzebuję wejściówek na koncerty.

– Wolne żarty.

– Jak chcesz, ale pomyśl, jak będziesz wyglądała, kiedy sprzedam te



nagrania. Opinia publiczna na pewno zainteresuje się mną i moimi powiązaniem z twoją gazetą. Zaczną się pytania o poufne informacje, które mi przez lata przekazywałaś...

To przesądza sprawę. Głębokie zmarszczki na czole Maeve dobitnie świadczą o wadze moich pogroźek. Gwałtownie odgarnia włosy z twarzy, żeby letni lipcowy wietrzyk osuszył krople potu zbierające się na skroniach i u nasady karku.

– Nie pomogę ci. To porządny facet.

– Znasz go. To znakomicie.

– Najesz się wstydu.

– Wierz mi, że nie. Ani ja, ani ty. Czy kiedykolwiek okazałam się niedyskretna, gdy razem pracowałyśmy?

Nie może odpowiedzieć twierdząco.

– Gwarantujesz milczenie niezależnie od rezultatów?

– Umowa stoi.

Maeve Rivers to najtwardszy gracz, jakiego znam. W mgnieniu oka pot znika z jej twarzy. Bez względu na groźby świetnie zdaje sobie sprawę z tego, że moje szanse na uwiedzenia Scotta Delaneya są bliskie zeru. Za to bardzo łatwo mogę zniszczyć jej reputację, zarówno tę zawodową, jak i prywatną.

– Skąd mam wiedzieć, że mogę ci zaufać? – pyta rzeczowo. – Że nie wspomnisz mu o mnie, a kiedy już się z nim spotkasz, odpieprzysz się na zawsze?

Teraz moja kolej, żeby wysyczyć:

– Nigdy więcej mnie nie zobaczysz. Tym razem przysięgam na życie swojej matki.

Nigdy, przenigdy nie powiedziałam czegoś takiego. I Maeve dobrze o tym wie. Jej powieki drgają. Oddalam się. Nie płaczę. Maeve nie podbudowała mojej pewności siebie. Uważa, że się zbłąźnię. Mówiła też o „wyświadczonych usługach”.

Zadzieram podbródek i kołyszę biodrami, jakby moje życie od tego zależało.

– Tylko się nie ociągaj! – wołam, nie oglądając się za siebie. – Sprawa jest pilna. Na wczoraj.

Dzisiaj Michael udaje heteroseksualistę.

Siedzi na ławce szeroko rozkraczony i czyta magazyn „FHM”. Dosiadam się do niego. Nie zwracamy na siebie uwagi. Ze względów operacyjnych oraz z powodu mojego wyglądu musimy się zachowywać jak obcy ludzie.

Wyjmuję lusterko z torebki.

Ktoś mógłby pomyśleć, że całkowicie pochłania mnie nakładanie na wargi błyszcząca od Christiana Diora „Słodkie Jabłuszko” w odcieniu nr 178. W rzeczywistości wykorzystuję w tej chwili inną funkcję optyczną – widzenie obwodowe.

W moim przypadku jest ono doskonałe i wynika z wyższej niż przeciętna liczby receptorów na obrzeżach gałek ocznych. W tej kwestii niestety musicie uwierzyć mi na słowo. Mechanizm widzenia obwodowego trudno zbadać. Kiedy pokroi się gałkę oczną na plasterki i umieści je pod mikroskopem, traci się możliwość prześledzenia, w jaki sposób mózg przetwarza obrazy odbierane przez oko – to istny koszmar dla okulisty.

Siedząc na ławce i poprawiając makijaż, wyglądam jak prawniczka, która zrobiła sobie przerwę na lunch: ołówkowa spódnica w prążki, pantofle na niewysokim obcasie, cieliste rajstopy. Tym razem nie mam peruki i z dumą prezentuję własne włosy: lśniące i gładkie niczym czarny granit.

Przychodzę prosto z The Square i nie mogę zbyt długo tutaj zabawić. Dzisiaj nie robię za powietrze; każdy facet dwa razy się za mną obejrzy. Nie można sobie w tej chwili wyobrazić nic gorszego niż to, że Scott wychodzi wreszcie ze swego dobrowolnego więzienia i na ławce naprzeciwko dostrzega oszałamiającą prawniczkę.

Mamroczę do lusterka:

– Faza inwigilacji dobiegła końca, Michael. Właśnie zorganizowałam pierwszy kontakt. Możesz wracać do domu. Masz dzisiaj wolne, przyjacielu.

Mój brat wzdycha, przewraca kolejną stronę i odpowiada:

– Dzięki.

Nie oczekiwałam hawajskiej girlandy ani tablicy pamiątkowej, tylko odrobiny wdzięczności.

– Zapłacę ci za cały dzień – dodaje.

Dzięki receptorom na obrzeżach gałek ocznych dostrzegam, że Michael krzyżuje nogi i odwraca się nabzdyczony. Teraz mam przed sobą jego lewy pośladek. Zupełnie jakby mówił: „Gadaj do mojej dupy, bo nie zamierzam cię słuchać”.

– Jesteś na mnie obrażony?

– Nie – zwraca się do gazety.

– Mam nadzieję. Lepiej, żebyś się nie dąsał, bo nie wymagam od ciebie aż tak wiele, naprawdę. – Mój brat milczy. – Jesteś zmęczony i znudzony, trudno. Przyzwyczajaj się. Zmęczenie, rozczarowanie, tak to już jest na tym świecie. Nie mogę się z tobą wiecznie cackać.

Mogę natomiast przedstawić mu całą listę dowodów, że jestem fantastyczną siostrą.

– Razem z tatą płacimy za twoje mieszkanie, astronomiczne rachunki za telefon i za zakupy w delikatesach. Nawet ci nie mówię, żebyś kupował w dyskontach jak każdy, kto nie jest nadziany i nie ma regularnych dochodów. Wysłałam cię kiedykolwiek do dyskontu?

Michael uparcie milczy.

Podbijam stawkę.

– A kto cię uratował, kiedy przywiązali cię do barierki w szkole? No kto? Kto się bił, bił z dziećmi, które cię przezywały?

Faktycznie tak było, chociaż w walce wręcz okazywałam się lękliwa i nieśmiała – szkolni chuligani tylko jeszcze głośniejsze się śmiali. Mimo to próbowałam ich popychać i szarpać za włosy, bo serce mi krwawiło na widok Michaela, który tak bardzo się starał, żeby inni go polubili.

Oddawał im swoje kieszonkowe, własnoręcznie przygotowywał okolicznościowe kartki, w których prosił, żeby się z nim zaprzyjaźniono, piekł nawet cholerne ciasteczka. Mimo to dzieciaki nazywały go parową i ciotą. Rozmawiając z nim, udawały, że język nie mieści im się w ustach. A przecież nie był żadnym psycholem. Odstawał. Na wszystko reagował z pewnym opóźnieniem. Nigdy na przykład nie zrozumiał, że cynizm, szyderstwo i wyrachowanie bardziej mu się w życiu przydadzą niż dobroć i szczerłość.

Zamykam z trzaskiem lusterko, odwracam się i patrzę wprost na Michaela.

– A kiedy zafundowałeś sobie pierwszy w życiu wosk?

Pochyla głowę.

– Żadna siostra nie powinna tego oglądać. Mimo to siedziałam przy tobie, prawda?

Trafiony, zatopiony! Widzę, że jego twarz powoli przybiera skruszony wyraz.

– Wiesz, dlaczego się na to zgodziłam, Michael?

Poczucie winy rozsądza mu naczynia krwionośne i zabarwia twarz purpurą.

– Bo mnie potrzebowałeś.

– Pilnowałaś mnie – przyznaje cichutko.

– Ciebie, twoich pleców, jajek i rowka.

Nie łapie dowcipu i z powagą przytakuje, po czym kieruje kolana w moją stronę, unosi do góry mały palec i zgina go kilka razy. Tak robiliśmy w szkole podstawowej – spierałam się z nim, on przegrywał, a potem łączyliśmy małe palce u rąk i śpiewaliśmy: „Sztama, sztama, skończona drama”.

Tym razem jednak, zanim przyłożę palec do jego palca, kręcę głową z miną, która mówi: „Chyba jestem największą frajerką pod słońcem”.

– Przepraszam. – Michael zwiesza potężne ramiona.

– Hej, jesteś w porządku.

Ale widzę, że coś jest bardzo nie w porządku. Łzy napływają mu do oczu, a ja mam ochotę zacząć biegać w kółko, wezwać policję albo zatkać uszy palcami i nucić „la, la, laaa”, bo nie potrafię spokojnie patrzeć, jak mój brat płacze.

– Po prostu tak bardzo się na to cieszyłem, wiesz?

Ocieram mu szybko łzy.

– Na co się cieszyłeś, skarbie?

Chrząka, przygląda jasne włosy i teatralnie wskazuje mnie palcem.

– Skonsoliduj swój kredyt. Oferujemy przystępne miesięczne raty, dzięki czemu ty możesz żyć pełnią życia!

– To było dzisiaj? – szepczę.

– Dużo ćwiczyłem. Ale masz rację.

Jaką rację?! Z trudem powstrzymuję się od krzyku. Jak mogę mieć rację w czymkolwiek? Nie dzisiaj, kiedy miałeś wreszcie spełnić swoje marzenia!

– Możesz pójść na przesłuchanie w innym terminie? – Co za durne pytanie.

– Wzięli już kogoś innego.

„Michaelu Love, jesteś mi coś winien”. Pomyśleć, że powiedziałam to do człowieka, którego nauczyłam, że wszystko, co wychodzi z moich ust, jest święte.

Czuję gwałtowną potrzebę wynagrodzenia mu tej straty – tak przemożną, że całkowicie zapominam o wszelkiej ostrożności.

Słowo o ostrożności, bardzo ważne: kiedy masz poczucie winy – ogromne poczucie winy – trzymaj język za zębami. Otwierając usta, ulegasz samolubnemu odruchowi biologicznemu i gadaniem usiłujesz uciszyć wyrzuty sumienia. To jak zaspokojenie głodu nikotynowego. Skutki są jednak o wiele bardziej opłakane. Na swoją obronę mogę dodać, że poczucie winy odbiera mi zdolność logicznego myślenia.

Cholera, nie ma żadnego usprawiedliwienia dla tego, co właśnie robię.

– Nigdy nie zgadniesz, co się stało! – prawie wykrzykuję, bo przez jedną szaloną sekundę wydaje mi się, że w ten sposób poprawię mu humor. – Mama się do mnie odezwała.

Michael odmawia wyjścia z mieszkania.

Jego rozumowanie jest proste: skoro mama skontaktowała się ze mną, skontaktuje się i z nim. Oboje jesteśmy jej dziećmi, a przecież rodzice tak samo kochają swoje dzieci. To zupełnie naturalne, więc prędzej czy później włamie się również do niego. Nie wyprowadzam go z błędu.

Kiedy wygadałam się, że mama zostawiła mi kartkę urodzinową i może nawet myszkowała w mojej kawalerce – trochę posprzątała, szukała zdjęć w laptopie – musiałam zakryć mu usta dłonią, żeby nie zaczął głośno zawodzić.

Bo skoro mama mieszkała w niebie, to jak, do cholery, dostała się do zamkniętego mieszkania? No chyba że była prawdziwą, najprawdziwszą zjawą. A skoro moje tabletki nasenne zmieniły położenie, to znaczy, że nie była zwykłą zjawą, tylko poltergeistem.

Michael panicznie boi się zjawisk nadprzyrodzonych – nie dlatego, że go niepokoją, lecz dlatego, że ich nie rozumie. Rozumie, że istnieje Bóg – wielki dziadek w białej jak śnieg szacie, siedzący na obłoku z emerytowanym żydowskim cieślą po prawicy i duchem zwanym świętym po lewej stronie – ale zjawy? Wykluczone. Dla niego to o krok za daleko.

Gdyby chodziło o kogoś innego, zarekomendowałabym mu pouczającą lekturę. Na początek: *Bóg urojony*. Ale zespół Aspergera to nie żaden deficyt w komunikacji społecznej, tylko coś wręcz odwrotnego – chorobliwa nadwrażliwość na wszelkie przeżycia połączona z przemożną reakcją lękową na to, co nieznanne. Dlatego Michael woli sztywne zasady, prawdy absolutne i trzyma się religijnych stereotypów – to jego mechanizm samoobrony, sposób na przetrwanie, którego właśnie go pozbawiłam.

Po powrocie do jego mieszkania nalewam mu brandy i staram się wyjaśnić wszystko na spokojnie.

– Chyba po prostu zawsze mniej jednoznacznie traktowałam zniknięcie mamy.

– Tata powiedział, że umarła!

Tłumacząc coś Michaelowi, trzeba to ukazać z odpowiedniej perspektywy.

– Wiesz, że mam znakomite widzenie obwodowe, prawda?

Kiwa głową i odpowiada nieco dziecinnie:

– Jak pilot myśliwca.

– Albo sokół.

Obejmuje się mocno ramionami.

– Albo tamta dziewczynka w *Egzorcystcie*. Głowę obracała we wszystkie strony.

– To tylko efekty specjalne. – Chyba jednak przyjąłabym niewłaściwą perspektywę. – Tak czy inaczej, moje widzenie obwodowe jest znakomite, podczas gdy normalnych ludzi, takich jak ty, cechuje raczej widzenie tunelowe. Rozumiesz?

Michael niemal krzyczy: – Nie!

– To nie jest choroba.

– Wiem, co to jest.

– Nieprawda, nie wiesz. To część naszej ludzkiej natury. Tata i policjanci też tak mają. Widzenie tunelowe oznacza, że widzi się w pierwszej kolejności to, co mamy przed nosem.

– Wiem.

– Wybiera się wtedy najbardziej oczywistą odpowiedź. – Staram się znaleźć naprędce jakiś przykład. – O, weźmy taką sytuację: jeśli coś kwacze jak kaczka, pływa jak kaczka i wygląda jak kaczka, co to może być?

– Kaczka! – woła mój brat.

Rozkładałam ręce w geście triumfu. Udało mi się dowieść swego.

– Niestety, braciszku, nie zawsze jest tak prosto. Istnieje bowiem paradoks prawdopodobieństwa.

Jego wybałuszone oczy uświadamiają mi skalę popełnionego błędu. Widzę je w całości. Co mi strzeliło do głowy? Żeby tak nonszalancko palnąć: „Nigdy nie zgadniesz, co się stało. Mama się do mnie odezwała”. Jeśli chodzi o gafy – totalny

katakлизм w skali Richtera.

Moja komórka dzwoni.

– Muszę odebrać – mówię.

– Czy to mama?

– Nie, znajoma.

Chwytam telefon.

– Tak, Maeve?

Jak można się było spodziewać, spisała się na medal. Słyszę od niej, co następuje:

Spotkam się ze Scottem Delaneyem. W e-mailu Maeve prześle mi wszystkie szczegóły. W zamian jej reputacja nie zostanie zszargana, a ja, o ile dotrzymam słowa, wyjadę z Londynu w najbliższej przyszłości.

– Zgadza się – mówię i rozłączam się bez żadnego „świetna robota” ani „dziękuję”.

Bo wcale nie skaczę do góry z radości. Z czego się cieszyć? Surfuję na wielkiej fali gówna. Nie potrzebuję nowego brzemienia w postaci świadomości, że Maeve Rivers wcale mnie nie zna. Nigdy, przenigdy nie sprzedałabym naszej historii prasie, bo to byłoby poniżej mojej godności. Dotąd sądziłam, że Maeve dobrze o tym wie.

Poza tym skąd ta jej pewność, że nie zdołam uwieść Scotta? Nie ukrywała, że tak właśnie uważa. Widziałam to po jej minie.

– Co to była za znajoma? – Michael wpatruje się w mój telefon, a w jego wzroku maluje się tęsknota za ładem i porządkiem.

– Maeve Rivers, redaktor naczelna „Daily News”. Ta, która za bardzo się we mnie zakochała.

To mu wystarczy. Natomiast informacja, że mama żyje, burzy mu cały dotychczasowy obraz świata.

– Skoro ona nie umarła, Flo, to dlaczego nas zostawiła?

I wszystko zaczyna się od początku.

Oficjalne ustalenia w ramach policyjnego śledztwa: w ostatniej chwili przed próbą samobójczą mamę dopadły wątpliwości. Owszem, zdołała wydostać się z samochodu, później jednak znalazła inny sposób, aby odebrać sobie życie. Jej zwłok nie dało się odnaleźć – zabrała je rzeka albo leżą pod jakimś drzewem.

– Mama jest zakopana pod drzewem?

Cholera jasna, nie mam pojęcia!

– Może wstydziła się tej próby samobójczej, Michael. Może przeszła załamanie nerwowe. Może straciła pamięć. – Mogę wymyślać kolejne możliwości, lecz to tylko i wyłącznie przypuszczenia. Głaszczę jego dużą, delikatną twarz.

– Ale jedno pozostaje bezsporne...

Michael pochyla się do przodu. Oby to był dobry pomysł...

– Jeden bardzo konkretny fakt.

Po jego minie widzę, że pragnie usłyszeć coś, czego będzie mógł się uchwycić.

– Nikt, powtarzam, nikt nie znalazł dotąd jej zwłok.

Nie jestem pewna, czy już o tym wspominałam, ale poza intuicją i widzeniem obwodowym jestem również obdarzona refleksem meduzy. Meduzy potrafią wypuszczać jad z prędkością bliską prędkości światła. Teraz tak samo szybko porusza się moja dłoń. Ląduje na wargach Michaela, zanim on zdąży nabrać tchu i znów zacznie lamentować.

\* \* \*

Przegadaliśmy z Michaeliem wiele godzin.

Powoli jego lęk zaczyna ustępować. Po jakimś czasie obejmujemy się i chichoczymy razem z tej wariackiej historii. Późnym wieczorem nawet ja zapominam, że moje hipotezy – całutki ich tysiąc – są całkowicie wysrane z palca.

Michael nagle się odpręża, jego twarz przybiera cudowny wyraz i już, już zaczynam się cieszyć, gdy naraz oznajmia stanowczo:

– Chciałbym teraz zostać sam, Flo.

Tego jeszcze nie było – nigdy nie wypraszał mnie z domu, w dodatku z taką miną, jakby świetnie mógł się bez mnie obyć.

– Przynajmniej skoczmy razem coś zjeść – oponuję. – Musisz się odżywiać.

– A jeśli w tym czasie mama przyjdzie?

Serce mi się ściska.

– Skoro nie chcesz wychodzić, zaprosz przynajmniej Sébastiena. Towarzystwo dobrze ci zrobi. – Szukam portfela i daję mu trochę pieniędzy.

– Zamówcie sobie pizzę.

– Nie – odpowiada z powagą. – Mama jest trochę nieśmiała. Będzie wolała spotkać się ze mną sam na sam.

Ma rację – Bambi często czuła się nieswojo w towarzystwie nieznanym. Tylko jakim cudem on to pamięta? Ile mógł mieć wtedy lat, trzy?

Michael rozgląda się zadowolony po swoim nieskazitelnie czystym mieszkaniu.

– Muszę tylko szybko tu ogarnąć, tak na wszelki wypadek.

– Okej. W takim razie idę. Muszę dopiąć kilka spraw. – Biorę torebkę.

– Kiedy byłem mały, kładłem mamie głowę na kolanach – mówi Michael, poprawiając poduszki na sofie. – Opowiadała mi o małym Jezusku. Był z niego bardzo grzeczny chłopiec. Mama mówiła, że brał przykład ze mnie. Pamiętasz, jakie miała paznokcie? Okropnie długie. Wkładała je nam do uszu i nas łaskotała. Oto prawdziwa miłość – włożyć komuś palec do ucha.

Wracam od Michaela na piechotę, usiłując sobie przypomnieć, czy mnie mama też łaskotała w uszy. Łaskotała mnie bez przerwy, ale nie pamiętam, żeby

choć raz jej paznokcie znalazły się w moich uszach.

Jest północ.

Powinam złapać ostatnie metro, ale wybieram tętniące życiem nocne ulice – nadmiar bodźców to znakomite antidotum na poczucie winy; działa równie kojąco jak pieśń wieloryba.

Czerwień i żółć samochodowych świateł oraz ulicznych latarni. Błękit neonów nad wejściami do sklepów. Szkarłat, oranż i trawiasta zieleń sygnalizatorów ulicznych. Teatry z podświetlonymi jasno schodami – migocząca halogenami obietnica, kusząca niczym cyrkonia na wystawie u jubilera. Otępiająca zmysły kakofonia dźwięków. Pijackie rechoty, wesołe pokrzykiwania, wściekłe trąbienie wypełniają serce miasta, w którym samochody osobowe, autobusy, taksówki, piesi oraz rowerzyści zamieszkują tę samą przestrzeń. Podchmieleni, lubieżni faceci wołają za mną: „Ty, lala!”, podejmując nieudolne próby flirtu. Co innego samotne wilki – ci obserwują mnie ukradkiem, mogą nawet pójść za mną do domu.

Przyśpieszam kroku.

Lecz zaraz zmuszam się, żeby zwolnić, bo chociaż dawno wyrosłam z religijnych bzdur, czuję, że zasługuję dzisiaj na karę. Otrzymałam katolicki chrzest; zawsze pozostanie we mnie głęboko zakorzeniona potrzeba pokuty.



## Wstęp do sztuki prowokacji, porada nr 4:

### Bądź zabójczo atrakcyjna

Często zakłada się błędnie, że mężczyźni lecą na symetryczną twarz oraz seksapil, kobiety zaś, jako istoty bardziej intelektualne, skłaniają się ku uczciwości, poczuciu humoru oraz życzliwości.

Niezależnie od płci nie sposób stwierdzić na poziomie świadomości, co nas pociąga w drugim człowieku. Dowiodły tego eksperymenty z szybkimi randkami. Kobiety odrzucają w cholerę szlachetne ideały, gdy w grę wchodzi jedna istotna zmienna: możliwość wyboru. Mężczyźni dla odmiany z przyjemnością przelecą wszystko, co im się nawinie.

Fakt potwierdzony naukowo: mężczyźni nie są zbyt wybredni.

Temat do dyskusji: jak się wyróżnić w świecie, w którym upływ czasu, prawo doboru naturalnego oraz ewolucja stworzyły miliony wzorców zachowań godowych, głęboko zakodowanych w naszej psychice?

Trzeba być zabójczo atrakcyjną samicą. Nie da się tego osiągnąć na skrót, potrzebne są pogłębione studia.

Nie przyjęli cię na uniwersytet? Przeczytaj wszystko, co napisał Desmond Morris (*Naga kobieta* i *Zachowania intymne* to podstawa).

Nie lubisz czytać? W takim razie to branża nie dla ciebie. Tutaj kluczem jest wiedza. Zawsze.

## Neotenia

Sobota. Dzień szósty Operacji Delaney.

Re: sprawa małżeńska

Sobota 5/7/14, godz. 12:20

Od: info@londonpiseservices.uk.net

Do: asc345@hotmail.com

Witaj, Alice,

Mam nadzieję, że dobrze się bawisz w Toskanii.

Z radością informuję, że udało mi się zaaranżować spotkanie ze Scottem na dziś rano. Bądź spokojna – wszystko rozegra się bardzo naturalnie i spontanicznie, bez wzbudzania podejrzeń.

Jestem przekonana, że teraz wszystko szybko się potoczy.

Tymczasem rozkoszuj się tokańskimi krajobrazami, spuścizną artystyczną oraz wpływem jednego i drugiego na kulturę wysoką. To w Toskanii narodził się włoski renesans, tam też mieszkali i tworzyli tacy ludzie, jak Dante, Machiavelli oraz Puccini. Zachęcam Cię zatem do zwiedzania muzeów i degustacji tokańskich win. Jeśli mogę coś zaproponować, polecam *Vino Nobile di Montepulciano*, czerwone z aromatami wiśni i dojrzałej śliwki.

Uściski,

Londyńskie Biuro Usług Detektywistycznych

Teraz muszę się przygotować na pierwszą randkę ze Scottem „Scatem” Delaneyem.

Zauważcie, że mówię o „randce”. Właśnie tak należy podchodzić do najtrudniejszych prowokacji. Nie wszystkie przypadki wymagają aż takich subtelności. Jeśli chodzi o brzydkich facetów pokroju ministra de Groota, wystarczą głęboki dekolt, lubieżne spojrzenia oraz gwarancja całkowitej dyskrecji. Inni mężczyźni – zwłaszcza tak atrakcyjni i sławni jak Scott Delaney – wymagają dokładnego zastosowania metody Stanisławskiego.

Przygotowuję się zatem psychicznie do mojej randki – rozbudzam w sobie namiętność, korzystając z paru prawdziwych i kilku upięszonych wspomnień, wczuwam się w nastrój...

Scott Delaney.

Facet, którego widywałam w telewizji i na okładkach kolorowych czasopism. Jego muzyka jest stale obecna w moim życiu, niemal jak członek rodziny – taki, z którym w dodatku wolno wchodzić w fizyczną zażyłość. Tyle razy kochałam się przy tej muzyce, wtórowałam szlochem do słów śpiewanych aksamitnym głosem. Można powiedzieć, że piosenki Scotta robiły za podkład

dźwiękowy najbardziej przejmujących wydarzeń w moim życiu.

Jakaś część mnie ma w związku z tym nadzieję – wróć, „musi w to wierzyć” – że gdy się w końcu spotkamy, Scott Delaney także poczuje, że coś nas łączy.

Wyobrażam sobie, że jestem Kopciuszkim, tyle że bardzo pewnym siebie, z dyplomem z biologii ewolucyjnej i siedemdziesięciopięcioprocentową skutecznością w prowokacji, który stanął przed życiową szansą.

Rzecz w tym, że będę miała tylko chwilę, aby rozbudzić w nim poczucie wzajemnej bliskości.

Nie wolno go spłoszyć.

Nie wolno używać słów, które wyrażałyby, jak bardzo go pragnę.

Muszę wykorzystać bodźce podprogowe, aby wyrazić pożądanie.

Pewnie jesteście ciekawi, jak tego dokonam, u licha?

Ucieknę się do naukowo sprawdzonych sposobów.

Krok pierwszy: szybka wizyta w Tesco. Trzeba kupić mrożone bułeczki cynamonowe i upiec je przed wyjściem na randkę, żeby ich aromat zdążył przeniknąć ubranie, skórę oraz włosy. Cynamon pachnie identycznie jak kobiecy feromon płciowy androstenol.

Jeżeli wypieki to nie wasza bajka, spróbujecie skropić się perfumami z zapachem cynamonu i bergamotki w nucie głowy, akcentem wanilii w nucie serca i piżmem w nucie bazowej. Takie połączenie działa skuteczniej niż azotan amylu.

Przydatna rada: warto dostosować intensywność zapachu do pochodzenia etnicznego obiektu. Dla przykładu członków etiopskiego plemienia Daasanach do szału doprowadza nie woń cynamonu, tylko odór krów, kojarzony z płodnością i wysoką pozycją społeczną. Ich mężczyźni kąpią się w krowim moczu i nacierają łajnem. Kobiety dla odmiany pokrywają swoje ciała masłem, aby zwiększyć atrakcyjność seksualną. Nie dam głowy, że to skutkuje, bo nie próbowałam. Niemniej jednak w większości cywilizowanych społeczeństwach najlepiej sprawdza się cynamon.

Krok drugi: ubranie powinno być zbliżone odcieniem do ubarwienia okolic intymnych. Ja zawsze wybieram kolor brzoskwiniowy. Sprawdza się dla większości karnacji, dodaje skórze zdrowego kolorytu i emanuje niewinnością – brzoskwiniowy odcień mają genitalia dojrzewających dziewcząt.

Bezsporny fakt antropologiczny: nie chodzi o pedofilię, tylko o zjawisko zwane neotenią.

W wyniku ewolucji mężczyźni pociągają dziecięce cechy u kobiet. To nie ich wina, co więcej, właśnie dzięki temu przedstawicielom *Homo sapiens* udało się zasiedlić cały glob. Dziecięce cechy sprawiają, że mężczyźni pragnie chronić kobietę i troszczyć się o nią, jakby była jego potomstwem. Zjawisko to sprzyja związkom monogamicznym i to właśnie jemu zawdzięczamy przetrwanie naszego

gatunku aż do dzisiaj.

Dlatego kobiety zachowują w dorosłym życiu cechy dziecka.

Mężczyznom natomiast zostają dziecięce zachowania.

Bezsporny fakt antropologiczny: to żaden seksizm, tylko najprawdziwsza neotenia.

Przede wszystkim zaś mężczyznom pozostaje skłonność do podejmowania niepotrzebnego ryzyka. W rezultacie są piętnaście razy bardziej niezdarni niż kobiety. Częściej też wpadają na tak nedorzeczne pomysły jak porzucenie dobrej pracy dla kariery wynalazcy albo bruchomowcy. W takiej sytuacji kobiety gderają; ten sam mechanizm stosują, aby chronić potomstwo przed niebezpieczeństwem. Zjawisko to sprzyja związkom monogamicznym i to właśnie jemu zawdzięczamy przetrwanie naszego gatunku aż do dzisiaj.

Ale odbiegłam od tematu.

Gdy szykujemy prowokację, dobrze ubrać się pod kolor brzoskwiniowych genitaliów. A skoro już o tym mowa, facetów kręcą również inne dziecięce cechy u kobiet.

Oto dlaczego wprost szaleją z pożądania:

– Niższy wskaźnik podstawowej przemiany materii (tzn. pulchności i krągłości w okolicach bioder i piersi).

– Uszy jak u dziecka.

– Barwa głosu w skali sopranu (tzn. C4–C6, przy czym C4 to środkowe C).

– Duże oczy o bezbronnym spojrzeniu, rozstaw co najmniej 2,5 cm.

– Wywoskowana cipka.

Kolory, których należy unikać w trakcie prowokacji: czerwony, w tym odcienie burgunda i śliwki – w zasadzie wszystkie wchodzące w zakres długości fali 630–740 nm. W pierwszej chwili zakaz noszenia czerwieni może się wydać dziwny – przecież ten kolor jak żaden inny utożsamiany jest z seksem, grzechem, pożądaniem, namiętnością i niebezpieczeństwem. Pełna zgoda; właśnie najmniej zależy mi na roztaczaniu poczucia zagrożenia.

Wręcz przeciwnie: chcę, aby Scott Delaney czuł, że wygraną ma już w kieszeni.

Staram się na niego nie gapić.

Siedzi z przymkniętymi powiekami w fotelu trzy metry ode mnie, a jakaś kobieta nakłada mu podkład na policzki.

Jesteśmy w apartamencie prezydenckim hotelu Landmark w Marylebone. Pięćset pięćdziesiąt metrów kwadratowych luksusu, połacie marmuru, trzy telewizory z płaskimi ekranami, łazienka z dwuosobową wanną, garderoba oraz salon wielkości hotelowego baru. Coś fantastycznego.

Scott Delaney też jest fantastyczny.

Przyglądam mu się, korzystając z tego, że ma zamknięte oczy. Opiszę go

teraz najlepiej, jak potrafię:

Ma rozjaśnione słońcem brązowe włosy, lekko falujące. Ich długość może sugerować, że je zapuszcza, ale to nieprawda – każdy lok został starannie ułożony, aby miękko otulać jego uszy i kark. I co pewien czas opadać mu na oczy, jak u pięknej dziewczyny w chwili, gdy siada naga na mężczyźnie, a w jej rozognionym spojrzeniu maluje się cała gama erotycznych obietnic.

Scott nie jest wymuskany: ma zarośniętą twarz i niewyregulowane brwi i jest heteroseksualny jak etruski gladiator. Jednak fryzura – ten figlarny kosmyk, który co rusz delikatnie odgarnia z czoła – nadaje mu nieco androginiczny wygląd, który sprawia, że mam ochotę go przelecieć, tu i teraz.

Zahaczam łydki o nogi krzesła, na którym siedzę.

Jego zęby też nie ułatwiają sprawy, od razu można się w nich zadurzyć; są wybielone, rzecz jasna, ale z pewnością prawdziwe. Ma rozczulające lekko wystające jędrki, które nadają mu bezbronny wygląd. Nie potrafiłabym wskazać innej cechy, która byłaby silniejszym afrodyzjakiem.

Jakby tego było mało, Scott ma czoło, które marszczy niczym akordeon, gdy się uśmiecha lub czymś przejmuje; wygląda wówczas tak naturalnie i prostodusznie, że można by go jeść łyżkami. Takie czoło mówi, że gwiazdor światowego formatu docenia ciebie i twoje opinie. Akceptuje twój niższy status, bo nie zapomniał o własnych skromnych korzeniach. A niech mnie; ten sławny muzyk jest całkowicie naturalny i bezpretensjonalny. Nie potrafiłby ściemniać, nawet gdyby chciał.

Słowo o Scotcie Delaney: gość potrafi ściemniać. Robi to z powodzeniem, odkąd skończył piętnaście lat, odgrywając rolę wyznaczoną mu przez speców od PR-u.

Jednak w tej chwili wszystko mu wybaczam, bo – przywiążcie mnie do krzesła, w przeciwnym razie daję słowo, że zaraz zemdleję i upadnę na podłogę! – kiedy makijażystka kończy pracę i Scott ponownie otwiera powieki, muszę zacisnąć zęby, żeby zdławić cisnące się na usta westchnienie zachwytu. Jego oczy są elektryzująco błękitne, zupełnie jak u Jezusa.

W dodatku Scott odzywa się ciepłym głosem:

– Z tej płyty jestem szczególnie dumny. To składanka duetów nagranych z udziałem największych sław jazzu i legend popu.

Nie mówi tego do mnie. Zwraca się do Ricky’ego Harta, reportera z „Daily News”.

Ricky siedzi na krześle po mojej lewej stronie, pochylony do przodu, żeby broń Boże nie uronić ani sylaby. Mam ochotę powiedzieć mu, żeby zachował odrobinę godności. Chyba zdaje sobie sprawę, że Scott powtarza te same banały każdemu dziennikarzowi, którego przyjmuje dziś w tym pokoju? Po co się tak ślinić z wdzięczności?

Założę się jednak o swój kobiecey kondom, że sama też się ślinię. Ten facet zasługuje na wdzięczność przez sam fakt, że żyje.

Maeve załatwiła Scottowi ten apartament w ramach przyjacielskiej przysługi. Wyłazi ze skóry, żeby mieć jak najlepsze układy z gwiazdami największego formatu. W zamian za to pod koniec tej rundy wywiadów Ricky Hart może liczyć na wyłączność.

A jaka jest moja rola?

„Odbierzesz klucze z recepcji i zaprowadzisz Scotta do apartamentu – napisała Maeve w e-mailu. – Będziesz kimś w rodzaju portiera, w dodatku masz stamtąd natychmiast wypierdalać. W razie jakichkolwiek wątpliwości wyprę się znajomości z tobą”.

Co za szkoda, że człowiek zakochany automatycznie zakłada, iż wszystko kręci się wokół niego. Czy Maeve naprawdę się nie zorientowała, że uwielbiam improwizować?

– Cześć, jestem Isabella, koordynatorka.

Tak właśnie się przedstawiłam. Wszystkim: Scottowi Delaneyowi, jego asystentowi Harveyowi Cadwaladerowi oraz w sumie trzynastu umówionym dziennikarzom. Nikt nie zapytał, w czym imieniu i co koordynuję. Dziennikarze są przyzwyczajeni, że przegania się ich z miejsca na miejsce niczym stado owiec, a Scott oczekuje, że otoczenie zadba o jego komfort. Nie będę się krygować – całkowicie wczułam się w rolę. Jeżeli cokolwiek z tego dotrze do Maeve, moja była dowie się, że koordynatorka wykazała się patologicznym wręcz profesjonalizmem.

Patologicznym... Zaciskam zęby, żeby nie warczeć, chociaż moje rozczarowanie postawą Maeve rośnie z każdą godziną.

Do tej pory odbyło się trzynaście kolejnych wywiadów. Wyobrażam sobie, że tak muszą wyglądać szybkie randki w wykonaniu jakiegoś arabskiego szejka. Każdemu dziennikarzowi Delaney poświęcił dokładnie siedem minut swojego czasu. Z wyjątkiem pupila Maeve, rzecz jasna; Ricky Hart dostał piętnaście minut i czterdzieści trzy sekundy.

Wysłuchałam wszystkich wywiadów i oto, czego się dowiedziałam o Scotcie „Scacie” Delaney:

Niczego.

Tylko tego, że dziennikarzy zajmujących się rozrywką wyróżniają dwie rzeczy: dyplom Narodowego Centrum Szkolenia Dziennikarzy oraz niewiarygodna umiejętność kadzenia celebrytom.

Wkurzyli mnie. Dlaczego nie zapytali go o nic, co naprawdę interesuje zwykłych ludzi? Na przykład o to, czy Scott Delaney kiedykolwiek brał udział w orgietce we troje? Jak się nazywa najbrzydsza dziewczyna, z jaką się bzykał? Czy gdyby jego matka miała zostać zamordowana – gdyby groziła jej potworna

śmierć w długich i wymyślnych męczarniach, a on musiałby na to patrzeć, jedynym zaś sposobem, aby ocalić jej życie, byłoby się z nią *przespać*, to czy byłby gotów to zrobić? Opinię publiczną ciekawią odpowiedzi na takie właśnie niewygodne pytania.

Scott mógłby równie dobrze czytać z telepromptera. Niezależnie od pytania, wszystkie jego odpowiedzi były identyczne, a każda kolejna rozmowa – bezmyślną powtórką poprzedniej.

Omówiono następujące kwestie:

Praca z takimi tuzami jak Tony Bennett czy Robbie Williams była „olbrzymim zaszczytem”. Ulubionym kolorem Scotta jest zielony, a drugim w kolejności – pomarańczowy. Trzeci ulubiony kolor? Naturalnie biały – Scott jest bardzo dumny ze swoich korzeni. Ale nie tak jak nacjonaści z IRA. Kocha wszystkie religie, wyznania i narodowości, jest zagorzałym orędownikiem pokoju i harmonii na świecie, choć oczywiście największą słabość ma do irlandzkiej wsi, bo tam spędził wczesne lata życia. Jego dziadek oferował darmowe usługi ogrodnicze muzykom, aby pozwalali Scottowi występować z nimi na scenie.

„Pora wymyślić coś nowego” – odpowiadam w duchu.

Najważniejsza rzecz w jego życiu? Muzyka – tylko dzięki niej ma siłę wstać rano z łóżka i wykonywać ten szalony, cudowny zawód.

Dobra, dobra, ale czy zrobiłbyś to z własną mamą, żeby ocalić jej życie?

No i wiadomość wyłącznie dla Maeve oraz jej pracownika działu rozrywki:

Kiedy nadejdzie właściwy moment, owszem, bardzo chciałby się ustatkować, ożenić i mieć dzieci. Ta jedyna? Jeszcze jej nie spotkał.

Bła, bła, bła.

Mimo wszystko nagradzam tę rewelację serią przypochlebnych westchnień. Widzę, jak Scott wzrusza ramionami, udając zażenowanego tym, że opowiada dziennikarzowi o swoich osobistych sprawach. „Dzieci” budzą wszak oczywiste skojarzenia – to znaczy, że odbędzie stosunek z kobietą. A przynajmniej nie wyklucza, że w bliżej nieokreślonej przyszłości dojdzie do prokreacji.

Seks się sprzedaje, więc ta sensacyjna nowina trafi na pierwszą stronę dodatku niedzielного.

Jednak najważniejsze, czego się dziś nauczyłam, to to, że Maeve jest ostatnią kretynką. Odmawiając zatrudnienia mnie w charakterze dziennikarki, przepuściła życiową okazję. Załatwiłabym jej wywiad jak się patrzy, dodała własny komentarz i wydobyła smaczki, które inni dziennikarze zwyczajnie przegapili. Może i nie mam dyplomu z klepania banałów, za to jestem baczna obserwatorką rzeczywistości. Zauważyłam na przykład, że twarzą w twarz Scott absolutnie nie sprawia wrażenia człowieka cierpiącego na agorafobię. Bezbronność, którą emanuje za sprawą asymetrycznych zębów, jest intrygująca i wymagałaby dalszej naukowej analizy. Darwin z pewnością pochwaliby jego umiejętność zachowania

się w towarzystwie, a zwłaszcza ten talent, dzięki któremu wszyscy czują się przy nim wyjątkowi, chociaż absolutnie wyjątkowi nie są.

Żaden z pismaków, którzy się tutaj dzisiaj przewinęli, nie wpadłby na nic podobnego.

Żaden też nie napisałby potem: „Aż się człowiekowi chce przy nim rozebrać”. Ja bym napisała, a cały świat przyznałby mi rację. Ten facet jest przypuszczalnie najdoskonalszym stworzeniem, jakie w życiu widziałam. Co więcej, im dalej w las, tym bardziej mi zależy na tym, żeby – wbrew temu, że prawdopodobieństwo uwiedzenia Scotta Delaney’a jest w moim przypadku bliskie zera – w głębi ducha uznał mnie za choćby odrobinę atrakcyjną i interesującą.

Wywiady dobiegły końca.

Scott pociera twarz dłońmi.

– Muszę chapnąć kanapkę. Jest tu coś do jedzenia?

Harvey i ja spoglądamy na siebie. Trudno powiedzieć, do kogo z nas adresowane jest to pytanie. Postanawiam zaryzykować:

– Może pan dostać wszystko, na co ma pan ochotę.

Scott podnosi głowę i patrzy na nas oboje.

– Zamówmy coś do pokoju.

– Okej, ale nie kanapkę. – Harvey jest nieugięty.

– Człowieku, umieram z głodu!

– Dwa słowa, Scat: indeks glikemiczny.

Scat. Harvey nazwał go przy mnie „Scat”. Mam wrażenie, jakbym stała się członkinią tej ekipy. Piórko w moim tyłku zaczyna wibrować – udało mi się wdrzeć w krąg zaufania Scotta Delaney’a.

Scat. Scat. Scat. Scat...

– Macie w karcie coś z diety bezwęglowodanowej? – pyta mnie Harvey.

Jestem koordynatorką, a nie cholerną kelnerką, więc kiwam głową w stronę drzwi.

– Na korytarzu jest telefon.

Delaney nie przestaje narzekać:

– Od tygodni się nie wysypiam. Potrzebuję węglowodanów. Albo wódki z red bullem. Albo wiadra espresso.

– W porządku. – Harvey podnosi długopis i rysuje w powietrzu wymagowaną linię, która zamyka dalszą dyskusję. – Kanapka z szynką na pełnoziarnistym chlebie, ale bez masła.

– Odliczam już czas do twojego wylotu, Harvey.

– Lepiej zacznij liczyć owce, może wtedy wreszcie się zdrzemniesz. Tak czy inaczej, jesteś na mnie skazany jeszcze przez... – asystent spogląda na zegarek – dwadzieścia dziewięć godzin.

– A może po prostu cię wyleję?



– Obaj wiemy, że zginałbyś beze mnie.

Gdy Harvey wychodzi na korytarz, żeby zamówić jedzenie do pokoju, zauważam kilka szczegółów w związku z olbrzymim asystentem Scotta Delaneya.

Na przykład to, że idąc, kołysze się i odwraca bokiem, żeby przejść przez drzwi, chociaż ma sporo miejsca; że nogawki jego spodni są odrobinę przykrótkie; że chociaż zachowuje się trochę apodyktycznie, jest w gruncie rzeczy równie dobroduszny jak Bardzo Fajny Olbrzym albo Louis Armstrong.

Lecz co najważniejsze, widzę, że Harvey Cadwalader nie podlizuje się szefowi.

Idę więc w jego ślady.

Jak gdyby nigdy nic siadam naprzeciwko Scotta.

– Dokąd Harvey leci za dwadzieścia dziewięć godzin?

– Do Gujany. Spędzi miesiąc ze swoimi rodzicami.

– Rety, jak sobie bez niego poradzisz?

Nachyla się ku mnie konspiracyjnie.

– Będę się opychał tłuszczami nasyconymi.

Mam ochotę chichotać jak idiotka. Zamiast tego też się nachylam.

– Od jak dawna cierpisz na bezsenność?

Scott zmusza do wysiłku prawą półkulę mózgu, widać to gołym okiem.

– Od dwunastu lat, czterech miesięcy i trzech dni. Plus minus.

– Okazjonalnie czy chronicznie?

– Jedno i drugie.

Kręcę głową.

– To niemożliwe. Okazjonalna bezsenność pojawia się i znika, napady trwają góra do trzech tygodni. Chroniczna bezsenność ma charakter stały.

– No, to cierpię na obie. – Widzę, że kręci się niespokojnie, jakby siedział na rozżarzonych węglach. Wbija dwa palce w mięsień pośladkowy. – Do tego dochodzi jeszcze rwa kulszowa i zespół pasma biodrowo-piszczelowego.

Gdyby Bóg istniał, złapałabym Go za uszy i pocałowała w czoło – nie ma łatwiejszego celu niż hipochondryk. Niepotrzebne im dobre rady, tylko niesłabnąca litość. Jeśli o mnie chodzi, Scott może jej dostać w nadmiarze.

– Moja babcia mówi, że rwa kulszowa boli bardziej niż poród.

– To prawda – przytakuje Scott. – Ludzie nie są w stanie tego pojąć, dopóki sami nie pocują.

Zapada milczenie na co najwyżej dziesięć sekund, a jednak Scott robi wrażenie skrępowanego. Ogląda piegi na swoim przedramieniu – domyślam się, że szuka objawów raka skóry – po czym wykręca szyję w stronę drzwi, wypatrując powrotu Harveya niczym dziecko, które straciło matkę z oczu.

– Może bym się teraz zdrzemnął – mówi.

– Broń Boże – protestuję.

– Słucham?  
– Drzemki w ciągu dnia pogłębiają bezsenność.  
– Trudno – burczy. – Jestem padnięty jak koń po westernie. Normalnie wykończony.

Kiwam współczująco głową, bo widzę wylażące z niego każdym porem skóry rozdrażnienie. I nie jest to zwykle zdenerwowanie, tylko duża irytacja znana wyłącznie tym z nas, którzy nie dosypiają. Do diabła z rwą kulszową, rakiem skóry i porodem; Scott Delaney i ja cierpimy na najgorszą możliwą przypadłość. Nic dziwnego, że *Europejska konwencja praw człowieka* surowo zakazała pozbawiania ludzi snu jako metody tortur.

– Z bezsenności można umrzeć – mówię.

Scott dobrze o tym wie; wszyscy cierpiący na bezsenność o tym wiedzą – to brzemię, z którym musimy na co dzień żyć.

– Śmiertelna bezsenność rodzinna – przytakuje Scott.

Niewielu z nas zna ten termin, więc jestem pod wrażeniem.

– Czytałeś *Pozbawianie snu szcurów poprzez umieszczanie ich na obrotowym dysku* Rechtschaffena i Bergmanna?

Wybuchu śmiechem – prawdziwym, nie udawanym – a ja czuję się cudownie.

– Chyba przegapiłem – przyznaje.

Owszem, potrafię wychwycić sarkazm. Nie wiem za to, dlaczego odpowiadam:

– Mogę ci podrzucić egzemplarz, jeśli chcesz.

– Coś mi się wydaje, że po takiej lekturze spałbym jak zabity.

Chichoczę kokieteryjnie – jest to zupełnie niezamierzone, bo to dopiero nasz pierwszy kontakt. Kokieteryjne chichoty są ściśle zarezerwowane dla fazy drugiej. Rozpędziłam się, w dodatku nazbyt zmysłowo wyglądam fałdy spódnicy.

– Wydaje mi się, że na bezsenność najlepszy jest Tołstoj.

– Uwielbiam Tołstoja. – Scott przygląda się, jak pieszczę swoje uda.

Przypominam sobie o Harveyu i porzucam kokieterię.

– Bujasz.

– Naprawdę.

– Wszyscy mówią, że uwielbiają Tołstoja, bo chcą zgrywać intelektualistów.

– Pochyliłam się, żeby zetrzeć wymagowaną plamkę z buta. – Koleś jest nudny jak flaki z olejem.

Jeżeli wszystko idzie zgodnie z planem, Scott powinien teraz zajrzeć w mój dekolt.

– *Wojna i pokój* to moja ulubiona powieść – upiera się.

– Teraz już wiem, że kłamiesz.

– Wcale nie.

Podnoszę głowę i uśmiecham się szeroko.

– No to już mam.

– Co masz?

– Znalazłam twoją nieatrakcyjną cechę.

– Mów śmiało.

– *Wojna i pokój*. Rozwlekła, chaotyczna historia. Autor ewidentnie chciał za dużo zawrzeć w jednej książce – mówię z przekonaniem. – Lew Nikolajewicz Tołstoj musiał mieć ego wielkości Jowisza.

– Był bardzo religijny. Wpłynął na wielkich ludzi: Martina Luthera Kinga, Gandhiego...

Puszczam to mimo uszu, bo Tołstoj naprawdę działa mi na nerwy.

– Wiedziałam, że musi być z tobą coś nie tak, Scatcie Delaneyu – kpię.

– Cieszę się, że tylko to ci się we mnie nie podoba.

– Na pewno znalazłoby się coś jeszcze.

– Nie krępuj się. – Krzyżuje ramiona na piersi i uśmiecha się szeroko, autentycznie zaintrygowany.

Śmieję się. I zaraz przestaję. Mam problem: nie przychodzi mi do głowy nic poza jego agorafobią i uzależnieniem od gier wideo, o czym, rzecz jasna, nie wolno mi wspomnieć, bo bym się zdemaskowała.

– Na razie uwiera mnie tylko ten Tołstoj. Z drugiej strony wysłuchałam właśnie trzynastu wywiadów z tobą i wiesz co? Jesteś nieprzenikniony.

– Nieprzenikniony, tak?

– Uhm.

– Nieprzenikniony jak co?

A skąd mam to wiedzieć, do cholery?

– Jak sen innego człowieka? – To takie banalne, że aż kulę się w środku, lecz Scott w zadumie przechyla głowę.

– Nieprzenikniony jak sen innego człowieka. Piękne.

Dreszcz przebiega mi po kręgosłupie. Jego wymowa jest równie melodyjna jak wymowa jego potajemnej narzeczonej, słyhać w niej mieszankę akcentów z Cork i Los Angeles. W ustach Scotta Delaney'a „p” brzmi jak „b”.

– Biękne? – powtarzam.

– Tak. Napiszę piosenkę pod takim tytułem.

– Jakim? *Biękne*?

– Nie. *Nieprzenikniony jak sen innego człowieka*.

– Serio?

Po namyśle Scott kręci głową.

– Trochę to za długie jak na tytuł piosenki, ale sam tekst naprawdę mi się podoba.

Mogę jedynie przeprosić i przysiąc na życie najbliższych, że w ciągu dwóch

lat udanych prowokacji jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się coś podobnego. Na ułamek sekundy moja próżność została niezwykle mile połączona, a ja czuję się kompletnie zauroczona Scottem Delaneyem.

Kogo próbuję oszukiwać? Czuję się jak jego muza!

Scott wpatruje się w moją twarz odrobinę za długo.

– Zupełnie nie pamiętam, jak się nazywasz.

Wyciągam do niego rękę.

– Florence – mówię. – Florence Love.

Nie tylko podaję mu swoje prawdziwe nazwisko, ale też rzucam mu Spojrzenie.

Spojrzenie – (rzeczownik, rodzaj nijaki) kiedy oczy dwojga ludzi spotykają się na jedną niezwykłą chwilę, a ich dusze szepiąją się ze sobą niczym psy w rui.

Chyba się zgodzicie, że to fantastyczny moment! Ze wszystkich dziedzin kinezyki sztuka kontaktu wzrokowego jest najtrudniejsza do opanowania. Spojrzenie to zdecydowanie najpotężniejsza broń w moim arsenale.

Pozwólcie, że wyjaśnię wam podstawowe zasady.

Po pierwsze, należy zaakceptować siebie, a więc przyjąć, że to, jacy jesteśmy i co robimy, jest absolutnie wspaniałe, a nam należy się z tego powodu najwyższe uznanie. Taka pewność siebie przychodzi zwykle po dziesięcioleciach psychoterapii. W przypadku prowokacji nie trzeba w to jednak naprawdę wierzyć; wystarczy się wiarygodnie łudzić.

Po drugie, należy to złudzenie wyrazić wzrokiem. Skupić się i wypchnąć całą pewność siebie przez oczy. Przydatna rada: nie napinajcie się jak przy puszczaniu bąka. Zachowajcie idealny spokój. Przyjrzyjcie się, jak robi to prawdziwy mistrz – Steve McQueen w filmie *Afera Thomasa Crowna*. Fałszywa pewność siebie emanuje z jego oczu przez okrągłe sto dwie minuty i jest wręcz niewiarygodnie zmysłowa. Wzorem Steve’a warto zaangażować do tego mięśnie skośne dolnej gałki ocznej i dodać uśmiech Duchenne’a (taki, w którym napinane są zarówno mięśnie jarzmowe, jak i mięśnie okrężne oka).

A teraz przećwiczcie to przed lustrem.

Po trzecie, nie uciekając się do słów ani gestykulacji, należy sprawić, aby osoba siedząca naprzeciwko poczuła, że ma niesamowitą siłę przyciągania. Patrzcie na nią tak, jakbyście nagle ujrzeli jej duszę i – kurde blaszka – stwierdzili, że jest absolutnym ideałem. Tak przynajmniej ma im się wydawać, ponieważ – słowo o Jean-Paulu Sartre – udany związek nie jest wypadkową siły, z jaką dana osoba nas pociąga, lecz tego, jak się za naszą sprawą czuje.

Tylko uwaga: podobnie jak obsługa sprzęgła, Spojrzenie nie jest łatwe do opanowania. W nagłych wypadkach można pójść na skróty i zrobić to, co zrobiła moja babcia, kiedy poznała dziadka:

„Spojrzałam na niego, jakbym skrywała jakiś nieprzyzwoity sekret”.

Moi dziadkowie byli małżeństwem przez pięćdziesiąt pięć lat – taka jest siła kontaktu wzrokowego.

– A więc pracujesz dla Maeve? – Scott wyzwolił się wreszcie spod czaru Spojrzenia. Jeśli mam być szczerą, wygląda na nieco ogłuszonego; nie jest pewien, na czym powinien się skupić.

– Muszę już iść. – Sięgam po torebkę i płaszcz.

Nie żartuję – uprzedzałam, że będę zgrywać niedostępną. W istocie jednak nawaliłam na całej linii. Przedwcześnie wystrzelałam się z nabojów.

Zaserwowałam Scottowi Spojrzenie.

A przedtem zdradziłam mu, jak się naprawdę nazywam, a przecież wcześniej przedstawiłam się jako Isabella.

Skóra głowy zaczyna mnie nagle swędzieć, zwiastując wystąpienie nerwowego potu, którego zadaniem jest zwilżyć pochwę włosy, a co za tym idzie, zniszczyć mi fryzurę. Mam wrażenie, że lada moment wybuchnę płaczem. Podczas prowokacji nigdy, przenigdy nie wolno płakać.

Marszcząc brwi, oznajmiam tonem surowej pielęgniarki:

– Nie pozwalaj sobie na drzemki, żeby nie wiem co. Ewolucja nie zaprogramowała nas do spania w ciągu dnia. Wypróbuj walerianę. To ziołowa nalewka, śmierdzi jak tyłek – ludzki tyłek – ale przy okazji w odpowiednich dawkach jest całkiem przyzwoitym środkiem nasennym. Na opakowaniu jest napisane, żeby zażyć przed snem trzydzieści kropel. Ty bierz sześćdziesiąt.

– Na ciebie to działa?

– Śpię jak niemowlę – odpowiadam, ścierając z górnej wargi pierwsze kropelki potu i unikając podawania faktów. A fakty są takie, że ziołowe leki to tylko placebo, chociaż czasami pomagają, zważywszy na psychosomatyczny charakter bezsenności. Nie przyznaję się też, że sama zażywam nie walerianę, tylko zopiklon, lek nasenny niezawierający benzodiazepiny, który działa uspokajająco na ośrodkowy układ nerwowy i który wykończył Heathę Ledgera.

Wraca Harvey, więc żegnam się pośpiesznie, życząc Scottowi powodzenia w promocji nowej płyty, a Harveyowi udanego pobytu w Gujanie. Oni też życzą mi powodzenia, chociaż nie wiem w związku z czym.

Wychodząc z apartamentu, nawet nie próbuję sobie wyobrazić, że Scott wywierca mi wzrokiem dziury w plecach.

Smutna prawda o Spojrzeniu:

W trakcie prowokacji Spojrzenie wolno wykorzystywać tylko w jednej sytuacji: tuż przed skokiem na kasę. A to dlatego, że wieńczy ono całe podchody. Nikt już nikomu nie mydli oczu, wiadomo, że chodzi wyłącznie o pożądanie. Tak potężnej broni nie można marnować w fazie pierwszej, bo odstraszymy obiekt.

Za drzwiami apartamentu prezydenckiego ocieram ze skroni pot i czekam na prywatną windę. Czuję się kompletnie pusta. Mało prawdopodobne, abym jeszcze

kiedyś zobaczyła Scotta Delaney'a.

Scata.

Pocieszam się, że pożądanie i prowokacja nigdy nie idą w parze. Dobrze, że w ogóle udało mi się z nim spotkać. Niemniej jednak zostawiam po sobie pamiątkę – nie szklany pantofelek, tylko portmonetkę. Najpierw wyjmuję z niej pechową monetę i wsuwam ją głęboko do kieszeni. Następnie upuszczam portmonetkę na podłogę przed drzwiami apartamentu.

W środku znajduje się:

Pięćdziesiąt siedem funtów, a więc dostatecznie dużo, żeby zwykły człowiek się skusił, i w sam raz, żeby ktoś nadziany zechciał zwrócić zgubę właścicielowi.

Kartka z moim nagryzmołonym imieniem, nazwiskiem, numerem komórki oraz prywatnym adresem e-mailowym.

Flakonik z perfumami L de Lolita Lempicka – orientalnym zapachem z cynamonem i bergamotką w nucie głowy, wanilią w nucie serca i piżmem w nucie bazowej.

Następuję na portmonetkę obcasem i wsiadam do windy.

## Żaloba

Noga za nogą wlokę się z powrotem do mieszkania Michaela. Czuję się, jakbym walczyła z huraganowym wiatrem, chociaż tak nie jest. Lipcowe słońce wypala mi dziurę w czubku głowy, mimo to nie martwię się udarem – przeciwnie, nie miałabym nic przeciwko.

Powiem otwarcie: mam złamane serce.

Zupełnie jakbym w ciągu pół dnia przeżyła osiem faz intensywnego, lecz z góry skazanego na niepowodzenie związku: fazę miodowego miesiąca, fazę głębszego poznania, fazę zaangażowania... Wy tłumaczyłabym to wam bardziej szczegółowo, ale jestem zbyt przygnębiona. Przechodzę chyba przez czwarty z pięciu etapów żaloby, pasujących jak ulał do rozpadu związku... Ech, sprawdźcie to sobie w Wikipedii.

I pomyśleć, że znam Scotta Delaneya zaledwie od kilku godzin. Nie odbiło mi, jestem po prostu boleśnie szczerą. Powiedzcie, że nigdy nie spotkaliście nikogo, kogo pragnęliście tak bardzo, że potrzeba posiadania go na własność graniczyłaby z obłądem.

Grecy nazywają coś takiego *theia mania* – szaleństwem zesłanym przez bogów, namiętnością, która spada na nas nagle za sprawą trafienia metaforyczną strzałą Amora. Dzisiaj jedna z nich trafiła mnie prostu w oko, czyli w najbardziej wrażliwe miejsce. Z oka strzała dociera bezpośrednio do serca, a powstała w ten sposób rana rzadko kiedy się goi.

Podobnie czułam się dotąd tylko raz, kiedy poznałam męża numer jeden.

Ogarnia mnie smutek.

Słowo o biochemii mózgu: absolutnie nie jestem w tej chwili przygotowana na niezapowiedzianą wizytę ojca.

A jednak to on we własnej osobie otwiera mi drzwi mieszkania Michaela na Greek Street i zapomina się ze mną przywitać.

– Co ci strzeliło do głowy, Florrie?!

Wygląda jak sobowtór Michaela, tyle że w wieku emerytalnym: jest tak samo wysoki i szczupły, z szerokimi, płaskimi ramionami niegdysiejszego mistrza w pływaniu stylem klasycznym.

– Jak mogłaś powiedzieć Michaelowi coś podobnego?

– Powiedziałam prawdę – burczę, po czym bardzo mocno go przytulam. On odwzajemnia uścisk i wdycha zapach moich włosów. Po dłuższej chwili wyswobadzamy się ze swoich objęć.

Natychmiast pędzę na górę.

Tata wchodzi za mną do salonu, a ja z wojowniczą miną opadam na sofę. Rozczarowany ojciec kręci głową z potępieniem.

To jego pierwsza wizyta w Londynie, odkąd tu zamieszkałam. Jakoś mi nie pasuje do mieszkania Michaela.

Włosy ma bielsze, niż zapamiętałam. Na łokciu jego półgolfy zieje dziura. W dodatku ojciec mruga nerwowo powiekami – stoi sztywno jak robot i fotografuje mnie oczami.

Potem podchodzi do regału.

Muska palcami grzbiet poradnika *Rodzina: cud natury*, w którym jest ukryta kamera. Przez chwilę siedzę jak na szpilkach, gotowa wyrwać mu książkę z rąk, ale jego uwagę zwraca fotografia mamy, więc traci zainteresowanie poradnikiem.

– Michael nie mówił mi, że chcesz go odwiedzić. – Wyglądam na korytarz w poszukiwaniu brata.

Ojciec ściera ze szklanej ramki odcisk palca.

– Była młodsza niż ty, gdy zostało zrobione to zdjęcie.

– Była też młodsza niż ja, gdy przepadła bez śladu.

– Widziałaś ją? – pyta, nie odrywając wzroku od fotografii. – Naprawdę ją widziałaś?

– Nie.

– W takim razie po co mącisz mu w głowie?

– Wsunęła mi pod drzwiami kartkę urodzinową.

Tata przestaje mrugać i wpatruje się w zdjęcie nieruchomym wzrokiem. Przez chwilę myślę, że umarł. Na szczęście mruganie powraca ze wzmożoną siłą. Tata ostrożnie odkłada fotografię na półkę i mówi:

– Michael w ogóle nie wychodzi z mieszkania. Wiesz, że od dwóch dni nie śpi, żeby nie przeoczyć jej wizyty?

– Gdzie teraz jest?

Tata kiwa głową w kierunku sypialni.

– Śpi. Obiecałem, że przypilnuję drzwi. Florence, co to za żarty?

– Dostałam od niej kartkę urodzinową, tato. Nie słyszałeś?

– Powiedziałaś Michaelowi, że tylko ty możesz ją zobaczyć, bo inni cierpią na jakąś dolegliwość.

– Widzenie tunelowe. To była przerośnia.

Tata ciągnie się za ucho.

– Michael znakomicie reaguje na przerośnię.

– Wiem, wiem, źle to ujęłam...

– Chodzisz do tego lekarza?

– Do doktora Malika? – Mrużę czujnie oczy. – A co on ma z tym wspólnego?

– Odpowiedz.

– Owszem.

– Co tydzień?



– Mniej więcej.

Tata niespodziewanie osuwa się przede mną na kolana i pociera moje mięśnie trójgłowe, jakby były zrobione ze złota.

– Wyjeżdżając do Londynu, obiecałaś mi, że będziesz kontynuowała terapię, szczególnie że teraz masz jeszcze Michaela pod opieką.

– Wspieranie rozwoju osobistego.

Wyrozumiale kiwa głową, pełen litości.

– To się naprawdę tak nazywa, tato.

– Tak, wiem, wszystko mi się płacze.

W jego przekonaniu jestem trudniejszym przypadkiem niż Michael.

– Nic mi nie jest, serio.

Mimo to przyciąga mnie do siebie. Pozwalam mu na to niechętnie, jak nadąsana nastolatka, zaraz jednak mocno go przytulam, wdychając stęchłą woń jego swetra.

– Martwię się o ciebie – szepcze tata. – Wiem, że jesteś już dorosła, ale dla mnie na zawsze pozostaniesz moją małą córeczką. – Odsuwa mnie od siebie. W jego oczach dostrzegam wszechogarniającą miłość. – Proszę, proszę. Mogę być z was dumny. Michael i jego reklama, ty i twoje książki, kursy, wszystkie te ważne rzeczy.

Nie pora mu teraz wyjaśniać, że przeze mnie aktorska kariera Michaela legła w gruzach, zanim jeszcze na dobre się rozkręciła. Teraz jest czas, aby pławić się w pokładach ojcowskiej dumy rozpierającej jego kościstą pierś; tata uważa mnie za osobę wykształconą, z bogatym słownictwem.

– Jesteśmy super – mówię jak pięciolatka.

On uśmiecha się i widzę jego dolne zęby z plamami po czerwonym cabernet sauvignon. Butelka wina i danie z mikrofalówki, oto jak wyglądają wieczory mojego ojca. Dziwne, ale widok jego przebarwionych zębów przynosi mi ulgę; czuję, że jego życie nadal się toczy, nawet kiedy o nim zapominam.

– Może otworzę butelkę czegoś dobrego? – Ruchem głowy wskazuję kuchnię. Chcę mu sprawić przyjemność.

– Później – odpowiada z nagłą powagą w głosie. – Kiedy zamierzasz powiedzieć Michaelowi?

– Ale co?

– Że to wszystko zmyśliłaś.

– Dostałam kartkę, tato. Ktoś był w moim mieszkaniu. Nie po to, żeby kraść, tylko żeby się rozejrzeć.

Tata chwytam mnie za rękę i mocno je ściska.

– Pozwól jej wreszcie odejść.

– Nie. – Uwalniam się. – Nigdy z nami o tym nie rozmawiasz. Przed czym nas chronisz?

Nie mogę znieść wyrazu jego twarzy.

To mina rodzica, który zaraz wam powie, że nie macie o niczym pojęcia. Jesteście jego dzieckiem, żyjecie dzięki niemu i nigdy nie będziecie tacy mądrzy jak on, przeciwnie, aż do jego śmierci pozostaniecie od niego zależni, ograniczeni i nieporadni na podobieństwo potwora doktora Frankensteina.

– Florrie, kochanie. Mama odeszła.

Nie cierpię, gdy tak mówi. Przez lata słyszałam to od niego trzydzieści siedem razy, wliczając dzień dzisiejszy, i za każdym razem czułam się tak, jakby ktoś walił mnie w brzuch torbą pełną piłek tenisowych.

– Zaslugujemy na to, żeby poznać fakty – mówię oschle.

– Oczywiście. Fakty. Michael nie radzi sobie z dwuznacznościami. Nie ma ku temu odpowiednich narzędzi umysłowych.

– Jest gejem, a nie debilem.

– Przestań! – krzyczy ojciec, a mnie zalewa wstyd. – Nie żyję w średniowieczu. Nigdy was nie osądzałem. I nie pozwolę, aby ktoś mnie osądzał.

To prawda – wszyscy przyznają, że jest wyjątkowym ojcem.

– Błagam cię, daj temu spokój. – Ostatkiem sił wyciąga asa z rękawa: – Zrobisz to dla mnie, Florrie? Zrób to dla mnie.

W oku wzbiera duża łza.

Moją pierś wypełnia żal, ponieważ ojcowie rodzą się z umiejętnością wzbudzania w swoich córkach współczucia tak wielkiego, że pęka od niego serce. Posłusznie udaję więc, że nie jest alkoholikiem. Będąc z wizytą w Laurelbridge, chodzę z nim do kościoła i śpiewam pieśń na ofiarowanie, jakby to była ballada rockowa. Śmieję się z jego beznadziejnych dowcipów. Pewnego dnia zacznę nawet opłacać wykwalifikowaną opiekunkę, żeby zmieniała mu pieluchy i co godzinę pytała: „Może filiżaneczkę herbaty, George?”. Do tego stopnia jest mi go żal.

Wypuszczam głośno powietrze z płuc i pokonana kiwam głową.

Jego ulga jest niemal namacalna.

– Tak będzie najlepiej dla wszystkich. Oboje wiemy, czego Michael potrzebuje.

– Ładu i porządku. On nie jest chory.

– Po prostu powiedz mu, że to wszystko zmyśliłaś.

– Już nigdy więcej mi nie zaufa.

– Zrzuć winę na kogoś innego. Na przykład na tego doktora Malika, swojego terapeutę. – Poprawia się: – Trenera rozwoju osobistego. Powiedz, że przepisał ci nowe leki.

– Dlaczego ciągle czuję jej obecność, tato? Wydaje mi się, jakby była tuż za rogiem, za każdym rogiem. Dlaczego nigdy nie czułam, że umarła?

Znam odpowiedź, jeszcze zanim otworzy usta.

– Domknęcie, Florence. Trudno o to, gdy nie ma zwłok ani grobu.

Wiecie, co ja mam?

Wspomnienie kartki papieru naklejonej na szybę samochodu.

„Niebezpieczeństwo – toksyczny 8az”.

Brak zwłok, brak wyjaśnienia.

Wiem, dobrze wiem, że powinnam zasadzić drzewo, ufundować ławkę albo pomnik z kamieni nad jakimś malowniczym jeziorem. Takie rzeczy pomogły rodzinom ofiar zamachów z 11 września. I rodzinom astronautów, których promy kosmiczne eksplodowały przed wejściem w stratosferę. Tak samo robią krewni zaginionych w boju żołnierzy i najbliżsi turystów, którzy na urlopie utonęli w morzu. Każdy trener rozwoju osobistego, z którym się konsultowałam, zalecał mi jakąś formę upamiętnienia mamy, ale niech się wypchają. To by oznaczało, że nie ma już żadnej nadziei.

Trzynastego lutego 1988 roku.

Kiedy kogoś pytam, z czym mu się kojarzy ta data, odpowiedź nieodmiennie brzmi: z niczym. Tymczasem moja wyobraźnia podsuwa mi trójwymiarowy obrazek. Scenę zamrożoną w czasie, po której mogę się niemal przechadzać.

Samochód zaparkowany na polanie w prywatnym lesie. Zwłoki bez twarzy – mężczyzny – na fotelu pasażera. Naklejki na szybach. Mroźny lutowy wietrzyk nie wprawia w drżenie nagich gałęzi, a jednak wiem, że wieje, wyraźnie go czuję. Zimno jak w kostnicy.

Ten obraz nie jest jednak prawdziwy. Nie widziałam tego na własne oczy, przypadkiem ani przelotnie. To tylko wyobrażenie. Moje wyobrażenie, dlatego uważam je za równie realne jak mój nos.

Wiecie, czego brakuje na tym obrazku?

Mojej mamy – i właśnie dlatego nie zasadzę drzewa, nie ufunduję ławki ani nie ułożę kopczyka kamieni nad malowniczym jeziorem.

Michael byłby wściekły, gdybym powiedziała to na głos. Jest bezgranicznie lojalny wobec matki, której właściwie nie znał. Depresja poporodowa pchnęła ją do samobójstwa. Tak brzmi jego wyjaśnienie, ponieważ tak powtarzał nam tata, a Michael ponad wszystko ceni prawdy absolutne.

Ojciec przebiera nogami. Nie podnosząc wzroku, pyta:

– Mogę ją zobaczyć?

– Co takiego?

– Tę kartkę. – Wbija spojrzenie w swoje stopy.

Moje oczy robią się okrągłe.

– Jest u mnie w mieszkaniu.

– To daleko stąd?

– Nie, dość blisko. – Pokazuję nieokreślony kierunek. – Kawalek metrem, potem parę kroków pieszo.

Tata bierze głęboki oddech i z dziwną powagą mówi:

- Zabierz mnie tam.
- A co z Michael'em?
- Niech się chłopak wyśpi.

Wkłada zbroję, która ma go chronić przed Londynem – granatową ocieplaną kurtkę marki Barbour – po czym sprowadza mnie na dół po schodach, wprost na ruchliwy chodnik w Soho.

Jest popołudnie i ludzie wylewają się na ulice z barów i restauracji, nawet z maleńkiej galerii sztuki. W tym zakątku miasta samochody i taksówki nie mają szans z przechodniami. Mieszkańcy Soho okupują jezdnię, jakby to był ich przydomowy ogródek. Jako niestrudzony orędownik bezpieczeństwa na drodze, tata nie zbacza z chodnika, torując sobie kulturalnie drogę wśród tłumu, przepraszając grzecznie każdego upierdliwego garniturowca, który nie chce się przesunąć, jak zrobiłby to przechodzień w Laurelbridge. Tata jest jednak nieskończenie wyrozumiały.

„Ojcie, przebac londyńczykom ich brak dobrych manier, bo nie wiedzą, co czynią”.

Na Soho Square wstępujemy na chwilę do kościoła św. Patryka, smukłej, eleganckiej świątyni rzymskokatolickiej, żeby tata mógł zrobić znak krzyża. Ja też się żegnam i odmawiam modlitwę w następującej intencji: aby pomyślał, że znalazłam Michaelowi mieszkanie w tej okolicy ze względu na bliskość Pana Boga. To by go naprawdę uszczęśliwiło.

I chyba coś się dzieje, bo tata odzywa się nagle:

– No dobrze, Florence, jestem gotowy.

Kiwam głową.

– W porządku, tato. Miejmy to za sobą.

Zjednoczeni wspólnym celem udajemy się do kawalerki, aby przeczytać kartkę od mojej zmarłej matki i jego zmarłej żony.

Najpierw jednak tata wyciąga z kieszeni niebieski inhalator. Na ten widok ogarnia mnie współczucie tak dojmujące, że przez chwilę mam ochotę się rozpłakać. Dwa głębokie wdechy i rusza rażno naprzód w niewłaściwym kierunku.

Żałuję, że nie uprzedził nas o swojej wizycie.

W kuchennym zlewie, między opakowaniami po daniach na wynos i brudnymi sztućcami, moczą się moje majtki, a na klamce w drzwiach do łazienki wisi kobiecy kondom. Za ścianą Zanna i Norm albo się kłócą, albo gwałtownie kopulują.

– Na kartce jest obrazek z balonami – zwracam uwagę. – Kiedy byłam mała, lubiłam balony.

Tata opiera się o cienką krawędź stołu i z uwagą przygląda się kartce.

– Wszystkie dzieci lubią balony – mruczy pod nosem.

– Oprócz Michaela. Boi się, jak pękają. – Jeszcze tydzień temu wydawało mi

się, że ten obrazek to decydujący dowód. – Popatrz na charakter pisma, tato. Widzisz? To „g” wygląda jak ósemka.

– To nie jej pismo.

– Właśnie że jej!

– Są pewne podobieństwa, ale to pisał ktoś inny.

– W takim razie od kogo jest ta kartka? – pytam rozwścieczona, jakby ojciec był grafologiem i mógł mi przedstawić pełny profil psychologiczny nadawcy.

Tata wzrusza ramionami.

– Na świecie żyje sześć miliardów ludzi.

– Siedem miliardów. Spójrz tylko na to „g”!

Nie słucha mnie, tylko wpatruje się niewidzącym wzrokiem w te nieszczęsne balony, a potem odkłada kartkę.

Zbiera mi się na płacz.

– Kiedy twoja matka zniknęła, przewróciłem cały dom do góry nogami – mówi. – Szukałem czegoś, co pozwoliłoby mi to zrozumieć. Miałem nadzieję, że znajdę jakiś list.

To dla mnie coś nowego.

– I co, znalazłeś?

– Nie. Ale znalazłem wiersz, który napisała.

– Mama pisała wiersze?

– To był głupiutki wiersz. Dziecinna rymowanka, kuplet.

– O czym?

– O Bogu.

– Kuplet? – Marszczę brwi z niedowierzaniem.

– Czytałem go wiele razy, szukając ukrytych...

– Nikt nie pisze kupletów o Bogu.

„Był raz sobie Bóg z siwą brodą,

Mógł być pomocą, a był przeszkodą”.

– Mama jest teraz razem z Nim – oznajmia tata i kciukiem kreśli krzyżyki na czole, wargach i klatce piersiowej. – To nie ona napisała te życzenia. Przykro mi.

Zdejmuje okulary i pociera grzbiet nosa – wyraźny znak, że uważa dyskusję za zakończoną.

Odpowiadam, kusząc los:

– Ten facet w samochodzie, ten, z którym mama chciała popełnić samobójstwo... Musiała go przecież wcześniej znać.

Tata zaciska palce na krawędzi stołu, aż bieleją mu knykcie. To temat, którego za wszelką cenę chce unikać. Okrutna prawda jest taka, że tamten mężczyzna mógł być kochankiem mamy. Ta myśl rani go do żywego, widzę to w jego twarzy.

– Musisz coś o nim wiedzieć. Na pewno byłeś ciekawy. Na przykład czy

miał rodzinę.

– Już to przerabialiśmy.

– Nieprawda. Ja pytam, a ty zawsze zamykasz się w sobie. Tatusiu, proszę...

Kręci się niespokojnie.

„No mów! Powiedz coś!” – błagają moje oczy.

– Chyba miał rodzinę. Tak, chyba tak.

Nie wierzę własnym uszom. Nigdy dotąd nie podał mi żadnych konkretów.

– Żonę? Dzieci?

– Tak.

– Takie małe jak ja i Michael?

– Tak.

– Jak się nazywał?

– Nie pamiętam...

– Na pewno pamiętasz! – Tupię nogą.

– Eric. Na imię miał chyba Eric.

Eric? To najbardziej konkretna informacja, jaką kiedykolwiek od niego uzyskałam w tej sprawie. – To wszystko? Eric i koniec?

– Nazwisko nie pojawiło się w gazetach. Ale słyszałem, jak policjanci mówili o Ericu.

To prawda – przetrząsnęłam wszystkie dostępne archiwa. W prasie ofiara figurowała jako bezimienny „mieszkaniec okolic”; później dziennikarze stracili zainteresowanie tą sprawą.

– Nie próbowałaś dowiedzieć się czegoś więcej? Nie zadawałaś żadnych pytań? Nie ciekawiło cię, kim on był?

Tata znowu zaczyna nerwowo mrugać.

– Pewnych spraw lepiej nie drażnić.

– Chcesz powiedzieć, że nie interesowało cię, gdzie mieszkał?

– W Sandbanks. To akurat wiem.

– W Sandbanks? Nikt, kto tam mieszka, nie popełniłby samobójstwa. To czwarte w kolejności najzamożniejsze miejsce na świecie.

– Depresja to ciężka choroba i bardzo intymna sprawa.

– Wiesz na pewno, że miał depresję?

– Nie, Florence. Nie mam pojęcia, dlaczego chciał odebrać sobie życie.

– Ani dlaczego postanowił to zrobić w pełnym spalin samochodzie z moją matką, a twoją żoną, kobietą, której wcześniej podobno nie znał? Co z jego dziećmi, wcale o nich nie pomyślał?

– Czasami krew nie jest gęstsza od wody.

Co on wygaduje?!

– Oczywiście, że jest. Zawsze.

– Nie, Florrie. – Ileż jest w tym smutku! Ale ja nadal nic nie rozumiem; tata

mówi zagadkami.

– Wróćmy do Erica. Nie zostawił listu pożegnalnego? Może jakiś wiersz?

Kuplet?

Ojciec zaczyna płakać.

– Przestań, tato. – Ze zmarszczonym czołem podaję mu papierowy ręcznik.

– Nie denerwuj się, proszę. Chodzi o to, że mam tak wiele pytań, tak wiele cholernych pytań, na które brak odpowiedzi...

– Na litość boską, dziecko, zostaw mnie w spokoju!

Straciłam swoją szansę.

Tata zapina guziki kurtki, obciąga ją, poprawia kołnierz i mówi:

– Pora wracać do domu, Florence.

Nie mam dwunastu lat, mimo to czuję się jak pyskata smarkuła broniąca własnego zdania.

– Nie. Ty zanocuj u Michaela. Zobaczymy się rano, obiecuję.

– Miałem na myśli powrót do Dorset.

– Uhm, jasne.

– To nie była prośba.

– Robię w Londynie kurs.

– Tadodastyczne systemy operacyjne, tak, pamiętam. – Kopie mokry ręcznik. – Jak to mieszkanie wygląda...

– Jest bardzo przytulne.

– Przypomina spelunę narkomanów.

– Potrafię o siebie zadbać.

Ojciec podnosi głos:

– Dlaczego wszystko zawsze musi kręcić się wokół ciebie? W przyszłym roku kończę siedemdziesiąt lat. Chcę wreszcie zwolnić. Godziłem się na twoje ciągłe wyjazdy, dbałem, żeby poczta funkcjonowała jak należy. Pozwoliłem Michaelowi przyjechać tu za tobą...

– Michael jest dorosły.

– Robiłem co w mojej mocy, aby chronić was oboje.

– Wiem, tato, i jestem ci wdzięczna, ale... – Podchodzę bliżej.

Zatrzymuje mnie uniesioną dłonią.

– Florence, jestem zmęczony.

Nie wściekam się i nie mówię mu, że nie jestem jeszcze gotowa, a w ogóle to nie chcę tej cholernej poczty. Za bardzo przytłacza mnie poczucie winy. Tata ma prawie siedemdziesiąt lat i jest zmęczony.

Powinnam go odprowadzić do mieszkania Michaela, a przynajmniej zamówić mu taksówkę, ale chcę zakończyć tę rozmowę tu i teraz. Nie mogę mu niczego obiecać, złożyć ślubowania, które chciałby usłyszeć. Nie dzisiaj.

Tata jest już na półpiętrze, gdy nagle słyszę, że zawraca na górę, sapiąc.

Wyciąga z kieszeni kwadratowy kartonik i podaje mi go, mówiąc: – Obiecałem, że ci to przekażę.

Spoglądam na wizytówkę i marszczę brwi. To wizytówka męża numer dwa.

– Skąd to masz?

– W niedzielę jadłem lunch w The Royal Oak. Był tam ze swoją matką. Odniosłem wrażenie, że chętnie by się z tobą spotkał. Nie zdziwiłbym się, gdyby chciał spróbować od nowa.

– Prędzej się zabiję.

Mina taty potwierdza moje domysły: jestem dla niego największym życiowym rozczarowaniem. Z moich mężów to akurat Juliana lubił najbardziej, chyba dlatego, że wyglądał jak ksiądz – młody, dość inteligentny i atrakcyjny ksiądz. Modny gość na tyle obyty w towarzystwie i zainteresowany współczesną kulturą, aby patrząc na niego, wszyscy się zastanawiali, czy do wyboru stanu kapłańskiego nie pchnęły go przypadkiem skłonności pedofilskie.

Okej, to nieprawda. Julian był naprawdę dobrym człowiekiem.

Wsuwam wizytówkę do kieszeni i kiwam głową z namysłem.

– Odezwę się do niego.

Tata wraca po własnych śladach, schodzi na dół.

Gdy tylko zostaję sama w mieszkaniu, jeszcze raz oglądam wizytówkę.

Julian Doe.

Formalnie rzecz biorąc, nadal jestem panią Doe, skazaną na wieczną anonimowość z powodu pospolitego nazwiska. Starannie składam wizytówkę na pół, wciskam ją do pustej puszkę po coli, potrząsam nią i wyrzucam do śmieci.

Jeśli chodzi o urodę, mąż numer dwa był towarem z najwyższej półki.

Poważny błąd.

Nie należy wychodzić za mąż za pięknego mężczyznę. Stawiamy się wówczas na estetycznym piedestale (we własnej wyobraźni). Jeżeli małżeństwo nie wypali, zostajemy z nierealistycznie wysoko zawieszoną poprzeczką, chociaż nasz przystojny mąż mógł przecież mieć beznadziejny gust, jeśli chodzi o kobiety.

Luke Birmingham mnie zmienił. Po nim przestałam być taka wybredna.

Doszłam do siebie dzięki tacie – dużo się modlił, głównie o wybaczenie dla siebie, ponieważ pod koniec naszego związku znienawidził Luke'a tak bardzo, że aż się pochorował. A ponieważ Pan Bóg ma słabość do skruszonych grzeszników, cztery lata później zesłał tacie Juliana – materiał na idealnego zięcia.

Popatrzcie tylko na jego twarz.

Śpi na nadmuchiwanym materacu na podłodze. Ja leżę wyżej w pojedynczym łóżku, z głową zwieszoną przez jego krawędź. Światło księżycy podkreśla kontury mocnego nosa i podbródka Juliana. Podczas gdy on śpi, przyglądam się jego nozdrzom i z zadowoleniem stwierdzam, że poruszają się ledwo dostrzegalnie. To równie uspokajające jak oglądanie rybek w akwarium.



Do tego Julian wygląda nieskończenie bardziej atrakcyjnie, jak śpi; gdy nie śpi, też jest na czym zawiesić oko, chociaż osobno żadna część jego twarzy nie zwraca szczególnej uwagi. Ale to bez znaczenia: suma zalet przewyższa wąskie usta, trochę zbyt małe oczy i nadmierne owłosienie.

Plusy: pod całym tym futrem Julian jest wspaniale umięśniony. No i ma metr osiemdziesiąt pięć wzrostu. No i kiedy się śmieje, jego atrakcyjność wzrasta o oczko lub dwa. No i poza tym wszystkim ma dobre serce. Będę to powtarzała do upadłego: uroda nie ma kompletnie żadnego znaczenia, gdy wewnątrz zżera gangrena, a jad sączy się wszystkimi porami skóry i żłobi na twarzy bruzdy, nadając jej złośliwy wyraz.

Bolesny przykład:

Mąż numer jeden; widziałam, jak wygląda, gdy szczytuje.

Siedziała wtedy na nim okrakiem moja najlepsza przyjaciółka Olivia.

Widziałam też, jak ona wygląda, gdy szczytuje.

Poznaliśmy się z Julianem na kościelnej imprezie. Ksiądz John odchodził na emeryturę i tata zabrał mnie ze sobą. Kręciłam się przy bufecie samotna jak palec, dopóki Julian mnie nie zagadnął. Później dołączyli do nas jego kumple. Od razu spodobało mi się ich towarzystwo. Pracownik sklepu charytatywnego, laborant, lokalny akwarelista oraz zawodowy rowerzysta – niezły zestaw jak na kościelną imprezkę w Laurelbridge.

Co najważniejsze, tata od razu polubił Juliana.

– Julian pracuje w handlu – poinformował mnie, jakbyśmy właśnie wygrali los na loterii.

Ja też nie skąpiłam pochwał pod adresem naszego nowego znajomego.

– W dodatku w takiej ciekawej branży. W specjalistycznym sklepie mięsnym. Wszystko mają tam ekologiczne, nawet wino i przetwory, do tego modne książki kucharskie...

Tata daje mi tęgiego kuksańca.

– Podoba ci się, co?

Oddaję mu.

– Nie tak bardzo jak tobie.

Mijają trzy miesiące i bach! Na podłodze w moim pokoju śpi facet.

Julian gwałtownie wciąga nosem powietrze. Pół chrapnięcia później znów leży nieruchomo, smacznie śpiąc.

Jesteśmy w pokoju, w którym się wychowałam. Po raz pierwszy pozwolono mi przenocować mężczyznę, który nie jest moim mężem. Czuję ogromną wdzięczność. W wieku dwudziestu pięciu lat trzeba wiedzieć o facetach pewne rzeczy, zanim się poważnie zaangażujemy. Okazuje się, że Julian jest świetny w łóżku, a mówiąc świetny, mam na myśli to, że prawie wcale nie chrapie.

Oczywiście w idealnym świecie nasze zegary biologiczne nie

funkcjonowałyby w różnych strefach czasowych. Niemniej jednak znajduję pewne pocieszenie w tym, że tak spokojnie pode mną śpi. Nie gapię się na ściany, jak to dotąd robiłam jakieś osiem tysięcy razy z rzędu. Ściany, których wygląd nie zmienił się od dnia zniknięcia matki. Klosze, poduszki oraz kapę zdobi ten sam wzór co tapetę – „kalifornijska gryka”. W latach osiemdziesiątych modny był staroświecki styl z serialu *Domek na prerii*. Mój pokój to przyprawiający o ból głowy pean na cześć różowo kwitnącej rośliny z gatunku endemicznego innego kontynentu.

Dodatkowe fakty na temat łóżkowych zwyczajów Juliana:

Zasypia szybko, dokładnie o tej porze, o której chce. Zapewnił mnie, że zarwana noc nie jest dla niego problemem. Jego sen dostosowuje się do sytuacji – będzie po prostu głębszy, aby do rana organizm zdążył naładować akumulatory.

Słowo o osobach cierpiących na bezsenność: rytm snu drugiej osoby ma na nas wielki wpływ. Odczuwamy zmęczenie w jej zastępstwie, choć w istocie nie radzimy sobie z tym dodatkowym stresem. Dlatego to taka wielka ulga obserwować kogoś, kto jak Julian śpi, jakby był pogrążony w śpiączce.

Czego nie można powiedzieć o mnie. Wyliczyłam, że gapię się na te ściany już pięćdziesiąt tysięcy godzin; nocą kwiatowy motyw zmienia się w rojowisko pajaków. Ewentualnie wyglądam przez okno na poddaszu, patrzę na nocny krajobraz, niezmienny od początku czasu – mojego czasu. Widok przypomina prymitywny obraz – trzy poziome pasy ciemności. Na pierwszym planie siwoszare pasmo lasu, dalej stalowoszare pastwisko, wreszcie w oddali, niewidoczne dla moich oczu, rozciąga się srebrzystoszare morze. *Nr 666 (Szare na szarym tle)*. Mark Rothko mógłby zatytułować tak któryś ze swoich obrazów.

Dzisiaj jednak jest ze mną Julian, ja zaś odkrywam całkiem nowy świat w swojej sypialni. Zapominam o krajobrazie pozbawionym ludzkich postaci. Nie pamiętam o dekoracjach. O tym, że ten dom to żywe muzeum gustu mojej zmarłej matki.

Zamiast tego przyglądam się Julianowi. To takie miłe, czuję się jak na odwyku. Jakbyśmy znowu byli nastolatkami, w dodatku amiszami randkującymi zgodnie z surowymi wymogami religijnymi tej sekty. Jakbym mogła zmazać z siebie hańbę rozwodu i zacząć wszystko od początku, tym razem tak jak należy.

Wśród innych powodów, dla których trzymam się Juliana, można wymienić, co następuje:

Robimy razem różne rzeczy. Chodzimy na długie spacerunki po okolicy z jego rodzicami, Pete'em i Pam. Gotujemy według przepisów z dodatków niedzielnych. Gramy w badmintona z jego kumplami w ośrodku sportu. Pomagamy tacie prowadzić księgi w urzędzie pocztowym. Pozwalamy Michaelowi wygrywać podczas zabawy w kalambury.

– Julian! – szepczę teatralnie.

– Hm? – Budzi się natychmiast i opiera na łokciu całkiem przytomny, ot tak. Uśmiecham się.

– Wskakuj do mnie do łóżka.

Ma taki miły śmiech. Ciepły, refleksyjny i nieco zaspany. Tym śmiechem ucina dalszą dyskusję. Nigdy nie okazałby mojemu ojcu braku szacunku w jego domu – w przeciwieństwie do innych, których mogłabym wymienić, obca jest mu wszelka nielojalność.

Mąż numer jeden i moja niegdysiejsza najlepsza przyjaciółka są obecnie małżeństwem i mieszkają w Hiszpanii. Ze swoimi dziećmi. Kiedyś przestaną być dla mnie bolesnym wspomnieniem. Mój trener mnie o tym zapewnia. Twierdzi, że nadchodzi taki moment, gdy ze względu na własne zdrowie psychiczne rozsądnie jest odrzucić dawne cierpienie i skoncentrować się na obecnym szczęściu.

Potrząsam głową, aby się uwolnić od negatywnych myśli, i skupiam się na dniu dzisiejszym. Na swoim nowym, wspaniałym życiu, nieskażonym złymi emocjami, w którym liczy się przyjaźń i długie lata pełne szczęścia.

Spoglądam na Juliana, który znowu śpi w najlepsze z lekko otwartymi ustami, niemy jak ryba, i stwierdzam, że wybór Juliana Doe to najrozsądniejsza decyzja, jaką kiedykolwiek podjęłam.

## Literatura kobieca

Zmywam, palę skręta i rozmyślam o Scotcie Delaneyu.

Inne zalety zodiakalnych Ryb:

Ryby to hipochondrycy, niczym szczenięta spragnieni sympatii i pozbawieni wiary w siebie. Dzisiaj mogłam się o tym przekonać na własne oczy.

Ciekawe, czy zrobiłam na nim jakiegokolwiek wrażenie. Czy jego serce czuje się odrobinę mniej puste, bo spotkał kogoś nowego i intrygującego, a wspomnienie tej osoby kołacze w jego płacie skroniowym? Czy na własną rękę przeprowadza teraz internetowe śledztwo, żeby się czegoś o mnie dowiedzieć?

Powinłam zameldować Alice o wydarzeniach z dzisiejszego dnia, jednak nie mogę jakoś wykrzesać z siebie zapachu. Wiem, że to trochę nielojalne, ale stwierdzam, że wolę zmywać brudne naczynia, po cichu licząc na to, że Alice nie jest spod znaku Raka tak jak ja.

Nagle rozlega się głośne pukanie. Podskakuję i upuszczam mytą właśnie szklankę, która roztrzaskuje się w emaliowanym zlewie. Skręt zwisa mi z kącika warg wyschniętych ze strachu.

Odwracam się w kierunku, z którego dobiega bębnienie. Czyli w stronę okna. Zasłony są zaciągnięte, słyszę jednak, jak za nimi telepie się wściekle szyba okienna. Stoję w kuchni jak skamieniała i gapię się przed siebie.

Pukanie się powtarza, głośne i natarczywe. Sęk w tym, że mieszkam na siódmym piętrze.

Hałas nie ustaje.

Z wytrzeszczonymi oczami obserwuję falujące gwałtownie zasłony. Wyglądają, jakby chciały uciec w panice. Zaścielające parapet książki i ulotki – moje materiały badawcze – sypią się na materac.

– Dobry Boże, spraw, niech to sobie pójdzie! – Wznoszę wzrok do sufitu wraz z rozpaczliwym błaganiem.

Lecz dokładnie nad moim sufitem znajduje się dach. Dach, na którym mogli się zgromadzić wszyscy mężczyźni skrzywdzeni przez moje prowokacje, a ich jedynym celem jest zemsta – cały oddział samowwłaścicielstwa straży obywatelskiej gotowy do zjazdu na linie.

Powinłam w tej chwili jednym szarpnięciem rozsunać zasłony, otworzyć okno i rzucić napastnikowi w twarz jakiś mocny tekst w rodzaju: „Skończyły ci się życia, kolego”, po czym obficie spryskać mu oczy gazem pieprzowym i na koniec zepchnąć go z parapetu.

Tyle że na to jest już za późno: napastnik przeszedł do drugiej fazy ataku i bombarduje moje okno kamieniami. Setkami kamieni. Musi mieć pistolet na żwir albo coś takiego. Chryste Panie, straż obywatelska wydała tysiące funtów na

stworzenie nowej broni tylko po to, żeby rozwalić mi łeb!

Odrzucając na bok ściereczkę do naczyń, jednym skokiem dopadam okna i zrywam zasłonę z karnisza.

O moje okno wali grad, a rozsierdzony wiatr wściekle potrząsa szybą. Letniej burzy towarzyszy ogłuszający huk grzmotu.

Przez dłuższą chwilę rechoczemy ze śmiechu, ja i pogoda filutka, dopóki mojej uwagi nie przyciąga postać na dachu budynku naprzeciwko – ciemna, niewyraźna sylwetka w luźnej bluzie z kapturem. Przemoczona do suchej nitki, stoi z opuszczonymi ramionami i patrzy prosto na mnie.

Jestem na dole, na ulicy i spod zmrużonych powiek usiłuję dostrzec coś przez strugi deszczu podświetlone blaskiem ulicznych latarni, które pochylają się nade mną niczym wielkie natryski.

Nie sposób dostać się na ten dach, przynajmniej tradycyjnymi metodami, to znaczy od frontu. Mowa jest bowiem o pięciokondygnacyjnym wiktoriańskim budynku z apartamentami, kompletnie niedostępnym dla takiego plebsu jak ja.

Na parterze jednak mieści się pub oraz dwie włoskie kawiarnie.

Jest późno i kawiarnie są zamknięte. Wpadam więc do Marlborough Arms. Co za niesympatyczny lokal. Personel prawie nie zauważa, jak przemykam w głąb.

Mój cel: toaleta.

W ostatniej kabinie po lewej znajduję brudne okienko z matową szybą, wychodzące wprost na kwadratowy, betonowy placyk. Stoją tam pojemniki na śmieci z pubu i kawiarni, tekturowe pudła, rowery oraz drewniane skrzynki. Tam także wiszą metalowe drabinki przeciwpożarowe, prowadzące od tyłu do luksusowych mieszkań; nadziani lokatorzy też potrzebują odpowiedniej drogi ewakuacyjnej na wypadek podpalenia lub uderzenia pioruna.

Nie cierpię drabinek. Szczególnie takich, pod którymi nie stoją strażacy z płachtą ratunkową. Nie znoszę wysokich i źle oświetlonych drabinek, ale jeszcze bardziej nie znoszę wdrapywać się po nich, gdy cholerne chmury wylewają na człowieka wiadra lodowatej wody, a krople deszczu tną w oczy niczym odłamki szkła.

Wspinam się powoli, powtarzając w myślach układ okresowy, koncentrując się na nazwach pierwiastków i kolejnych szczeblach. Wmawiam sobie, że gram w filmie, a zdobycie szczytu to dla mnie sprawa życia lub śmierci. Dzięki temu nogi mnie nie zawodzą, chociaż kiedy docieram na górę i podciągam się na dach, moje kolana robią się dziwnie miękkie.

Przez pewien czas wdycham zapach kałuży, z uchem i policzkiem przyciśniętym do mokrego podłoża. Woń wilgotnego asfaltu na moment mnie uspokaja.

Nie ruszając się z miejsca, rozglądam się dokoła.

Dostrzegam różne elementy dachu – odpowietrzniki i kominy ukryte za

niskim murkiem – ale ani śladu postaci w kapturze.

Z kieszeni kurtki wyciągam gaz pieprzowy, podnoszę się i ostrożnie zbliżam do krawędzi dachu. Oczywiście nie podchodzę zbyt blisko. Nie próbuję nawet spoglądać w dół, na Torrington Place. Patrzą za to prosto przed siebie, ponad ulicą, w okno swojego mieszkania.

Dziwne uczucie – zupełnie jakbym obserwowwała z boku samą siebie. Stwierdzam, że wolę to od bycia sobą. Natura ludzka każe nam pragnąć tego, czego nie możemy mieć. Stale usiłujemy być lepsi od innych; sekretem dominacji naszego gatunku jest zazdrość.

Rozglądam się na boki, przecieram mokrą ręką ociekającą deszczem twarz.

Nikogo nie ma.

Powoli obchodzę dach. Tylko półmetrowy murek chroni mnie przed upadkiem w dół, pod koła samochodów. Idąc, rozglądam się w poszukiwaniu czegokolwiek, co mógłby zostawić po sobie tajemniczy podglądacz. Dach przypomina wielką mokrą trampolinę – krople deszczu bombardują go, odbijają się i podskakują raz za razem niczym akrobaci masochiści.

Może to burza umyła dach do czysta, bo nigdzie nie widzę papierków po gumie do żucia, tekturowych kubków po kawie ani puszek po red bullu. Nie ma żadnych suchych liści, znajduję też o wiele mniej ptasiego gówna, niżbym się spodziewała.

Przyglądam się uważniej.

Dach wygląda jak zamieciony.

Wydobywam z siebie głos:

– Śledzisz mnie? – Akcent z East Endu jest doskonały na takie okazje. To zwanie krtaniowe, ta welaryzacja charakterystyczna dla londyńskiej ulicy w niezrównany sposób tworzą iluzję morderczych zamiarów (obejrzyjcie sobie wszystkie odcinki serialu *The Sweeney*).

Jednak w moich ustach brzmi to zbyt lękliwie. Deszcz mnie zagłusza.

– No to jestem. Pokaż się, pieprzony tchórze.

Zauważam coś na odległej części dachu. Nawiew gorącego powietrza. Buchającą z niego parę błyskawicznie rozpraszają podmuchy wiatru. Zbliżam się do niego ostrożnie, bo za nawiewem ciemnieje załam w sam raz nadający się na kryjówkę. Im jestem bliżej, tym bardziej wyostrza mi się wzrok. Widzę przed sobą rozkładane krzeselko wędkarskie z siedzeniem z materiału i osłoną przeciwdeszczową w żółte różyczki. Pod krzeselkiem leży książka, którą ktoś starannie zawinął w foliowy woreczek i zabezpieczył zamknięciem na drucik, żeby nie zamokła.

Obok książki leży siatka na zakupy z uszami związanymi w kokardkę. Palce mam zeszywniałe od zimna i wiatru; dopiero po chwili udaje mi się rozplątać folię.

W środku znajduję pozostałości posiłku:

Opakowanie po zapiekanej dietetycznej tortilli z warzywami i pusty pojemnik po sałatce owocowej, oba z jutrzejszą datą ważności.

Do tego butelka po wodzie mineralnej o smaku brzoskwiniowym, pusta, jeśli nie liczyć dwóch niedopałków. Przechylam ją do góry dnem i na moją moką dłoń wypadają dwa filtry. Przyglądam im się ze zmarszczonym czołem. Rozpoznaję białe, ekstradługie silk cuty. To nawet nie są prawdziwe papierosy – większego kopa daje wdychanie londyńskiego powietrza, choćby na tym dachu (naukowo potwierdzony fakt o alkaloidach wykazujących działanie parasympatykomimetyczne).

Nie tego się spodziewałam.

Podglądacz w kapturze nie jest żadnym twardzielem, tylko fanatykiem zdrowej żywności, w dodatku człowiekiem skrzętnym i schludnym. Żeby nie zamoczyć sobie tyłka, postawił nad krzeselkiem osłonę przeciwdeszczową w kwiatki. Troszczy się o swoją wagę, bez przekonania popala papierosy i do tego stopnia dba o swoje miejsce pracy, że bez względu na pogodę biega wkoło ze zmiotką.

Krople deszczu spływają mi po nosie.

Moja robocza hipoteza brzmi: podglądacz w kapturze nie jest młodym facetem.

Biorę do ręki książkę, wydaję ją z woreczka i na moment przestaję oddychać. To powieść, którą sama mam na półce, *PS Kocham cię* Cecilii Ahern.

Czyli kiedy nic ciekawego akurat się nie dzieje, mój podglądacz nadrabia zaległości z literatury kobiecej.

Przeformułuję moją roboczą hipotezę: podglądacz w kapturze nie jest facetem.

Schodzę z powrotem po metalowej drabince, szybciej i raźniej tym razem.

Podglądacz to kobieta w średnim wieku z obsesją na punkcie czystości.

Czyli Bambi.

W wieku sześciu lat znałam już doskonale różnicę pomiędzy laseczką jadu kiełbasianego *Clostridium botulinum* a bakterią *E.coli*: wiedziałam, że zamieszkują, odżywiają się i rozmnażają w organizmie człowieka, a nasze narządy wewnętrzne stanowią dla nich odpowiednik sześciogwiazdkowej szalki Petriego. Podobnie jak Michael, nasza matka miała bzika na punkcie ładu i porządku w domu.

Znalazłszy się bezpiecznie na dole, przetrząsam nasiąkniętą wodą zawartość pojemników na śmieci. Znajduję w nich kolejne dwie siatki – identyczne jak ta na dachu – a w nich pozostałości tych samych dań i butelki po wodzie mineralnej o smaku brzoskwiniowym z dwoma niedopałkami każda.

A więc obserwuje mnie już od pewnego czasu.

Odgarniam z policzka mokre włosy, zadzieram głowę i jeszcze raz

spoglądałam na dach. Ciekawe, czy mama widzi mnie ze swojej kryjówki – o ile gdzieś tam się chowa – a może od dawna jej tam już nie ma?

*PS Kocham cię.*

Powieść o ukochanej osobie, która powraca zza grobu, podrzuca liściki i różne wskazówki...

Wbiegam na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. W popłochu szukam w kieszeniach kluczy. Myślę o mojej kartce urodzinowej – te balony to jednak była wskazówka.

Gwałtownie otwieram drzwi do mieszkania i podbiegam do regału. Książki piętrzą się na półkach niczym drewniane klocki w grze zręcznościowej Jenga, lecz ja wiem dokładnie, gdzie która się znajduje – na swój użytek korzystam z odmiany klasyfikacji dziesiątej Deweya. Dzięki bratu dysponuję egzemplarzem znalezionej na dachu powieści. W dniu moich dwudziestych siódmych urodzin wyznał mi, że sam jej nie czytał, więc nie ma pojęcia, o czym to jest, niemniej jednak tytuł wydał mu się idealny na tę okazję.

Miał rację.

Gorzko żałuję, że też jej nie przeczytałam. Zamierzam teraz to zrobić. Lecz *Ślepy zabójca* opiera się o *The Wolves of Willoughby Chase*, a między nimi jest luka. A przecież znam ustawienie wszystkich swoich książek.

Biorę głęboki wdech.

Mama wzięła tę książkę, kiedy włamała się do mojego mieszkania.

Kłęcząc na materacu, wpatruję się w pusty dach budynku naprzeciwko. Kiedy moja komórka zaczyna wibrować, a wyświetlacz gniewnie błyska, nie patrząc na niego, przykładam aparat do ucha i mówię głucho:

– Tak?

Dzwoni Maeve, strasznie wkurzona.

– Coś ty, kurwa, najlepszego zrobiła?

Odpowiadam jej oschle:

– Maeve, możemy pogadać kiedy indziej?

– Poprosiłaś, żebym umożliwiła ci, cytuję, „przelotny kontakt” ze Scottem Delaneyem. Chryste, zamknęłam go w jednym pokoju ze skończoną wariatką...

Siadam na materacu i opieram się plecami o chłodną ścianę.

– Co się stało? – pytam rzeczowo. Oby tylko Scott mnie nie przejrzał, błagam!

– Miałaś z nim zamienić dwa słowa i wyjść. Taka była umowa...

– Ktoś się wnerwił przeze mnie? Były jakieś skargi?

– Nie.

Czyli jestem kryta, ale nie wniebowzięta. Spoglądam na zegarek. Sklepy od dawna są zamknięte, a ja pilnie potrzebuję egzemplarza *PS Kocham cię*. Biblioteka! Mogłabym się włamać...



– Zostałam trochę dłużej. Chciałam się upewnić, że wszystko przebiegnie bez zakłóceń. Czego właściwie ode mnie chcesz? – pytam zniecierpliwiona.

– Nie jestem zadowolona, Florence.

Skręt, który wcześniej paliłam, wciąż leży na podłodze. Przypalam go i nerwowo się zaciągam.

– Tak to jest, jak się żyje w kłamstwie.

– Z ciebie, Florence. Nie jestem zadowolona z ciebie...

Przerywam jej:

– Czy Scott o mnie wspominał?

– Dlaczego miałby o tobie wspominać?

Powraca wcześniejsze rozczarowanie. Za wiele sobie wyobrażałam. Powinam się cieszyć, że nie odkrył, że to wszystko jedna wielka ściema. Podałam mu dwa różne imiona i na dodatek uraczyłam go Spojrzeniem.

Wypuszczam ustami gęsty, błękitny dym.

Odreagowuję swoją frustrację na Maeve:

– Skąd żeś wytrzasnęła tego Ricky’ego Harta? Serio, Maeve, nie znasz żadnego dziennikarza, który potrafi samodzielnie myśleć? Powiedz mi jedną rzecz: gdyby twoja matka miała zostać zamordowana i groziła jej paskudna śmierć w długich i wymyślnych męczarniach, a ty musiałabyś na to patrzeć i jedynym sposobem, żeby ją ocalić, byłoby ją przelecieć, to co byś zrobiła?

– Na litość boską!

– To znakomite pytanie. Zaraz, zaraz: twoja matka to skrajna homofobka. Lepiej pozwolić jej wykitować.

Opuszczam ramię podtrzymujące komórkę. Aparat upada na materac, a ja wciskam: „Rozłącz”.

Jednak ta suka oddzwania.

– Wieczorem Scott dryndnął, żeby mi podziękować za apartament.

– Brawo! Zasłużyłaś na medal.

– Powiedział też, że zgubiłaś portmonetkę.

Natychmiast nieruchomieję, a mój głos staje się łagodny.

– Właśnie zachodziłam w głowę, gdzie się podziała.

– Taa, jasne.

– Naprawdę.

– Użył twojego imienia. Florence. Podałaś mu prawdziwe imię?

Wiadomość, że Scat wypowiedział na głos moje imię, napęła mnie niewymownym szczęściem.

Maeve wzdycha przeciągle. Ma dość tej zabawy, więc pyta mnie prosto z mostu:

– W co ty pogrywasz? Wsadzasz go na minę?

– Skąd!

– Więc o co chodzi? Proszę cię, Florence. – Niemal od roku nie słyszałam u niej takiego tonu; jest niemal przyjazny.

– Chodzi o Michaela – kłamię.

– Wszystko z nim w porządku? – pyta prędko. Nigdy się nie spotkali, lecz Maeve zawsze przejmowała się jego sytuacją. Z perspektywy czasu wydaje mi się to nawet miłe. Kogo ja próbuję oszukać? Już wtedy mnie tym wzruszała.

– Nie, Maeve, niestety nie. Jest w kompletnej rozsypce.

Bo zmartwychwstanie naszej matki to nie jej sprawa. Przebiegam spojrzeniem po dachu naprzeciwko, wpatruję się w ciemne zakamarki, lecz zacinający gęsto deszcz i unosząca się w powietrzu para wodna sprawiają, że niczego nie mogę być pewna. Równie dobrze to duch Bambi może się tam przechadzać.

Wzdycham ciężko.

– Michael uwielbia Scotta. Miałam nadzieję, że załatwię jakieś spotkanie, przepustkę za kulisy... Ech, sama nie wiem. Zaryzykowałam, ale nie miałam okazji go o nic poprosić. Scat był bardzo zajęty. Okropnie gwiazdorzył, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Scat, mówisz?

– Tak, Maeve. Scat.

– Rozumiem – odpowiada powoli, z namysłem.

– Może mogłabyś mu przekazać, że w portmonetce są moje dane?

– Może jednak nie – ucina krótko. – Już zaprzeczyłam, że cię znam. Mówiłam, że przysłała cię agencja.

Dawna Maeve Rivers powraca w wielkim stylu. Nie widzę jej twarzy, ale wiem, że miałabym ochotę mocno ją zdzielić przez łeb.

Uśmiecham się smutno półgębkiem.

– W takim razie to chyba wszystko. Nic ci już z mojej strony nie grozi. Żegnaj, Maeve.

I się rozłączam. Pożegnania są takie bolesne. Nie cierpię ich. Dziś jednak mam na głowie ważniejsze sprawy.

Najpierw mama.

Teraz Scat.

Jeśli o mnie chodzi, Maeve nie ma żadnych powodów do niepokoju. Więcej mnie nie zobaczy.

W myślach wpisuję *PS Kocham cię* na swoją listę pilnych spraw do załatwienia i loguję się do poczty na Hotmailu. Odświeżając stronę co trzydzieści sekund, układam w głowie e-mail do Alice.

Sprawa małżeńska

Sobota 5/7/14, godz. 23:09

Od: info@londonpiseservices.uk.net

Do: asc345@hotmail.com

Alice!

Boże święty, nie zgadniesz, co się stało. On chce się ze mną skontaktować. Cholerny Scott Delaney! Albo Scat, bo tak go teraz lubię nazywać. Nie słyszałam, żebyś Ty tak o nim mówiła, to dziwne! Stawiam tysiąc dolarów, że w mniej niż siedemdziesiąt dwie godziny rozpieprzę twoje małżeństwo w drebiezgi!

LOL i brawo ja!

FL xx

Naturalnie kilkakrotnie zmieniam treść listu, staram się pozbyć wykrzykników i zastąpić uniesienie odpowiednią dawką powagi w stylu „nie zapominaj, z kim masz do czynienia”.

Ostateczna wersja, jaką otrzymuje Alice, brzmi:

Sprawa małżeńska

Sobota 5/7/14, godz. 23:39

Od: info@londonpiseservices.uk.net

Do: asc345@hotmail.com

Witaj, Alice,

Mam nadzieję, że nadal dobrze się bawisz w Toskanii. Poza tym, że ten region uważa się za największą skarbnicę sztuki na świecie, może się on też poszczycić wybitnymi tradycjami literackimi. Proponuję, abyś poczytała sobie przy basenie coś z Petrarcki albo Dantego Alighieri.

Mam dla Ciebie nowiny. W trakcie dzisiejszej rozmowy w hotelu Landmark w Marylebone Scott wyraził chęć ponownego skontaktowania się ze mną. Obecnie oczekuję na e-mail od niego. Niech Cię to nie przeraża. Zostawiłam w hotelu portmonetkę – jestem pewna, że tylko chce mi ją zwrócić i osobiście pogratulować mi profesjonalizmu.

Ze swojej strony postaram się zaaranżować kolejne spotkanie, podczas którego spróbuję przenieść naszą znajomość na inną płaszczyznę, niekoniecznie akceptowaną z punktu widzenia moralności.

Skontaktuję się z Tobą natychmiast, jak tylko cokolwiek zostanie ustalone.

Ściskam,

FL

Miałam ochotę dodać roześmianą buźkę, ale profesjonalizm zwyciężył.

Odśwież...

Odśwież...

Odśwież...

Dziś wieczorem nie czuję, że jestem sama.

Jest ze mną moja mama.

I Scat Delaney.

Puszczam wodze fantazji i wyobrażam sobie, że zrobiłam na nim spore wrażenie. Że głowi się teraz, dlaczego nie może przestać o mnie myśleć. Że wbrew zdrowemu rozsądkowi pragnie się ze mną znowu zobaczyć.

Odśwież...

Nie tyle zależy mi na tym, żeby uważał mnie za taką, której nie można się oprzeć, ile na tym, żeby myśl o mnie nie dawała mu spokoju. Chcę drażnić jego mózg, a dokładniej rzecz ujmując, pole brzuszne nakrywki. Nieskromnie muszę przyznać, że moja umiejętność stymulowania i masowania słowami tej części męskiej anatomii, aż do całkowitego nią zawładnięcia, nie ma sobie równych. To oczywiste, że facet chce wrócić po więcej. Zmuszają go do tego dwa miliony cztery tysiące lat ewolucji. Nie każdego dnia doświadcza się takiego przyływu dopaminy.

Odśwież...

W kieszeni mojej kurtki przeciwdeszczowej wciąż tkwi strona wyrwana z „Przeglądu Architektonicznego”. Wyciągam ją na wierzch.

Salon w domu Delaneya...

Wpatruję się w zdjęcie, wyobrażając sobie, jak siedzi całkiem sam w pomieszczeniu „o czystych liniach, gdzie wszystko jest w zgodzie z duszą, światłem i porządkiem”.

Wiem jednak coś, czego nie wiedzą inni.

Ta zainspirowana filozofią zen przestrzeń nie będzie dziś rozbrzmiewać muzyką hinduską, nie usłyszycie tam rytmów ambient garage ani gówna w stylu New Age wyśpiwywanego przez Enyę, tylko ścieżkę dźwiękową do *Red Dead Redemption* – komputerowej wersji życia i śmierci na Dzikim Zachodzie, z karabinami samopowtarzalnymi, rzucaniem lassem i rozpaczliwymi, choć nie do odróżnienia, jękami mordowanych. Tak, Scott Delaney spędzi dziś kolejny samotny wieczór z nadzieją, że kowboje i cała ta strzelanina pozwolą mu nie myśleć o czekającej go długiej bezsennej nocy.

Dzisiejszy wieczór jest jednak inny od pozostałych: Scott wie już, że nie musi siedzieć sam. Potrzebuje tylko dobrej wymówki, żeby się ze mną skontaktować.

A sprytna Florence podsunęła mu aż nadto dużo powodów, aby to uczynił: zgubiona portmonetka, profesjonalizm, wiedza medyczna, jakiej nie powstydziliby się dyplomowany terapeuta zaburzeń snu...

Nie krępuj się, Scott.

Odśwież...

Odśwież...

Odśwież...

Nie krępuj się.



## Trener rozwoju osobistego

Niedziela. Dzień siódmy Operacji Delaney.

Godzina 8.12.

Gabinet doktora Malika. Nie powiedziałabym, że wygląda jak typowy gabinet ajurwedy – ściany są w kolorze zgniłych grzybów (odcień portobello), a wykładzina dywanowa przypomina barwę morskie algi. Dwa krzesła (w kolorze pomarańczowym, jak z domu spokojnej starości) ustawiono pod kątem w taki sposób, jakby w rogu pokoju stał telewizor, a przecież nie stoi. Znajduje się tam za to kosz na śmieci, w sam raz na kilka nasiąkniętych łzami chusteczek higienicznych – pod warunkiem, że przyniesie się własne, ponieważ te z pudełka na parapecie kiepsko wchłaniają wilgoć i nadają się raczej do rozsmarowywania gili po twarzy. Można by nimi z powodzeniem natłuścić blachę do pieczenia.

Przypominają papier toaletowy, jaki mieliśmy w szkole, i być może na tym właśnie polega ich zadanie: służą za rekwizyt przywołujący wspomnienia i mają stymulować regresję. Muszę przyznać, że sprawdzają się za każdym razem, przenosząc mnie w pamięci do czasów, gdy ledwo nauczyłam się podcierać tyłek. Zakonnice postanowiły rzucić nas na głęboką wodę i wyposażyły łazienki w coś w rodzaju kalki technicznej; równie dobrze można próbować usuwać ekskrementy za pomocą pacy tynkarskiej. Miała to chyba być dla nas kara za grzech pierworodny.

Doktor Malik uśmiecha się do mnie szeroko, a jego zęby lśnią nieskalaną bielą.

Szczerze mówiąc, chętnie zdarłabym z niego to dhoti, gdyby nie jego ciężła potrzeba rozluźniania atmosfery.

Pozwólcie, że go wam opiszę.

Wygląda jak ten gracz w krykieta, Imran Khan, w młodości, czyli w dużej mierze jak hinduski Richard Gere – pierwszy gwiazdor, w którym się zakochałam. Co ciekawe, Richard Gere też miał nieco przerośnięte przednie zęby, zupełnie jak Scott Delaney.

– Miło cię widzieć, Florence – wita mnie ciepło doktor Malik. – Od naszego ostatniego spotkania minęło sporo czasu.

– Trzy tygodnie.

– Dwa miesiące.

Widujemy się, bo niekiedy w Londynie doskwiera mi samotność. Jako tajny detektyw nie prowadzę bujnego życia towarzyskiego, więc od czasu do czasu dobrze jest się wygadać. Traktuję go trochę jak chłopaka, którego nie sposób wyprowadzić z równowagi. Jest to rzecz jasna przywilej, za który trzeba słono płacić. Doktor Malik słucha, przytakuje, zdarza mu się nawet dać mi jakąś rozsądną

radę. Naturalnie nie bżyka się z pacjentkami, lecz poza tym jest wymarzoným towarzyszem. Wydaje mi się również, że jest mną odrobinę zafascynowany, a to balsam na serce dla wszystkich samotników.

– Z reguły nie spotykam się z pacjentami w niedziele, ale powiedziałaś, że masz pilną sprawę. Wszystko u ciebie w porządku?

Podaję mu kartkę papieru.

Jest na niej napisane: „Ja, doktor Ekram Malik, niniejszym zaświadczam, że Florence Maria Love wzięła udział w dzisiejszej sesji wspierania rozwoju osobistego”.

– To dla mojego taty – wyjaśniam mu. – Martwi się o mnie. Poproszę o datę i podpis.

Posłusznie spełnia moją prośbę, jakby to była najbardziej naturalna rzecz pod słońcem. Wygląda przy tym nieskończenie empatycznie. Postanawiam w duchu przybierać podobny wyraz twarzy, kiedy już będę się zajmowała profilowaniem psychopatów w Manchesterze.

– Musi ci naprawdę zależeć na ojcu – stwierdza uprzejmie.

Wprowadzam go w temat:

– Tata chce, żebym wyjechała z Londynu i wróciła z nim do Laurelbridge. Uspokajam w ten sposób swoje sumienie.

– Nie chcesz wyjeźdźać?

– Nie.

– Więc mu odmów.

– Tata zbliża się do siedemdziesiątki i jest zmęczony. Od pewnego czasu chce przekazać mi nasz rodzinny biznes.

– A ty chcesz przejąć ten... rodzinny biznes?

– Uchowaj Boże!

Doktor Malik nie widzi żadnego problemu.

Wpatruję się w niego skonsternowana.

– To prezent. Tata byłby niepokieszony.

– Niepokieszony? To kogo ten prezent ma uszczęśliwić?

Zastanawiam się nad tym przez chwilę. Odpowiedź brzmi: „tatę”, mimo to bronię ojca:

– On stale martwi się o mnie i o Michaela.

– Taki już los rodzica.

– Nic nie poradzę, że czuję się przez to winna.

– To także los rodzica: w pewnym momencie trzeba pozwolić dzieciom dokonywać swobodnych wyborów i pójść własną drogą.

Kręcę głową.

– Ale Michael i ja jesteśmy dla niego wszystkim.

– Czy aby nie przemawia przez ciebie pycha? – zastanawia się głośno doktor

Malik.

Nie. Po prostu stwierdzam fakt.

– Chcesz powiedzieć, że kiedy twój ojciec jest w Dorset, całymi dniami przesiaduje w fotelu, kręcąc młynka palcami i lamentując nad tym, jak bardzo jest samotny?

Przytakuję ze smutkiem, ponieważ wyobrażam sobie, że przez większość czasu tak właśnie wygląda jego życie.

Doktor Malik nachyla się do przodu i przekrzywia głowę w lewo.

– Nieprawda, Florence. Jego życie jest równie owocne i samodzielne jak twoje. Czasami jest mu smutno. A czasami jest szczęśliwy. Bywają takie godziny, gdy nie poświęca tobie ani Michaelowi ani jednej myśli.

– Nie zna go pan.

– Też mam ojca. Sam jestem ojcem. Rodzice to nie inwalidzi emocjonalni. Nie przechodzimy załamania nerwowego, gdy zawiedziemy się na naszym dziecku.

– Mój tata nie myśli tak ontologicznie jak pan.

Najwyraźniej to żaden argument.

– Czasami trzeba przypomnieć rodzicom pewną podstawową prawdę: że jesteśmy równie pełnowartościowymi istotami jak oni. Wasz ojciec może znakomicie funkcjonować bez was, a ty nie musisz do niego biec za każdym razem, gdy poczuje lęk. Najciekawsze, że w głębi duszy on doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Doktor Malik spogląda na mnie mądrym wzrokiem.

Bardzo żałuję, że nie mogę zamieszkać z nim w jego krainie fantazji.

Z ciężkim westchnieniem osuwam się na oparcie krzesła i przez chwilę przyglądam mu się w milczeniu.

– Moja matka się ze mną skontaktowała – rzucam zdawkowo.

– Twoja... Słucham?

– Dostałam od niej kartkę urodzinową.

– Wybacz mi, ale... Twoja biologiczna matka?

– Na obrazku były baloniki. Poza tym ktoś włamał się do mojego mieszkania. To kobieta ceniąca sobie porządek. A teraz podgląda mnie z dachu budynku naprzeciwko.

– Wybacz, Florence, ale wydawało mi się, że twoja matka nie żyje.

– Mnie też się tak wydawało. – Znużona pocieram twarz.

– Jak często palisz marihuanę?

Okropnie mnie wkurza to pytanie.

– Mówiłam panu, że to rzuciłam.

– Marihuana może wywoływać paranoję i halucynacje.

– Jak również chwile niezwyklej jasności umysłu. – W końcu jednak zwycięża żyjąca we mnie katoliczka. Świętoszkowata poza doktora Malika działa



na mnie niczym serum prawdy. – Wczoraj wypaliłam jednego skręta.

Tym razem doktor Malik przechyla głowę w prawą stronę i spogląda na mnie w milczeniu, oczekując, abym błagała o przebaczenie za swój narkotykowy wyskok.

Nie zamierzam o nic błagać. Ostatecznie są gorsze wady. Na przykład wypijanie co wieczór piętnastu puszek browca. Albo wciąganie nosem soli do kąpieli. Albo wstrzykiwanie sobie diacetylmorfiny (co ciekawe, ten opioid został po raz pierwszy zsyntetyzowany w 1874 roku przez Aldera Wrighta jako niezależniący substytut morfiny), znanej lepiej jako helena, braun, proszek, hera albo heroína.

Słowo o marihuanie: jeden skręt jeszcze nikogo nie zabił (z wyjątkiem osób uczulonych na konopie, które mają z góry przechłapane).

Nigdy jednak nie należy osobiście kontaktować się z dilerem. Lepiej zapuścić się do darknetu – zamówić torebkę zioła w sieci jest równie łatwo, jak zrobić zakupy na Amazonie, za to marże są niższe. Towar przychodzi pocztą, przesyłką poleconą. Płaci się bitcoinami, podając jedynie adres dostawy. Żadne inne dane nie są potrzebne. Dwadzieścia cztery godziny później na twojej wycieraczkę ląduje gruba koperta wyłożona od środka gąbką.

Uwaga: w świetle prawa jest to przestępstwo.

Myślę jednak, że prawodawcy zgodziliby się ze mną, iż zakup marihuany w internecie jest z perspektywy samotnych kobiet najbardziej wygodny i bezpieczny.

Nie dzielę się tym spostrzeżeniem z doktorem Malikiem. Przysłałam tu głównie po to, żeby podpisał mi świstek, który uszczęśliwi tatę.

– Dziękuję – mówię, zabierając kartkę z jego kolan. – Ma pan dla mnie coś do poczytania?

Zaskoczyłam go, mimo to wyciąga ze skórzanej teczki jakąś ulotkę. Jest zatytułowana *Sztuka życia: lepsze odżywianie to sprawniejszy umysł*.

Kartkuję ją. Wybrałam doktora Malika, ponieważ przedstawiał się jako orędownik intensywnej pracy nad sobą. Zakładałam, że ma do zaoferowania coś więcej niż pieprzone ulotki, których lektura najwyraźniej ma wszystko załatwić.

Przed wyjściem pytam go jeszcze, czy czytał może *PS Kocham cię*. Nie, odpowiada uradowany, ale widział film. Kręcę głową, bo nie o to mi chodzi – w filmowej adaptacji fabuła mogła ulec zniekształceniu, w scenariuszu mogli pominąć niektóre niuanse. Muszę koniecznie przeczytać oryginał.

Autobusem numer 24 wracam do domu.

Na siedzeniu obok mnie, pokrytym brudnym obiciem w szkocką kratę, leżą okulary Harry'ego Pottera – takie czarne, plastikowe. Musiało je zgubić jakieś dziecko. Nie wiedzieć czemu moje serce przepelnia smutek. Biorę okulary, chcąc oddać je kierowcy na wypadek, gdyby matka dzieciaka zadzwoniła do

przedsiębiorstwa transportu miejskiego.

Naprawdę chcę je oddać.

Ale kiedy autobus zatrzymuje się przy księgarni Waterstones, zupełnie o tym zapominam. Wsiadam niczym robot, a potem sterczę przed zamkniętymi drzwiami, bo jest niedziela i księgarnię otwierają dopiero w południe.

Tymczasem sprawdzam więc swoje e-maile...

Żadnych nowych wiadomości.

Niechętnie dzwonię do Michaela. Gdy jednak słyszę w słuchawce jego głos, stwierdzam, że brzmi całkiem wesoło. Co za ulga! Brat zaprasza mnie nawet na lunch, żeby uczcić przyjazd taty do Londynu.

Nie wspominam mu ani słowem o wydarzeniach dwóch ostatnich dni.

Punktualnie o dwunastej przeciskam się obok sprzedawcy, który otwiera drzwi, i pędzę prosto do działu z beletrystyką współczesną. Czekaając w kolejce do kasy, oglądam tył okładki.

Widnieje na niej zdanie: „Życie jest dla żywych. Ale zawsze dobrze mieć anioła stróża”.

## Sébastien

Mieszkanie Michaela jest małe, ale ma świetny rozkład. Za małe dla dwóch osób, za to idealne dla półtora lokatora, co prawdopodobnie tłumaczy, dlaczego tak się podoba Sébastienowi – ma odpowiednią wielkość.

Tata, Michael, Sébastien i ja siedzimy w salonie, szturchając się kolanami. Trochę to kłopotliwe, zupełnie jakbyśmy byli pasażerami zatłoczonego pociągu i starali się nie dotykać nawzajem stopami.

Jeśli chodzi o przestrzeń, w Soho ma się jej tyle, ile się za nią zapłaci, a Michael płaci czynsz od centymetra kwadratowego. (Mówiąc „Michael”, mam na myśli tatę i siebie). Chociaż i tak ma zniżkę, bo właściciel galerii z parteru czuje do niego miętę, podobnie jak reszta mieszkańców Soho. Właśnie dlatego nie rozumiem, co takiego – jeśli pominąć jego nietypowe rozmiary – mój powszechnie pożądaný brat widzi w Sébastienie.

Sébastien...

Siedzi teraz w fotelu naprzeciwko mnie, drobny i kruchy. Szerokie oparcia po obu jego stronach stwarzają iluzję, że tkwi na podwyższeniu jak dziecko, któremu ktoś podłożył poduszkę pod pupę. Michael przycupnął obok na pasującym do fotela podnóżku. Tata towarzyszy mi na kanapie i z typowym dla siebie entuzjazmem opróżnia butelkę wina, z czego niezmiernie się cieszę – jest dzisiaj w znacznie lepszym nastroju niż wczoraj.

No i Bambi – spogląda na nas zdziwionym wzrokiem ze zdjęcia na półce. Ciekawe, które z nas budzi jej największą troskę.

Mrugam do niej ukradkiem.

– A zatem, Sébastien – mówi wesoło tata – czym się właściwie zajmujesz?

Podekscytowana pochylam się do przodu. Nie słyszałam dotąd, żeby Sébastien powiedział to głośno i wyraźnie. Może go w końcu polubię, kiedy to usłyszę.

– Miło, że pan pyta. Jestem osteopatą.

Mam ochotę się roześmiać. Głos Sébastiena brzmi tak dziecinnie, w dodatku mówi z amerykańskim akcentem; mam wrażenie, jakbym siedziała naprzeciwko Andy’ego Warhola, Michaela Jacksona, Janet Jackson i Thumpera w jednej osobie. Ciarki przechodzą mi po plecach – Sébastien ma zadatki na arcyłotra.

Tata klepie się po udzie.

– Co za zbieg okoliczności! Tak się składa, że mam problemy z kręgosłupem.

– Masz spięte pośladki – stwierdzam. Wiem, co mówię, bo sprawdzałam.

Tata mnie ignoruje.

– Od lat nie daje mi spokoju. Najgorsze są krzyż i biodra. Stamtąd ból

promieniuje dalej. Popatrzcie tylko.

Michael natychmiast zapomina, że ma patrzeć, i wychodzi po przekąski. Nadrabiam jego brak towarzyskiej ogłady, poświęcając tacie całą uwagę.

On zaś niepewnie się podnosi i zwiesza długie ramiona luźno po bokach. Wygląda w tej chwili, jakby miał setkę na karku, niczym przejmująco nieporadna istota człekokształtna. Ogarnia mnie niespodziewany smutek na myśl, że mój ojciec zbyt szybko przeżył życie. Ostrożnie przechyla się w lewo, potem – jeszcze ostrożniej – w prawo.

– Rzeczywiście, jest pewna różnica – zwracam się do Sébastiena.

– Owszem – przytakuje tym swoim głosem geniusza zła. I tyle.

Na jego miejscu – gdybym była prawdziwym osteopatą – wstałabym, podeszła do demonstrującego swoje dolegliwości współbiesiadnika i obmacała jego obolałe części ciała.

Ponieważ na tym polega moja praca, a wykonywanie zabiegów z zakresu osteopatii spontanicznie i bezpłatnie świadczy o wielkim zaangażowaniu.

Ponieważ chciałabym się popisać – postawić trafną diagnozę, a następnie uzdrowić pacjenta, zgrywając przy tym kopalnię wiedzy o fizjologii człowieka.

Ponieważ wszyscy lubimy być dotykani, zwłaszcza przez obcych; dotyk sprawia, że odczuwamy wówczas mrowienie w kości guzicznej.

Jednak Sébastien nie rusza się z miejsca. Dochodzę do wniosku, że jest albo wielkim egoistą, albo zwykłym mitomanem. Postanawiam wziąć go na spytki.

– Pracujesz w jakiejś przychodni?

– Nie.

– Masz pacjentów?

– Tak.

– Tutaj czy w Stanach?

– Jestem Kanadyjczykiem.

– Och. – Zawsze lubiłam Kanadyjczyków.

– Osteopatia to doskonały zawód. – Tata przedstawia Sébastienowi listę zalet: – Przede wszystkim ma się gwarancję zatrudnienia. Ludzi zawsze będzie bolał kręgosłup. Osteopaci są znakomicie wykształceni. To lekarze, którym się nie udało.

– Zabrzmiało to niezbyt grzecznie – zwracam się do Sébastiena.

– Ile zarabiasz? – pyta go tata.

– To już całkiem niegrzeczne pytanie.

„Nie ma sprawy” – wyczytuję z ruchu warg Sébastiena; najwyraźniej głos zaczyna go zawodzić.

– Nie, Sébastien. Nie odpowiadaj. – Nie mogę się powstrzymać i chichoczę z taty. – Kompletnie oszalałeś?

– W ubiegłym roku zarobiłem...

– Powiedziałałam, żebyś nie mówił. – Ostrzegawczo unoszę palec do góry.

– Na pewno nieźle ci się powodzi, co? – rzuca szelmowsko tata, napełniając sobie kieliszek.

Choć nie powinnam się do tego przyznawać, to najbardziej go Kocham, gdy się ubzdryngoli.

– Na życie mi starcza – odpowiada asekuracyjnie Sébastien.

Sprawdzam go:

– Czytałeś publikację *Niefarmakologiczne metody leczenia ostrego i przewlekłego bólu dolnego odcinka kręgosłupa: przegląd wyników badań przeprowadzonych na zlecenie Amerykańskiego Kolegium Lekarzy?*

W odpowiedzi kręci głową, dmucha przez ściągnięte wargi i zwraca się stanowczo do swoich kolan. – Panno Love, ja naprawdę jestem osteopatą.

– Nie, to ja jestem osteopatą! – Tata unosi w górę zaciśniętą pięść.

– Nie, to ja jestem osteopatą! – Naśladuję go.

– Nie, to ja jestem osteopatą! – mówi Michael, wracając z półmiskiem przystawek.

Z wyjątkiem Sébastiena wszyscy śmiejemy się do rozpuku.

Odczekuje chwilę. Zamyka oczy, powoli przetyka i zaczyna raz jeszcze:

– Proszę pana, całkiem możliwe, że diagnoza pańskiej córki jest trafna. Mięsień pośladkowy wielki i mięsień pośladkowy średni to dwa najczęstsze źródła bólu dolnego odcinka kręgosłupa. Przyczepy są zlokalizowane wzdłuż kości biodrowej, między przednią a tylną kresą pośladkową. Dystalnie połączone z boczną powierzchnią kości udowej...

Jego wyjaśnienia boleśnie się ślimaczą – można by przypuszczać, że rozkoszuje się dźwiękiem własnego głosu. Gdyby był Amerykaninem, złożyłabym tę chęć zabłyśnięcia na karb jego narodowości. Amerykanie z natury mają skłonność do teatralnych zachowań. Europejscy naukowcy zajmujący się biochemią mózgu przeprowadzają nawet eksperymenty mające wykazać, czy decyduje o tym konkretny gen.

Ściemniam... ale tylko troszeczkę.

Dochodzę do wniosku, że Sébastien musi mieć w żyłach domieszkę jankeskiej krwi. Zauważcie, jak monopolizuje rozmowę, zwróćcie uwagę na te głębokie oddechy, jakby walczył z atakiem paniki...

– Włókna przednie rotują, zginając staw biodrowy. – (Wdech, wydech). – Włókna tylne rotują bocznie, prostując i obracając kończynę na zewnątrz. – (Wdech, wydech). – Czy mógłby mi pan podać swój adres e-mailowy? Prześle panu instruktaż ćwiczeń rozciągających. Gdyby dolegliwości nie ustąpiły, wówczas będę zaszczycony, mogąc pana przyjąć w swojej klinice albo w domu. – (Wdech, wydech). – Rzecz jasna, za darmo.

Ale z niego dupek.

– Tata mieszka w Dorset – podkreślam.

Sébastien unika mojego spojrzenia. Nie odrywa wzroku od ojca.

– Jak już powiedziałem, będę zaszczycony.

Michael podsuwa mi półmisek z przekąskami. Kręcę głową i z dumą nachylam się do taty:

– Jem teraz wyłącznie to, co zaleca ajurweda.

– A co to za jeden? – pyta ze śmiertelną powagą.

– Ajurweda wskazuje ścieżkę wiodącą ku większej energii, aktywności oraz kreatywności – recytuje Michael, słowo w słowo powtarzając to, co mu wcześniej powiedziałam.

Oklaskuję go, bo na to zasłużył.

– Kuchnia ajurwedyjska – poprawia go Sébastien, nieświadomy, że zwracam się wyłącznie do swoich krewnych.

– Nawiasem mówiąc, tato, nie marnowałam czasu, odkąd się wczoraj widzieliśmy. Powinieneś być ze mnie zadowolony. Dziś rano spotkałam się ze swoim trenerem rozwoju osobistego i zobacz, co dla ciebie mam. – Podaję mu podpisany świstek. – Od tej pory co tydzień będę brała od niego takie zaświadczenie.

Mój brat przysiadł obok Sébastiena na bocznym oparciu fotela. Sébastien wygląda teraz niczym lalka brzuchomówcy.

– Dla Sébastiena to pierwsza taka uroczysta kolacja – przerywa Michael moją opowieść.

– Co ty? – dziwię się. – To ile on ma lat?

– Dwadzieścia pięć.

– Czyli potrafi już sam mówić.

Michael konferuje szeptem z Sébastienem, po czym odzywa się głośno:

– Chyba do kogoś ciotka przyjechała.

Sébastien się śmieje albo ma skurcz warg.

Głęboko urażona kładę rękę na sercu i przez chwilę nie wiem, co odpowiedzieć. Mój brat i Sébastien zmówili się przeciwko mnie.

– Seb trochę się jąka – wyjaśnia mi Michael. – Ale robi wielkie postępy.

Dzięki Bogu tata dostrzega świetną okazję do żartu:

– Grunt, że jest wśród p-p-p-przyjaciół – mówi.

– Tato! – staram się zrehabilitować. Chcę, żeby Michael znów kochał mnie najbardziej na świecie. – To nie uchodzi.

– Staram się tylko rozluźnić trochę atmosferę, Florrie.

Michael poklepuje tatę po kolanie.

Pytam więc szybko:

– Widzieliście *Jak zostać k-k-k-królem?*

Seksistowski fakt: ładnym dziewczynom nie do twarzy z ironią. Nie wydają

się wtedy ani inteligentniejsze, ani bardziej wyrafinowane. W przypadku atrakcyjnych kobiet publiczność zakłada, że ich poczucie humoru ma swoje źródło w części mózgu odpowiedzialnej za złośliwą zarozumiałość. Dla odmiany starsi faceci w granatowych kurtkach marki Barbour zawsze powinni uciekać się do ironii, ponieważ kiedy to robią, atmosfera wyraźnie się rozluźnia.

Zmieniam temat:

– Muszę z tobą porozmawiać, Michael.

Oczy mojego brata robią się okrągłe. Domyśla się z mojego tonu, że chcę mówić o mamie. Podobnie jak ojciec, który nie spuszczając ze mnie wzroku, napełnia kieliszek i upija potężny haust.

– Chyba powinniśmy przejść do kuchni – proponuję.

Ojciec przytakuje i zaczyna się podnosić, ale powstrzymuję go, wskazując Sébastiena.

– Zajmij się naszym honorowym gościem, tato – mówię dojrzałe. – Sama to załatwię.

Choć Michael jest w trakcie przygotowywania kolacji z trzech dań, jego maleńka, nieskazitelnie czysta kuchnia wygląda, jakby przeniesiono ją wprost z wystawy sklepu z wyposażeniem wnętrz.

– Będę z tobą szczerą – zaczynam łagodnie. – Zasługujesz na to bardziej niż ktokolwiek na świecie. To, co ci powiedziałam o mamie... Opatcznie mnie zrozumiałeś.

– Przecież nie kłamałaś – odpowiada stanowczym tonem mój brat. – Cokolwiek twierdzi tata, wiem, że nie kłamałaś.

– A co ci powiedział tata?

– Że masz bujną wyobraźnię.

Uśmiecham się.

– Nigdy nie zaprzeczałam.

– Tak bujną, że czasami zaciera ci się granica między fantazją a rzeczywistością.

Filozoficznie kiwam głową.

– Bujna wyobraźnia to dar ofiarowany najwybitniejszym jednostkom. Artystom, pisarzom, reżyserom filmowym, wynalazcom. Wszyscy oni myślą nieszablonowo, przez znaczną część życia żyją wyobraźnią. Bez bogatej wyobraźni nie zostanie się pionierem w żadnej dziedzinie. Och, Michael, nie bądź tacy jak oni. – Wskazuję palcem ścianę, a za nią całą angielską klasę średnią. – Bezbarwni, ograniczeni, przeciętni, mylący wyobraźnię z obłąkaniem albo patologiczną skłonnością do kłamstwa. Spójrz tylko na Arystotelesa, Jimiego Hendrixa, Steve'a Jobsa. Oni mieli niesamowitą wyobraźnię.

– Jeszcze Madonna.

– Hm...

– I Sherlock Holmes.

Nie wyjaśniam mu, że Sherlock Holmes to postać fikcyjna. Biorę go za rękę.

– Jedno jest absolutnie pewne. Kocham cię najbardziej na świecie, braciszku. Michael wzdycha jak męczennik.

– Wiadomo.

– Ty i ja na zawsze razem, co nie? – Na ożywienie daję mu lekkiego kuksańca w brzuch, lecz nie przytakuje.

Nigdy nie przytakuje.

– Najlepiej zostaw to mnie. Ustalę raz na zawsze, czy mama żyje. Jeśli się okaże, że nie, będę ci to rekompensowała do końca życia. Przyznaję, że mam nierówno pod sufitem. Wszyscy tak uważają – ty, tata, cały ten cholerny świat. Ale jeżeli mama żyje... – Rozdymam nozdrza. – Wtedy ją odnajdę.

– Przynajmniej będziemy wiedzieli, co jest grane – stwierdza Michael.

– Trafiłeś w sedno. – Mam ochotę mocno go wyściskać. Okręcić się w kółko, trzymając go za rękę. Zamiast tego przykładam rękę do jego policzków – ledwo mieszczą mi się w dłoniach. – No dobra. A teraz mów, o co chodzi z tym Sébastienem?

Jego twarz rozpromienia się w niefrasobliwym uśmiechu, a ja dziękuję Bogu za to, że mój brat ma trochę nie po kolei w głowie. To prawdziwe dobrodziejstwo. Bambi? Jaka Bambi? W jednej chwili zapomniał, czy jego matka żyje, czy nie.

Chichocze jak dzieciak, a mnie od stóp do głów zalewa ocean szczęścia.

– Michaelu Love, coś mi mówi, że masz wielbiciela. – Pocieram dłonie i żądam konkretnych odpowiedzi: – Okej, jakie są cztery podstawowe etapy udanej prowokacji?

Michael pręży się niczym klasowy kujon i recytuje:

– Obserwacja, faza pierwsza, faza druga i skok na kasę.

Moje serce napęla się dumą jak Cysterna Bazyliki wodą. Widzicie, jaka jestem dla niego ważna?

– A co, jeśli potem chciałbyś jeszcze raz spotkać się z obiektem?

– Nie wolno tego robić. Nigdy.

– Założmy jednak, czysto hipotetycznie, że chciałbyś przenieść znajomość na inną płaszczyznę. Nie wiem, powiedzmy, że nie chodzi o prowokację. Może po prostu ten ktoś bardzo ci się podoba i chciałbyś się z nim związać na stałe.

Michael jest wyraźnie zbity z tropu. Tej lekcji nie wykuł, bo nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

– Można zrezygnować z pocałunków trwających pięć sekund – podpowiadam. – I następnym razem robić to przez dziesięć sekund. A potem przez piętnaście. – Ruchem głowy wskazuję salon i macham ręką w stronę lalki brzuchomówcy.

Dopiero teraz załapuje.



– A co, jeśli ja mu się nie podobam? – szepcze.

– Koleś się jąka, Michael. Na świecie są setki przystojniejszych facetów niż on. Jeśli mam być szczerą, każdy jest przystojniejszy niż on. Poza tym zwróć uwagę na pewien szczegół: to dla niego pierwsza taka kolacja w życiu. Chce poznać twoich bliskich. Przyznaj, że byłoby fizjologicznie niemożliwe, aby jeszcze głębiej wszedł tacie w tyłek. – Pozwalam sobie nawet na żarcik z samej siebie: – Na litość boską, gość wytrzymał ze mną przez cały wieczór.

– To prawda. – Michael z powagą kiwa głową.

– Zrób coś dla mnie. Przestań wyczekiwać wizyty mamy. Ona tutaj nie przyjdzie. Nigdy nie wyprowadziłaby cię z równowagi. Za bardzo cię kochała. Pamiętasz, jak łaskotała cię w uszy? – Całuję go w rękę, jakby był białogłową w opałach, którą zamierzam ocalić. – Ja się tym zajmę, kochanie. Tak czy inaczej, w końcu to wyjaśnię.

Przez ułamek sekundy egoistycznie marzę, że mnie przytuli, aby dodać mi otuchy, i że zrobimy niedźwiadka. Przez drugi, bardzo samotny ułamek sekundy marzę, żeby ktoś obiecał mi dobre zakończenie. A jeszcze lepiej dwa.

## **Wstęp do sztuki prowokacji, porada nr 5:**

### **Prowadzenie obserwacji z ukrycia to rażące naruszenie praw człowieka**

Z tego też powodu należy przestrzegać jedynie dwóch zasad:

*Pierwsza zasada prowadzenia obserwacji:*

Nie daj się złapać. Wtedy nic złego się nie stanie.

Podstawą jest praktyka. Śledź ludzi, których znasz – na przykład rzadko widywanych rodziców. Uwaga: to żmudne, ale konieczne, jak trening przed maratonem czy bieganie po górach. Obie dyscypliny są cholernie wyczerpujące. Człowiek się zastanawia, dlaczego skazuje się na coś podobnego. A potem zwalnia do zwykłego tempa i nagle wszystko wydaje mu się łatwe jak zjedzenie bułki z masłem. Tak samo będzie z prowadzeniem obserwacji cywilów, jeśli najpierw potrenujesz na swoich nieszczęsnych starych, wyobrażając sobie, że należysz do elitarniej jednostki komandosów.

*Druga zasada prowadzenia obserwacji:*

Kontakt wzrokowy oznacza koniec zabawy i całego śledztwa.

Co znaczy, że obiekt ma nad tobą przewagę. Zachowaj czujność. Jeżeli podejrzewasz, że ktoś cię śledzi, włącz się do gry i kontratakuj:

Przygotuj pistolet na słoną wodę z chili.

Jak gdyby nigdy nic skręć za róg najbliższego budynku i okrąż go, aby znaleźć się w punkcie wyjścia.

Jeżeli nie uda ci się zgubić ogona, odwróć się i pokaż śledzącemu środkowy palec.

Zrób mu zdjęcie.

Spójrz palantowi prosto w oczy i zawołaj: „Masz pecha, jesteś spalony!”.

W powyższych zasadach zawiera się wszystko, co należy wiedzieć o prowadzeniu obserwacji z ukrycia. Co więcej, są one równie jasne i bezdyskusyjne jak zasady gry w paintball.

## Faza druga

Wkrótce potem wychodzę od Michaela. Muszę się trochę przewietrzyć. I chcę przeczytać książkę.

Ale nie chcę wracać do domu.

Maida Vale wydaje się równie dobrą okolicą na przechadzkę jak każda inna.

Mnóstwo tu niebieskich tablic upamiętniających różne osobistości.

Słynny łamacz szyfrów Alan Turing mieszkał w Maida Vale przy Warrington Crescent pod numerem drugim. Człowiek, który nakręcił pierwszy film na świecie, zrobił to w swoim domu przy Maida Vale 136. Ambrose Fleming (Clifton Gardens 9) otrzymał tablicę za napisanie *Dowodów na istnienie tego, czego nie widać*. A także *Lamp i oświetlenia elektrycznego: kursu złożonego z czterech wykładów i poświęconego elektryczności*.

Scott Delaney nie ma jeszcze upamiętniającej go tablicy.

Ma jednak elektryczne oświetlenie, które pali się, choć dawno minęła jedenasta. Zza zasłony w sypialni emanuje ciepły blask. Stojąc na przeciwległym brzegu Regent's Canal, mówię szeptem do siebie:

– Nie ma sensu tak leżeć i gapić się w sufit, Scott. Wstań i zrób coś, co pomoże ci zasnąć. Przeczytaj książkę. A jeszcze lepiej wyślij e-mail. Dałam ci dostatecznie dużo pretekstów, żebyś się ze mną skontaktował. Niekoniecznie w sprawie zgubionej portmonetki.

Telepatycznie podsuwam mu treść e-maila.

Cześć!

Poniedziałek, 7/7/14, godzina 00:23

Od: ScatDelaney@ScatDelaney.com

Do: florencemarialove@hotmail.com

Witaj, Florence,

Mam nadzieję, że nie pogniewasz się z powodu tego niezapowiedzianego listu. Kiedy się widzieliśmy, wspomniałaś, że masz w domu egzemplarz *Pozbawiania snu szczurów poprzez umieszczanie ich na obrotowym dysku* Rechtschaffena i Bergmanna. Bardzo chętnie spotkałbym się z Tobą, żeby pogadać o tych oraz innych najnowszych eksperymentach dotyczących wpływu braku snu na organizm, wynikających z niego zaburzeń kognitywnych oraz śmierci zwierząt laboratoryjnych.

Z serdecznymi pozdrowieniami,

Scat

Dziewczyny są w tym znacznie lepsze od chłopaków. Na wypadek, gdyby Scottowi nie spodobała się taka wersja, proponuję alternatywną:

Propozycja pracy

Poniedziałek, 7/7/14, godzina 00:24

Od: ScatDelaney@ScatDelaney.com

Do: florencemarialove@hotmail.com

Dw: maeve.rivers@thedailynews.com

Droga Panno Love,

Było mi bardzo miło poznać Panią w hotelu Landmark. Pani profesjonalizm, wiedza medyczna oraz wrodzona niechęć do podlizywania się komukolwiek bez względu na jego status celebryty rzuciły mnie na kolana. Dlatego chciałbym Pani zaproponować pracę w charakterze mojej osobistej asystentki w czasie, gdy Harvey Cadwalader będzie przebywał z wizytą u swoich rodziców w Ameryce Południowej. Zapewniam, że jestem gotów zapłacić ponad zwyczajową stawkę za Pani niezrównane usługi, których próbkę zademonstrowała Pani ostatnio jako koordynatorka moich wywiadów.

Pozdrawiam serdecznie,

Scott Delaney (Scat)

Ewentualnie:

Portmonetka

Poniedziałek 7/7/14, godz. 00:25

Od: ScatDelaney@ScatDelaney.com

Do: florencemarialove@hotmail.com

Cześć,

Zgubiłaś portmonetkę. Daj znać, jak mam Ci ją zwrócić.

Pan Delaney

– No, dalej, Scat – mruczę pod nosem i odwracam się w prawo.

Jakieś półtora metra ode mnie stoi facet i podobnie jak ja wpatruje się spod przymrużonych powiek w dom Scotta.

Wytrzeszczam oczy, a nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Powinnam zwiewać, a przynajmniej wyciągnąć z kieszeni gaz pieprzowy, ponieważ mężczyzna, którego profil mam przed sobą, to Poeta we własnej osobie.

Znany także jako jasnowłosy motocyklista, który śledził mnie i Michaela na triumfie scramblerze tego wieczoru, gdy zamykaliśmy sprawę de Groota.

Gapię się na niego oniemiała.

Z bliska ma w sobie melancholię błędnego rycerza. Jego podobizna mogłaby widnieć na pocztówkach z reprodukcjami obrazów prerafaelitów, które można kupić w muzealnych sklepikach. Istny Tristan z *Tristana i Izoldy* z tym że zamiast zbroi Poeta nosi połyskujący czernią jednoczęściowy kombinezon motocyklowy ze skóry, a jego nos, policzki oraz czoło są upstrzone jasnobrązowymi piegami.

Podbródek pokrywa mu gęsty zarost barwy szafranu, w takim samym kolorze są rzęsy, co sprawia, że blada twarz ma niezwykle odcień wielobarwnego piasku. Wygląda mi na nerwowego typu zgrzytającego często zębami. Ma zresztą uzębienie dziecka; szerokość mezjodystalna koron jego zębów jest zdecydowanie za mała. Do tego emanuje niepokojąco zaraźliwą aurą samotności.

Wstrząsa mną dreszcz. Z bliska Poeta wcale nie wydaje się tak atrakcyjny.

Niespodziewanie kończy obserwację domu Scotta, wkłada kask i powoli podchodzi do motocykla. W tylnej kieszeni jego spodni dostrzegam książkę. Tę samą, którą czytał, stojąc na rufie barki? Może, lecz w takim razie nie był to tomik wierszy. Ani *PS Kocham cię*, tylko mapa Londynu ze spisem ulic.

– Kim jesteś? – wołam zduszonym głosem.

Wsiada na swoją maszynę. Czekam, żeby odjechał ze złowrogim, tajemniczym warkotem. Albo żeby przynajmniej wyciągnął pistolet i strzelił, kładąc mnie trupem na miejscu. Nic z tego. Unosi osłonę kasku i znów widzę jego posępne spojrzenie. Gorzko tego żałuję, bo jego oczy mnie hipnotyzują, w złym znaczeniu tego słowa. Jego włosy najwyraźniej obudziły się pod kaskiem – wściekle białe węże usiłują wydostać się na wolność, żeby mnie ukąsić, zadusić.

Wszystko w nim krzyczy: „Nie zbliżaj się do mnie!”.

Niecierpliwi się. Opuszcza z trzaskiem osłonę i odpala silnik.

Odjeżdża z gniewnym warkotem.

Przechylam się przez barierkę nad kanałem i wdycham zapach stojącej wody, czując, jak moje serce łomocze w klatce piersiowej.

Czy nie było kiedyś przypadkiem seryjnego zabójcy o pseudonimie Poeta, który upozorowywał morderstwa na samobójstwa i zostawiał na miejscu zbrodni cytaty z Edgara Allana Poeego?

W miejscu, gdzie wcześniej stał jasnowłosy motocyklista, dostrzegam coś dziwnego. Na balustradzie leży biały kartonik.

Podkradam się i chwytam go, zanim spadnie. To wizytówka.

Widnieje na niej imię i nazwisko: Noah Steensen.

Tylko tyle. Nie ma nawet numeru telefonu, o adresie czy e-mailu nie wspominając.

Steensen to nordyckie nazwisko. Wiem, bo czytam skandynawskie kryminały. To wizytówka kogoś, komu po głowie chodzi morderstwo.

Poeta mnie śledzi.

Mnie.

Przez krótką, bardzo dziwną chwilę jestem jednocześnie przestraszona i podekscytowana. Trudno oddzielić od siebie te emocje. Nie wiem, czy powinnam wykonać zwycięski taniec, czy wezwać policję i zgłosić, że ktoś mnie prześladowuje.

Śmieję się nerwowo. Odruchowo szukam odpowiedzi u Scotta, wpatrując się w okno jego sypialni. Lecz on, jak to zwykle w tej branży, kompletnie mnie

ignoruje. A nawet gasi światło.

Ogarnia mnie dojmujące poczucie samotności.

Próbuję wziąć się w garść; mam jeszcze jaki taki kontakt z rzeczywistością. Postanawiam wrócić do domu metrem. Poeta nie da rady zwieźć motocykla ruchomymi schodami, poza tym wszędzie na peronach jest miejski monitoring. Już, już mam się puścić biegiem do najbliższej stacji, gdy zauważam jakiś ruch na podejździe u Scotta Delaneya.

Mrużę oczy, bo znajduję się dobre trzydzieści metrów od jego domu.

Oświetlenie alarmowe się nie włączyło, mimo to udaje mi się dostrzec zarys ludzkiej sylwetki, przemykającej podjazdem, przeskakującej na palcach rabaty, żeby nie uruchomić alarmu.

Intruzem jest mężczyzna.

Nie włamuje się do domu Scotta, tylko niepostrzeżenie się z niego wymyka.

Omijając elektrycznie sterowaną bramę, wspina się na mur, zeskakuje do ogródka sąsiadów, a stamtąd wychodzi przez podjazd na ulicę.

W bursztynowym świetle staroświeckiej ulicznej latarni bacznie obserwuję jego chód, zwracam uwagę na wzrost i czapkę bejsbolową z logo 59Fifty LA.

Duszę w sobie jęk podniecenia, chociaż serce bije mi jak szalone.

Scott Delaney ma jednak jakąś tajemnicę.

Spoglądam na zegarek: jest jedenasta trzydzieści dziewięć.

– Scat, Scat, Scat – cmokam z przyganą. – Co ty wyprawiasz? Już dawno powinienes leżeć w łóżku.

Scott porusza się żwawo ze spuszczoną głową i twarzą ukrytą pod daszkiem bejsbolówki. Ruszam za nim po przeciwległej stronie kanału. Trzymam się w odległości dokładnie dziesięciu metrów, zalecanej w przypadku obserwacji prowadzonej na piechotę.

Wyciągam z torby dzianinową czapkę i upycham pod nią włosy do ostatniego kosmyka. Wyjmuję też znalezione w autobusie okulary Harry'ego Pottera. Bez lornetki Scott nie ma szans zauważyć, że to plastikowy dziecięcy gadżet, ja natomiast zyskuję dodatkowy element maskujący. W duchu obiecuję sobie solennie, że zwrócę okulary, jak tylko będę mijać jakąś zajezdnię autobusową.

Potem dostrajam się do rytmu Scotta. To absolutna konieczność; dzięki temu kroki obiektu zagłuszają postukiwanie obcasów osoby go śledzącej – w tym przypadku moich pantofli na kaczuszce.

Dobrze też udawać, że się SMS-uje; gdyby obiekt spojrział w moją stronę, nie zauważyłby, że jest obserwowany.

Ale Scott na nikogo nie patrzy. To koleś z pierwszych stron gazet, który nie chce zwracać niczyjej uwagi. Kontakt wzrokowy to ostatnie, o czym marzy.

A to znaczy, że naprawdę mi się poszczęściło. Zazwyczaj śledzenie

w pojedynkę jest niemożliwością; prędzej czy później obiekt się zorientuje, że ciągnie za sobą ogon.

Mała podpowiedź dotycząca prowadzenia obserwacji: chcesz kogoś śledzić? Zaangażuj do tego zespół ludzi. Im więcej, tym lepiej. Idealny byłby niewielki oddział żołnierzy. Jeżeli jesteś oligarchą, możesz rozważyć prowadzenie statycznej obserwacji. Rozstawia się wtedy agentów po całym mieście i każe im czekać w ukryciu. Obiekt przemieszcza się z jednej strefy do drugiej, a śledzący go agenci nigdy się nie ujawniają. Facet prowadzący internetowy kurs dla prywatnych detektywów, u którego robiłam dyplom, porównywał to do obrony strefowej w koszykówce i miał całkowitą rację.

Scott dociera do wylotu Blomfield Road. Z przodu widać już Café Laville, moją ulubioną miejscówkę na lunch; tuż za nią ciągnie się Edgware Road.

Z jednej strony znakomicie się składa. To główna ulica, bardzo ruchliwa. Łatwiej będzie go śledzić. Trąbiące samochody sunące zderzak przy zderzaku, wściekłe czerwienie i oranże, światła stopu i blask latarni, rozgadani przechodnie – bez problemu wtopię się w ten chaos.

Z drugiej strony wystarczy, żeby Scott złapał taksówkę albo wsiadł do czyjegoś auta, i będzie pozamiatane.

Prawdopodobieństwo, że równie szybko uda mi się znaleźć wolną taksówkę, jest znikome. Do tego głupio wskakiwać do taksówki z okrzykiem: „Prędko, za tym samochodem!”. Szczególnie jeśli się nie ma pieniędzy.

Prowadząc sprawę, zawsze warto mieć przy sobie pięćdziesiąt funtów (drobnymi).

Tyle że ja nie zamierzałam prowadzić obserwacji. A to znaczy, że nie mam w kieszeni ani pensa.

Scott kieruje się w lewo, do głównej ulicy. Nie zwracając uwagi na taksówki, zdecydowanym krokiem mija agencję nieruchomości, amerykański salon manikiuru, islamski butik, salon z kafelkami, restauracje serwujące dania z najbardziej egzotycznych zakątków świata i więcej niż jeden gabinet oferujący zabieg złuszczenia skóry.

Żadne z tych miejsc nie jest celem jego wypadu na miasto.

Wygląda na to, że Scott chce dokądś dotrzeć jak najszybciej, najlepiej niezauważony.

Czuję znajomy pulsujący ucisk w żołądku. To nerwy i podniecenie.

„Tylko żeby się nie okazało, że masz na boku jakąś babkę – proszę Scotta w myślach. – Bądź wierny Alice”.

Bóg widzi na wylot moje prawdziwe intencje: „A co, jeśli to ty byłąbyś tą «babką na boku»? Nigdy nie pragnęłaś bardziej żadnego mężczyzny!”.

Bóg zapomina jednak, że jestem profesjonalistką. Że mam swoją żelazną zasadę, swoje mantry i tak dalej.

Spór z Bogiem mnie rozprasza i niemal przegapiam to, że Scott wstępuje do całodobowego sklepiku na stacji benzynowej.

„Tylko nie kupuj kondomów” – przestrzegam go telepatycznie. Zależy mi, aby okazał się dobrym materiałem na męża. Dla Alice. Oczywiście, że dla Alice.

Ale też trudno kogokolwiek winić, że lubi sobie popatrzeć na towar bez kupowania.

Witryna sklepiku jest rozświetlona na podobieństwo sceny teatralnej. Chowam się w cieniu przed wejściem i patrzę.

Scott uśmiecha się szeroko do azjatyckiego sprzedawcy – muszą się dobrze znać. Podnosi daszek czapki, opiera się swobodnie o ladę i przez chwilę obaj przyjaźnie gawędzą.

Potem robi szybkie zakupy: pepsy max, snickers, chrupki monster munch, ciasteczka oreo.

I to wszystko. Żadnych prezerwatyw.

Płaci gotówką, wesoło saltuje sprzedawcy na pożegnanie, ponownie nasuwa daszek czapki nisko na czoło i rusza w stronę automatycznie otwieranych drzwi.

Muszę improwizować.

Wydaję włosy spod czapki i pozwalam im opaść kusząco na ramiona. Z torebki wyciągam klucze od mieszkania i ze wzrokiem wbitym w ziemię pędzę prosto w kierunku Scotta.

Zaczyna się faza druga...

Wpadam na niego z takim impetem, że zapiera mi dech w piersiach.

– O Boże... – wściekła podnoszę wzrok, bo nie pamiętam, kiedy ostatnio zaliczyłam równie bolesny cios w splot słoneczny; to okropnie nieprzyjemne.

– Florence?!

W moich uszach brzmi to niczym anielska muzyka. Nie musiał szukać w pamięci mojego imienia, miał je na końcu języka! Staram się przywołać na twarz ujmujący uśmiech, chociaż moja zmiażdżona przepona kurczy się boleśnie i nie zważając na obecność Scotta, chce po swojemu dobrać do siebie.

– Nic ci się nie stało? – niepokojuję się Scott.

Wznoszę palec. Daj mi pół minuty, a przejdę do czynności związanych bezpośrednio z działalnością uwodzicielską.

– Mogę ci jakoś pomóc?

Przestań tyle gadać. Uśmiecham się i ruchem głowy wskazuję jego zakupy.

– Coś na ząb przed północą?

Scott udaje, że chowa swój łup pod kurtkę.

– To będzie nasz mały sekret, okej?

Wymownie dotykam nosa.

Mój widok cieszy go bardziej, niż mogłabym się spodziewać.



– Co ty tutaj robisz? – pyta.

Potrząsam kluczami od mieszkania i ruchem głowy wskazuję na dystrybutory.

– Właśnie zatankowałam.

Przez chwilę oboje spoglądamy na stojące przy dystrybutorach dwa samochody. Jeden z nich to smart, drugi fiesta. Żaden nie należy do marek ulubionych przez facetów, co znakomicie się składa – w przypadku lamborghini albo range rovera Scott mógłby zacząć zadawać niewygodne pytania. Prawda zaś wygląda tak, że w ogóle nie umiem prowadzić.

– Mieszkasz gdzieś tu niedaleko? – dopytuje się zaintrygowany.

– Kawalek stąd. – Ból przepony powoli ustępuje i jestem w stanie odrobinę się wyprostować. – Wracam do domu z imprezy u młodszego brata.

– Urządził bal przebierańców? – uśmiecha się Scott.

Muszę wyglądać na zdezorientowaną, bo stuka palcem w moje okulary.

Niech to szlag! Ściągam z nosa te przekłete cyngle.

– Wśród gości były dzieci.

– Lubisz sprawiać przyjemność innym, to urocze. – Jest wyraźnie rozbawiony: tymi okularami, mną, moją wrodzoną potrzebą zapewniania rozrywki maluchom.

Prostuję się do końca i wreszcie mogę mu posłać rozbrajający uśmiech.

– O kurczę. Takie zapowietrzenie ma coś wspólnego z porodem – mówię. – Kiedy jest już po sprawie, nie odczuwa się bólu. Pozostaje tylko wspomnienie czegoś, czego za nic nie chciałoby się przeżyć drugi raz.

Scott odwzajemnia mój uśmiech.

– Podobnie jest, jak się dostanie ręcznikiem po jądrach.

– Ale to takie zabawne – uśmiecham się.

– Wierz mi, że nie. Masz dzieci?

– Nie, jestem wolna jak ptak. Muszę koniecznie opowiedzieć bratu, że na ciebie wpałam. Będzie zachwycony, jest twoim wielkim fanem. Nie żartuję.

– Mój głos brzmi nieco skrzekliwie. Lada moment Scott może sobie przypomnieć, że dochodzi północ, a on jest celebrytą. W dodatku sterczy bez żadnej obstawy na stacji benzynowej w towarzystwie koordynatorki imprez, która okazała się jego egzaltowaną i trochę bezmyślną wielbicieleką.

Wybacz mi, Panie Boże, to, co teraz powiem.

– Mój brat, Michael, jest chory.

– Och, Florence, bardzo mi przykro.

– Opiekuję się nim – dodaję szczerze, bo taka jest prawda.

– Wyjdzie z tego?

Ze smutkiem kręcę głową, bo na autyzm nie ma lekarstwa.

Współczucie malujące się w oczach Scotta sprawia, że ogarnia mnie wstyd.

Choroba Michaela to nasza sprawa, moja i taty, a ja wykorzystałam ją właśnie w niecnym celu. Mimo to dotyk dłoni Scotta na moim ramieniu jest tak przyjemny, że mam ochotę zamruczeć.

– Czy mogę coś dla niego zrobić? – pyta.

Przeprowadzić badania naukowe nad przyczynami zespołu Aspergera, tymi niemającymi związku z genetyką. Sprawdzić, czy posiadanie siostry, która przez pierwsze trzy lata jego życia gorzko żałowała, że w ogóle się urodził, mogło mieć trwały wpływ na jego psychikę.

– Obawiam się, że nie. – Żeby zagłuszyć wyrzuty sumienia, zwracam uwagę na zakupy Scotta. – Jedna puszka pepsi max zawiera sześćdziesiąt dziewięć miligramów kofeiny. To więcej niż w zwykłej pepsi.

Scott kręci głową.

– W Anglii pepsi ma inny skład. Pepsi max zawiera około czterdziestu dwóch i sześciu dziesiątych miligrama kofeiny.

– Czyżby?

– Uhm, a do tego żeń-szeń, który jest bardzo zdrowy. Zapobiega nowotworom, chorobom serca i obniża ciśnienie.

To nie teleturniej, mimo to czuję się w obowiązku wytknąć mu pewną oczywistą niekonsekwencję.

– Żeń-szeń działa pobudzająco, Scat. – Jest też znakomitym lekiem na zaburzenia erekcji, ale w czasie prowokacji nie należy wspominać o tego typu sprawach. Wyobraźnia podsuwa wówczas mężczyznom różne czarne scenariusze, a wtedy wymiękają.

– Wiesz, kiedy kota nie ma...

Ma na myśli Harveya czy Alice? Kogo to zresztą obchodzi; właśnie odkryłam grzeszną naturę Scotta Delaneya. Jestem ogromnie rozczarowana, gdy mówi:

– Nie będę cię dłużej zatrzymywał. Lepiej już zapłać za tę benzynę.

– No tak. Racja.

Z powagą przykłada dłoń do serca.

– Złóż bratu ode mnie najlepsze życzenia urodzinowe. Mam nadzieję, że mały jednak wydobrzeje.

Nie powiedziałam, że to była impreza urodzinowa, ale nie wyprowadzam go z błędu. Nie wspominam też, że „mały” ma metr osiemdziesiąt pięć wzrostu i w marcu skończy dwadzieścia dziewięć lat. Po co? Nawet ja słyszę w swoim głosie rozczarowanie, gdy mówię:

– Jasne. To cześć.

Patrzę w skupieniu, jak odchodzi. Krok Scotta jest zdecydowanie zbyt leniwy – o kilka mil na godzinę wolniejszy niż jego wcześniejsze tempo.

Zastanawia się, co jeszcze powiedzieć.

Też powinnam odwrócić się i odejść. Ale nie mam samochodu i nie potrzebuję niczego ze sklepu.

Prawda jest taka, że najbardziej na świecie chciałabym teraz usiąść ze Scottem na krawężniku, pić pepsi z jednej butelki, wcinać chrupki monster munch i gadać bez opamiętania. O niczym szczególnym; niech to będzie przyjacielska rozmowa, której kulminacją będzie szaleńcza miłość zrodzona w migotliwym świetle jarzeniówek stacji benzynowej Esso.

– Aha! Twoja portmonetka! – woła do mnie Scott.

– Masz ją? – odpowiadam trochę za szybko. – Tak się martwiłam! W środku były wszystkie moje dane i...

Przerywa mi w pół słowa.

– Podrzucisz mnie? Mieszkam dosłownie za rogiem. Wejdę na górę i ci ją zniosę.

Zatyka mnie. Jestem po prostu genialna!

Jak już się znajdę pod jego domem, wymyślę coś, żeby się dostać do środka. Na pewno! Alice wyraźnie mi tego zabroniła, ale przecież nic się nie stanie, jeżeli pogadamy na werandzie. Właśnie, usiądziemy na schodach jak para nastolatków. Albo w altanie. Nie muszę przecież wchodzić do domu.

Najpierw jednak muszę pokonać parę przeszkód:

Ukraść smarta (bo fiesta już odjechała). Następnie zorientować się, jak należy zmieniać biegi, używać pedałów oraz kierownicy.

Załamana odpowiadam:

– Okropnie się dzisiaj śpieszę. Mogę wpaść po nią kiedy indziej? Kiedykolwiek. W portmonetce znajdziesz mój adres e-mail i numer telefonu.

– Mogę ci ją odesłać kurierem.

Ale ja nie mogę ci podać swojego prawdziwego adresu!

Scott klepie się po kieszeniach.

– Nie mam przy sobie długopisu ani komórki. Ale zapamiętam. Podasz mi swój adres? Słucham.

Waham się. Bardzo się waham. Bardzo bardzo.

– Najlepiej wyślij mi e-maila – odpowiadam w końcu zdecydowanym tonem, widząc, że ze sklepiku wychodzi właścicielka smarta i za chwilę odjedzie „moim” wozem. Pokazuję ją palcem. – Na nas już pora.

– Och, wybacz, nie wiedziałem, że nie jesteś sama.

– Miło cię było zobaczyć, Scat.

Scott dosłownie zwała mnie z nóg, śpiewając – *naprawdę* śpiewając – na do widzenia: – Ciebie też, *Flo-Lo* – idealną jazzową frazą.

I chociaż jej nie rozpoznaję – jest bardzo wyrafinowana – muszę się ugryźć w język, żeby mu nie zawtórować. Fatalny pomysł, zważywszy na to, że nie mam za grosz słuchu, a mimo to poważnie się zastanawiam, ponieważ cała rozkosznie

się kołyszę otulona aksamitnym kokonem jego głosu.

A kiedy naciąga czapkę na oczy i rzuca: – Nawiasem mówiąc, fajnie wyglądasz – wykonuję obrót na palcach i zakładam na nos okulary, jakbym miała piętnaście lat i była słodka jak cukierek.

Scott wybucha głośnym śmiechem. Jego oczy znikają, wtulone między powieki a policzki.

No coś pięknego...

Uchyła przede mną czapki, po czym spuszcza głowę i sady długie kroki w kierunku Blomfield Road.

W myślach rwę sobie włosy z głowy – z różnych powodów, ale przede wszystkim dlatego, że jestem profesjonalistką, a to jest prowokacja. Zakochanie się w obiekcie to katastrofalny błąd.

## Rzeźnik

Re: Sprawa małżeńska  
Poniedziałek 7/7/14, godz. 07:39  
Od: asc345@hotmail.com  
Do: info@londonpiseservices.uk.net

Zostały już tylko trzy dni i powoli zaczynam wątpić w Pani umiejętności. Mogę jedynie jeszcze raz podkreślić, jak ważna jest dla mnie ta sprawa. W czwartek po raz pierwszy pokażemy się razem publicznie. Uzależniam całą swoją przyszłość od tego, czy uda się Pani rozwiać moje obawy. Zakładając, rzecz jasna, że była Pani ze mną szczerą, opisując prawdopodobieństwo ponownego kontaktu z moim partnerem i zapewniając mnie o swoim profesjonalizmie.

Żadnego „Droga Florence”.

Żadnego „Ściskam, Alice”.

Żadnych całusów.

Czuję się tak, jakby Alice mnie spoliczkowała, autentycznie mnie spoliczkowała.

Jestem głęboko rozczarowana. Myślałam, że właściwie się przyjaźnimy.

Natychmiast jej odpisuję, zapewniając o swojej skuteczności w uwodzeniu, przypominając, że traktuję zarówno klientów, jak i obiekty prowokacji z najwyższym szacunkiem oraz że ściśle przestrzegam surowych zasad moralnych. Tak się składa, że minionego wieczoru doprowadziłam do ponownego kontaktu. Jeżeli wątpi w mój profesjonalizm, może osobiście zapytać Scotta.

Albo Colina, mojego byłego szefa, który jej mnie polecił – właśnie, niech go zapyta...

Pocieram twarz. Jak, do cholery, tych dwoje się ze sobą spotkało? Nie bardzo mogę się domagać odpowiedzi, zwłaszcza teraz, gdy Alice uważa mnie – krótko mówiąc – za osobę niekompetentną.

Tylu ludzi się na mnie wścieka...

Na przykład Noah Steensen.

Zadaję sobie pytanie, czy to on jest podglądaczem z dachu.

Jasne, że nie. Nie odżywia się dietetycznymi daniami na wynos, tylko mieszankami proteinowymi. Skórzany kombinezon wyklucza przeciwdeszczową osłonę w kwiatki. A jeśli chodzi o papierosy, pali najpewniej woodbine’y, i to jednego za drugim.

Dzwonek do drzwi wrywa mnie z zamyślenia. Chwytam słuchawkę domofonu.

– Halo?

– Wyczyść zęby, Florrie, i otwieraj.

– Tata?

– Tylko z życiem. – Komenderuje mną sprzed drzwi wejściowych siedem pięter niżej. – Masz gościa.

Jest irytująco beztroski jak na człowieka, który niespełna osiem godzin wcześniej opróżnił dwie butelki wina.

Nie mam ani czasu, ani ochoty robić tego, co mi każe. Nie czyszczę więc zębów, nie biorę prysznica, nie czeszę się ani nie przebieram. Naciskam czołem guzik otwierający drzwi i stoję tak przez dobre półtorej minuty.

Z korytarza dobiegają mnie kroki dwóch osób.

Otwieram i widzę ojca oraz tego drugiego.

– Do kurwy nędzy... – jęczę głośno.

– Florence – upomina mnie ostro tata.

Wskazuję na jego towarzysza.

– Ty go tu zaprosiłeś?

Ton męża numer dwa jest troskliwy i wyważony jak nigdy dotąd:

– Byłem przejazdem w Londynie i dowiedziałem się, że też tu jesteś. Pomyślałem, że przed powrotem moglibyśmy się zobaczyć i pogadać.

– Dowiedziałeś się, że jestem w Londynie? – Odwracam się do ojca z grymasem niezadowolenia; jeśli chodzi o poczucie rodzinnej lojalności, czasem przypomina pająka z rodziny pogońcowatych. – Naprawdę, tato, nie powinieneś przywlekać gówna do mieszkania, przed drzwiami na dole leży wycieraczka...

– Florence. – Ojciec daje mi wyraźnie do zrozumienia, że ma mnie dosyć.

– No cóż... – Przyglądam włosy i wydłubuję śpiochy z kącików oczu. Wyobrażam sobie, jak wyglądam, i natychmiast tego żałuję. Co za koszmar. Idealnym rozwiązaniem byłaby w takiej sytuacji ukryta między zębami kapsułka z cyjankiem, którą mogłabym połuzować językiem i rozgryźć, a następnie wpaść w słodkie objęcia śmierci.

– Rozumiem, że to wizyta towarzyska?

– Byłoby mi miło – odpowiada z nadzieją tata.

Musicie wiedzieć jedno:

Julian Doe, mój mąż numer dwa, wcale nie chce mnie odzyskać. A ja za cholerę nie chcę być odzyskana. Był niczym boleśnie powolna rumba, pozbawiona choćby odrobiny pieprzyku, zmysłowego napięcia czy płynnego rytmu. Co nie znaczy, że nie chciałabym, żeby od naszego rozstania za mną zatęsknił. Nie zatęsknił, co okropnie mnie upokarza.

– Może moglibyśmy porozmawiać w cztery oczy? – proponuje mi teraz.

– *No problemo*. – Tata siada na najwyższym stopniu schodów, wyciąga z kieszeni kurtki gazetę „Metro” i gestem zagania nas do środka, jakbyśmy byli spragnionymi seksu kochankami, których rozdzieliła wojna.

Muszę przyznać, że jestem bardzo zła na mojego ojca. To jedna z tych

rzadkich chwil, gdy ani trochę mu nie współczuję. Bez chwili wahania sprowadził tutaj Juliana – mężczyznę, który nie kocha już jego córki. Gdybym wyglądała nienagannie, o wiele lepiej poradziłabym sobie w tej sytuacji.

– Wszystko u ciebie w porządku? – Julian rozgląda się po mojej kawalerce.

– Nadal jesteś rzeźnikiem?

Zaprzecza ruchem głowy.

– Wróciłem na uniwersytet.

– Żeby wrócić, najpierw musiałbyś tam studiować.

– No tak, trochę się pozmieniało. – Uśmiecha się skromnie półgębkiem.

– Nie mów: zostałeś starszym kontrolerem jakości w branży mięsnej!

– Pracownikiem archiwum.

Wybucham śmiechem. Ale numer.

– Skończmy już z tymi uprzejmościami, co? Czego ode mnie chcesz?

– Rozvodu – odpowiada grzecznie.

– Dlaczego?

– Nie widzieliśmy się dwa lata.

– To ty mnie zostawiłeś, Jules.

Nazywam go tak, aby wywołać konkretną reakcję. Żaden z niego Jules. To urocze określenie kogoś, kto ma jaja, a jednocześnie jest wrażliwy. Bardziej pasuje do mnie albo do mojej sąsiadki Zanny. Albo do Afrodyty, bogini miłości.

Julian to bezdyskusyjnie Julian.

– Odszedłem, owszem. Po tym, jak kazałaś mi to zrobić, Flo. Nie udawaj proszę, że twoje życie legło przez to w gruzach. – Ma rację, nie legło. – Jestem teraz zaręczony z pewną bardzo miłą damą – wyjaśnia.

– „Z bardzo miłą damą”. Jakże dystyngowane. Wiesz, że to pachnie bigamią?

Marszczy czoło, jakby było mu mnie żal.

– Pozwól mi odejść, Florence.

Zaciskam pięści, aż bieleją mi kostki. Jak on, kurwa, śmie! Zachowuje się niczym Don Juan DeMarco, jakbym czepiała się jego nogawki, rozpaczliwie usiłując ratować najmniej namiętne małżeństwo, w jakim kiedykolwiek tkwiłam. Julian był dobrym i przewidywalnym człowiekiem, to fakt, ale już po roku dźwięki, jakie wydawał przy jedzeniu, doprowadzały mnie do białej gorączki. Jego fiut zaczął z czasem przypominać wyschniętego banana; ilekroć zbliżałam do niego usta, miałam odruch wymiotny.

Wyciągam przed siebie palec wskazujący.

– To ty zapukałeś do moich drzwi. Wystarczyło, że zwąchałeś w pobliżu moją obecność i przybiegłeś w te pędy. Jakbyś miał jakiś szósty zmysł albo co. Założę się, że podglądasz mnie z dachu naprzeciwko. Może powinnam wystąpić o sądowy zakaz zbliżania się?

To nie Julian podgląda mnie z dachu. Ten facet nie lata samolotami, nie zajmuje miejsc na pięttrze autobusu, nie chodzi po górach i nie przejeżdża rowerem przez wiadukty. Podobnie jak ja cierpi na lęk wysokości – to jedna z niewielu rzeczy, jakie nas łączyły.

– Może byś po prostu podpisała te papiery, co? – Wyciąga z kieszeni złożoną kopertę.

Chwytam ją i nie czytając, kartkuję dokumenty. Wiem, co zawierają, przerabiałam to już z mężem numer jeden. Potem ponownie je składam i ciskam na stół.

– Co to za jedna? – pytam.

– Ma na imię Gloria.

Unoszę dłoń w geście mówiącym: „Ani słowa więcej. Już to sobie wyobrażam”.

Guzik prawda.

Gloria...

Pewnie jest jedną z tych, które wieczorami kręcą się po Bournemouth – ołówkowa spódnica, obwisłe cycki, słowem, ofiara losu, którą trzeba uratować. Namiętny seks zajmuje jedno z ostatnich miejsc na liście jej priorytetów, bycie sympatyczną żoną – jedno z pierwszych. Obraz, jaki mam przed oczami, jest bardzo niewyraźny. Dlaczego, u licha, nie potrafię jej sobie wyobrazić?

Szybko znajduję odpowiedź.

– Kto w dzisiejszych czasach ma na imię Gloria?

– No cóż – uśmiecha się Julian, zaprzętnięty jakąś romantyczną myślą – mogę ci przedstawić namacalny dowód.

Wielkie nieba, czyżbym dostrzegła w jego spojrzeniu erotyczny błysk? Pierwszy raz widzę u Juliana coś takiego. W dodatku wywołało go wspomnienie innej kobiety.

– Czym się zajmuje owa Gloria? – pytam zgryźliwie.

– Jest starszym pracownikiem archiwum.

Nie wybucham śmiechem.

– No to macie o czym ze sobą rozmawiać.

Tkwiący we mnie prywatny detektyw ma ochotę zasypać Juliana lawiną pytań.

Gdzie się poznaliście?

Od jak dawna jesteście razem?

Czy w łóżku macie ten sam rytm?

Czy jest ode mnie ładniejsza?

Czy tym razem jesteś naprawdę zakochany?

Czy to znaczy, że ja, Florence Love, zostałam oficjalnie uznana za „pomyłkę” w skróconej historii twojego wygodnego, nudnego życia?



Chryste, zaraz się rozplaczę. Walę ręką w stół, żeby sobie dodać otuchy.

– Dobra, jeżeli to wszystko... Zostaw te papiery, później je przejrzę.

Julian współczująco kiwa głową, co doprowadza mnie niemal do furii.

– To może zajrzałbym jutro wieczorem do twojego taty? Żeby je odebrać?

– Do taty?

– Powiedział, że wracasz z nim dzisiaj do domu.

– Dzisiaj nie – protestuję i naprędce wymyślam sobie bogate życie towarzyskie. – Dzisiaj mam randkę.

Julian przytakuje ze zrozumieniem i nie okazując choćby cienia zazdrości, wręcza mi wizytówkę.

Zapisuję sobie w pamięci następujące wytyczne: nie ustępuj, bądź tajemnicza, zachowuj się jak suka, a będą cię kochali aż po grób.

– Więc sam rozumiesz, Jules, chętnie bym z tobą dłużej pogawędziła, ale jestem zarobiona. Zdzwonimy się.

Wycofuję się do łazienki, opieram o umywalkę i biorę głęboki wdech.

To absurd tak się wkurzać na biednego Juliana. Jego jedyną zbrodnią było przyznanie mi racji, gdy stwierdziłam, że nasze małżeństwo jest nudne. Bo było – diabelnie nudne. Mimo to jego słowa mnie zabołały; mnie wolno było narzekać, jemu nie.

Fakt potwierdzony przez Freuda: ego czyni z nas okropnych hipokrytów.

A ja jestem tylko kobietą, obarczoną wadami swojego gatunku. Wcale nie chlubię się tym, że w głębi duszy oczekiwałam po Julianie głębokiego oburzenia. Ani tym, że liczyłam na pierwotną, zwierzęcą reakcję z jego strony. Spodziewałam się chyba bębnienia w piersi i okrzyków w rodzaju: „Będę walczył o moją kobietę!”. W najgorszym razie mógł przecież zaproponować mi wspólną terapię albo wymianę partnerów z jakąś inną parą – cokolwiek, co wlałoby w nasz związek odrobinę namiętności i nadziei. Miło byłoby usłyszeć zapewnienia, że z miłości jest gotów spróbować wszystkiego, byle tylko mnie nie stracić.

Ponieważ nie zrobił żadnej z wyżej wymienionych rzeczy, wywaliłam go na zbity łeb.

Przyglądam się swojemu odbiciu w zamglonym lustrze. Jestem blada jak ściana; rozmazany makijaż z poprzedniego wieczoru dopełnia wizerunku żywego trupa.

Słyszę, jak drzwi wejściowe zamykają się za mężem numer dwa.

Teraz do mieszkania pakuje się ojciec.

– No i jak? – woła z nadzieją w głosie, stając za drzwiami łazienki.

– Święty Julian poznał archiwistkę o imieniu Gloria i żąda rozwodu – odkrzykuję. – Zamierzam wziąć teraz prysznic, choć ktoś mógłby powiedzieć, że to musztarda po obiedzie.

– Byłem ciekaw, co to za jedna – dobiega mnie zza drzwi skonfundowane

mamrotanie. – Ale przecież nadal jesteście małżeństwem?

Nie wrzeszczę w odpowiedzi: „Gówno, wszystko to jedno gówno! Zaangażowanie, miłość przemijają jak zeszłoroczny śnieg. Obudź się, staruszk, i rozejrzyj wokół siebie”.

Wołam za to:

– Gloria jest na dole?!

Po chwili milczenia tata postanawia przejść do rzeczy:

– Wracam dzisiaj do Dorset.

Z całej siły szoruję zęby szczoteczką.

– Mogę ci pomóc spakować parę rzeczy. Przerwa dobrze ci zrobi. Zobaczysz, co nowego na poczcie. Wiesz, że Graeme i Suzy-Anne tęsknią za tobą.

Graeme i Suzy-Anne – formalnie rzecz biorąc, moi pracownicy – mają w dupie, czy żyję, czy już umarłam. Ich doczesne zmartwienia ograniczają się do tego, czy w piątek zainkasują tygodniówkę.

Niemal widzę przed sobą doktora Malika, którego spojrzenie hipnotyzuje mnie niczym widok wirujących bączków.

„Powiedz mu jasno i otwarcie: nie chcę twojej poczty, a przede wszystkim nie chcę żyć twoim życiem. Ojciec nie zmieni się przez to w kupkę nieszczęścia, wymagającą dożywotnich dawek antydepresantów. A jeśli nawet, to znaczy, że nie myśli o tobie, tylko o sobie samym”.

– Bardzo bym chciała – odkrzykuję z ustami pełnymi piany – ale mam w tym tygodniu pewne zobowiązania! Kiedy indziej z największą przyjemnością!

– Masz zobowiązania w Dorset – odpowiada surowo tata.

– Tutaj też.

– Na przykład jakie?

– Mam randkę. Sam słyszałeś, że mój mąż zaręczył się z inną kobietą. Jestem w rozsypce, randka podziała na mnie jak kojący balsam.

– Jak on się nazywa? – Wyraźnie mnie sprawdza.

Jeśli nie liczyć Scotta „Scata” Delaneya, o którym, rzecz jasna, nie mogę wspomnieć, przychodzi mi na myśl tylko jedno imię.

– Noah. To biblijne imię, prawda?

– Jaki Noah?

– Steensen. – Tylko go sobie pożyczam. – Pisane przez trzy „e”. To nordyckie nazwisko.

Cisza, jaka zapada po moich słowach, podejrzenie się wydłuża.

Upuszczam szczoteczkę do umywalki, wierzchem dłoni ocieram usta i wystawiam głowę za drzwi.

Twarz taty przypomina barwę popiołu z krematorium.

– Dobrze się czujesz?

– Ty egoistyczna mała... Mówiłem, żebyś to zostawiła...

– Ale co?

Przysuwa się i wymachuje mi palcem przed samym nosem.

– Nigdy nie zdołam pojąć, jak to się stało, że wyrosłaś na taką manipulantkę. Robię krok do tyłu.

– Chodzi o pocztę? – pytam cicho.

Tata łypie na mnie zniecierpliwiony – oczywiście, że nie. Sprawa jest o wiele poważniejsza.

– Mam tego dość, Florence. Ciebie mam dość. Tych wszystkich gierk... – Gwałtownym ruchem obciąga kurtkę na biodrach.

Coś mi mówi, że przekroczyłam jakąś granicę, kompletnie nie zdając sobie z tego sprawy. Nigdy dotąd nie usłyszałam od taty nic równie przykrego; nigdy też nie widziałam, aby był aż tak zraniony.

– Twoja matka przewraca się w grobie.

Znowu się cofam, oszołomiona.

– Co ja takiego powiedziałam?!

– Staram się, wierz mi, bardzo się staram, ale nijak cię nie pojmuję. – Tata przygląda mi się zbity z tropu. – Powiedz mi, dziecko, czy ty kierujesz się w życiu jakimkolwiek kompasem moralnym?

– No, nieźle – mówię, bo to pytanie z gatunku tych koszmarnych, a ja w głębi duszy zawsze liczyłam, gdzie tam, modliłam się o to, że tata wreszcie mnie zaakceptuje. Że po trzydziestu trzech latach przynajmniej choć trochę mnie polubi.

Wyznam wam coś w tajemnicy: od pewnego czasu miałam wrażenie, że mnie zrozumiał. Pojął, że chociaż kierujemy się innymi zasadami, w gruncie rzeczy nasze serca zajmują podobne położenie na wspomnianym kompasie moralnym.

Starałam się mu to udowodnić, będąc wspaniałą siostrą dla Michaela.

I nawaliłam na całej linii.

– Jestem dla ciebie ciężarem? – Pytanie jest absurdalne, ale muszę to wiedzieć.

– Przestań dramatyzować – ucina stanowczo tata.

– Modlisz się za zbawienie mojej duszy?

– No proszę, znowu kpisz ze mnie i z mojej wiary!

– Wcale nie! – Bo nie kpię. Chcę tylko wiedzieć, jak bardzo w jego mniemaniu jestem porąbana. I czy pojawia się regularnie w jego modlitwach.

Przyglądamy się sobie tak samo skonsternowani.

Wreszcie pytam go:

– Kim jest Noah Steensen?

Ojciec tylko wzdycha zniecierpliwiony i nie oglądając się za siebie, wybiega z mojego mieszkania. Wołam za nim, chociaż właściwie na to nie zasługuje. Prawdę mówiąc, wcale na to nie zasługuje. Trzaska drzwiami.

Przez dobre pół minuty oniemiała gapię się w ścianę.

Podskakuję, gdy nagle tata wrzeszczy przez dziurkę od klucza:

– Wezwij kogoś, żeby obejrzał ten kran w łazience. I ogarnij tam trochę, czuć u ciebie stęchlizną.

Wciągam nosem powietrze.

– Wyślę ci SMS po powrocie do Christchurch.

– Słoniowy sok! – odwrzaskuję gniewnie.

To szyfr, więc tata nie odpowiada, że też mnie kocha.

Nasłuchuję jego miękkich kroków, kiedy oddala się korytarzem i rusza po schodach na parter.

A potem marszczę czoło, bo doznaję nagłego olśnienia.

## Alkoholizm w rodzinie

Reakcja taty popycha mnie do działania.

To do niego zupełnie niepodobne. Wcześniej wiele razy poruszałam z nim temat mamy, ale nigdy się tak nie zachowywał. Nigdy aż tak nie wyprowadzało go to z równowagi.

Nie jestem głupia.

Tę burzę wywołałam, wymieniając nazwisko Noah Steensena. Czyżby Poeta był płatnym zabójcą? Czyżbym za bardzo się zbliżyła do śmierzdzącej prawdy?

W pierwszej kolejności muszę sporządzić portret psychologiczny swojej matki. Zadanie numer jeden: przeczytać *PS Kocham cię*.

Szybko wciągam bojówki i podkoszulek bez rękawów, wkładam sandały i wyruszam do ogrodu przy Gordon Square. Dzieli mnie od niego krótki spacer. Na miejscu siadam na spalonej słońcem trawie, wśród niedopałków i grupek studentów, w cieniu brzozy brodawkowatej, platana klonolistnego i kasztana jadalnego. Za mną kamienna tablica informuje, że niejaka Emily Kent-Smyth, ukochana matka i żona, upodobała sobie ten wiktoriański skwer, zanim Pan powołał ją do siebie

Trudno o bardziej odpowiednie miejsce.

Czytam powieść od deski do deski. Dla tych, którzy jeszcze jej nie czytali, mam przestrozę: to bardzo, bardzo smutna książka.

Podczas lektury płakałam prawdziwymi łzami, bo okazało się, że to wcale nie jest powieść o kimś, kto powraca z za grobu do życia, tylko o tym, jak zmarły mąż daje żonie wskazówki zawarte w listach, które napisał, zanim wykorkował. Dzięki swojemu nieżyjącemu małżonkowi (który nie mógłby powrócić, nawet gdyby chciał, bo definitywnie kopnął w kalendarz) żona zostawia przeszłość za sobą, na nowo odkrywa miłość i odjeżdża w stronę cholernego zachodzącego słońca.

I gdzie w tym szukać pocieszenia? Głośno wydmuchuję nos w chusteczkę.

Nieboszczyk wychodzi na ostatniego frajera – niczyje życie nie legło w gruzach tylko dlatego, że umarł. Biedak zmagął się z guzem mózgu i przegrał, a jego ciało uległo rozkładowi i w proch się obróciło. Coś okropnego.

Ta książka to istna kpina z miłości i śmierci, ostatnia rzecz, jaką miałabym ochotę przeczytać.

Jadąc autobusem do Michaela, wciąż cichutko pochlipuję, bo wiem, że mamie ta książka bardzo by się podobała. Podobnie jak jej syn, ceniła w życiu ład i porządek. Według taty napisała nawet kuplet. O Bogu.

Morał powieści brzmi: patrz w przyszłość.

Naciskam dzwonek przy drzwiach Michaela i słyszę, jak z tupotem zbiega

po schodach. Wita mnie rozradowany. Nie mogę się powstrzymać, żeby nie chwycić go za policzek i mocno nie pocałować.

Wyciera się do czysta, jakbym miała pleśniawki, po czym szepcze konspiracyjnie:

– Biegiem na górę!

Bezszelestnie wspina się po schodach. Odruchowo idę w jego ślady, starając się omijać skrzypiące stopnie. Przed drzwiami do mieszkania gwałtownie się zatrzymuje, a ja za nim.

Składając dłonie jak do modlitwy, oznajmia powoli i wyraźnie:

– Mam dla ciebie niespodziankę.

– Jaką? – szepczę.

– Raczej kogo.

Ręce mi opadają.

– Chyba nie chodzi o Sébastiena?

Michael bierze się pod boki.

– Kochamy się, wiesz?

– To obrzydliwe – mówię, bo równie dobrze mógłby rozstrzelać moje serce z karabinu maszynowego.

A co ze mną? Nigdy nie powiedziałeś mi, że mnie kochasz.

– Miłość to wielkie słowo, braciszku – informuję z powagą. – To jak, jest u ciebie Sébastien czy go nie ma?

Wiem, że wrednie się zachowuję, ale nowina, że Michael ma chłopaka, jest trudna do przełknięcia. Do tego ostatnie dwadzieścia cztery godziny były dla mnie wyjątkowo stresujące. Zresztą nawet jak człowiek ma najlepszy humor, to i tak nic bardziej go nie irytuje niż widok pary zakochanych, jedzących sobie nawzajem z dzióbków. Przy każdej okazji narzucają się otoczeniu ze swoim szczęściem, które w żadnej mierze nie zależy od ciebie.

Słowo o szczęściu: publiczne afiszowanie się z uczuciami to dowód bezmyślności i samozadowolenia. Twoja radość nie udziela się innym; przeciwnie, mają ochotę na ciebie napluć.

– To nie Sébastien – odpowiada Michael.

– W takim razie kto?

– A kogo chciałabyś zobaczyć najbardziej na świecie?

Nie wolno nam o tym rozmawiać. Nie ośmielałam się nawet wypowiedzieć jej imienia. Ostatecznie mam go przed tym wszystkim chronić.

Bambi. Bambi. Bambi!

– Dobrze wiesz, kogo chciałabym zobaczyć – odpowiadam cicho skrzepowana.

– Wiem – przytakuje z wyrazem takiego współczucia na twarzy, jakiego jeszcze u niego nie widziałam. Cofam się zaskoczona i mrużę oczy, aż

przypominają szparki.

Michael kiwa głową powoli, z przejęciem.

Łapię się za skronie.

– Nie!

– Tak – mówi, ujmując delikatnie moje dłonie.

Sądziłam, że wyplakałam już wszystkie łzy, lecz po policzkach płyną nowe strumyczki. Gorące, obfite – takie, jakimi płacze się we śnie. Wstrząsa mną płynące z głębi trzewi oczyszczające łkanie. Nie znam nazwy narządu, w którym znajduje się jego źródło, ale mieści się on gdzieś pomiędzy jelitami a duszą.

Mój płacz denerwuje Michaela.

– Przestań – upomina mnie, szukając w kieszeniach chusteczki albo pistoletu na pociski ze środkiem usypiającym. – Natychmiast przestań płakać.

Ja nie potrafię przestać.

Więc on też zaczyna płakać.

Przez pewien czas oboje chlapiemy niepocieszeni.

Potem przejmuję dowodzenie, jak życzyłyby sobie tego mama. W przeciwnym razie Michael nigdy nie przestałby się mazać. Chwytam go za rękę, ściskam i uśmiecham się z trudem.

– Oddychaj głęboko.

Choć jest już na granicy hysterii, robi, co mu każe. Jakąś minutę później dzielnie kiwa głową i prowadzi mnie do mieszkania.

Trzymając się za rękę, wchodzimy do salonu.

Scott Delaney trafił do rajku, w którym nie obowiązuje indeks glikemiczny. Przycupnąwszy na sofie, pałaszuje zapiekany z żurawiną ser brie, jakby miał przed sobą danie sygnowane gwiazdką Michelina.

To znaczy, dopóki jego wzrok nie pada na naszą dwójkę.

Wówczas z przejęciem zrywa się na nogi, a jego talerz ląduje na podłodze.

– Cholera! – woła i nie zwracając uwagi na bałagan, jakiego narobił, wpatruje się we mnie i Michaela. – Co wam się stało?

Łapie mnie za ramiona, zanim zdążę wydmuchać nos.

– O co chodzi? Mów!

Otwieram usta, ale nic mądrego nie przychodzi mi do głowy. Biorę głęboki oddech, żałując, że nie mogę wytrzeć sobie górnej wargi. Scott mocno mnie trzyma. Nie zwalniając uścisku, rozgląda się po pokoju w poszukiwaniu telefonu stacjonarnego. W końcu podejmuje decyzję i wydaje rozkazy mojemu bratu, który tymczasem na czworakach zbiera z dywanu różowe kulki żurawiny.

– Micky, daj jej whisky – mówi, podając mi chusteczkę i sadzając obok siebie na sofie, żeby móc widzieć moją twarz.

Jego modre oczy mówią: „Jestem Scott Delaney, gwiazda jazzu, król scatu. Bogaty i przystojny. Jestem twoim najlepszym przyjacielem. Prawdopodobnie

nieraz o mnie fantazjowałaś. To chyba jasne, że oczekuję wyczerpujących wyjaśnień”.

Przykłada mi do nosa chusteczkę pachnącą olejkiem eterycznym.

W tej sytuacji mentol wcale mi nie pomaga: mama nacierała nam piersi takim olejkiem, kiedy byliśmy przeziębieni. Znowu zaczynam łkać. To absurdalne, ale nie mogę przestać.

Wobec tego Scott mnie pociesza. Opiera moją głowę na swojej miękkiej piersi i gładzi mnie po włosach.

– Spokojnie, maleńka. No już, już. Po prostu zacznij od początku.

Nie mogę mu przecież powiedzieć: „Myślałam, że jesteś moją mamą”.

Jest obiektem. Cholernym obiektem prowokacji.

Nie mogę mu też powiedzieć: „Co ty, u diabła, robisz w mieszkaniu Michaela? Jestem zupełnie nieprzygotowana, na nogach mam ortopedyczne sandały, do tego podkoszulek, w którym czasem sypiam. Jak mam rozbić twój związek po takim zasmarkanym, upokarzającym występie?”.

A już najgorzej byłoby powiedzieć: „Chrzanię to. Bardzo mi się to podoba. Uwielbiam wtulać się w twoją szyję spryskaną drogą wodą kolońską. Twoje opalone ręce o wypielęgnowanych paznokciach pieszczą moją czaszkę, jakby lepiły ją z gliny”.

Prawda to najlepsza podbudowa bezczelnego kłamstwa.

– Widziałam się z tatą – wyznaję klatce piersiowej Scotta, obwąchując jego koszulę. Jest nowa, prosto ze sklepu i nie pachnie absolutnie niczym – żadną letnią bryzą, passiflorą czy innym ylang-ylang, może tylko odrobinę świeżą tekturą.

Mężczyźni wkładają nowe ciuchy wyłącznie z dwóch powodów:

1. Nie mają nic czystego/uprasowanego.

2. Chcą zrobić na kimś wrażenie.

Mam nadzieję, że chodzi o to drugie.

– Rozstaliśmy się w gniewie – przyznaję, zauważając jednocześnie szorstką skórę na swoich piętach i ubolewając w duchu, że żałowałam im pumeksu oraz kremu.

– Pokłóciliście się? – pyta.

Prostuję się.

– On jest alkoholikiem, Scott.

Michael robi zaniepokojoną minę.

– Kto, nasz tata?

Ze smutkiem potwierdzam.

– Alkoholizm w rodzinie – wzdycha ponuro Scott. – Choroba, która dotyka wszystkich.

– A najbardziej cierpią dzieci – dodaję cicho.

Przytakuje mi:



– Brak im miłości i wsparcia. Nie czują, że są najważniejsze. Każde dziecko powinno czuć, że jest najważniejsze.

– Jak można się czuć najważniejszym, gdy twoje życie to zwariowana kolejka górską złożoną z samych zawirowań?

– To biękne – mówi.

– Powinieneś tak zatytułować jakąś piosenkę. – Odwracam się do brata i wyjaśniam: – Scott jest z Irlandii. Jego rodzina zmagala się z tym samym, co my.

– To znaczy z czym? – pyta Michael, nie rozumiejąc.

Nie chcę wyjść na rasistkę.

– Pewne narodowości mają genetyczną skłonność do uzależnień.

Moje spostrzeżenie wyraźnie bawi Scotta.

– Przede wszystkim jestem muzykiem, Mick, ale twoja siostra ma rację. Widziałem, jak moi przyjaciele niszczą siebie i swoje rodziny, nadużywając alkoholu i narkotyków. Utalentowani ludzie. Żółtaczką i alkoholowe zapalenie wątroby, samobójstwa i przedwczesne zmarszczki...

Michael gapi się na niego przerażony, ja natomiast dochodzę do wniosku, że Scott Delaney jest absolutnie fantastyczny.

Ogranicza się do banałów, to fakt, zapomina na przykład wspomnieć o zespole Wernickego-Korsakowa (zwanym inaczej rozmiękczeniem mózgu), ustaniu cykli menstruacyjnych czy chorobach krążenia. Ale to bez znaczenia. W tym momencie wykupiłabym cały nakład poradników jego autorstwa i dała wszystkim pod choinkę. Ten facet to urodzony komik.

– Nasz tata jest dobrym tatą – protestuje Michael.

Scott grozi nam palcem.

– Bierzcie przykład ze mnie. Nigdy nie zażywam niczego, co nie ma dołączonej ulotki.

Michael przytakuje skołowany, a ja nagradzam Scotta owacją na stojąco.

– Kurczę, przepraszam cię za te łzy. – Biorę głęboki oczyszczający wdech.

– Po prostu się o niego martwimy. Pewnie jesteśmy trochę przewrażliwieni. Nie spodziewałam się, że Michael ma gościa. Nigdy bym się tak nie zachowała, gdybym wiedziała, że tu jesteś. Pewnie wyglądam okropnie.

Scott macha lekceważąco ręką.

– W sam raz, żeby cię schrupać.

Chichoczę.

Michael marszczy czoło.

– Ile on pije?

Scott zdejmuję mi rzęsę z policzka.

– Idź się odświeżyć – rzuca nieznoszącym sprzeciwu tonem – a potem zaczniemy jeszcze raz, od początku.

Z szeroko otwartymi ustami gapię się na swoje odbicie.

Co on tu, u licha, robi? Żadne wytłumaczenie nie przychodzi mi do głowy.

Pośpiesznie nakładam makijaż przed lustrem – tylko odrobinę, aby wyglądało, że jestem nieumalowana.

W szafce w łazience u Michaela zawsze są jakieś kosmetyki – to mój zapas awaryjny. W jego mieszkaniu dochodzi przecież do skoku na kasę. A Scott Delaney siedzi tu sobie jak gdyby nigdy nic.

Wiele prowokacji znalazło swoją kulminację na tej sofie.

Zaglądam do sypialni, żeby sprawdzić, czy kamery są włączone. Są. Bystry chłopak z tego mojego brata, chociaż nie dość bystry, żeby wyrwać się na chwilę z salonu i wyjaśnić mi, skąd wziął się u niego Scott.

Odczekuję chwilę w sypialni z nadzieją, że Michael jednak do mnie zajrzy.

W tym czasie obserwuję na komputerze Scotta filmowanego z dwóch różnych stron.

W pierwszym przypadku od góry, z kamery umieszczonej w alarmie dymowym pod sufitem. Drugie ujęcie pokazuje go *en face* i pochodzi z kamery ukrytej w okładce poradnika; jej obiektyw spogląda na pokój przez kropkę nad „i” w widniejącym na grzbiecie tytule.

Wszystko to jest okropnie dziwne i cudowne zarazem. Gdyby za prowokacje rozdawano nagrody, byłabym pewną kandydatką do wyróżnienia!

Staram się informować swoje klientki na bieżąco, więc wysyłam Alice wiadomość ze swojego smartfona:

„Kontakt nawiązany. Wieczorem skok na kasę. Później prześlę pełny raport”.

W myślach pokazuję jej środkowy palec. Trzy dni zapasu! O, wy ludzie małej wiary!

Zanim jednak na dobre rozkręcę przedstawienie, wykonuję szybki telefon.

- Wykluczone – mówi mąż numer dwa.
- Zła odpowiedź – rzucam do słuchawki.
- Zdajesz sobie sprawę, że to jest nielegalne, Florence?
- Hm, owszem.

W tych okolicznościach nierozsądnie byłoby uświadamiać Julianowi kilka faktów dotyczących jego pracy:

Personel archiwum to w istocie sekretarze i sekretarki o silnej skłonności do kontrolowania otoczenia. Dlatego społeczeństwo zamyka ich w osobnych pomieszczeniach i pozwala im organizować przestrzeń dokoła. Możesz mówić, co chcesz, Jules: tobie i twoim kolegom po fachu brak wyrafinowania; jesteście zwykłymi administratorami z zaburzeniami obsesyjno-kompulsywnymi.

Siadam na łóżku i na monitorze komputera oglądam Scotta. Mój brat właśnie coś do niego mówi. Obaj wybuchają śmiechem. Potem Scott wstaje i poklepuje Michaela po plecach. Wygląda na to, że będzie się zmywał.

- Nie odchodź – wrywa mi się na głos.
- Muszę – odpowiada mi cicho Julian. – Zacząłem nowe życie.

Przypominam sobie jego poplamioną colą wizytówkę. Było na niej napisane, że jego biuro znajduje się w parku przemysłowym Nuffield w Poole – w miejscu bezpiecznego przechowywania wrażliwych danych. Dobrze znam takie instytucje. Lokalne samorządy, firmy, szkoły, kancelarie prawne, gabinety lekarskie, a nawet policja powierzają im archiwa, których prowadzenie jest cholernie nudne.

- Odmawiam, Florence. Skreśliliby mnie.

Oddycham z ulgą – Scott znów klapnął na kanapę. Czyli jednak nigdzie się nie wybiera.

- Skreślili? Skąd?
- Z listy członków Stowarzyszenia Archiwistów.
- Nie ma czegoś takiego.
- Nie mówiąc już o tym, że straciłbym pracę. A jestem wykładowcą na uniwersytecie.

Obrzucam telefon sceptycznym spojrzeniem.

- Na jakim uniwersytecie?
- W Plymouth.
- Co tam wykładasz?
- Archiwistykę.

– No tak. – Za pomocą chusteczki jednorazowej i własnej śliny przecieram ekran monitora komputerowego. – Przy odrobinie szczęścia znajdziesz robotę na prawdziwym uniwersytecie. A tymczasem bądź tak dobry i zdobądź mi to nazwisko.

- Nie.

– Znam tylko jego imię. Eric. Facet umarł w samochodzie mojej mamy na Mullett's Farm trzynastego lutego osiemdziesiątego ósmego wskutek zatrucia tlenkiem węgla – przecież to wiesz. Potrzebne mi jego nazwisko. Musi gdzieś być: w raporcie koronera, protokole z sekcji zwłok, aktach policyjnych...

- Nie zajmuję się takimi danymi.

– Ale masz kolegów po fachu. No i Głorię. Użyj swoich kontaktów w Stowarzyszeniu Archiwistów. Wyjazdy integracyjne, konsultacje przy porannej kawie. Czy nie wokół tego kręci się wielki świat archiwistyki?

- Nie.

- Julian, nie chcesz wiedzieć, co się naprawdę stało z twoją teściową?

Jego głos wręcz ocieka współczuciem:

- Nie.

– Załatw mi dane człowieka, który umarł w samochodzie mojej mamy, to podpiszę te papiery rozwodowe.

- Szczerze ci współczuję, Flo, ale nie mogę tego zrobić.

– Znakomicie. W takim razie spotkamy się w sądzie, Julian, i wszyscy się dowiedzą, jak bardzo pragnęłam dać naszemu małżeństwu drugą szansę pomimo twojego romansu.

– Florence, zbyt długo byliśmy w separacji.

– Przygotuj się na więcej. Pomyśl, ile czasu jeszcze minie i ile cię to będzie kosztowało...

– Odkąd jesteś taką suką? – mamrocze pod nosem.

Poważnie się nad tym zastanawiam.

– Trudno mi podać konkretną datę.

Julian chwyta się ostatniej deski ratunku.

– Kiedyś cię kochałam, wiesz?

Przykra prawda: ja nigdy go nie kochałam. Co nie znaczy, że wchodząc w ten związek, nie miałam oczekiwań typowych dla innych żon. Z całego serca pragnęłam odcisnąć w jego życiu trwałe ślad.

Nasze milczenie robi się krępujące.

Jakby się dobrze wsłuchać, usłyszałoby się nieprzyjemne tchnienie apatii tak głęboko zakorzenionej, że Julian nie zadał mi żadnego pytania o moje nowe życie – ani dzisiaj rano, ani teraz.

Jego ostatnie słowa, zanim się rozłączy, brzmią:

– Spotkamy się w sądzie.

Żebyś się nie przeliczył.

Na ekranie monitora Scott Delaney i Michael zaśmiewają się niczym starzy przyjaciele. Zacieram ręce, wstaję i wyglądzam narzutę, żeby nie została na niej najmniejsza fałdka.

## Rohypnol

Moje przejście z sypialni przez przedpokój z powrotem do salonu to absolutne mistrzostwo świata. Może nie robi takiego wrażenia jak kręcenie biodrami – tamto najlepiej się sprawdza, gdy trzeba oczarować portiera albo podstarzałego klienta, który nie chwytą bardziej subtelnych sygnałów. Jednak ten krok to klasa sama w sobie: jest zmysłowy, okraszony odpowiednią dozą nieosiągalności, dokładnie taki, jak trzeba, żeby uwieść celebrytę. Nie ma przy tym znaczenia, w co jestem ubrana – w ciuchy od Alexandra McQueena, zbyt obszerne bojówki czy pokrowiec na deskę do prasowania. Grunt to pewność siebie.

Powiecie, że to tylko krok, nic wielkiego.

A ja na to, że nic nie jest dalsze od prawdy.

Sposób poruszania się stanowi zasadniczy element klasycznej, pierwotnej gry wstępnej. Weźmy właśnie kręcenie biodrami, które sprawia, że kobieca sylwetka wydaje się pełniejsza; na tej samej zasadzie działały osiemnastowieczne stelaże zwiększające objętość damskiej sukni zwane rogówką. To nic innego jak krzykliwa reklama własnych zdolności prokreacyjnych.

Oczywiście pod warunkiem, że robi się to właściwie.

Istnieje trzydzieści sześć odmian dwunożnego chodu. Drobień, marsz czy bieg to tylko kilka przykładów. Mój dzisiejszy wybór to skomplikowana hybryda, połączenie posuwistego kroku z kołysaniem.

Coś takiego mogłoby się nazywać „kołysunięciem”.

Kołysanie dotyczy bioder oraz piersi i choć jest nieco wyuzdane, niesie ze sobą potężny ładunek erotyczny. Dla odmiany posuwisty krok jest niezwykle elegancki – patrzący ma wrażenie, że wcale się nie poruszamy, tylko zjawiskowo unosimy nad ziemią. Ten sposób przemieszczania się do perfekcji opanowały gejsze.

Prawdę mówiąc, to Michael nauczył mnie „kołysunięcia”.

„To jak salsa. Wypychasz naprzód biodra, a potem przesuwasz za nimi całe ciało, jakbyś była manekinem na pasie transmisyjnym. Następnie zarzucasz biodrami. Nie za mocno, wystarczy o, tak...”.

„Jakby zarzucało się nimi ukradkiem” – przytakuje.

„Nie, Flo – przecież chodzi o to, żeby to było widoczne”.

Ale ja wiem, co miałam na myśli. Proszę, żeby mi to zademonstrował – jeszcze raz i jeszcze, bo naprawdę świetnie to robi.

Jestem pilną uczennicą. Popatrzcie tylko, jak wyglądam, wchodząc teraz do salonu z gracją zapierającą dech w piersiach.

– Już mi lepiej – oznajmiam, czekając na ochy i achy.

Michael i Scott nie odrywają wzroku od ekranu telewizora.

Już zapomnieli o tym, co było wcześniej – o mojej histerii, o alkoholizmie w rodzinie i o tym, że moje życie to zwariowana kolejka górską złożoną z samych zawirowań. Wszystko to znaczy dla nich tyle co zeszłoroczny śnieg, bo mają w dłoniach plastikowe joysticki.

Gra na playstation całkowicie ich pochłonęła.

– W co gracie? – pytam.

– W *Batman: Arkham Asylum* – uśmiecha się Scott.

– Batman to bohater komiksu – tłumaczy mi brat. – W rzeczywistości nazywa się Bruce Wayne.

– Wiem, kim jest Batman, braciszku.

– To zapewne najlepsza gra będąca adaptacją komiksu, co nie, Mick? – włącza się Scott. – Znani aktorzy użyczający głosu postaciom, oszałamiająca grafika...

– Gadżety Batmana...

– Gadżety Batmana.

– Dostałem ją od Scotta.

Scott zwraca się do mnie, jak sędzę, ponieważ w moją stronę kieruje swój policzek:

– Mogę dostać coś do picia?

Pytam jak prawdziwa ładaczka:

– Czym ci mogę dogodzić, Scott?

– Wódka z lemoniadą raz.

Żadnego „proszę” ani „dziękuję”. Żadnego gadania o żółtaczce, alkoholowym zapaleniu wątroby, samobójstwach czy przedwczesnych zmarszczkach.

– Dla mnie też – wtrąca Michael. – I przynieś jakieś chrupki.

– Chrupki! – woła Scott. – Micky, jesteś niemożliwy.

– Jutro będę musiał przez dodatkową godzinę ćwiczyć na siłowni – narzeka mój brat.

– Razem się pomęczymy, przyjacielu – odpowiada Scott.

Przyglądam się im ze zmarszczonym czołem.

Scott Delaney zachowuje się niczym nastolatek, którego rodzice wyjechali, a Michael go naśladuje. Albo właśnie wspiał się na wyżyny sztuki aktorskiej, albo zapomniał o czekającym nas zadaniu.

Podczas gdy oni zgrywają najlepszych kumpli, ja stoję z boku, jakbym była ich matką.

– Twój asystent wyjechał do Gujany? – upewniam się.

Scott szczerzy zęby w uśmiechu, ze wzrokiem utkwionym w ekranie telewizora.

– Samolubny sukinkot. Aha, przynieś mi też jakieś środki przeciwbólne.

Będę ich potrzebował, później może rozboleć mnie głowa.

Z powodu spożycia prostych węglowodanów? Czy dlatego, że alergicznie reagujesz na prawdę o swoim końskim zdrowiu?

– Już się robi.

Ten scenariusz wymusza na mnie zmianę planów. Przestaję odstawiać Francuzkę – i tak nie robi to na nim żadnego wrażenia. Bądź co bądź, ma Alice z jej galijskim pochodzeniem.

– Dwie wódki z lemoniadą, coś o dużej zawartości cukru i worek środków przeciwbólowych dla panów.

Mówiąc „środki przeciwbólowe”, mam na myśli rohypnol – znany też jako pigułka gwałtu, meksykańskie valium, nielegalny środek usypiający albo (oficjalnie) flunitrazepam.

Słowo o rohypnolu:

Występuje w postaci białej pigułki o temperaturze topnienia pomiędzy 166 a 167°C i ciężarze molekularnym równym 313.3. Podobnie jak valium jest związkiem organicznym z rodziny benzodiazepin, tyle że o dziesięciokrotnie silniejszym działaniu. W medycynie stosuje się go do znieczulania przedoperacyjnego, a jako używka służy do wywoływania utraty przytomności oraz pamięci. Jest bezbarwny, niewyczuwalny w smaku i rozpuszcza się w etanolu, dzięki czemu idealnie nadaje się do podrasowywania drinków. Dlatego osoby korzystające z rohypnolu dla rozrywki zazwyczaj nie są tego świadome.

Podstępne częstowanie nim kogokolwiek stanowi bardzo poważne nadużycie.

I jest czymś absolutnie niedopuszczalnym z perspektywy zawodowej uwodzicielki. Obiektów nie wolno niczym szprycować – no, chyba że chodzi o serum prawdy, na które niestety okropnie trudno jest zdobyć receptę. Tylko nie sądźcie, że przeciętny prywatny detektyw szafuje na prawo i lewo substancjami usypiającymi; potajemne wprowadzenie delikwenta w stan narkozy poprzez dożylnie podanie środka usypiającego jest praktycznie niewykonalne. Zwłaszcza w przypadku prowokacji usypianie obiektu kompletnie mija się z celem. Co to za zdrada, jeżeli koleś jest nieprzytomny; taki dowód byłby nie do obronienia w sądzie.

Poza tym nigdy nie uciekłabym się do podobnego wybiegu ze względu na swoje ego – pragnę być kroplą, która przepełni czarę i zaważy o rozpadzie czyjegoś małżeństwa.

Wrzucam więc pół dawki rohypnolu do wódki z lemoniadą dla Michaela.

W połączeniu z alkoholem to powinno wystarczyć, aby mój brat w ciągu godziny twardo zasnął z głową na konsoli do gier. Sam środek jest zupełnie bezpieczny – wypróbowałam go na sobie, kiedy skończyły mi się tabletki nasenne.

Pragnę podkreślić, że nie kupiłam rohypnolu osobiście, tylko ukradłam

znanemu piłkarzowi ligi angielskiej, który miał słabość do swoich kolegów z drużyny. Rozpracowywałam go na zlecenie Maeve – miałam za zadanie śledzić lewego obrońcę, kiedy balował na mieście.

W klubie Playboy na Mayfair koleś wrzucił pigułkę gwałtu środkowemu napastnikowi do drinka.

Gwałt to wyjątkowo niesportowe zachowanie, więc zainterweniowałam. Strąciłam trefnego drinka na podłogę. Potem powtórzyłam to jeszcze trzy razy. Nieświadomy niecnych zamiarów kolegi, który za wszelką cenę chciał mu się dobrać do tyłka, środkowy napastnik zaczął w końcu na mnie pomstować. Uznałam, że najbezpieczniej będzie zwinąć drągi i dać nogę.

Michael kompletnie się zapomniał. Nie pamięta, że Scott jest naszym obiektem, i traktuje go jak nowego kumpla do zabawy. Dobrze znam swojego brata i wiem, że raczej go nie spławię.

Mieszam więc starannie zawartość jego szklanki. Następnie splukuję łyżeczkę pod kranem, wkładam ją do zmywarki i zanoszę drinki do salonu.

Podaję jedną wódkę (poczwórną, bez chemicznych dodatków) Scottowi, drugą (pojedynczą, lekko zaprawioną rohypnolem) Michaelowi. Trzecią (poczwórną, również bez chemicznych dodatków) stawiam przed sobą.

– No to siup – mówię, jakbym była ich kompanem od kieliszka.

Są podekscytowani niczym nastolatki na prywatce.

Nie mija nawet dwadzieścia minut i Michael smacznie chrapie w fotelu.

– Czy to u niego normalne? – pyta szeptem Scott.

Przytakuję.

– Cierpi też na lekką narkolepsję.

Prawdę mówiąc, nagłe odpłynięcie Michaela psuje dotychczasową atmosferę bez troski. Scott nie ma z kim bawić się w Batmana.

– Świetny z niego facet – stwierdza. – Bardzo energiczny, biorąc pod uwagę jego stan.

Ciekawe, jaką to chorobę przypisuje mojemu bratu.

– To, że tu jesteś, wiele dla niego znaczy, Scott.

Nachyla się w moją stronę.

– Myślałem, że jest młodszy – czytam z ruchu jego warg – i dlatego kupiłem mu grę komputerową. Kiepsko to wyszło.

– No co ty, to był strzał w dziesiątkę – uspokajam go. – Ludzie tacy jak Michael lubią gry komputerowe. – „Ludzie tacy jak Michael”. – Nie jest psychiczny, nic z tych rzeczy – precyzuję – po prostu jest inny. W sensie psychologicznym.

– To samo można chyba powiedzieć o każdym z nas – stwierdza Scott bez cienia ironii.

Przerwa w rozmowie trwa tylko chwilę, lecz to wystarcza, aby Scott zaczął



ogłądać swoje palce w poszukiwaniu urojonych dolegliwości. Tak samo zachowywał się w hotelu Landmark, kiedy Harvey wyszedł zatelefonować po coś do jedzenia.

- Chyba mam zanokcicę – mówi.
- Opryszczkową czy melanocytową?
- Obie.

– To niemożliwe. Pierwsza wywołuje bolesny obrzęk, druga to postać czerniaka. – Biorę do ręki jego zupełnie zdrowy delikatny i kształtny palec, oglądam go i z przekonaniem kiwam głową. – Ta jest opryszczkowa. Ponieważ nie mam maści aciclovir do stosowania miejscowego, polecam coś, co jest równie skuteczne.

Przynoszę z kuchni butelkę wódki.

- Przenika do wnętrza komórek bakterii, niszczy je i odkaża ranę.

Scott na poły się śmieje, na poły opiera.

- Pewnie okropnie szczypie, co?

– Chryste, jeszcze jak! Dlatego najlepiej, jak zamiast tego walniemy jeszcze po kielichu.

- Dzięki Bogu.

- Jak teraz sypiasz? – pytam, napełniając mu szklaneczkę.

- Ech, sama wiesz...

– W takim razie nic się nie stanie, jak trochę się znieczulisz. – Mrugam porozumiewawczo. – Kiedy ostatni raz zabawiłeś się z przyjaciółmi?

- Harveya nie ma – tłumaczy.

- Miałam na myśli kogoś, kto dla ciebie nie pracuje.

Scott mruży powieki, jakbym właśnie rzuciła mu wyzwanie. Fakt, zabrzmiało to nieco napastliwie. Powoli, starannie zakręca butelkę z wódką, kładzie ją na dywanie i wprawia w ruch obrotowy.

- Zdziwiłabyś się, jak się potrafię bawić, mała.

Klaszczę radośnie.

Butelka wykonuje raptem pół obrotu i zatrzymuje się z szyjką wycelowaną w Michaela, który ze względów medycznych nie może wziąć udziału w zabawie – nie dałoby się go dobudzić. Scott znowu kręci butelką, tym razem porządnie, i szyjka wskazuje na mnie.

– Z kim się pierwszy raz całowałaś? – pyta szybko, jakbyśmy mieli po czternaście lat.

Zastanawiam się, czy kiedykolwiek porządnie zabalowałam.

Chociaż pytanie sprawia, że cała się rozpromieniam – tak rzadko się zdarza, aby obiekt okazywał mi zainteresowanie.

Wybieram niewinne kłamstewko – formalnie rzecz biorąc, miałam wtedy sześć lat, a całującym był mój wujek Fergus, ale to zbyt osobista historia.

Słowo o prowokacjach: kiedy gra się z obiektem w butelkę, szczerowość jest zdecydowanie niewskazana.

Przechodzę więc do pocałunku numer dwa.

– To był chłopak w marynarce jak z tego serialu *Policjanci z Miami*. Stylizował się na Dona Johnsona. Całowaliśmy się jak dorośli w telewizji w latach osiemdziesiątych. Pamiętasz? Zamknięte oczy, zaciśnięte wargi, głowa przechylona w bok, tułów wykonuje poziome ruchy po ósemce...

– Pamiętam!

Wybuchamy śmiechem i odgrywamy wspomnianą scenkę, przyciskając usta do grzbietu własnych dłoni. Nie wiem jak on, ale ja wyobrażam sobie, że mój staw międzypaliczkowy to jego wargi. Normalnie boki zrywać. Śmiejemy się jeszcze przez dobre trzy i pół minuty.

Scott znowu kręci butelką.

I znowu jej szyjka jest wycelowana we mnie.

– Co u licha? – Biorę się pod boki, uszczęśliwiona, że jestem w centrum zainteresowania.

Przekrzywia głowę.

– A kim był ten drugi, z którym się całowałaś?

Jeszcze jedno słowo o prowokacjach: kiedy gra się z obiektem w butelkę, nie wolno odsłaniać swoich słabych stron.

– Powiem ci, kto był piąty. – Głos trochę mi się łamie. – Zwiął z moją najlepszą przyjaciółką. – Macham lekceważąco ręką. – Stare dzieje.

– Flo-Lo, to straszne. Ile miałaś wtedy lat?

– Dwadzieścia jeden. – Jeszcze chwila i zaczniesz mi drzeć dolną wargę. – Ich romans uświadomił mi, że się nie liczę.

Pośpiesznie przekręcam butelkę szyjką w stronę Scotta.

– Twoja kolej.

On łapie się za głowę, jakby wcale się tego nie spodziewał.

– Flo-Lo, w co ja się wpakowałem?

Krzyżuję ręce na piersiach i zastanawiam się nad zestawem idealnych pytań: Zdarzył ci się kiedyś trójkącik?

Kto jest najmniej atrakcyjną osobą, z jaką się bzykałeś?

Gdyby twoja matka miała zostać zamordowana i groziła jej paskudna śmierć w długich i wymyślnych męczarniach, a ty musiałbyś na to patrzeć, jedynym zaś sposobem, aby ocalić jej życie, byłoby się z nią przespać, to co byś wtedy zrobił?

W tym momencie jednak najbardziej interesuje mnie co innego.

– Co ty tu właściwie robisz, Scott?

Ucieka się do całej masy kłamstw...

Maeve Rivers skontaktowała się z nim, aby się upewnić, że wywiady w hotelu przebiegły bez żadnych problemów.

Kłamstwo: wiem od Maeve, że to Scott się z nią skontaktował.

Powiedział Maeve, że wszystko było zapięte na ostatni guzik, w głównej mierze dzięki koordynatorce imprezy, czyli mnie.

Fakt: spisałam się bez zarzutu.

W trakcie rozmowy telefonicznej Maeve wspomniała, że mój brat jest wielkim fanem Scotta. Zbliżają się jego urodziny i byłoby bardzo miło, gdyby w ramach podziękowania za moją pracę wpadł i zrobił Michaelowi niespodziankę.

Kłamstwo: Maeve mogła o tym wspomnieć dopiero w kolejnej rozmowie, a i wtedy zapewne niechętnie. Inicjatorem znowu musiał być Scott. Najprawdopodobniej zadzwonił do niej dziś rano; wątpię, aby sama Maeve miała ochotę wracać do tego tematu ze względu na mnie.

A potem spotkaliśmy się ze Scottem na stacji benzynowej. Mogę go uważać za przesądneho durnia, ale potraktował to jako znak, żeby częściej sprawiać przyjemność swoim fanom i dawać im coś od siebie. Postanowił więc zastukać dzisiaj do drzwi Michaela i w ten sposób go uszczęśliwić.

BEZCZELNE kłamstwo: Scott cierpi na zaburzenia z pogranicza agorafobii. Nie wypuszcza się na miasto bez swojego asystenta, żeby podziękować swoim wielbicielom. Za bardzo go przerażają.

Adres Michaela dostał od Maeve.

Fakt: kiedy mąż Maeve, Harry, był w domu, spotykałyśmy się w mieszkaniu mojego brata i całowałyśmy na sofie, na której zwykle dochodzi do skoku na kasę.

W rezultacie Scott zjawił się u Michaela pół godziny przede mną. Od razu złapali ze sobą kontakt. Grali w *Call of Duty: Modern Warfare 3*, a Michael zrobił mu trzy rodzaje kanapek z serem.

Ach, o mały włos by zapomniał... Oddaje mi portmonetkę.

– Jestem ci naprawdę bardzo wdzięczna – mówię szczerze.

Nie tylko ma na sobie świeżą koszulę, ale w dodatku wymyśla bajeczki, żeby wyjaśnić, skąd się tu wziął niezapowiedziany.

Można by więc pomyśleć, że mu się podobam.

## Zachowania intymne

Scott Delaney ma beznadziejnie słabą głowę i nie potrafi przegrywać.

Siedzimy po turecku naprzeciwko siebie na dywanie. On ma na sobie podkoszulek, slipy oraz skarpetki. Reszta jego ciuchów – dżinsy, koszula, buty i zegarek – leży obok, ciśnięta na bezładną stertę.

Ja, dla odmiany, mam na sobie kompletne ubranie.

A to dlatego, że jestem niekwestionowaną mistrzynią gry we frajera, o czym Scott nie ma bladego pojęcia.

Frajer to gra karciana wymagająca niezwyklej wyobraźni i zdolności analitycznych, popularna wśród podróżujących dwudziestoparolatków. Celem rozgrywki jest pozbycie się wszystkich kart. Gracz, który jako ostatni zostanie z kartami w ręce, zostaje uznany za TOTALNEGO frajera i skazany na karę wymierzaną wedle uznania przez zwycięzcę. W naszym przypadku karą jest zdjęcie wybranej części garderoby.

Obeszłabym się ze Scottem znacznie łagodniej, gdyby na wstępie nie popełnił zasadniczego błędu – przechwalał się, że ze mną wygra.

Musicie wiedzieć, że zawsze podejmuję rzuconą mi rękawicę.

Scott ciska na podłogę pozostałe karty.

– Liczysz je czy co? – Półnagi rozgląda się podejrzliwie dokoła. – Albo kantujesz, albo gdzieś tutaj jest ukryta kamera.

Podeksycytowana klaszczę w dłonie.

– Lewa skarpetka! Lewa skarpetka!

Ogłociwszy lewą stopę, pijany Scott rzuca skarpetkę na sofę i z wyraźnym zaśpiewem z Killarney domaga się ode mnie wyjaśnień:

– Chcę wiedzieć, na czym polega twój sekret.

Ja też jestem podcięta. Kiedy tasuję karty, połowa z nich ląduje na dywanie.

– Długo ćwoczyłam się w tej grze, Delaney.

– Jesteś szulerką?

– Powiedzmy, że jestem dość znana w kręgach amatorów gry we frajera.

Scott śmieje się głośno, uroczo mrużąc oczy.

O rety.

Teraz klepie się radośnie po nagich udach, owłosionych i słabo wyrzeźbionych. Ale to bez znaczenia, bo twarz ma jak anioł. Gdyby dodać do niej muskulaturę modela prezentującego bieliznę, byłaby to już lekka przesada. Scott wyglądałby na nieosiągalnego – a tego z pewnością nie życzyłby sobie jego menedżer.

– Wiesz, kogo mi przypominasz? – pyta.

Gapię się na jego zęby.

- Béatrice Dalle? W młodości?
- Nie, Flo-Lo, kogoś o wiele bardziej pociągającego – mówi.
- O kurczę. Serio?

Już wiem, dlaczego tak bardzo podobają mi się jego zęby – mój pierwszy chłopak, Trevor Tuesday, też miał lekko przerośnięte jedyńki. Tak jak Nick Heyward, wokalista popularnego w latach osiemdziesiątych zespołu Haircut 100. Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, wujek Fergus miał podobny zgryz – nie żeby mi się podobał, broń Boże, ostatecznie był dorosłym krewnym oraz pedofilem. Niemniej jednak przerośnięte jedyńki mojego wujka, Trevora Tuesdaya i Nicka Heywarda z Haircut 100 zlewają się w pewien zapamiętany z dzieciństwa ortodontyczny ideał. Dzieciństwo zaś to takie bezpieczne schronienie – wszystko już się dokonało, zostało zamknięte w szufladzie i zdążyło pokryć się kurzem.

– To może Pocahontas? – pytam, zwracając się do środkowych siekaczy Scotta. – Ktoś mnie do niej kiedyś porównał.

- Przypominasz mi moją małą.
- Wciążam ze świstem powietrze.
- Masz córkę?
- Moją dziewczynę, wariatko.

Zatyka mnie. Całkiem o niej zapomniałam

Alice St Croix ma osiem punktów na dziesięć i jest śliczna w kompletnie aseksualny sposób – znakomity wybór, jeśli szuka się kogoś do towarzystwa, aby wypić razem popołudniową herbatkę, czego zdecydowanie nie można powiedzieć o mnie. Scott nie może mieć takich skojarzeń w związku ze mną. Muszę być ucieleśnieniem jego fantazji. Alice wyraźnie podkreślała, że mam się stać jej przeciwieństwem. Mam go uwieść swoją innością, bo nowe znaczy pociągające – to zasada stara jak świat.

- Twoją dziewczynę?

Scott zwraca się do swojej zanokcicy:

– To jedyna kobieta, jaką, no wiesz, kiedykolwiek naprawdę kochałem. – Mówi to szeptem, jakby powierzał mi najgłębszy sekret. – Może dziwnie to zabrzmie, ale dzięki niej czuję, że jestem człowiekiem z krwi i kości. To ważne. Serio. Sprawia, że trzymam się z dala od kłopotów.

Wobec tego nie mogę być do niej podobna. Popatrzcie tylko na nas – na Scotta i na mnie. Kompletnie zalani gramy w rozbieranego frajera. Tacy jesteśmy rozrywkwowi, że nasz kompan chrapie naćpany w kącie pokoju.

– O rety. To ty masz dziewczynę. – Nic dziwnego, że nie wolno mu pić publicznie; alkohol rozwiązuje mu język w stopniu doprawdy niespotykanym. – Nie wiedziałam.

Scott opiera się łokciami o sofę i spogląda mi prosto w oczy.

- Oczywiście piękno to rzecz subiektywna. Ale czasami patrzę na nią i czuję,

że nie jestem jej godzien, rozumiesz?

Nie, nie rozumiem.

Alice nie tylko gra w zupełnie innej lidze niż Scott, należy też do innej kategorii taksonomicznej. Jeśli jednak czegoś się przez te wszystkie lata nauczyłam, to tego, że pociąg fizyczny jest zjawiskiem partykularnym i całkowicie narcystycznym. Człowiek ma wrodzoną potrzebę rozsiewania własnych genów. Nic nie poradzimy na to, jak wyglądamy ani kto nas pociąga. Dlatego wiążemy się z osobami, które są do nas podobne – tak podobne, że moglibyśmy być bliźniakami rozdzielonymi tuż po urodzeniu.

Sęk w tym, że Alice i Scotta nie łączy żadne podobieństwo.

Pod względem fizycznym o wiele bliżej mu do mnie. Ma lekko przerośnięte przednie zęby, jak mój wujek (bliski krewny), i ciemne włosy jak ja (prawdziwa ja). Patrząc na jego lewą stopę, zauważam nadmierną pronację, taką samą jak u Michaela (innego bliskiego krewnego).

A Scott gada i gada...

– No i czasami spotyka się kogoś, kto jest tym wszystkim, czym ty sama nie jesteś. Nie wiesz dlaczego, ale ta osoba przyciąga cię jak magnes. Nie mówię o rzeczach tak powierzchownych jak zgrabny nosek czy duże cycki, tylko o niezwykłym umyśle. Kobiety o niezwykłym umyśle uzależniają bardziej niż heroina, kokaina czy metamfetamina, ecstazy albo marihuana.

Sięgam po inne przykłady:

– Bardziej niż grzyby psylocybinowe, fencyklidyna i temazepam...

– Wiesz dlaczego, Florence?

– Bo są wymagające?

– Bo nie wystarczy je kochać. Człowiek chce być przez nie kochany, a to nie jest wcale takie oczywiste. Te wszystkie klony znanych modelek, śliniące się na mój widok dziennikarki, fanki bez grama godności dałyby się dla mnie posiekać. Dlaczego? Bo występuję na cholernej scenie. Taka jest prawda.

– To przygnębiające – przyznaję.

– Wiesz, na czyjej miłości mi zależy?

Wiem.

– Kobiety o niezwykłym umyśle.

– Tylko taka może pobudzać moją kreatywność, Florence. – Scott pociąga solidny łyk wódki.

Co za przemowa.

Gdyby nie to, że mówi o Alice, która, szczerze mówiąc, zaczyna mi działać na nerwy, dźwignęłabym się na nogi i zgotowała mu entuzjastyczny aplauz. Zasugerowałabym także, aby częściej sięgał po kieliszek – jakoś tego płynącego z serca kazania rosła w postępie geometrycznym wraz z ilością spożywanego alkoholu. Nie wstaję jednak i nie nagradzam Scotta oklaskami. Moja twarz jest

bardziej symetryczna niż twarz Alice – to fakt somatyczny – a co za tym idzie, z czysto medycznego punktu widzenia jestem od niej ładniejsza.

Nic dziwnego, że zaskakuje mnie to, co następuje. Scott nachyla się ku mnie i ciemieniem szturcha mnie w ramię niczym psotny niedźwiadek.

Zdumiona przewracam się do tyłu i uderzam głową o stolik do kawy oraz stojącą na nim popielniczkę.

Słowo o mowie ciała: niewinne przepychanki to pewny znak, że między wami iskrzy. Szkolny patent, do którego uciekają się chłopcy, gdy podoba im się jakaś dziewczyna, ale nie potrafią tego wyrazić słowami.

Całe to gadanie, osobiste zwierzenia – Scott Delaney mówił o mnie!

Podejmuję grę i wymierzam cios kantem dłoni prosto w jego kolano.

Naśladowanie zachowań fizycznych jest konieczne, jeśli chcemy się w kimś zakochać. Sprzyja nawiązywaniu bliższych więzi i rozluźnia atmosferę, dzięki czemu obie strony mogą się zrelaksować, poczuć swobodnie i bezpiecznie.

Scott rozciera łąkotkę, szczerząc się przy tym jak nastolatek.

– Jeszcze tego pożałujesz.

Poważnieję. Nieoczekiwanie czuję się zupełnie trzeźwa, a w dodatku ważna niczym najwyższa kapłanka całego Układu Słonecznego.

Słyszę swój głos, proszący:

– Zaśpiewaj dla mnie, Scat.

Szokuje mnie bezwstydną lubieżnością tej prośby, lecz zarazem mam stuprocentową pewność, że mój głos nigdy nie brzmiał bardziej zmysłowo.

Scott się uśmiecha.

– Utwór z dedykacją?

„Zaśpiewaj dla mnie, Scat”. Żałuję, że nie mogę tego zasuszyć i przechowywać w zielniku w charakterze wzorca z Sèvres. Mówię mu nawet, co ma zaśpiewać.

Słynny jazzowy standard.

– *My Funny Valentine*.

– Interesujący wybór. Legendarna kompozycja Richarda Rodgersa i Lorenza Harta. – Scott kiwa głową. – Jakaś konkretna wersja?

Jest mi absolutnie wszystko jedno.

– Oryginalna. – Układam usta w słodki dzióbek.

Moja odpowiedź rozbawia go do łez.

– Masz na myśli Mitzi Green?

Przysuwa się bliżej i nasze palce u nóg się stykają. Przeszywa nas prąd.

– Pozwólmy sobie na odrobinę swobody – proponuje z nagłą powagą, jakby występował na żywo. – Może być wersja Scata Delaneya?

Dobrze wie, co na to powiem, i nim kończę klaskać jak wariatka, zaczyna śpiewać zmysłową balladę.

Z początku staram się robić to co on i podtrzymywać kontakt wzrokowy, ale jest zwyczajnie za dobry. Jego głos otula mnie niczym egipska bawełna w ciepłą noc w Nowym Orleanie, melodyjny i czysty jak kryształ. Ma niewiarygodną skalę; niskie tony wprawiają moje genitalia w miłe drzenie. Zalewa mnie fala słodczy i wpadam w stan bliski medytacji.

Dopiero po dłuższej chwili jestem w stanie spojrzeć mu w oczy.

Zasadniczo istnieją sześćdziesiąt dwa odcienie koloru niebieskiego i wszystkie co do jednego można dostrzec w tęczęwkach Scotta Delaneya. Kobalt, bławatek, ultramarynę, szafir, indygo, błękit Tiffany'ego. Jego oczy przypominają szlachetnie nakrapiany marmur; im głębiej w nie zaglądam, tym bardziej jestem oczarowana.

Nagle dzieje się coś bardzo dziwnego.

Całe dotychczasowe życie Scotta przemyka mu przed oczami i tylko ja potrafię to dostrzec.

Zabita dechami wieś w południowo-zachodniej Irlandii. Niezwykle uzdolniony dzieciak z prowincji wygrywa konkurs młodych talentów i w wieku czternastu lat staje się sławny. Nie musi studiować, nie z takim głosem. Nie zdążył się wyszaleć. Nie jarał trawy z innymi studentami i nie dyskutował z nimi do świtu o polityce i kosmologii. Nie przesypiał całych dni, nie wagarował, nie wyjeżdżał z kumplami na wakacje do Benidorm, nie miał okazji obmacywać transwestyty. Zanim wyrosły mu porządne włosy łonowe, miał już własnego menedżera oraz grono oddanych fanek. Dla niego to za dużo. Jego koło ratunkowe? Dziewczyna, z którą się w dzieciństwie spotykał, fałszywa kotwica zapewniająca mu łączność z rzeczywistością, ze światem, do którego już nie należy. W wieku trzydziestu jeden lat potrafi pięknie mówić – jego porywacze odpowiednio go przeszkolili. Owszem, porywacze; Scott Delaney ma takie samo pojęcie o prawdziwym życiu jak ofiara porwania – taka, która spędziła dorosłość przetrzymywana w jakiejś piwnicy.

Okazuje się, że głównym problemem Scotta nie jest hipochondria ani niedojrzałość, ani też ponadprzeciętna kreatywność, tylko syndrom sztokholmski.

Dotyczy on jednej trzeciej porwanych. Przywiązują się do porywaczy – do tego stopnia, że uzależniają się od nich i stają po ich stronie. Podczas ceremonii wręczenia nagród celebryci zawsze dziękują swoim menedżerom. Ich światopogląd jest odbiciem skrzywionego światopoglądu tych, którzy ich zniewolili.

Scott „Scat” Delaney stał się niczym innym jak dojną krową, zamkniętą w luksusowej zagrodzie.

Lecz gdy tak wpatruję się w jego idealnie zarysowaną linię włosów i te oszałamiające, błękitne oczy, a on śpiewa dla mnie, obdarowując występem równie nieprzyzwoitym jak taniec erotyczny i tak samo rozkosznie intymnym, uświadamiam sobie jedno:



Scott Delaney jeszcze nigdy nie zblądził.

I nie zblądzi, o ile ktoś mu nie powie, że może to zrobić.

Kończy śpiewać i oboje siedzimy w milczeniu jak oszołomieni.

Dochodzi jedenasta. Czas ucieka. Przypominam sobie, jak wyglądają wszystkie jego wieczory:

Godzina 22.55. Scott gasi światło w salonie od frontu.

Godzina 22.56. Scott zapala światło w holu na piętrze.

Godzina 22.59. Scott gasi światło w holu na piętrze.

Godzina 23.00. Scott (daremnie) usiłuje zasnąć.

Na kolanach przysuwam się do regału.

Waham się. To jasne, że się waham, do cholery. Własna przyjemność kontra rozpad czyjegoś związku. Alice, kobieta, którą lubię i której muszę coś udowodnić. Przypominam sobie jej portmonetkę wielkości śliwki i to, że była gotowa wydać wszystkie oszczędności, aby zyskać ostateczną pewność – pewność, że można przeżyć całe życie u boku bratniej duszy. Szczerze jej życzę, aby jej marzenie się spełniło. Swój zawód wykonuję między innymi dlatego, aby spełniały się ludzkie marzenia.

Mimo to wyciągam rękę i ignorując poradnik *Rodzina: cud natury* – ukryta w jego grzbiecie kamera jest wycelowana prosto na sofę – chwytam stojący zegar i odwracam go cyferblatem do ściany.

„Dziś wieczorem pójdziesz spać trochę później. To wyjątkowa okazja. Zdobyłeś dwoje nowych znajomych – mnie i tego tam śpiocha. Jak w takiej sytuacji nie świętować?”

Rzecz jasna, nie mówię tego na głos. Dla osoby cierpiącej na bezsenność trudno o gorszą wiadomość niż ta, że czeka ją nieprzespana noc. Całonocne popijawy muszą być dla człowieka zaskoczeniem.

Jestem gotowa zamknąć sprawę nr 0135/Operacja Delaney.

Uwaga: skok na kasę nie jest zadaniem dla ludzi o miękkim sercu. Wymaga bezwzględności, determinacji i profesjonalizmu. Zainteresowanych odsyłam do opisu bezlitosnej strategii usidlenia Pietera de Groota, holenderskiego ministra bezpieczeństwa publicznego i sprawiedliwości. W takiej sytuacji nie ma miejsca na emocje, choćby najszlachetniejsze. Uroda obiektu również jest bez znaczenia.

Co wrażliwsi powinni teraz zasłonić oczy.

– Masz wyraźnie wyeksponowane płatki uszu – zauważam bez żadnego racjonalnego powodu. – Z biologicznego punktu widzenia nie mają one właściwie konkretnego zastosowania.

– Poza tym, że stanowią strefę erogenną?

Zawstydz mnie.

– Tak, poza tym.

Scott nachyla się ku mnie.

– Pozwolisz?

I nie czekając na odpowiedź, zaczyna pieścić moje ucho. Moje ciało znowu przeszywa prąd. Oboje to czujemy. Scott odchyła mi lekko podbródek. Moja twarz oblewa się purpurą.

Słyszę swój szept:

– Nie mogę...

Zachowuje się jak prawdziwy dżentelmen – pierwszy mnie całuje. Zdejmuje ze mnie cały ciężar odpowiedzialności i tym samym przypieczętowanie rozpad swojego związku.

Ma cudowne usta.

I cudowny oddech.

Język też ma cudowny.

Całkowicie odpływam – nic dziwnego, że zapominam policzyć w myślach do pięciu.

### **Wstęp do sztuki prowokacji, porada nr 6:**

**Należy bezwzględnie dążyć do prawdy.**

W tym zawodzie tylko to nas rehabilituje. Prywatni detektywi nie mają dobrej prasy.

*Za kogo się ich uważa?*

*Za samotników pozbawionych zasad.*

*Za sprzedajne gliny.*

*Za oszustów.*

Odpowiedź brzmi: to wszystko prawda.

*Prawda to towar deficytowy w zawodzie wykonywanym często przez łajdaków i odludków.*

Stań się luminarzem tej branży, bohaterem własnego filmu, wzorem dla klientów łaknących prawdy i tylko prawdy. Aby to osiągnąć, nigdy nie okłamuj klienta co do wyników śledztwa. Przenigdy.

*Nie zapominaj o swojej motywacji:*

nikt nie powinien być podstępnie zmuszany do życia w kłamstwie – czegokolwiek by ono dotyczyło.

## Wybuchowa przesyłka

Wtorek. Dzień dziewiąty Operacji Delaney.

Godzina 11 rano.

Siedzę po turecku, gapię się przed siebie niewidzącym wzrokiem i muskam palcami swoje ucho.

Minionej nocy zamknęłam sprawę.

I gorzko tego żałuję.

Nie dlatego, że złamałam jedną z obowiązujących w tym zawodzie zasad, ale ponieważ nigdy więcej nie zobaczę Scotta Delaneya. Pogrążam się w otchłani rozpacz.

Alice na pewno odchodzi od zmysłów, rozpaczliwie pragnąc poznać rezultat moich starań o uwiedzenie jej bratniej duszy. Mimo to nie zaglądam do swoich e-maili. Nie odbieram też telefonów od Michaela, chociaż wydzwania do mnie od dziewiątej.

Zamiast tego raz za razem odtwarzam w pamięci przebieg spędzonego ze Scottem wieczoru. Zalewają mnie na zmianę fale euforii i rozczarowania. Wrażenie jest tak przytłaczające, że chwilami tracę oddech.

Przyznaję: w głębi duszy od początku wiedziałam, że się w nim zakocham. Zakochałam się zresztą wiele lat temu, gdy po raz pierwszy usłyszałam w radiu jego głos, na długo zanim przekonałam się, jak wygląda. A teraz stałam się jego przyjaciółką, która zagłada mu głęboko w oczy i widzi w nich jego cholerną duszę.

Żadne z nas nie ma zbyt wielu bliskich przyjaciół.

Co więcej, całowaliśmy się – a od tego, psiakostka, nie ma odwrotu.

Żałuję nagle, że nie mam przyjaciółki od serca, której mogłabym się wygadać. Kogoś takiego jak Alice. Powraca uczucie wstydu. Co ja jej najlepszego zrobiłam?

To samo, co Olivia zrobiła mnie.

Gwałtownie wciskam twarz w materac, aż jego zakurzone guziki wbijają mi się w czoło i policzki, jednak nie potrafię wymazać wspomnienia własnej zdrady.

Przed świtem wróciłam do kawalerki i zaraz łyknęłam tabletkę nasenną. Nie żebym jej potrzebowała – euforia zwiększa wydzielanie endorfin, a te z kolei zwiększają uczucie szczęścia, co łagodzi bezsenność. Byłam okropnie nakręcona. Mój umysł wirował, uparcie odtwarzając jak w kalejdoskopie kolejne sceny ostatniego wieczoru.

Jaka szkoda, że nie mogę zadzwonić do Scotta i zapytać, jak mu się spało...

Z twarzą wciśniętą jeszcze głębiej w materac przez dobre dwanaście sekund próbuję się udusić, bo kiedy o drugiej nad ranem tuliliśmy się na pożegnanie, wiedziałam, co nastąpi. Scott wróci do swojego dawnego życia w okrutnym blasku

reflektorów, a ja wyłączę kamery i zapiszę nagrania w jakimś tajnym pliku, do którego nigdy nie ośmielę się zajrzeć.

I jak tu się dziwić, że to tak potwornie boli?

W którymś momencie skontaktuję się dziś z Alice St Croix. To, co ode mnie usłyszysz, będzie całkowicie zmyślone.

Słowo o mnie, Florence Marii Love: jeszcze nigdy nie okłamałam klienta. Aż do dzisiaj.

Powiem jej, że do niczego nie doszło. Absolutnie do niczego. Dziewczyno, ciesz się, że trafił ci się taki wierny facet!

I tak bardzo skrzywdzony.

Potrafiłabym go uleczyć. Wiem, że bym potrafiła.

Ale spóźniłam się o piętnaście lat; Alice znalazła go pierwsza.

Potrzebuję teraz chwili, żeby sobie popłakać.

Chyba nigdy nie opłakiwałam aż tak żadnego mężczyzny. Zaglądam w przeszłość, żeby się upewnić: nie licząc członków rodziny, ile osób w życiu tak naprawdę kochałam? Przychodzą mi do głowy tylko cztery:

1. Chłopak w marynarce z serialu *Policjanci z Miami*.
2. Mąż numer jeden.
3. Mąż numer dwa (od biedy).
4. Maeve (choć nie jestem lesbijką).

Apatycznie przywołuję w pamięci podział miłości na etapy, znajdując pewną pociechę w porządkowaniu rzeczywistości.

W miłości istnieją trzy odrębne, lecz wzajemnie się niewykluczające stany. I nie jest to żadna pseudopsychologia rodem z „Cosmopolitana”, tylko czysta biologia. Za romantyczne uniesienia odpowiadają u człowieka różne układy sieci neuronowych i różne neuroprzekaźniki – to naukowo potwierdzony fakt.

Jest etap pożądania, gdy zasadniczo odczuwamy silną potrzebę łączenia się w pary. Zwiększa się wówczas wydzielanie testosteronu i estrogenów. Czas trwania tego etapu to od jednego do trzech miesięcy.

Potem następuje etap przyciągania, któremu towarzyszy gotowość do zaangażowania się w związek. Organizm ludzki wytwarza wtedy feromony, dopaminę i norepinefrynę. Czas trwania to od jednego do trzech i pół roku.

Wreszcie przychodzi etap przywiązania, gdy chcemy tworzyć trwałe więzi: decydujemy się na dzieci albo małżeństwo, rozwijamy wspólne zainteresowania. Wydziela się wówczas oksytocyna i wazopresyna. Czas trwania: lata, często dekady, a czasami całe życie.

Chłopak w marynarce z serialu *Policjanci z Miami*...

Pożądanie, bezdyskusyjnie pożądanie. Miałam wtedy jakieś siedem lat. On na oko tyle samo. Na imię miał Junior. Jego strój jest wryty w moim hipokampie: dzinsy, łososiowa koszulka i sportowa kremowa marynarka z podwiniętymi

rękawami, taka, jaką nosił Don Johnson, w tamtych czasach największy krzyk mody. Od czasu do czasu Junior podrywał do góry głowę, bez użycia rąk umiejętnie odrzucając z czoła grzywkę w stylu lat osiemdziesiątych. Spotykaliśmy się na festynach kościelnych oraz przyjęciach dla dzieci i za każdym razem fantazjowałam o tym, żeby go pocałować. Kiedy wreszcie spróbował mnie wziąć za rękę, nazwałam go zбочёнцем, bo chociaż świata poza nim nie widziałam, byłam wtedy okropnie sztywna.

W końcu jednak go pocałowałam. Jeden jedyny raz.

Mąż numer jeden...

Pożądanie i przyciąganie jednocześnie. Kiedy mi się oświadczył, poczułam wdzięczność – był taki przystojny, spontaniczny i nieodpowiedzialny. Żarliwie realizował każdy pomysł, jaki w danym tygodniu akurat wpadł mu do głowy. Był też obarczony jedną poważną wadą: niczego nie potrafił doprowadzić do końca. Tak, Luke był całkowitym przeciwieństwem mojego ojca. Pobraliśmy się w wieku dziewiętnastu lat. Przysięgłam, że odtąd będę posłuszną żoną. W wieku lat dwudziestu jeden przyłapałam go na posuwaniu od tyłu mojej druhny.

Mąż numer dwa...

Żadnego pożądania. Może odrobina przywiązania. Wzięliśmy ślub. Lubiliśmy łązić po pubach, co można uznać za rozwijanie wspólnych zainteresowań. Ech.

Maeve...

Przywiązanie. Ilekroć udało jej się mnie nabrać, wybuchała śmiechem, trzymając się za brzuch. Ceniła moją inteligencję, dzięki czemu czułam się ważna. Moje uczucia do niej również wynikały z podziwu dla jej intelektu. Połączyło nas to, co starożytni Grecy nazywali filią – wzajemne umiłowanie swoich umysłów. Nie pociągała mnie seksualnie, chociaż *cunnilingus* w jej wykonaniu był po prostu obłędny – istna sonata w czterech partiach, z których każda charakteryzowała się innym tempem. Do mistrzostwa opanowała lizanko, w którym łechtaczkę traktuje się jak miętówkę z dziurką w środku i skupia całą uwagę na otocze.

Maeve Rivers i ja powinnyśmy być przyjaciółkami do grobowej deski.

Żałuję, że w ogóle zaczęłam te rozmyślenia, bo dochodzę do bardzo smutnej konkluzji: nie spotkałam dotąd nikogo, z kim doświadczyłabym wszystkich trzech etapów miłości: pożądania, przyciągania i przywiązania. I przy kim mój organizm miałby okazję wydzielać testosteron i estrogeny, feromony, dopaminę i norepinefrynę, oksytocynę i wazopresynę.

Dopiero ostatniej nocy zrozumiałam, że jest ktoś, kto budzi we mnie pierwotną potrzebę przeżycia każdego z tych trzech stanów umysłu.

Sęk w tym, że on ma dziewczynę, której istnienie ukrywa przed całym światem – do czwartku, kiedy to przedstawi pannę St Croix zaskoczonym fanom.

Scott i Alice zupełnie do siebie nie pasują. Jego fani od razu to zauważą.

Lecz to nie będzie mnie już dotyczyć. Mnie, kłamliwej, podstępnej uwodzicielki mężczyzn.

Scott Delaney ułoży sobie życie.

A przecież miłość to rozkoszowanie się szczęściem drugiego człowieka, jak powiedział Gottfried Wilhelm Leibniz, filozof. Był Niemcem, a to znaczy, że najprawdopodobniej miał rację. Niemniej jednak w tej chwili mam mu do powiedzenia tylko dwa słowa w związku z jego altruistycznym bełkotem:

Gówno prawda.

Nie mam się czym rozkoszować. Trudno o większe przygnębienie niż moje teraz, gdy patrzę, jak ukochany oddala się w stronę zachodzącego słońca, prowadząc inną kobietę pod rękę.

Popatrzcie tylko na mnie.

Stoję w oknie z rozkrzyżowanymi ramionami, w samych majtkach i staniku, błagając w duchu Poetę, motocyklistę, Noaha Steensena czy kim tam jest mój prześladowca, żeby mnie wykończył. Modłę się o kulkę w samo serce.

A jeszcze lepiej niech zjawi się tutaj moja mama – wychynie ze swojej kryjówki na dachu naprzeciwko, przybiegnie do mojego mieszkania i weźmie mnie w ramiona.

Zapomniałam już, jak brzmiał jej głos. Mogłabym go wam mniej więcej opisać, pewnie, ale przestałam go słyszeć w swojej głowie. Wiem jednak, co by mi powiedziała:

„Wszystko będzie dobrze, *piccolina*. Mama jest przy tobie”.

Pólnaga, z rozpostartymi rękoma, stoję w oknie, gdzie nikt nie zwraca na mnie uwagi.

Wpadam w melodramatyczny nastrój. Przyciskam nos i piersi do chłodnej szyby i przez krótką chwilę naiwnie wierzę, że mogę odlecieć jak Bambi.

Akademik Uniwersytetu Winchester, rok 2001.

Pokój Olivii. Skamieniała stoję za drzwiami z dłonią na lodowatej klamce.

Wygląda na to, że ci w środku świetnie się bawią.

Trwa tam iście jazzowa improwizacja na okrzyki, jęki i trzeszczenie sprężyn. Zagłówek łóżka wybija równy rytm o ścianę z płyty kartonowo-gipsowej. Jeśli miałabym zgadywać (patrz *Psychofizjologia seksualności naczelnych*), powiedziałabym, że Olivia przeżywa właśnie fazę plateau, zwaną także drugą fazą odczuwania orgazmu.

Pierwsza faza to faza pobudzenia, która najwyraźniej mnie ominęła. Mogę jednak zagwarantować, że pomimo wszystkich swoich wad mój mąż nie starał się jej przyspieszać. Marihuana ma pewne zalety – jedną z nich jest pełne i osobiste zaangażowanie Luke’a w zaspokajanie partnerki.

Wybrałam najgorszy moment z możliwych – zjawiłam się na samo szczytowanie. Dwie ostatnie fazy orgazmu u naczelnych – orgazm właściwy

i rozładowanie – należą do najbardziej intymnych przeżyć, jakie można sobie wyobrazić.

Nie zrozumcie mnie źle.

Wcale nie chcę tego oglądać. Nikt przy zdrowych zmysłach by nie chciał. Może więc ktoś mi z łaski swojej wyjaśni, dlaczego moja ręka sama naciska tę cholerną klamkę?

Tak, jakbym nie miała już dość dowodów. Liścik miłosny w jego portfelu, podpisany pseudonimem „Betty B”. Przylegając do siebie jak łyżeczki w moim wąskim łóżku, Luke i ja każdej nocy naszego małżeństwa mieliśmy przed oczami plakat z tego filmu. Zwierzyłam mu się nawet, że chciałabym być taka jak Betty Blue. Wiedział, że to mój słodki, wariacki sekret. Mimo to ilekroć patrzył na jej zdjęcie, widział swoją kochankę.

Nie ma sensu snuć teraz domysłów – nigdy nie poznam całej prawdy – mogę jednak przypuszczać, że wspólnie wybrali dla niej ten pseudonim. Musieli się przy tym nieźle uśmieć – Florence i jej absurdalne rojenia, że kiedykolwiek mogłyby zostać prawdziwą *femme fatale*.

„Jesteś moją heroiną”, napisała mu w tym liściku „Betty B.”.

Jak bardzo na czasie!

W głębi duszy wiedziałam, że znam ten charakter pisma, ale prawda była dla mnie nie do zaakceptowania. Zwyczajnie nie mieściła mi się w głowie. Przejrzałam więc spis kontaktów w komórce Luke’a, szukając jakiejś Betty. Znalazłam Elizabeth. Jej numer telefonu był identyczny z tym, jakim posługiwała się Olivia.

Znałam hasło Luke’a do jego poczty na Hotmailu – „saintsFC”. To był jego prezent ślubny dla mnie; twierdził, że nie ma nic do ukrycia. Jakie to sprytne, na samym początku zadeklarować pełną otwartość w związku.

Przetrzałam całe mnóstwo katalogów, ale Luke skrzętnie pousuwał wszystkie ślady. Prawie wszystkie. W końcu odkryłam, na czym polega jego sztuczka: e-maile od kochanki na wszelki wypadek trafiały prosto do kosza. Tam też znalazłam wiadomość sprzed kilku miesięcy, która zapoczątkowała *liaison dangereuse* pomiędzy nim a moją najlepszą przyjaciółką.

Ale że akurat Olivia...

Przez cały czas trwania naszego małżeństwa usiłowała mi otworzyć oczy na to, kim naprawdę jest Luke Birmingham: przerażająco niedojrzałym kutasem z przeszłością. Żadnego kadzenia i owijania w bawełnę, nic z tych rzeczy. Powinnam się go pozbyć i kropka.

Pozwalałam jej mówić to wszystko, bo miała rację.

Luke dyktował mi, w co mam się ubierać. To on zdecydował, że powinniśmy się pobrać niespełna pół roku po pierwszym pocałunku. Dziwnym trafem nie zaproponował, że będzie się dokładał do czynszu, wolał pomieszkiwać za darmo na kampusie. Nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby odkurzyć albo zmienić pościel,

choć od czasu do czasu gasił skręta i zakradał się do sal wykładowych, żeby sprawdzić, obok kogo siedzę. A przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. W rzeczywistości mój niewierny facet dbał o własne interesy, upewniając się, że teren jest czysty i może mnie zdradzać do woli.

Ale że akurat Olivia...

Powiedziała kiedyś, cytuję: „Luke traktuje cię jak swoją własność. Tak nie można. Kochanie, ten związek nie ma przyszłości – prędzej czy później wykreści ci jakiś numer”.

Powoli otwieram drzwi. Odgłosy przybierają na sile. Zagłówek wali wściekle o ścianę. Olivia jest odwrócona do mnie plecami. Pod nią ktoś leży. Widzę dwie pary stóp.

Serce nie utkwilo mi w gardle tylko dlatego, że rozpadło się na kawałki przed godziną, gdy znalazłam tamten e-mail – przeistoczyło w kupkę mokrego piasku udekorowaną resztkami mojej godności, przyprószoną iluzją przyjaźni i wierności.

Ale że akurat Olivia...

Dostałam od niej widokówkę z takim oto cytatem: „Gdy spotkasz kogoś, kto nie tylko toleruje twoje dziwactwa, ale z radością im przykłaśnie, wołając: «Ja też tak mam!», dbaj o niego, bo to znaczy, że należycie do jednego klanu dziwaków”.

Należałyśmy do jednego klanu.

Robiłam to dotąd setki razy – wtykałam głowę przez uchylone drzwi jej pokoju – ale dzisiaj nie wołam: „A kuku!”. Moment jest wyjątkowo nieodpowiedni.

Oboje są w fazie orgazmu właściwego. Luke podkurczył palce u nóg w oczekiwaniu na spełnienie.

Stoję jak sparaliżowana. Tym samym tracę okazję, żeby się na nich rzucić i zadźgać Olivię wibratorem, który – a jakże – dostrzegam na podłodze.

Prawie nie oddychając, patrzę zmartwiała przed siebie, a to, co widzę, jest absolutnie odrażające.

Luke po raz ostatni wyrzuca w górę biodra zdecydowanym ruchem.

To gwóźdź do trumny mojego małżeństwa.

Nieświadomi mojej obecności dyszą ciężko. Siedząca okrakiem na Luke’u Olivia opiera policzek o jego wezbraną rozkoszą pierś. Mam przed oczami jej wypięty tyłek i jego spłaszczone jaja.

Faza rozładowania dobiega końca, a ja rzygam na dywan.

Alice może zaczekać – dopilnuję, żeby dostała swoje szczęśliwe zakończenie.

Na razie jednak postanawiam przejechać się metrem. Kierunek nie jest istotny; potrzebuję małego sam na sam ze sobą.

Zatrzaszukuję drzwi mieszkania i z tupotem zbiegam po schodach. Rozrzucam



nogą stertę listów na wycieraczkę przy wejściu. Walę pięścią w ciężkie czarne drzwi, ale wzmocniona szyba nie chce się rozpaść na drobne kawałki – jak zrobiło to już moje serce.

Wypadam na ulicę.

Niebo ma kolor spłowiałego błękitu.

Przechodnie emanują aurą wkurzającej ospałości. Sklepikarze zostawili brzęczące chłodem kasy i opierają się o nagrzane witryny. Niczym rozleniwione koty, z uniesionymi podbródkami i przymkniętymi oczami pozwalają słońcu gładzić się po skroniach, policzkach i szyjach. Jego znieczulająca moc ich otumania, łagodzi wrodzony cynizm i wzmacnia łatwowierność.

Obrzucam ich chmurnym spojrzeniem i łypię gniewnie na przekłete słońce. To przez nie dzisiejszy dzień tchnie leniwym spokojem, choć nie powinien.

Wybieram skrót prowadzący na stację metra przy Goodge Street. Zacienioną boczną uliczkę wypełniają aromaty przegniłych śmieci. Z satysfakcją wciągam nosem zatęchłe powietrze; zmiana atmosfery jest tak gwałtowna, jakbym weszła pod prysznic dekontaminacyjny.

Nie jestem gotowa na bezpośrednie zwanie, to fakt.

Dlatego nie przyjmuję postawy uchi hachiji-dachi, gdy raptem po kilku krokach w głąb uliczki ktoś chwyta mnie od tyłu i wykręca mi rękę szybciej, niż zdołałabym powiedzieć: „Shorinji Kempo to sztuka walki. Będzie bolało jak cholera. Chcesz darmowej prezentacji? W takim razie śmiało, atakuj. Uprzedzam tylko, że mój cios łokciem pozbawi cię życia”.

– Co jest, kurwa?!

– Zamknij się – syczy mi do ucha kobiecy głos. – I słuchaj uważnie, co mam ci do powiedzenia.

Brzmi to tak, jakby nauczycielka szkoły podstawowej z południowo-zachodniej Anglii naśladowała Clintę Eastwooda. Wymawia „s” z charakterystycznym świstem. Zgięta w pół widzę tylko jej buty. Są okropnie niemodne, mimo to robię, co mi się każe – babka ma uchwyt goryla górskiego.

– Nie widziałas mnie – mówi napastniczka. – I więcej mnie nie zobaczysz. Nie wiesz, kim jestem.

– Odpierdol się! – Czuję, że za chwilę wyłamie mi bark.

– Mówiłam chyba, żebyś się zamknęła!

– Czego chcesz? – pytam przez zaciśnięte zęby.

– Chcę, żebyś się odpieprzyła, wyniosła i więcej nie wracała. Jeżeli wrócisz, co rozumiałe, bo masz swoje rodzinne zobowiązania i tak dalej, to nie waż się do nas zbliżać. Zrozumiano?

– Do kogo mam się nie zbliżać? I dokąd nie wracać? Do Londynu? – Moje wątpliwości są jak najbardziej uzasadnione.

Kobieta mocniej wykręca mi ramię. Wzdrygam się z bólu.

– Na twojej wycieraczkę leży koperta. Jest zaadresowana do Pana Tumnusa.

Nie pytam dlaczego, tylko szybko przytakuję ze wzrokiem utkwionym w jej paskudne buty – zapinane na klamerki, na niewielkim kubańskim obcasie. Przypominają pantofle do stepowania, ale są znacznie brzydsze.

– Weź ten list – ciągnie – i otwórz go dopiero, jak znajdziesz się w mieszkaniu. – Przysuwa twarz do mojego policzka, aż czuję zapach mydła antybakteryjnego. – Mam nadzieję, że jesteś kobietą, która dotrzymuje danego słowa, Florence Doe. Dla twojego dobra.

Florence Doe?

Od lat nikt mnie tak nie nazywał.

– I zapamiętaj jeszcze jedno, bo to najważniejsze...

Krzywię się i potakuję.

– To będzie nasz sekret. Nikt na świecie o tym nie wie, tylko ty i ja. Pewnie będę się za to smażyła w piekle, ale jeśli komuś wypaplesz, zaprzeczę. I będę zaprzeczać do końca swoich dni.

Po tych słowach szalona nieznajoma znika.

Oszołomiona rozcieram bark.

W kieszeni dyskretnie brzęczy mój telefon. To Michael.

– Oddzwonię – rzucam do aparatu, rozłączam się, wybiegam z uliczki i pędzę z powrotem w kierunku swojej kamienicy.

Przetrząsam porzuconą na wycieraczkę pocztę i znajduję sporą kopertę wyłożoną gąbką, na której widnieje napisane dużymi literami nazwisko: PAN TUMNUS. I nic poza tym. W przeciwieństwie do pozostałych listów ten nie został nadany na poczcie, a kopertę zabezpieczono kilkoma paskami taśmy klejącej.

Ostrożnie podnoszę kopertę i bez otwierania niosę ją na górę w wyprostowanej ręce.

– Z drogi – ostrzegam Pana Szynszylę, nadchodzącego z przeciwnej strony. Nigdzie nie widać jego dziewczyny, więc ustępuje mi, kłaniając się przy tym obłudnie.

Uśmiecham się półgębkiem w ramach podziękowania. Mój uśmiech jest zdawkowy, ale mówi: „Mogłabym cię przelecieć w sekundę”.

Trzeba przyznać, że gość ma tupet. Naśladowując moją mowę ciała, posyła mi również zdawkowy uśmiech, mówiący: „To ja mógłbym w sekundę przelecieć ciebie”.

To akurat szczerą prawdą. Zmierzyłam mu kiedyś czas: od pierwszego skrzyknięcia sprężyn w łóżku do finałowego pisku szczura w jego wykonaniu rzadko mija pełna minuta. Postanawiam go sprowokować, więc mijając go, zmysłowo kołyszę biodrami. Wieczorem znów zmierzę mu czas – ciekawe, ile tym razem wytrzyma. Zakład, że wyobrażając sobie mój tyłeczek, osiągnie prędkość ponaddzwiękową? Stawiam, że dojdzie w górę czterdzieści sekund. A może

w czterdzieści minut? Bądź co bądź, po jakie лихо się śpieszyć z takim wspomnieniem przed oczami?

Najadłam się trochę strachu i widzicie, co się ze mną dzieje. Wiem, że źle robię, ale świadomie wzbudzam w Panu Szynsżyli pożądanie.

Starannie zamykam za sobą drzwi do mieszkania, umieszczam przesyłkę na środku stołu, przysuwam sobie krzesło i siadam na nim okrakiem z łokciami na oparciu, ze wzrokiem wbitym w kopertę.

Niespodziewana myśl wprawia moje serce w niespokojny dygot. Czy to możliwe, żeby siłaczka, która na mnie napadła, była podglądaczką w kapturze? Zdrowa żywność, niskonikotynowe papierosy, krzeselko wędkarskie...

Tylko po co miałyby mi kraść książkę?

Z ulgą dochodzę do wniosku, że to nie może być ona. Napastniczka z całą pewnością nie pali. Pachniała środkami odkażającymi niczym szpitalny oddział dziecięcy. Potem jednak przypominam sobie wysprzątany do czysta dach i już nie jestem taka pewna.

Paznokciem przysuwam sobie kopertę.

Akcent tej babki od razu wydał mi się znajomy. Musi być z Kornwalii, na ucho z Truro. Nie przychodzi mi na myśl żaden mieszkaniec Truro, który pragnąłby mojej śmierci, mimo to przykładam ucho do koperty i przypominam sobie, że kiedyś na poczcie mieliśmy szkolenie w związku z wybuchowymi przesyłkami.

Po zakończonym szkoleniu facet z głównego urzędu pocztowego rozdał nam ulotki zatytułowane *Zachowaj czujność, terroryści nie śpią*.

Cechą wyróżniającą przesyłki z ładunkiem wybuchowym w środku jest nadmiar znaczków i dokładny adres, co zmniejsza ryzyko zatrzymania jej na poczcie. Ta przesyłka została osobiście doręczona pod moje drzwi i zaadresowana na nazwisko jednego z bohaterów powieści *Lew, czarownica i stara szafa*. Poza tym niebezpieczne przesyłki mają zwykle sztywne opakowanie albo dziwny kształt, ich zawartość jest nieregularnie rozmieszczona, są na nich widoczne żółte plamy i wydzielają zapach marcepanu. Tymczasem ta ma format A4 i pachnie hotelowym mydłem.

Jakaś część mnie chciałaby zakończyć życie z hukiem.

Jednym szarpnięciem odrywam taśmę klejącą i odchylam zamknięcie koperty. Wewnątrz nic nie ma. Odwracam kopertę do góry nogami i mocno nią potrząsam. Wsadzam do środka palec, dłoń i większość przedramienia. Wreszcie ze środka wylatuje kwadratowa karteczka. Widnieją na niej dwa słowa:

„Eric Steensen”.

Nieboszczyk Eric.

Dociera to do mnie dopiero po dłuższej chwili.

„To”, czyli fakt, że Poeta nazywa się Noah Steensen. Tata twierdził, że zna

tylko imię mężczyzny znalezione w aucie mamy – Eric – mimo to natychmiast zareagował na nazwisko motocyklisty. Czyżby Noah był synem Erica? Wniosek: mój ojciec wie więcej, niż mówi.

Mój ojciec jest kłamcą.

Dla mnie to najlepsza wiadomość tego dnia. Niezliczoną ilość razy powtarzał mi: „Florrie, skarbie, mamusia nie żyje”. Nowe dowody świadczą jednak o tym, że nie powinnam wierzyć w ani jedno jego słowo.

## Paradoks prawdopodobieństwa

Napastniczką z Kornwalii był nie kto inny jak Gloria. Starsza archiwistka gotowa walczyć o swojego faceta.

A ja jestem kobietą, która dotrzymuje danego słowa. Wkładam do koperty podpisane dokumenty rozwodowe, skreślam „Pan Tumnus” i adresuję przesyłkę:

„Julian Doe, wykładowca archiwistyki na Uniwersytecie Plymouth, Plymouth”.

Nie dopisuję kodu. Kody rozleniwiają urzędy pocztowe. Bez kodu list też dojdzie, gdzie trzeba. Niechlujnie naklejam znaczek, żeby okazać niezadowolenie z powodu tego, iż zastąpiono mnie mniej atrakcyjnym modelem.

Nie bójcie się – prędzej czy później dorwę tę sukę. Bark wciąż rwie mnie jak diabli. Owszem, Julian jest jak dżdżownica, kompletnie pozbawiony kręgosłupa, muszę mu jednak oddać, że jego żona numer dwa to babka z jajami.

Z kopertą w dłoni zbiegam po schodach, przeskakuję przez stertę listów na wycieracze i zatraskuję za sobą ciężkie czarne drzwi. Tym razem wzmocniona szyba też nie pęka. Przeciskam się między studentami, rowerzystami i pieszymi z ich aurą ospałości, ignoruję sklepikarzy rozleniwionych niczym koty, unikam skrótów i nieco bardziej okrężną drogą docieram do stacji metra przy Goodge Street.

Na Totenham Court Road dostrzegam skrzynkę pocztową. Mijając ją, wpycham w jej paszczę papiery rozwodowe.

Następnie udaję się do biura.

Biura, zwanego także archiwum miejskim.

Formalnie rzecz biorąc, nie jest to moje biuro, tylko instytucja publiczna zatrudniająca wdowy i brodatych chłopców. Zaglądam tu, ilekroć trzeba kogoś znaleźć – dłużników, zaginionych krewnych, gwałcicieli, moją matkę, ludzi niefigurujących w spisach wyborców ani konsumentów i nieposiadających konta na Facebooku. Ci są naprawdę trudni do namierzenia.

W archiwum szukam zwykle noworodków oraz innych członków rodziny zaginionego, lecz przede wszystkim dowodów na zawarcie sekretne go małżeństwa, ponieważ ludzie, choćby najbardziej chytry, prędzej czy później muszą się w kimś zakochać.

Fakt z dziedziny antropologii: miłość to nasza największa słabość, bo zostawia po sobie ślad w postaci dokumentów.

Plan na dzisiaj jest prosty: dowiedzieć się, czy niejaki Eric Steensen miał syna o imieniu Noah. Gdyby mój prześladowca dał mi wizytówkę z numerem telefonu, mogłabym się z nim skontaktować osobiście. Rozsądniej będzie jednak najpierw sprawdzić, czy Noah Steensen rzeczywiście jest tym, za kogo go uważam.

Chciwie wdycham woń archiwum; zapach zleżalego papieru jest jak zwykle kojący. Jeden za drugim ciągną się rzędy identycznych woluminów – rejestry urodzin, ślubów, zgonów. W każdym z nich nazwiska mnożą się niczym paciorkowce. Miliony wpisów i gdzieś wśród nich jedna jedyna wskazówka, która może mnie doprowadzić do Noaha Steensena, Erica Steensena, a w końcu do Bambi.

Dostrzegam Zannę.

Stoi w ciemnym kącie oparta o niepraktyczny wysoki stolik biblioteczny i przysunawszy do oka szkło powiększające, w skupieniu studiuje nazwiska niedawno zmarłych. Robi przy tym notatki w zeszytiku, przygotowując się najwyraźniej do powitalnego przyjęcia czekającego ją po tamtej stronie.

Podkradam się bliżej i zerkam jej przez ramię.

– Mam cię!

Zanna podrywa głowę do góry i ogląda się za siebie.

– O, jak to dobrze – mówi głośno. – Myślałam, że nie żyjesz.

Uśmiecham się do niej serdecznie.

– Dlaczego?

Szpera w swojej szmacianej torbie i wyciąga z niej coś, co przypomina dziecięcy kapeć – śnieżnobiały, szydełkowany, ale tak wielki, że pomieściłby cały melon.

– To dla ciebie, żebyś miała co nosić na te swoje akcje – mruga do mnie porozumiewawczo.

Kominiarka dla Eskimosa! Mocno przytulam Zannę, przyciskam jej ucho do swoich piersi i obiecuję, że jak tylko trafi mi się jakaś sprawa w rejonie okołobiegunowym, będę stale nosić jej prezent na głowie. I nie jest to czcza obietnica, bo dzięki życzliwości Zanny czuję się odrobinę mniej samotna.

– Dlaczego, u licha, myślałaś, że nie żyję? – pytam.

– Norm widział, jak o świcie z twojego mieszkania wychodził ktoś obcy. – Mówi to takim tonem, jakby plotkowała o kimś innym, nie o mnie.

Zakrywam usta dłonią.

– I myśleliście, że zostałam zamordowana?

Oczy błyszczą jej z podniecenia.

– Norm stwierdził, że podejrzenie to wyglądało.

– Norm? A co on robił na korytarzu?

– Wracał do siebie.

– Która była godzina? – pytam. Ubiegłej nocy wróciłam do domu dobrze po drugiej.

– Około czwartej. – Zanna trąca mnie znacząco. – Wielkie rzeczy, ostatecznie mamy weekend.

Biedna, niczego niepodjęrzewająca żona Norma. Zaraz, zaraz...

– Mówisz o Normie, swoim przydupasie?

Zanna nadstawia ucha, żeby lepiej słyszeć.

– Że jak, skarbie?

– O tym dzielnym jeńcu, który nawiał szkopom z kulą w głowie, żeby dołączyć do cholernego francuskiego ruchu oporu i który przez – ile? – cztery lata pomieszkiwał w trumnie? O tym Normie, który nie wpadł na genialny pomysł, żeby zastukać do mojego mieszkania i sprawdzić, czy nic mi nie jest? Zwłaszcza że widział wymykającego się stamtąd obcego mężczyznę?

Bez cienia skruchy, za to całkiem na serio urażona Zanna odpowiada:

– To była kobieta, a my nie chcieliśmy wam wchodzić w paradę, moja droga.

– Jak wyglądała?

– Była młoda.

– Jak młoda?

– Młodsza ode mnie.

– Czyli ile mogła mieć lat? – Biorę ją za rękę. – Dobrze się zastanów, Zanno.

Mogła mieć sześćdziesiąt trzy lata?

Nie ma pojęcia i wrywa dłonie.

– Nie było mnie tam, dziecko.

Pocieszam się, że nie potrafi z całą pewnością stwierdzić, iż tajemnicza kobieta nie miała sześćdziesięciu trzech lat.

– Mam dla ciebie zadanie specjalne – mówię.

Chcę jak najszybciej wrócić do mieszkania i sprawdzić położenie różnych przedmiotów względem innych. Zanna, poza swoim pokątnym romanssem, nie ma niczego na głowie.

– Muszę znać odpowiedź na jedno pytanie: czy niejaki Eric Steensen spłodził syna, niejakiego Noaha Steensena?

Zanna niechętnie bierze zeszytik i otwiera go na nowej stronie.

– Potrzebuję potwierdzenia, że nie przez przypadek noszą to samo nazwisko. Teoria paradoksu prawdopodobieństwa mówi, że fatalne i zagadkowe zbiegi okoliczności nie są wcale rzadkością. Eric mieszkał w Poole, tak pisali w gazetach i tak mówił tata, ale przecież tata to kłamca. – Dzwoni moja komórka. To znowu Michael. Po raz enty tego dnia przełączam go na pocztę głosową. – Powiem tak: jeżeli Noah Steensen urodził się w Wielkiej Brytanii, na pewno go znajdę.

Zanna wygląda na skołowaną.

Powtarzam więc wolno:

– Czy Eric Steensen, jakkolwiek Eric Steensen miał syna o imieniu Noah, urodzonego między tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym a tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym rokiem? Wpadnę wieczorem, żeby się dowiedzieć, co ustaliłaś. Aha, i przekaz Normowi, że bardzo mu dziękuję.

Szybkim krokiem wychodzę ze stacji metra przy Goodge Street i biegnę bez

tchu, jestem już prawie w domu.

- Czego? – krzyczę do słuchawki.
- Mam kaca, jakiego świat nie widział – żali się Michael.
- Nie trzeba było tyle pić.
- Przepraszam cię za wczoraj, Flo, nie mam pojęcia, co się ze mną stało.
- Walnąłeś w kimono, oto co się stało.

Patrzę w lewo, patrzę w prawo i przebiegam przez Tottenham Court Road, podczas gdy Michael usiłuje na nowo zyskać w moich oczach.

– Była u mnie Alice – oznajmia z ożywieniem. – Już sobie poszła. Wszystko załatwione. Sprawa zamknięta.

Dopiero po długiej chwili dociera do mnie sens jego słów.

Staję jak wryta na wysepce rozdzielającej dwa ruchliwe pasy jezdni. Z obu stron śmigają rozpędzone auta.

- Powiedziałaś: Alice?
- Tak.
- Miałaś na myśli Alice St Croix?
- Już niedługo panią Delaney.

W grze na komputer atari, którą pamiętam z dzieciństwa, samochody nie skręcały gwałtownie, żeby wyminąć kurczaka. Rozjeżdżały go i pędziły beztrąsko dalej. Jak ślepiec zmiernam ku chodnikowi po drugiej stronie ulicy. Strumień samochodów rozdziela się na boki, pisk opon miesza się z kakofonią klaksonów i wznoszonych w tle okrzyków „Pieprz się!” i „Głupia krowa!”.

– Po co Alice przyszła, Michaelu?

Mój brat myśli chyba, że jestem drobiazgowy, ale woli się nie narażać – ostatecznie to on upił się podczas prowadzenia sprawy i zasnął w kącie.

Odpowiada więc cierpliwie:

- Przyszła dziś rano, tak jak uprzedzałaś.
- Nie uprzedzałam, że Alice ma rano przyjść.
- Owszem, uprzedzałaś.
- Nie uprzedzałam.
- Uprzedzałaś. Przysłałaś mi SMS-a.
- Kiedy?
- Dziś o czwartej rano. Ale odebrałem go dopiero, kiedy przyszła.
- Kiedy kto przyszedł?
- Alice.

I znowu to samo. Alice.

- Przecież ona dopiero jutro wraca z Toskanii.
- Już wróciła. Widziałem ją.

Przystaję przed salonem meblowym i gapię się na wystawę, rozpaczliwie usiłując znaleźć jakieś racjonalne wytłumaczenie.



– Czy ja dobrze rozumiem? Alice St Croix zjawiała się dziś rano w twoim mieszkaniu?

– Tak.

– A ty dostałaś SMS-a wysłanego z mojego telefonu dzisiaj o czwartej nad ranem z informacją, że Alice do ciebie przyjdzie?

– Tak.

– Michael, przecież ona nie zna twojego adresu!

– Jej też wysłałaś SMS-a. Z moim adresem.

– Nieprawda.

– Pokazała mi wiadomość od ciebie.

Słowo o prywatnych detektywach: Philip Marlowe nigdy nie wysyłał SMS-ów. Ani panna Marple. Ani Sherlock Holmes, ani Thomas Magnum.

Żadne z nich nie udostępniało też nikomu adresów członków swojej rodziny, ponieważ ten, kto za bardzo odślania się przed klientem, łąduje po uszy w gównie.

Spoglądam na wyświetlacz mojego smartfona i otwieram katalog z wysłanymi wiadomościami. Rzeczywiście znajdują dwa SMS-y. Dwa SMS-y, których zdecydowanie nie napisałam.

Pierwszy jest adresowany do Alice i brzmi: „Materiał gotowy do odbioru. 8 C Greek Street, W1D, punktualnie o 9 rano. Przyjemnie było robić z Tobą interesy. FL”.

Drugi, o treści: „O 9.00 Alice zgłosi się po nagranie. Bardzo ważne: ma być gotowe na porę. Spręż się. xx”, trafił do Michaela.

Oba wysłano dzisiaj we wczesnych godzinach rannych – odpowiednio o czwartej dwanaście i czwartej piętnaście, kiedy smacznie spałam, a Tchórzliwy Norm widział wychodzącą z mojego mieszkania nieznaną kobietę.

– Ja ich nie napisałam – zwracam się do sklepowej witryny. Potem przykładam telefon do ucha. – Michael, to nie ja wysłałam te SMS-y.

Rozglądam się uważnie po mieszkaniu. Wszystko leży na swoim miejscu. Żadnych śladów nieuprawnionego wtargnięcia.

Cofam się myślami do dzisiejszego poranka – czy moja komórka leżała pod innym kątem, kiedy się obudziłam?

Nie mam zielonego pojęcia. Byłam zdekoncentrowana, upojona wspomnieniami minionej nocy. Większość poranka spędziłam, stojąc niepocieszona w samej bieliźnie w oknie.

Jedno jest pewne. Zerkam na drzwi; kiedy w nocy wróciłam do domu, zapomniałam zamknąć je na rygiel i dwie zasuw.

Można to wyjaśnić tylko w jeden sposób.

Mama ma klucze do mojego mieszkania.

Kogo ja próbuję oszukiwać? To nie mama ma klucze.

Niepocieszona i rozczarowana zmiotam z kuchennego blatu kartony po

daniach na wynos, kubki po kawie i sztuce. Spadają na podłogę z wściekłym klekotem.

To Alice St Croix ma klucze.

Przerażony Michael tkwi w kącie.

Nie kazałam mu tam stanąć – zawsze tak reaguje w trudnych sytuacjach. Robił to, odkąd nauczył się raczkować. Dziś jednak nie zamierzam go pocieszać.

– Nie mogłeś znaleźć nagrania, prawda? – pytam go groźnie. – I kazałeś Alice przyjść później.

Michael szepcze konspiracyjnie do własnego brzucha:

– Było w katalogu, który nazwałam „Sprawy Flo”. – Po czym jeszcze ciszej dodaje: – Pomogła mi je znaleźć.

– Do kurwy nędzy, Michael! Tam są moje prywatne pliki... – Rozpłaszczam nos na brudnej szybie okiennej. Patrzę na ulicę i na dach naprzeciwko.

Alice pobiła mnie moją własną bronią. Obserwowała mnie równie bacznie, jak ja obserwowałam jej chłopaka.

Wpatrując się w witrynę pubu poniżej, zastanawiam się, czy ona siedzi teraz przed pubem Marlborough Arms, trzymając w jednej ręce cygarniczkę, a w drugiej dzin z tonikiem, ekstrawagancko spowita futrzaną etolą, z dziwkarską czerwienią na ustach i triumfującym uśmiechem na twarzy, ponieważ to właśnie jej, Alice St Croix, udało się mnie przechytryć.

– Z początku powiedziałem jej, że nie mogę znaleźć nagrania, bo naprawdę nie mogłem. – Michael kontynuuje zeznania, zwracając się do swojego brzucha. – Kazałem jej usiąść w salonie i poczekać, a sam szukałem.

– Zostawiłeś ją samą?!

– Tylko siedziała ze smutną miną i paliła. Podglądałem ją na monitorze.

Szpera w swoim notesie, starając się naprawić swój błąd:

– Miała na sobie dzinsy w rozmiarze dziesięć, z lekko rozszerzonymi nogawkami, kupione w Next albo w Marks and Spencer. Do tego koszulkę bez rękawów w kolorze khaki z Primarku, sto procent poliestru, rozmiar między osiem a dziesięć, praną co najmniej piętnaście razy. Na nogach pantofle bez pięty na płaskim obcasie, rozmiar pięć. Włosy związane w koński ogon. Wyglądały inaczej, niż kiedy ostatni raz widzieliśmy ją w hotelu.

– W jakim sensie inaczej?

– Nie były takie schludne. Prawdopodobnie całą noc nie spała.

Czasami mój brat jest głupi jak but.

– Michael, Francuzki, nawet te niewyspane, są zawsze starannie uczesane i noszą koszulki wysokiej jakości. A co z papierosami?

– Wypaliła jednego do połowy.

– Pytam o markę!

– Silk cuty o małej zawartości substancji smolistych, kupione w strefie

bezcłowej.

– Takie długie, białe, z filtrem?

Michael potakuje. Wałę się dłonią w udo.

– Dobrze się spisałem? – pyta, gotów wyjść z kąta.

Kręcę głową ze wzrokiem wbitym w dach budynku naprzeciwko.

– Obserwowała mnie.

– Była miła – odpowiada zdeorientowany. – Powiedziała, że mamy takie same nosy.

– Ty i ona?

– Ja i ty.

– Wiedziała, że jesteśmy ze sobą spokrewnieni?

– Wiedziała jeszcze inne rzeczy. – Głos lekko mu się łamie. Znowu spuszcza głowę i mówi do brzucha: – Wiedziała, że mieszkaliśmy w Laurelbridge i że nasza mama nie żyje...

– Co takiego?!

– Powiedziała, że jej tata też zmarł i codziennie jest jej bardzo smutno z tego powodu. Myślałem, że wie o tym wszystkim od ciebie, a skoro jej się zwierzałaś, to musiała być miła...

– O której od ciebie wyszła?

Michael zagląda do notesu.

– Siedemnaście po dziesiątej.

– Oglądaliście razem te nagrania?

– Chciała je obejrzyć sama.

– Dwa tygodnie temu ktoś włamał się do mojego mieszkania. Ktoś, kto miał klucze. Uznałam, że to...

– Kto? – pyta prędko.

Nie mówię mu, że podejrzewałam Bambi.

– Taka jedna lesbijka. Spotkałyśmy się w metrze.

Nagle wszystko zaczyna się układać w całość.

Słowo o kradzieżach kieszonkowych: istnieją dwie podstawowe metody, jedna polega na odwróceniu uwagi, druga to branie na litość.

Gdy Alice zbierała się do wyjścia w hotelu Charing Cross, przytrzymałam jej dłoń. „Jeśli wszystko dobrze się potoczy, przekona się pani, że ma fantastycznego, wiernego faceta” – powiedziałam. Ona zaś nachyliła się, żeby mnie przytulić, a jej uścisk trwał odrobinę za długo. „To, panno Love, jest fundamentem, na którym można budować wspólną przyszłość”. Poklepałam ją wtedy po plecach, zaskoczona, a jednocześnie mile połączona i podekscytowana perspektywą nowego zlecenia.

Tymczasem ona ukradła mi cholerne klucze.

Tylko dlaczego miałyby się włamywać do mojego mieszkania? Przecież

sama mnie zatrudniła; chciałam jej tylko pomóc.

Bo na jej miejscu zrobiłabym dokładnie to samo?

Mogłam się przecież okazać równie bezmyślna jak fanki, przed którymi próbowała uchronić swojego sławnego chłopaka. Koniecznie musiała mieć mnie na oku. Zlecenie komuś uwiedzenia mężczyzny równie atrakcyjnego i naiwnego jak Scott Delaney to ryzykowne przedsięwzięcie. Nie sposób się uczuciowo nie zaangażować, choćby się wyznawało nie wiem jak surowe zasady.

Co gorsza, podałam jej na tacy wszystko, co trzeba wiedzieć o urządzeniach podsłuchowych. Opowiedziałam jej o najbardziej sprawdzonych trikach! Stwierdziłam, że zainstalowałabym u nich domu podsłuch, dzięki czemu mogłabym się przysłuchiwać rozmowom telefonicznym i pogawędkom prowadzonym w cztery oczy. Dodałam, że odpowiednie urządzenie rejestrujące głos stanowi klucz do prowadzenia skutecznej i stosunkowo taniej inwigilacji.

Wdając się w zbyt wiele szczegółów, wyjaśniłam, że pluskwy należy ukryć w dwóch różnych miejscach. Wiadomo; mam bzika na tym punkcie, a pasji nie powinno się tłumić. Niewykluczone jednak, że trochę mnie poniosło. Bądź co bądź, obiektem tej prowokacji był Scott Delaney. Zapomniałam się. Przy okazji doprowadzania do ruiny związku – jej związku – chciałam się na moment wykreować na bohaterkę płomiennego romansu.

„W pierwszej kolejności założę podsłuch w jego telefonie stacjonarnym. Potrzebna jest do tego specjalna wkładka mikrofonowa, więc będzie musiała ją pani kupić – emocjonowałam się, jakbyśmy były koleżankami gawędzącymi o torebkach od Hermès. – To fantastyczne urządzenie. Z wyglądu przypomina zwyczajny rozgałęźnik telefoniczny – taki, za pomocą którego można podłączyć telefon i modem do jednego gniazda. Dzięki temu będę mogła podsłuchiwać jego rozmowy telefoniczne z odległości do czterystu metrów przy użyciu nadajnika radiowego i zwykłych słuchawek”.

Większość klientów z miejsca to łyka. Nowoczesna technika kojarzy im się z filmami o Jamesie Bondzie; dokładnie takich rozwiązań oczekują, wynajmując prywatnego detektywa.

Jednak Alice nie interesują zabawki dla dużych chłopców.

„Wykluczone – mówi. – Nie wolno pani przekroczyć progu jego domu”.

Możliwe, że w głębi duszy wiedziała, jak to się skończy, i wołała zawczasu wyznaczyć mi pewne granice.

„Ten drobiazg kosztuje zaledwie pięćdziesiąt funtów. Niech pani wrzuci w wyszukiwarkę «podsłuch telefoniczny». W internecie znajdzie pani tysiące sklepów oferujących sprzęt do szpiegowania”.

Usiłowałam jej pomóc: wyjaśniłam, jak kupić właściwą wkładkę, a nawet jak samodzielnie zainstalować ją w telefonie.

Teraz rozglądam się po mieszkaniu. Nie mam telefonu stacjonarnego, więc

Alice nie włamała się tutaj po to, żeby założyć mi podsłuch telefoniczny.

Szczęśliwie uraczyłam ją także informacją o jeszcze lepszej metodzie inwigilacji – najlepszej, jaką dotychczas wynaleziono, o czym świadczy fakt, że tej pluskwy jeszcze nikt nie namierzył.

„To zmyślniejsze rozwiązanie niż podsłuch zainstalowany w telefonie. Trzynastoamperowa wtyczka z trzema bolcami i podwójnym wyjściem ukryta za telewizorem, do której podłączymy dekoder i playstation Scotta. Faceci nie grzebią przy przejściówkach, do których podłączony jest ich cały system rozrywki domowej”.

Podnoszę do góry wtyczkę, jakby to była butelka najlepszego wina.

„Ten model korzysta z najnowszej czteropasmowej techniki GSM. 32GB wystarczą na sześćset godzin rozmów. Posiada funkcję aktywacji nagrania głosem i działa na kartę SIM przekazującą połączenia w dowolne miejsce na świecie pod warunkiem, że działa tam sieć telefonii komórkowej”.

Z perspektywy czasu muszę oddać Alice sprawiedliwość: nie wybuchnęła śmiechem, trzymając się za brzuch, i nie wytykała mnie palcem, jakbym właśnie urwała się z choinki.

Jak w półśnie opadam na kolana i odsuwam od ściany stojącą przy łóżku skrzynkę. Kłębki kurzu są wielkości bel bawełny. Wyszarpuję z gniazda trójbolcową wtyczkę i wypinam z niej przewody laptopa oraz ładowarki mojego iPhone'a.

W milczeniu oglądam obudowę wtyczki.

Ta bezczelna krowa nie zadała sobie nawet trudu, żeby wydać w internecie sześćset funtów (sugerowana cena detaliczna zawierająca podatek VAT). Posłużyła się moim sprzętem!

Sięgam po stojący na szafie kuferek. Wewnątrz znajduję co prawda trójbolcową wtyczkę, ale nie tę za sześćset funtów, tylko taką za 6,99 z sieci sklepów remontowo-budowlanych B&Q, która z całą pewnością niczego nie nagrywa, a jedynie pozwala podłączyć więcej niż jedno urządzenie do gniazda w ścianie.

Podmieniła je, skubana.

W kufierku jest również śrubokręt. Posługuję się nim, żeby otworzyć obudowę wtyczki z urządzeniem rejestrującym rozmowy. Alice umieściła w nim własną kartę SIM, dzięki czemu mogła się łączyć z moim gniazdem z dowolnego miejsca na świecie.

Na przykład z Toskanii.

Wyciągam kartę SIM, kładę ją na podłodze i z wściekłością dziabię śrubokrętem.

Słowo o sieciach telefonii komórkowej: we Włoszech są w powszechnym użyciu.

Celuję śrubokrętem w Michaela, żądając odpowiedzi:

– Czy Alice była opalona?

– Tak – odpowiada stropiony i unosi do góry ręce, jakby się bał, że zamierzam rzucić w niego śrubokrętem.

– Jej opalenizna była równie pomarańczowa jak ta Sébastiena czy bardziej?

– Była koloru mandarynki. – Michael mruży oczy, po czym opuszcza ręce i opiera dłonie na biodrach. Najwyraźniej jemu też wszystko zaczyna się wreszcie układać w całość. – Co najmniej dwie warstwy.

– Mówisz o opalaniu natryskowym, prawda?

– O raty, tak – jęczy. – Dwie sesje pod natryskiem, odcień ciemny brąz. Na rękach wciąż miała plamy...

Wpatruję się w nierówną linię dachu naprzeciwko. Po co marnować pieniądze i jechać aż do Toskanii, skoro można znaleźć doskonałą kryjówkę i poznać czyjeś sekrety, nie ruszając się z Londynu?

## Gwiazdne wojny

Rezydencja przy Blomfield Road.

Jeszcze nigdy nie byłam tak blisko domu Scotta. Drżąc na całym ciele, gapię się przez bramę z kutego żelaza niczym zadurzona fanka. Mam przed sobą luksusową pozłacaną klatkę; Scott, rzecz jasna, dysponuje kilkoma podobnymi – w Cork, Toskanii oraz Bel Air – i posłusznie przemieszcza się między nimi prywatnym odrzutowcem.

W murze przy bramie tkwi przycisk domofonu. Biorę głęboki oddech i nieśmiało dzwonię. Nikt nie odpowiada. Za drugim razem naciskam dzwonek bardziej zdecydowanie. Czuję ulgę na myśl, że nie ma go w domu, a zarazem się niecierpliwę, bo chcę go znowu zobaczyć.

W końcu słyszę kobiecy głos:

– Halo?

To nie może być Alice – głos jest zbyt wysoki i pogodny. Życie uczuciowe tej kobiety z pewnością nie legło ostatnio w gruzach. To także głos osoby, której terażniejszość układa się śpiewająco, a przyszłość – na tyle, na ile od niej zależy – jest starannie zaplanowana.

– Cześć. – Jestem przerażona, lecz przybieram optymistyczny ton. – Zastałam Scotta?

– A kto mówi?

Całkiem zrozumiała reakcja. Przecież mogę być fanką na łowach, wariatką prześladowaną sławnego muzyka albo zawodową uwodzicielką rozpaczliwie pragnącą go uprzedzić, że mleko się wylało, więc lada chwila wpadnie tu jego dziewczyna, której istnienie utrzymywał dotąd w tajemnicy. Wściekła niczym Artemida z napięciem przedmiesiączkowym będzie wymachiwała płytą DVD z nieocenzurowanym nagraniem naszych igraszek, wyzywając mnie od najgorszych.

– Nazywam się Florence Love – mówię do domofonu. – Jestem koordynatorką imprez, znajomą Maeve Rivers. Po wyjeździe Harveya do Gujany pomagam trochę Scottowi. Mam dla niego dokumenty do podpisania. Spodziewa się mnie.

– Proszę wejść, proszę wejść – zaprasza mnie radośnie, a ja posyłam profesjonalny uśmiech do zamontowanej na murze kamery, którą właśnie zauważyłam.

Elektrycznie sterowane kraty więzienia cicho się rozsuwają.

Wkraczam na zwirowany podjazd. Jestem w środku, w miejscu, do którego zabroniono mi wchodzić. Moje jelita nie drżą jednak z podniecenia. Nikt przy zdrowych zmysłach nie ekscytowałby się tym, co zamierzam zrobić.

Aktualnie najchętniej odwróciłabym się na pięcie, przecisnęła przez zamykającą się bramę i związała z podkulonym ogonem. Ponieważ to niemożliwe, chciałabym być przynajmniej przekonana, że słusznie postępuję, ostrzegając go i wyznając mu całą prawdę. Czy to takie straszne, że przy okazji chcę go po raz ostatni zobaczyć? Ostatecznie, jak powiedział ktoś znany (nie pamiętam kto), prawdziwą miłość poznaje się po tym, w jakim stopniu potrafimy stanąć w prawdzie przed drugim człowiekiem.

Kogo próbuję oszukiwać? To powiedział Andrew Cohen – guru, autor książek i muzyk, twórca ścieżki duchowej przemiany znanej jako ewolucyjne oświecenie, a także Amerykanin, co oznacza, że zapewne ma skłonności do popadania w histerię. Niemniej jednak w tym konkretnym punkcie zwrotnym w moim życiu mam do powiedzenia tylko jedno takim jak on jankeskim propagatorom pseudomistycznych bredni:

Chętnie wypróbuję wasze metody.

I jeszcze coś:

Wiem, że się nie sprawdzą. Jeśli chodzi o miłość – prawdziwą, głęboką miłość – stanięcie w prawdzie przed drugim człowiekiem oznacza najczęściej odsłonięcie przed nim zdecydowanie brzydszej twarzy niż prezentowana mu dotąd ocenzurowana maska.

Tym bardziej dotyczy to takiej sytuacji jak prowokacja.

Perspektywa obiektu i perspektywa prywatnego detektywa nigdy nie są zbieżne. Ci pierwsi czują się wykorzystani i kierują się zwykle urazą, a często także chęcią zemsty. Zapisują się do facebookowej grupy Specjalistów od Mordowania Zawodowych Uwodzicielek. Czasami nawet trochę rozpaczają, bo zdarzyło im się przeżyć coś magicznego, ów czarowny moment, o którym w kółko gładzą pisarze, autorzy tekstów piosenek i scenarzyści filmowi – chwilę, w której czuli się uwielbiani przez kogoś, kto wcale nie musiał zwrócić na nich uwagi, ale zwrócił i szczerze ich pożałował; na pewno szczerze, bo w przeciwnym razie nie mieliby przecież wrażenia tak transcendentnej komunii dwóch umysłów.

Mimo wszystko decyduję się obrać drogę wskazaną przez amerykańskiego guru. Wybieram życie w krainie fantazji.

Drzwi otwiera mi siostra Scotta.

Elle Delaney.

Olśniewająca w odcieniach cielistego beżu. Ma cieliste džinsy rurki, cieliste pantofle, cielisty kaszmirowy sweterek, cielistą szminkę na ustach, amerykański manikiur (w odcieniu cielistym) i cielistobeżowe pasemka we włosach. Wygląda równie oszalamiająco jak jej brat – gołym okiem dostrzegam rodzinne podobieństwo.

Jej dawniej wystające przednie zęby są teraz nieco mniej wystające, a to za sprawą licówek dobranych tak, żeby były stonowanymi i bielszymi wersjami



oryginału.

Jej roześmiane oczy mają kolor błękitnego nieba.

Feromony też mają wspólne, więc pachnie zupełnie jak Scott.

A kiedy oblizuje pełne wargi, zauważam język tak samo różowy i czysty jak u jej brata. Mogę się tylko domyślać, że jest delikatny jak u niemowlęcia. Wyobrażam go sobie w swoich ustach i moje serce ściska się boleśnie – najcudowniejsza noc w moim życiu ma się oto zmienić w coś plugawego i z gruntu złego.

– Scott na chwilę wyszedł – informuje mnie życzliwie Elle. – Ale niedługo powinien wrócić.

W przeciwieństwie do brata ma mniej wyczuwalny irlandzki akcent; w istocie w jej wymowie odnajduję podobne do własnych londyńskie naleciałości. To jej jedyna wada, więc natychmiast jej wybaczam. W innym życiu byłaby moją szwagierką.

– Chcesz na niego zaczekać? – pyta.

– Bardzo chętnie – odpowiadam. Brzmi to trochę tak, jakbym przedrzeźniała irlandzkiego skrzata. Miało być radośnie i energicznie, nie chciałam wyjść na rasistkę. Z trudem opanowuję zdenerwowanie.

Skrepowana wyglądzam spódnicę i idę za Elle do salonu. Zajmuję miejsce na przepastnej białej sofie.

Wcześniej siedział na niej Scott. Ukradkiem gładzę obicie. Pokój wygląda identycznie jak na tym zdjęciu w czasopiśmie, a nawet jeszcze piękniej, bo stoi w nim siostra Scotta.

– Przepraszę cię, bo akurat piekę mięso – oznajmia i wychodzi z taką gracją, że mam ochotę oklaskiwać jej gościnny występ w swoim przedstawieniu.

Skracam sobie czas oczekiwania na Scotta, wypatrując gniazdek elektrycznych. To poważny błąd. Dociera do mnie szokujący fakt:

Obrzydliwie bogaci nie mają w ścianach gniazdek elektrycznych. Biegące po wierzchu kable, kontakty, wszelkie instalacje pozwalające prześledzić sposób funkcjonowania danego urządzenia są elementem wyłącznie domostw klasy średniej. Tutaj nie ma nawet włączników światła. Domyślam się, że oświetlenie jest aktywowane głosem.

Alice musiała się skręcać ze śmiechu.

„Trzynastoamperowa wtyczka z trzema bolcami i podwójnym wyjściem, najlepsza, jaką dotychczas wynaleziono, bo jeszcze nikt jej nie namierzył...”

W tym pokoju od razu rzucałaby się w oczy. Tak jak ja teraz – istna plama wątrobowa. Ten salon to ucieleśnienie elegancji. Nawet fotografie na ścianach współgrają z ogólnym wystrojem: ich ramki są hebanowe, a odbitki czarno-białe. Podkradam się na palcach, żeby lepiej im się przyjrzeć. Zdjęcia są bardzo artystyczne.

Ale nie wzbudzają mojego uśmiechu.

Oślupiała mrużę oczy i głośno wciągam powietrze.

„Wykluczone – powiedziała Alice – nie wolno pani przekroczyć progu jego domu”.

Teraz już rozumiem dlaczego.

Muszę się stąd wydostać.

Sztywna niczym robot wychodzę z salonu. Znalazłszy się w holu, nie wołam do Elle: „To na razie!”. Zachowuję się jak ostatnia chamka, ale okazało się, że popełniłam katastrofalną pomyłkę.

Wymykam się przez drzwi frontowe i bezszelestnie zamykam je za sobą, po czym na czubkach palców przechodzę przez podjazd.

Po wewnętrznej stronie muru, na lewo od elektrycznie sterowanej bramy, znajduje się inny aluminiowy przycisk. Naciskam go kilka razy palcem.

Otwórz się, błagam, otwórz się...

I po raz kolejny skrzydła bramy rozstępują się przede mną z szacunkiem, wydając przy tym dźwięk jak miecz świetlny.

Dzięki ci, Boże, dzięki, dzięki...

Nie myślę się: stłumione „szuuuu” rozlega się, gdy brama się otwiera, i takie samo „szuuu” słychać, gdy jej skrzydła łączą się za mną z cichym szcęknięciem.

Gdybym nie była taka wzburzona, skwitowałabym te charakterystyczne świsty nerwowym chichotem. Co za ironia, że skojarzyły mi się akurat z *Gwiezdnymi wojnami*.

W końcu Luke Skywalker też czuł miętę do rodzonej siostry.

Zdyszana po biegu opieram się plecami i głową o chłodny mur z cegły, po czym rozglądam się na boki, jakby ścigała mnie policja.

Muszę pomyśleć, muszę spokojnie pomyśleć...

Tamta fotografia w salonie.

Wciąż mam to przed oczami: Scott leży na pustej plaży niczym rozgwiezdana skąpana w morskiej pianie. Siedząca na nim okrakiem kobieta swawolnie przytrzymuje mu ręce za głowę. Widać, że świata poza sobą nie widzą. Ktoś, kto zrobił to zdjęcie, uchwycił niezwykle intymny moment. Doskonale znam to spojrzenie. Fotografowie i zawodowe uwodzicielki z napięciem czekają na taki właśnie wyraz na twarzy obserwowanego obiektu. Zdjęcie, jakie wówczas powstaje, mówi o człowieku więcej niż cała autobiografia. Wyczytałam z niego, co następuje:

Para na fotografii zna się bardzo dobrze. Po zejściu z plaży zjedzą kolację w knajpce serwującej owoce morza i będą swobodnie gawędzić przy karafce wina. Później wrócą do pokoju i będą się leniwie kochać. Po wszystkim dziewczyna zaśnie głęboko z głową wtuloną w jego pachę, której zapach jest równie kojący jak woń saszetki z suszoną lawendą. Ponieważ widać tu zarówno pożądanie, jak

i przyciąganie, tych dwoje osiągnie wkrótce etap przywiązania. Organizm kobiety wydzielal najpierw testosteron i estrogeny, potem feromony, dopaminę i norepinefrynę, by następnie przejść do wydzielania oksytocyny i wazopresyny w nieśpiesznym, naturalnym rytmie zalotów.

Sęk w tym, że kobietą na zdjęciu nie jest Alice.

W każdym razie nie ta Alice, która twierdziła, że w najbliższy czwartek podczas ceremonii rozdania nagród muzycznych Scott przedstawi ją całemu światu.

Dziewczyną z fotografii, której sztucznie powiększone piersi, spowite w skąpe bikini, zawisły kokieteryjnie nad obojczykiem Scotta Delaneya, jest Elle. Kobieta zasługująca na dziesięć punktów w dziesięciopunktowej skali, stworzona dla niego w drodze ewolucji. Pod względem fizycznym mogliby być rodzeństwem. Nawet ich zapach zmieszał się ze sobą, tworząc nową, nieuchwytną, a jednocześnie niezwykle intensywną mieszankę feromonów.

Elle nie jest wcale jego siostrą, tylko jego prawdziwą dziewczyną. W dodatku ich związek musi być poważny, bo mężczyźni spod znaku Ryb nie wieszają w salonie zdjęć przypadkowych kobiet, zwłaszcza tych, które przygotowują im we wtorki pieczeń na obiad.

W tej sytuacji nasuwa się pytanie:

Kim, do licha ciężkiego, jest Alice?

## Alice St Croix

Słowo przestrogi na temat portali społecznościowych: nie rejestrujcie się w nich i unikajcie tych, którzy to robią. Jest bowiem wielce prawdopodobne, że ktoś uzyska wgląd w wasze życie za pośrednictwem kogoś kompletnie przypadkowego. Owszem, czasami trzeba utrzymywać przyjacielskie kontakty z osobami, które nas zaczepiają i uparcie tweetują (na przykład z krewnymi i kolegami z pracy); grunt to nie pozwolić im się fotografować.

Oto kilka faktów z dziedziny cyberpsychologii:

1. Portale społecznościowe istotnie wpłynęły na nasilenie postaw narcystycznych, depresyjnych oraz patologicznych.
2. Powiązane z nimi treści wzmocniły stereotypy dotyczące płci na skalę niespotykaną od lat osiemdziesiątych i trzeciej fali feminizmu.
3. Ciągła interakcja z komputerem sprawia, że ludzie stają się mniej empatyczni i porzucają pozory życzliwości, a to przecież odróżnia nas od zwierząt. Tym samym ludzkość wykonała poważny ewolucyjny krok wstecz.

Jedyną dobrą rzeczą, jaką da się powiedzieć o portalach społecznościowych, jest to, że uwielbiają je prywatni detektywi, lokalne władze oraz pedofile.

Jeśli chodzi o prowadzenie śledztwa z wykorzystaniem portali społecznościowych, najlepsza rada, jakiej mogę wam udzielić, brzmi: wybierajcie zawsze okrężną drogę. Ja wybieram dzisiaj niejakiego Geralda O'Rourke'a, niegdyś kolegę z klasy Scotta Delaney'a i Alice St Croix.

Oto czego można się o nim dowiedzieć z jego profilu:

Koleś jest singlem, lubi clubbing, ma czterystu trzydziestu trzech „przyjaciół” i ogólnodostępną galerię zdjęć. Te dwie ostatnie informacje należy interpretować w następujący sposób: Gerald O'Rourke to człowiek niezdolny do nawiązywania znajomości i przyjaźni w świecie rzeczywistym. Zdjęcia, które otwieram, potwierdzają tylko tę hipotezę: pięćset ujęć (zrobionych przez niego samego telefonem komórkowym) przedstawia go w sytuacjach sugerujących, że doskonale się bawi – z piwem w dłoni, uwieszonego na ramieniu kompletnie zaskoczonej, mocno umalowanej laski, która ewidentnie widzi go po raz pierwszy w życiu.

Szczęśliwie jeden z katalogów ze zdjęciami daje mi wgląd w przeszłość Geralda O'Rourke'a.

Jest on zatytułowany „Szkolne czasy”.

Na tych zdjęciach Gerald prezentuje się na nieco innym etapie swojego życia, gdy jeszcze nosił zewnętrzny aparat ortodontyczny i okulary jak Eric Morecambe.

Przynajmniej się wyróżniał. Odnalezienie innych znajomych twarzy wśród

uczniów ustawionych rzędami według wzrostu, w zależności od dostępności ławek na sali gimnastycznej, zajmuje mi nieco więcej czasu.

Nareszcie jest! Znajduję Scotta Delaney'a.

Chociaż na tym zdjęciu ma dopiero trzynaście lat, na jego widok aż ściska mnie w dołku. Te bławatkowe oczy zrobiłyby furorę w mojej katolickiej szkole pod wezwaniem Matki Bożej Nieustającej Pomocy – pomimo potarganych włosów i rozpiętego górnego guzika koszuli Scott wygląda wypisz wymaluj jak mały Jezusek.

Czubkiem palca dotykam roześmianej twarzy dziecka skazanego na światowy rozgłos i dobrowolne więzienie. W tym momencie zawieszonym w czasie jest jeszcze całkowicie wolny.

Widzę też Alice.

Niełatwo ją odszukać, chociaż Gerald O'Rourke skrupulatnie podpisał fotkę nazwiskami swoich szkolnych kolegów.

Na swoją obronę muszę przyznać, że bardzo się od tamtej pory zmieniła.

Scott Delaney miał całkowitą rację – Alice była skończenie piękna. Pełne wargi, zgrabny nos jakby delikatnie wyrzeźbiony ze skorupki jakiegoś morskiego żyjątko. Oczy barwy Oceanu Indyjskiego, w pięćdziesięciu odcieniach zieleni. Włosy miała o wiele ciemniejsze, w odcieniu skóry pletwała błękitnego. I cerę głębokiej barwy mahoni.

Tak, w 1993 roku Alice St Croix wyglądała niczym rodowita mieszkanka Mauritiusa.

Wściekła wysłałam Michaelowi SMS-a o treści: „Bądź u mnie jak najszybciej”.

Mój brat oddzwania w ciągu dziesięciu sekund, żeby się upewnić.

– Ten SMS... Na pewno ty go wysłałaś?

Nie chwalę go za przezorność.

– Alice wcale nie jest dziewczyną Scotta. To nawet nie jest Alice. Czekam na ciebie, więc bierz dupę w troki!

Michael znów stoi w kącie. Tyle że tym razem trzyma trzy palce w ustach.

– Na zdjęciach w salonie nie było Scotta z Alice?

– Nie – warczę, jakby to była wyłącznie jego wina.

– To kto na nich był?

– Scott i Elle.

Michael wygląda tak, jakby jego mózg miał za chwilę eksplodować.

– Przecież oni są rodzeństwem, Flo. To niezgodne z prawem.

– Właśnie – przytakuje Sébastien; wymuskany niczym klasowy kujon siedzi sztywno na moim krześle przy moim stole. – Społeczeństwo generalnie nie akceptuje małżeństw między braćmi a siostrami.

Rzucam mu poirytowane spojrzenie; kto jak kto, ale akurat on mógłby być

owocem kazirodczego związku.

– Tak, nawet ssaki naczelne unikają łączenia się w pary z osobnikami z własnej rodziny – zaznaczam, ponieważ Sébastienowi najwyraźniej nie przyszło do głowy, że powinien się odpieprzyć i zostawić nas samych, abyśmy w spokoju mogli porozmawiać o pracy. Ostatecznie w pobliżu jest kawiarnia, pub, kiosk, a także klinika specjalizująca się w zabiegach medycyny estetycznej.

– Przepraszam, ale co ty tu właściwie robisz? – pytam.

– Wpadłem do swojego chłopaka – odpowiada tym swoim głosem.

Aż mnie coś skręca w środku. A gdy Sébastien posyła Michaelowi spojrzenie, które, jak rozumiem, ma być wyrazem czystej miłości, skręca mnie jeszcze bardziej.

– Przyszedłem z nim, bo jest już po zmroku.

– Mój brat ma prawie trzydziestkę na karku.

– W Szwecji i Holandii podchodzi się do tego z większą tolerancją – ciągnie niezrażony Sébastien.

– Do czego?

– Do kwestii kazirodztwa.

Uznaję za stosowne zwracać się wyłącznie do Michaela.

– Kobieta, z którą się spotkałam w hotelu Charing Cross, nie jest dziewczyną Scotta Delaneya. Tylko się za nią podawała. Nazwijmy ją Fałszywą Alice.

– Co ty powiesz! – zdumiewa się Michael.

– To, co słyszysz.

– Skoro więc Fałszywa Alice nie jest jego dziewczyną, to kto nią jest?

– Elle.

– Jego siostra?!

– Nie, Michael, ona nie jest jego siostrą. Fałszywa Alice chciała, żebyśmy tak myśleli, ale Elle nie jest siostrą Scotta. To jego prawdziwa dziewczyna, której istnienie utrzymał dotąd w tajemnicy.

– Wkrótce przestanie być jego dziewczyną – zauważa Sébastien. – Fałszywa Alice pokaże Elle nagranie.

– Skąd wiesz? – pytam ze zmarszczonym czołem.

– Jaki inny mogłaby mieć cel? Fałszywa Alice nie chciała, żebyś weszła do domu Scotta i założyła tam podsłuch, mam rację?

Michael bierze się pod boki.

– Od razu powinniśmy się byli zorientować.

Wciąż próbuję się pocieszać:

– Fałszywa Alice na pewno też myślała, że Scott ma w domu wszystkie gniazdko na wierzchu. Zresztą nawet gdyby chciała, nie mogłaby mnie wprowadzić do środka.

– Ona tam nie mieszka? – Michaela aż zatyka z wrażenia.

– Nie, Michael. Przecież tylko się podawała za jego dziewczynę, zapomniałeś?

– A nie mówiłem? – zwraca się do Michaela Sébastien. – Od początku mówiłem, że ta Fałszywa Alice jest jakaś dziwna. Informacje, które wam podała, ograniczały się do tego, co można wyczytać o Delaney w Wikipedii.

– Pewnie faktycznie ściągnęła je z Wikipedii – wtrąca Michael. – Dlatego mówiła o nim „Scott”, a nie „Scat”.

Przypominam sobie nędną garść faktów na temat Scotta, jaką uraczyła mnie Alice. Mówiąc o jego nowej płycie, uciekła się do frazesów dobrze znanych z prasy. „To składanka duetów nagranych z udziałem największych sław jazzu i legend popu”. Była kompletnie bez polotu, za to do bólu dokładna.

– Poza tym brakowało jej urody. – Sébastien przyciska dłoń do swojej ptasiej piersi. – Ten facet jest piękny jak młody bóg.

W stu procentach się z nim zgadzam.

Opuszczam bezradnie ręce, czując, jak zalewa mnie fala smutku. Żal dopinguje jednak mój apatyczny organizm do działania. Ocieram kompromitujące łzy.

– Teraz wydaje się to oczywiste – mówi Sébastien – że była oszustką. Jeśli coś kwacze jak kaczka, pływa jak kaczka i wygląda jak kaczka, to co to może być?

Obaj z Michaeliem ze śmiertelną powagą kiwają głowami: – Kaczka.

Niech ktoś mi odpiłuje rękę i zatłucze mnie nią na śmierć, błagam!

– Teoria paradoksu prawdopodobieństwa mówi, że zbiegi okoliczności nie są czymś wyjątkowym – informuję Michaela, powstrzymując łzy napływające do oczu. Wyciągam oskarżycielski palec w kierunku Sébastiena: – Gdzie się podziało twoje jąkanie?

– Nie dokucza mi tak bardzo, kiedy jestem wypo-po-poczęty...

Michael postanawia się wtrącić:

– Ale dlaczego Fałszywej Alice zależało na tym, żebyś uwiodła faceta, który nie jest jej chłopakiem? Czy oni w ogóle się znają?

Próbuję odzyskać kontrolę nad sytuacją.

– Może to jakaś fanka, która ma na jego punkcie obsesję i chce mu zniszczyć związek? Wydaje jej się, że pozbywając się Elle, będzie miała u niego jakieś szanse.

– Alice to mitomanka – stwierdza ponuro Sébastien.

– Na pewno – przytakuje mu szeptem Michael.

Wiem, że tupanie nogą jest dziecinne, ale Sébastien naprawdę działa mi na nerwy.

Dlaczego ludzie, którzy się z kimś wiążą, automatycznie mieszają się w sprawy, które zupełnie ich nie dotyczą? I dlaczego, na Boga, w tych rzadkich chwilach, kiedy są nieobecni, ich druga połówka natychmiast śpieszy im

o wszystkim donieść, jakby to było jakieś odwieczne prawo obowiązujące pary?

Prawo mówi: „Odtąd żaden znajomy ani członek rodziny rzeczonych zakochanych nie może liczyć na choćby odrobinę prywatności. Wszystkie odbyte i przyszłe poufne rozmowy należą od tej pory w równym stopniu do obu zaangażowanych stron”.

– To jest spotkanie robocze – zwracam Sébastienowi uwagę.

– Wiem. I jestem wam bardzo wdzięczny. Bardzo chciałbym robić w życiu to co ty, Florence. Jesteś prawdziwą legendą.

– Flo jest fantastyczna – rzuca z kamienną twarzą mój brat.

A potem obaj jak na komendę mnie oklaskują, jakby ich psychiczne zespolenie już się dokonało.

W całym swoim życiu nie doczekałam się bardziej przygnębiających, afektowanych i mniej zasłużonych owacji. Bez cienia wdzięczności i poczucia własnej wartości patrzę, jak moje życie sprowadza się do bulwarowej rozrywki. To, że właśnie zrujnowałam związek swojej potencjalnej bratniej duszy, nieziemsko ich bawi. Cóż z tego, że mowa o człowieku, który i bez tego usiłuje wieść namiastkę egzystencji w klatce wielkości telewizora kineskopowego? O mężczyźnie związanym z olśniewającą kobietą, z którą spędził romantyczny urlop, z którą wymieniał Spojrzenia, z którą doświadczył odrobiny normalności z dala od bezwzględnej, sprzedajnej maszyny medialnej?

A ja, Florence Maria Love, sama jedna go tego wszystkiego pozbawiłam.

Sprawa zamknięta.

Ktoś niecierpliwie dobija się do drzwi. To Zanna. Czas leci, a ona i Norm mają swoje plany.

– Nie będę na ciebie wiecznie czekać – gdera i wręcza mi karteczkę zapisaną drobnym pismem z ozdobnymi zawijasami.



## Pierwsza miłość

To moja ulubiona panorama Londynu.

Przychodzę tutaj, ilekroć muszę sobie poprawić humor. Dojeżdżam metrem do Southwark, pokonuję sześćset metrów dzielących mnie od muzeum Tate Modern, wjeżdżam na ostatnie piętro i skręcam na lewo do baru. Potem stoję przy wysokim stoliku przed olbrzymim oknem i uśmiecham się szeroko.

Katedra św. Pawła.

Jej kopała przypomina pokrywkę zamontowaną po to, aby Bóg mógł ją unosić i zaglądać do swojego laboratorium. A kiedy ją zatrząskuje – zwykle z pośpiechem, bo ci w środku znowu bezczelnie mu się podlizują – kopała opada z głośnym brzęknięciem niczym pokrywa naczyń do trzymania potraw na podgrzewaczu.

Most Milenijny.

Przeprawa rzeczna, ciesząca się popularnością z niewłaściwych powodów. Ruch pieszych wprawia go w silne kołysanie; wkrótce po otwarciu ludzie w panice czepiali się barierek, zupełnie jakby przyszło im pokonywać chwiejny most linowy. Dzieci krzyczały ze strachu, matki przyciskały do siebie wózki – można by pomyśleć, że zbudowano go z myślą o tym, aby przechodnie wykonywali w powietrzu obroty o trzysta sześćdziesiąt stopni.

W życiu się tak nie uśmiełam.

Dziś jednak ten widok w ogóle mnie nie śmieszy. Dziś kręcę kieliszkiem, którego skąpa zawartość – grüner veltliner, rocznik 2009 – kosztowała mnie prawie dziesiątka, i zastanawiam się, o co w tym wszystkim, do cholery, chodzi.

Spoglądam nerwowo na zegarek.

Noah Steensen spóźnia się siedem minut. Kiedy do niego zadzwoniłam, kazał mi nie ruszać się z miejsca i dodał, że będzie za dwadzieścia minut.

Żałuję, że zdecydowałam się z nim spotkać.

Rozbawiłam was tą pokrywką na dachu katedry? Uśmiechaliście się, czytając o moście samobójców? W takim razie spójrzcie w lewo, na Maida Vale – teraz dopiero możecie zrywać boki ze śmiechu.

To tam Fałszywa Alice zastuka wkrótce do drzwi pałacyku pewnego gwiazdora jazzu i pomacha mu przed nosem płytą z kompromitującym nagraniem tylko dlatego, że pewna przygłupia pani detektyw nie zorientowała się, iż jej klientka to zwykła oszustka. A jakby tego było mało, zdołała w międzyczasie zabijać się w obiekcie prowokacji.

Jestem zakochana w Scotcie Delaney.

Jakie to żalosne.

Czy Fałszywa Alice zrobiła to z żądzy zysku? Scott idealnie nadaje się do

tego, aby go szantażować. Ale przecież mojej klientce nie brakuje forsy. Od początku hojnie sypała gotówką, chociaż nic jeszcze nie działałam. Zapłata honorarium nie stanowiła dla niej żadnego problemu.

Tylko spokojnie, nakazuję sobie w duchu. W Maida Vale na razie bez zmian – Scott skontaktowałby się ze mną, gdy wydarzyło się coś niespodziewanego.

Akurat. Już widzę, jak uwiedziony kontaktuje się z suką, która go wyrolowała! Bardziej prawdopodobne, że do końca życia będzie mnie przeklinał.

Nagle ogarnia mnie przemożna tęsknota za tatą. Londyn nie wygląda już tak rozrywkowo, zwłaszcza z miejsca, w którym teraz stoję. Wydaje się obcy i złowrogi. Chcę, żeby znalazł się przy mnie Scott i coś mi zaśpiewał, jakiś standard jazzowy, w którym improwizowane frazy składałyby się w dobrze znaną, przejmującą melodię.

*Misty, There'll Never Be Another You, What a Difference a Day Makes...*

Zamykam oczy i z całej siły pocieram. Ucisk sprawia, że pod powiekami eksploduje mi mgławica gwiazd, ale jej żywot jest krótkotrwały. Gdy znowu otwieram oczy, gwiazdy znikają, w moim polu widzenia pojawia się Noah.

Zaskoczona aż podskakuję.

– Psiakrew!

On zaś opiera się plecami o szybę i omiata spojrzeniem bar. Jego głos przypomina hurkot pociągu w tunelu. Szkockiego pociągu.

– W kupie rażniej, co?

– Nie boję się ciebie.

W tej chwili boję się tylko tego, że już nigdy więcej nie zobaczę Scotta Delaneya. Chryste, muszę się jeszcze czegoś napić. Kiwam torebką na barmana.

– Co to za zgrywa z tym akcentem? – zwracam się do Noaha. – Przecież nie jesteś rodowitym Szkotem.

Ten ignoruje moje pytanie.

– Jak zdobyłaś mój numer?

– Nielegalna subskrypcja rocznych raportów kredytowych. Dają dostęp do dotychczasowych adresów zamieszkania, numerów telefonów – wszyscy prywatni detektywi z nich korzystają. Chyba wiesz, że jestem prywatnym detektywem, prawda? – Nie zaszczycą mnie spojrzeniem. – Wybacz, ale mam wrażenie, że gadam do ściany.

Otwarcie obcinam go wzrokiem.

Trampki converse all stars, dopasowany garnitur w stylu vintage – modna stylizacja, w sam raz na wypad do Tate Modern. Widać, że się postarał, mimo to ani trochę nie pasuje do tego miejsca. Oparty plecami o szybę olewa widoki, stolicę i wszystkich cholernych Angoli. Jest wściekły, niesympatyczny i samowystarczalny.

Dochodzę do wniosku, że ani trochę mi się nie podoba.

– No dobra, w takim razie ja zacznę. – Rzucam torebkę na stolik i składam dłonie jak do modlitwy. Przywołuję w pamięci każde słowo odcyfrowane z notatek Zanny.

– Urodziłeś się w Dorset w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku. Twoja siostra Hannah trzy lata później. Drugie imię – Eric – masz po ojcu. Twoja mama miała na imię Elaine.

– Tylko tyle? – prychna.

– Trzynastego lutego osiemdziesiątego ósmego roku Eric zmarł. Miejsce zgonu to również Dorset. Stało się to tego samego dnia, w którym zniknęła moja mama, pozostawiając w swoim datsunie sunny zwłoki mężczyzny. Miał na imię Eric. Dowody przemawiają za tym, że to był twój ojciec.

– Nie masz pojęcia, kim jestem, prawda?

– Synem Erica. Co mam ci powiedzieć? Chcesz usłyszeć, co się stało moim zdaniem? Okej, myślę, że mieli romans, twój tata i moja mama. Umówili się, że wspólnie popełnią samobójstwo, ale w ostatniej chwili mama stchórzyła.

– Niecierpliwie kiwam kieliszkiem na kogoś, kogokolwiek, kto przyniesie mi nowego drinka. – Na pewno nic ci nie dolega, Noah? Wszystko u ciebie w porządku z głową?

Moje pytanie najwyraźniej bardzo go bawi.

– I to mówi osoba z problemami psychicznymi.

– Słucham?

– Wiesz, że twój tata sadzał mnie sobie na kolanach i pozwalał mi kręcić kierownicą?

Chwila moment!

Podnoszę ostrzegawczo palec do góry. Mój tata pozwalał mu kręcić kierownicą? Mnie nigdy na to nie pozwalał.

– Często prowadziłem z nim w ten sposób samochód. Chyba miał wyrzuty sumienia. – Noah odwraca się twarzą do szyby, ale nie patrzy na Londyn, tylko gdzieś daleko, poza horyzont. Dam głowę, że oczyma wyobraźni widzi Laurelbridge w Dorset. Podczas gdy on duma nad zamierzoną przyszłością, moją uwagę zwraca sposób, w jaki unosi podbródek – do góry i w lewo – odrzucając zgrabnie z czoła kosmyk włosów.

Znam ten gest; jest unikatowy jak odcisk palca, mimo to w pierwszej chwili nie potrafię go umiejscowić w pamięci.

– Zawsze uważałaś się za lepszą ode mnie.

– Na pewno nie. – Mrużę podejrzliwie oczy. – Wybacz, ale skąd znałeś mojego tatę?

– Mój ojciec nie zginął w tamtym samochodzie.

– Owszem. Istnieje akt zgonu. – Decyduję się odrobinę podkoloryzować prawdę. – Widziałam go.

Noah kręci jasną głową; włosy ma gęste niczym niedźwiedzia sierść.

– Widziałas jakiś akt zgonu. Jeszcze cztery miesiące temu mój ojciec żył i miał się całkiem nieźle.

– Jesteś tego pewien? – szepczę.

– W marcu się ożeniłem. Ojciec zmarł tydzień po naszym ślubie.

I ten gość za mną łązi?

– Jesteś żonaty? Czy twoja żona o tym wie?

– O tym, że zmarł?

– Nie, że mi się narzucasz.

Posyła mi spojrzenie pełne niedowierzania. – Co ci odbiło, wcale ci się nie narzucam. – Poirytowany podciąga rękawy marynarki aż do łokci. Przedramiona ma w tym samym piaskowym odcieniu co twarz.

Zaraz, zaraz...

Tłumię głośne westchnienie.

Dawniej nosiłeś dzinsy, koszulkę w kolorze łososiowym i kremową marynarkę z podwiniętymi rękawami.

On tymczasem nie przestaje utyskiwać:

– Ty i to twoje cholerne poczucie wyższości...

Przyglądam mu się badawczo. Czyżbym rozmawiała z chłopakiem, który nosił się kiedyś jak Don Johnson w *Policjantach z Miami*? Nie tak go zapamiętałam.

Przede wszystkim wołali na niego Junior.

– To niemożliwe – upieram się. – Tata powiedział mi, że tamten martwy facet miał na imię Eric. Nie okłamałby mnie w tak ważnej sprawie.

Nie da się zaprzeczyć, że mój ojciec to skończony łgarz.

Noah od niechcienia przesuwając moją torebkę po blacie stolika.

– Czasami krew nie jest gęstsza od wody.

To samo powiedział mi tata – słowo w słowo.

– Oczywiście, że jest. Zawsze!

Za wiele tego jak na mnie. Wyrwam mu torebkę i ponownie unoszę do góry palec.

– Nie pamiętam cię.

Zakładałam, że odkryję prawdę na własnych zasadach. Wyłącznie na własnych zasadach. Dlatego nie jestem gotowa jej poznać z jego ust. Odganiem go ręką i zdeterminowana wbijam wzrok w okolice Maida Vale.

Noah jest zaskoczony. Chyba się spodziewał, że będę go błagała o tę rozmowę.

– Łączy nas przeszłość, której żadne z nas nie rozumie – mówi z napięciem. Nie patrzę na niego, ale wyraźnie słyszę, że szuka odpowiedzi równie desperacko co ja. – Mama, tata, Hannah i ja wyjechaliśmy do Szkocji po tym, jak... no wiesz.

- Nie, nie wiem.
- Po tamtym incydencie.

Ach, usiłuje mnie kusić faktami! Uparcie odwracam wzrok od jego twarzy. A nuż przypadkiem coś z niej wyczytam? Jej wyraz może potwierdzić lub rozwiać moje przypuszczenia. Wielkie dzięki, wolę we własnym tempie dojść do prawdy i nie zdając się na niczyje opinie, stwierdzić, że moja matka żyje albo umarła. Ostatecznie upłynęło dopiero dwadzieścia pięć lat; nic się nie stanie, jak poczekam kolejne ćwierć wieku.

– Skoro nasi rodzice tak blisko się ze sobą przyjaźnili, na pewno bym cię zapamiętała.

Pamiętam jedynie chłopca, którego całowałam, kręcąc głową ósemki w powietrzu, ale on wyglądał zupełnie inaczej. Mógł mieć od siedmiu do dziewięciu lat, a ty jesteś od niego o wiele starszy...

Widzę, jak twarz Noaha ledwo dostrzegalnie się zmienia. Napinają się mięśnie policzkowe, węzły mięśniowe kąta ust oraz mięsień potyliczno-czołowy. Sprawiałam mu przykrość i jest mi wstyd. Ale sytuacja naprawdę mnie przerosła.

Gapię się na jego trampki.

- Jesteś taka sama jak twój ojciec. Głupia cipa.
- Coś ty, kurwa, powiedział?!

Lecz chłopiec w marynarce policjanta z Miami ma mnie dosyć i odchodzi rozczarowany.

Usiłuję razić morderczym spojrzeniem jego oddalające się plecy, lecz samotność oblepia go niczym przemoczony płaszcz. Robi mi się go żal, niepotrzebnie – jak spod ziemi wyrasta przy nim nieduża kobietka, ta sama, która była uwieszona jego ramienia podczas przejażdżki barką po kanale. Musiała czekać przy barze. Pociera energicznie jego rękę, a on dosyć czule gładzi jej drobną, małą dłoń. W halogenowym oświetleniu baru błyska obrączka, która nie widziała jeszcze pierwszej rocznicy ślubu.

Noah Steensen naprawdę ma żonę.

Sięgam myślami w przeszłość i próbuję sobie przypomnieć, ile razy go w życiu spotkałam. Junior; wszyscy nazywali go Junior – czy dlatego, że stanowił miniaturową wersję człowieka, który nie umarł w samochodzie mamy? Z pewnością całowaliśmy się tylko raz – szybki popołudniowy numerek. Pamiętam, bo byłam tym potwornie rozczarowana. W owym czasie przeprowadziłabym się do Chin, gdyby tego zażądał, tak byłam w nim zadurzona.

Teraz to co innego.

Czuję się zawiedziona i zarazem wytracona z równowagi. Czy dzieciństwo nie powinno być czasem autentycznych przeżyć? Myślę o mamie, o jej depresji, chorobie, której oznak nigdy nie zauważyłam. Przez tego przekłętą Noaha muszę teraz na nowo sobie wszystko przemyśleć. Latami moje spostrzeżenia, fotografie,

sny – to, co uważałam za prawdę – nasunęły się na siebie, czyniąc ze mnie mało wiarygodnego świadka.

Nie!

Zabraniam sobie myśleć o Noahu – mojej pierwszej miłości – i równie zajadle wzbraniam się przed roztrząsaniem sprawy Bambi. Nie zamierzam do tego wracać, bo moje wspomnienia o niej *wcale nie są* cukierkowe.

Nowy samochód mamy nazywa się sunny.

– Ratuje mi życie – mówi Bambi.

A ja jej wierzę, ponieważ ilekroć odwozi mnie do szkoły, zamartwiam się, że po powrocie do domu przez cały dzień będzie się smuciła. Pogawędki z Michaeliem nie są tak dojrzałe ani zabawne jak ze mną. Poza tym w szkole mam tyle roboty, że czasami jestem zbyt zajęta, aby o niej myśleć.

Nauczycielka mówi, że gadam od rzeczy.

Słowo o Jezusie: Jezus opiekuje się mamusiami, kiedy te już odstawią swoje pociechy do szkoły. Wie, jak czujemy się my, dzieci, bo sam ma mamusię, która nazywa się Matka Boska. Jezus i Matka Boska umarli i poszli do nieba. Wszystko tam wygląda tak samo jak na ziemi, tylko jest więcej chmur. A zamiast króla i królowej mają Pana Boga, Jezusa i Ducha Świętego, który nikogo nie straszy, chociaż jest duchem.

Myśl o Jezusie czuwającym nad mamą przynosi mi ulgę.

Na wszelki wypadek jest jeszcze datsun sunny, który też ma swoją magiczną moc, z czego bardzo się cieszę.

Oto co się dzieje, kiedy już mama wysadzi mnie pod szkołą i pomachamy sobie na do widzenia.

– *Piccolina*, wlokę się w żółtym tempie ulicą, skręcam w lewo w Church Manor Way, moje autko całe grzechocze i stęka, a ja myślę sobie: „No nie, tylko nie uszczelka!”. Jeżeli pęknie uszczelka, mój datsun sunny będzie się nadawał tylko na złom. Nagle, całkiem znienacka, coś błyska. Przez jedną okropną, przerażającą chwilę jestem ślepa, *piccolina*. Zupełnie ślepa!

Mama zakrywa twarz dłońmi, żeby mi pokazać, jak wygląda człowiek oślepiiony.

– Potem powolutku ciemności się rozstępują, a przede mną... nie ma niczego, tylko błękitne niebo.

Głośno wciągam powietrze w płuca. Ona robi to samo.

– Jakie to piękne! Patrzą w dół, na boki, do góry i zgadnij, co widzę?

– Nic – odpowiadam dramatycznym szeptem, bo opowiadała mi tę historię już jakieś pięćset razy.

Mama kiwa głową, a oczy ma okrągłe jak piłeczki pingpongowe.

– *Niente*. Samochód zniknął. Pod nogami mam powietrze, a wokół siebie niebo. Żebyś wiedziała, jak tam pachnie!

– Widzisz mnie w dole? Na ziemi?  
– Wyglądasz jak ziarenko piasku.  
– Jak wysoko się wznosisz?  
– Na półtora kilometra.  
– To wysoko. Jak to jest, że Michael się nie boi?  
– To właśnie jest najdziwniejsze, Florence! Śmieje się tylko i śmieje, jakby nigdy się równie dobrze nie bawił.

To akurat nieszczególnie mi się podoba. Widzę, że mama zastanawia się, czy powiedzieć mi coś ważnego, czy nie.

– No dobra – mówi wreszcie. – Pamiętasz austina, mój pierwszy samochód? Kręcę głową.  
– Nie pamiętam.  
– Kiedy byłeś jeszcze malutka, stale latałyśmy nim na różne wyprawy. Austin to starsza wersja datsuna sunny, ale trzeba brać, co dają, i nie marudzić...  
– Nie pamiętam – powtarzam stanowczo.  
– Michael też zapomni o tych podróżach, jak będzie miał pięć lat, tyle co ty teraz. W tym wieku wymazywane są wszystkie wspomnienia.  
– Jesteś kosmitką, mamó? – pytam z wielką powagą.  
– Nie bądź gąską – chichocze. – Jestem spod znaku Wagi. – Macha lekceważąco ręką; mam się tym nie przejmować. – Będziesz musiała nauczyć się z tym żyć.

Ja mam jednak mnóstwo pytań. Po pierwsze, gdzie jest ta Waga, spod której wylazła moja mama.

– Przypomnę sobie kiedyś te nasze wyprawy?  
– Nie – ucina dalszą dyskusję Bambi.  
– A jeśli będę się o to modlić?  
Robi tę swoją poważną minę.  
– Bardzo cię proszę, *piccolina*, Pan Bóg ma na głowie o wiele ważniejsze rzeczy.

Dąsam się, bo Pan Bóg z pewnością by mi pomógł.  
– Masz taki sam latający pojazd jak Wonder Woman?  
– Identyczny. – Nachyla się nade mną i z powagą mnie instruuje: – Jak widzisz, mam w ciągu dnia mnóstwo zajęć, dlatego nie musisz się o mnie martwić, kiedy jesteś w szkole. Wcale a wcale.

Żebyśmy się dobrze zrozumieli – nie jestem idiotką. Nauczycielka wszystko jej wygadała. Nigdy nie ufajcie nauczycielom. Przenigdy. Chyba że rozwalicie sobie głowę albo wbijecie zszywkę w palec.

Mama gada i gada.  
– Czasami jestem taka zapracowana, że zapominam o tobie. Zdarza się nawet, że nie pamiętam, jak masz na imię.

– Ale ten samochód cały jest niewidzialny, tak? Bo pojazd Wonder Woman nie jest. W telewizji widać jego zarysy.

– Mam najnowszy model – zapewnia mama z powagą w oczach. A potem wygania mnie na górę do łazienki.

– Właż teraz do wanny i umyj wszystkie zakamarki. Masz tutaj kosmetyki dla dorosłych – sole do kąpieli i płyn relaksujący. Tylko nie zapomnij umyć się za uszami.

Rzeczowa i zasadnicza wychodzi z łazienki. Koniec dyskusji.

– A gdzie świece? – żartuję, tak jak robi to tata.

Mama się nie śmieje.

Liczę jej kroki na schodach. Sześć. Za mało, żeby dokądkolwiek dojść.

Martwię się, kiedy nie reaguje śmiechem na moje żarty.

Wyglądam więc przez szparę w uchylonych drzwiach. Mama siedzi na najwyższym stopniu schodów. Jest przygarbiona, a jej ramiona rytmicznie unoszą się do góry i opadają jak wtedy, kiedy ktoś płacze.

Wołam więc najzadziorniej, jak potrafię:

– Jeśli jest cały niewidzialny, to skąd wiesz, w którym miejscu znajduje się kierownica?

Cisza.

Wszystko przez ten jej południowy temperament; mam nadzieję, że go nie odziedziczyłam, bo człowiek traci wtedy słuch. Ja jednak doskonale wiem, co mam robić. Jak najszybciej myję wszystkie zakamarki i wycieram się z przodu rękami. Z tyłu ciągle jestem mokra, ale nie wspominam o tym mamie – zdenerwowałaby się, że grozi mi infekcja grzybicza.

Potem siadam obok niej na schodku, usiłując nie trząść się z zimna.

– Opowiedz mi o cioci Carinie Campanelli z Monte San Savino we Włoszech – żądam. Podciągam rękaw jej bluzki i łaskoczę ją w rękę swoimi króciutkimi paznokciami, bo właśnie tak trzeba postępować z ludźmi pokroju mamy – zagadywać, dopóki tata nie wróci z pracy do domu.

– Do diabła, ja też się czegoś napiję. Co będę sobie żałować?

Mało brakuje, żebym wyskoczyła ze skóry. Przede mną stoi Maeve. Rzuca mi pod nogi czarną teczkę i pstryka w powietrzu palcami, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Skąd się tu wzięłaś? – pytam, rozglądając się po barze.

– Nie odbierasz telefonu.

– Hm, może nie mam ochoty z tobą rozmawiać? Z nami koniec, zapomniałaś?

– Wstąpiłam do ciebie i zastałam tam Michaela.

– Widzieliście się? Przecież nie wiedział, gdzie jestem.

– On nie, ale jego karzeł już tak.



Sébastien. Wściekła wskazuję ruchem głowy ciśniętą na podłogę teczkę i pytam oschle: – Przekazujesz muzeum jakieś swoje prace? – Od niechcienia kopię teczkę czubkiem buta. – Pamiętam jak przez mgłę, że znakomicie bazgroliłaś. „Maeve kocha Florence”, „WNM”, takie rzeczy.

– Zastanawiam się, czy powinnam ci współczuć, czy raczej cię nienawidzić.

– Jak sobie chcesz. – Wypijam spory haust powietrza z pustego kieliszka.

Nie wyglądam przez okno na chodnik siedem pięter niżej, żeby sprawdzić, w którą stronę uda się Noah Steensen. Od zniknięcia Bambi minęło dopiero dwadzieścia pięć lat. Nagle czuję, że jeszcze nie dojrzałam do tego, aby poznać prawdę.

– Poproszę kieliszek tego samego co ona – zwraca się Maeve do kelnera. – Na jej rachunek.

Marszczę brwi.

Ona robi to samo.

– Znalazłam się w trudnym położeniu. Dziś wieczorem w moim mieszkaniu zjawił się pewien mężczyzna.

– Ktoś, kogo znam?

– Nawet bardzo blisko, jak sądzę. Był żywy, więc jak najbardziej w twoim typie.

Parskam śmiechem. Właśnie to najbardziej podobało mi się w Maeve. Kiedy ze sobą sypiałyśmy, ze wszystkich sił starała się mnie upokorzyć. Sęk w tym, że mnie wychodziło to znacznie lepiej. Nie dlatego, że byłam od niej inteligentniejsza, tylko dlatego, że ona bardziej mnie kochała.

„Angażując się uczuciowo, stawiasz się na przegranej pozycji” – ostrzegłam ją kiedyś.

Kelner przynosi wino. Maeve wypija je duszkiem.

– Jeszcze raz to samo – woła.

Zaskakuje mnie. Nigdy dużo nie piła.

– Mężczyzna, który mnie odwiedził, bardzo słabo mówił po angielsku. Po prostu wręczył mi teczkę. O, tę. – Wskazuje na podłogę. – Potem wyszedł.

Uważniej przyglądam się rzeczonyj teczce.

– Aha, udało mu się sklecić jedno zdanie – ciągnie Maeve. – Powiedział, że jego szefowa i Callaghan to dobrzy znajomi. Przynajmniej tak zrozumiałam. Poza tym ani słowa.

– Callaghan? Twój szef Callaghan?

– Owszem, Toby Callaghan.

Serce zaczyna mi bić szybciej.

Toby Callaghan to założyciel, prezes i dyrektor naczelny Daily Newspaper Corporation, bogaty i niezwykle wpływowy człowiek. W życiu nie zamieniłam z nim choćby słówka. Ani razu.

- Nie udawaj, że to dla ciebie nowina.
- Tak się składa, że nowina – zapewniam ją.

Maeve mi nie wierzy.

– Wspomniałam, że znalazłam się w trudnym położeniu, Florence. Facet, który mnie odwiedził, przekazał mi prawdziwą bombę, chyba najbardziej sensacyjny materiał w całej mojej karierze. Każda gazeta na świecie zrobiłaby wszystko za coś takiego. Ale będą musieli obejść się smakiem. Dostałam ten temat w prezencie, na wyłączność. *Ja*, Florence. Prawdziwa ze mnie szczęściara. Wygląda na to, że powinnam ci chyba podziękować.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Ale się domyślam.

Kurwa, jeszcze jak się domyślam.

– Dzięki tej historii moja gazeta dodatkowo ugruntuje swoją pozycję lidera na brytyjskim rynku prasy. Opinia publiczna będzie mnie w równej mierze wielbić, co nienawidzić. A Toby Callaghan przyzna mi premię. – Gwałtownym ruchem pociera twarz. Na lewej kości policzkowej zostaje grudka tuszu do rzęs.

- Zamierzasz to opublikować? – Mój głos jest słabiutki i pełen nadziei.
- Nie, oczywiście, że nie chcę tego publikować, do cholery!
- Więc tego nie rób! – błagam.

Maeve jest zdezorientowana.

– Osobiście poszłaś do Toby’ego Callaghana. Ten nie chciał przecieku, więc wynajął cudzoziemca, żeby dostarczył zdjęcia do moich rąk własnych.

- Maeve, ja nie miałam z tym nic wspólnego!

– Akurat. Mam rozumieć, że nie znasz typka, który zaszczycił mnie swoją wizytą? – Maeve prychna pogardliwie. – W sumie całkiem rozsądnie wynająć kogoś, kto nie zna dobrze angielskiego – przynajmniej nie trzeba mu nieustannie wciskać kitu, jak to masz w zwyczaju. Zdajesz sobie sprawę, że gdy kazałam ci uwieść jakiegoś celebrytę i się z nim sfotografować, to nie mówiłam tego poważnie? A może faktycznie masz autyzm?

To cios poniżej pasa, ale nie reaguję. Zamiast tego spoglądam na czarną teczkę. Powinnam ją podnieść, ale w zasadzie nie ma takiej potrzeby.

W ciągu niespełna dziesięciu godzin zdjęcia przedstawiające mnie i Scotta trafiły na biurko redaktor naczelnej drugiej najlepiej się sprzedającej gazety na świecie.

Próbuję jeszcze raz:

- Nie publikujcie tego.

Maeve patrzy na mnie ze zdumieniem. – Przecież to twoja zemsta. Nie chciałam ci dać felietonów, więc sama wepchnęłaś się na pierwsze strony gazet. Wierz mi, to będzie bardzo długie pięć minut sławy. – Opróżnia drugi kieliszek. – Moje gratulacje. Florence Love, rozpoznawalna jak papież i cholerna Myra

Hindley.

– Myra Hindley mordowała *dzieci*.

– Dlaczego w twoim przypadku zawsze musi chodzić o to, czyje będzie na wierzchu? – Maeve uderza dłonią o blat stolika. – Wróciłaś do mojego życia na dwie minuty, a ja już jestem wykończona.

Nigdy wcześniej nie widziałam Maeve Rivers tak roztrzęsionej. Nie żeby miała teraz łzy w oczach – nie są nawet wilgotne. Ale ta grudka tuszu przypomina łzę Pierrota.

Kładę dłoń na jej ręce.

– Zdenerwowałaś się, widząc mnie z kimś innym?

– Nie! – krzyczy i cały bar milknie. – To mój przyjaciel, Florence.

– Kto?

– Scott.

Kręcę głową. – Przyjaciele nazywają go Scat.

– Masz na myśli siebie? – Spojrzenie Maeve wyraźnie sugeruje, że zachowuję się jak idiotka. – W dodatku Elle to taka fajna babka.

– Znasz jego dziewczynę?

– Ze słyszenia, owszem. – Maeve decyduje się na szczerość. – Prawdę mówiąc, Scotta znam raczej słabo, znam za to wielu ludzi w tej branży i wiem, że niektórzy zwyczajnie na coś takiego nie zasługują.

– Nie zasługują na co? Żeby wystawiać na szwank ich dobre imię? – Mój śmiech brzmi nieco histerycznie. – A co z tymi wszystkimi miłymi ludźmi, których obsmarowujesz w niedzielnych wydaniach?

– Nie zgrywaj Matki Teresy, Florence. W przeszłości sama też maczałaś w tym palce.

Ma rację, maczałam. Ale nie w tym rzecz.

– Nie wiedziałam, że znasz Scotta prywatnie.

– A dlaczego miałabym ci o tym mówić?

Zazdrość jest w tym momencie co najmniej niestosowna.

– Można by pomyśleć, że jesteś w nim zakochana.

– Nie jestem w nim zakochana. Kompletnie ci odbiło? – Naśladuje mnie całkiem wiernie. – Powiem ci coś o ludziach zdrowych na umyśle: zdarza im się spotkać kogoś, kogo autentycznie szanują i wcale nie chcą przelecieć.

Śmieję się ze smutkiem.

Nikt mnie nie rozumie.

– Kim był ten facet? – pyta Maeve. – Ten, który przyniósł mi teczkę?

– Nie wiem. – Uśmiecham się blado do pozostałych gości w barze. – Ze Scottem naprawdę było inaczej.

– Tak jak kiedyś ze mną?

– Nigdy nie powiedziałam, że z tobą było inaczej. – Źle to zabrzmiało.

– Robisz zdjęcia wszystkim, z którymi sypiasz?

Ludzie w barze wpatrują się w nas jak urzeczeni.

– Nas nie fotografowałam – cedzę przez zaciśnięte zęby i przywołuję na twarz nieszczery uśmiech.

– Mówiłaś mi co innego.

– Wiem, co mówiłam. Kłamałam. Nigdy bym tego nie zrobiła, dlatego że owszem, z tobą też było inaczej. – Tym razem mówię prawdę. – Nikt nie zapłacił mi ani pensa za to, żebym całowała cię z języczkiem przez pięć sekund. Robiłam to z własnej woli – to oraz wiele innych czynności seksualnych.

– Szantażowałaś mnie, Flo. Mnie. – Wydaje się taka bezbronna, jakby odmłodziła naraz o dobre dziesięć lat. Ogarnia mnie wstyd i nijak nie potrafię tego ukryć.

Myślałam, że jestem jej całkowicie obojętna.

Chwytam jej dłonie i mocno ściskam. Kiedy się odzywam, mój głos jest cichy i pełen napięcia:

– Ktoś mnie śledził, Maeve. Kiedy się widziałyśmy, mówiłam, że ktoś włamał się do mojego mieszkania, pamiętasz? Potem ten ktoś – kobieta – wynajął mnie, żebym uwiodła Scotta Delaneya. Powiedziała, że jest jego dziewczyną.

– Elle?

– Tak, ale to nie była Elle, tylko jakaś wariatka o imieniu Alice. – Coś kiepsko się tłumaczy. – Kuta na cztery nogi spryciara, która chciała zarobić parę funtów.

Maeve kręci głową.

– Dostaliśmy ten materiał za darmo. Spotkałaś się z nią osobiście – z tą kutą na cztery nogi spryciarą?

Przytakuję.

– Była podobna do Elle?

– Poinformowano nas, że Elle to siostra Scotta.

– Co?

– Powiedzmy, że Michael nawalił. Krótko mówiąc, Scott i ja zostaliśmy przyjaciółmi. Takimi jak ty i on. – Rozemocjonowana ściskam jej dłoń. – Mamy ze sobą tyle wspólnego! Owszem, byliśmy blisko – jak kiedyś ty i ja – ale nigdy nie chciałam, żeby to wyszło na jaw. – Spoglądam w kierunku Maida Vale. – To była nasza chwila.

– Teraz ta chwila należy także do Toby’ego Callaghana.

– Wycisz to jakoś.

– Jeśli ja tego nie wydrukuję, zrobi to ktoś inny – „The Sun”, „USA Today”, „China Daily”.

– To spal tę teczkę.

– Zapomniałaś, że żyjemy w erze cyfrowej? To nie film; ktoś na pewno ma

kopię nagrania na twardym dysku. A ja stracę stanowisko. To zbyt wielka sensacja.  
– Wzburzona dodaje: – Zrozum, nie wolno mi mieć przyjaciół. Mam ich tylko garstkę. Tak to już jest, kiedy zaprzeda się duszę przemysłowi rozrywki.

– Ty i ja przyjaźniłyśmy się kiedyś – przypominam.

Palce Maeve robią się bezwładne.

– Przyjaźń i seks nie idą w parze – stwierdza apatycznie.

To samo powiedziałam, kiedy z nią zrywałam, a ona rozpaczliwie szukała wymówek, aby mnie zatrzymać.

„Spotykajmy się tylko na seks. Nie? No to przyjaźnijmy się platonicznie. Okej, nie chcesz. W takim razie weź ten czek”.

Tak, to dla mnie ta wspaniała, inteligentna kobieta zrobiła z siebie kretynekę. Mimo to nie jest mi jej żal, nie w tej chwili. W tej chwili myślę wyłącznie o Scotcie i to dla niego zarezerwowane jest całe moje współczucie.

W końcu kiwam głową.

– Ten cudzoziemiec, który zgłosił się do Callaghana i przekazał ci materiały – podał jakieś nazwisko albo numer kontaktowy?

Maeve wskazuje leżącą u moich nóg skórzaną teczkę.

Przyglądam jej się przez chwilę, po czym podnoszę ją, kładę na kontuarze i przeglądam znajdujące się w środku zdjęcia.

W sumie jest tam dwadzieścia odbitek. Wszystkie pochodzą z nagrania, które Michael udostępnił Alice. Kilka ujęć zrobiono z góry, resztę z boku. Fotografie są ziarniste, lecz na tyle wyraźne, że wiadomo, o co chodzi. Układają się w przepiękną całość, niczym rozrysowane kadry jakiegoś tandetnego filmowego romansu.

W ostatniej celofanowej koszulce znajduję wizytówkę. Raz za razem przebiegam wzrokiem nazwisko, numer telefonu oraz adres biura pod przezroczystą folią.

Potem zatrząskuję teczkę.

Maeve miała rację. Faktycznie znam człowieka, który zapukał do jej drzwi. W istocie wiem o nim zaskakująco dużo.

Jego pełne nazwisko brzmi Gustav Aart Nijstad, on sam zaś jest lojalnym pracownikiem rządu holenderskiego, a konkretnie ministra Pietera de Groota. Ochroniarzem, który wolałby trzykrotnie skoczyć w ogień niż pozwolić komukolwiek skompromitować swojego szefa mięczaka.

Którego miałam okazję poznać bardzo blisko, wręcz intymnie.

## Wstęp do sztuki prowokacji, porada nr 7:

### Stań się mistrzynią języka migowego.

Odtąd twoim językiem ojczystym niech będzie kinetyka. Prześledź poniższą sytuację i zwróć uwagę, jak otwarcie minister zaproponował mi seks.

Sprawa 0134/Operacja de Groot

Godzina 20.25. Minister de Groot skierował kolana w moją stronę, dając mi do zrozumienia, że jest chętny. Oznajmił, że właśnie wrócił z całodniowego wypadu do Horsmonden, gdzie uprawiał wędkarstwo spławikowo-gruntowe. Odparłam, że wolę wędkarstwo muchowe, ponieważ wcześniej przebrnęłam przez stosowny poradnik. Minister zdziwił się, mówiąc: „A to rzadkość”. Skłamałam, że pochodzę ze Szkocji i wędkarstwo muchowe było obowiązkowym przedmiotem w szkole. Nie poprosił, żeby zademonstrować mu szkocki akcent – i bardzo dobrze, bo nie mam ucha do dialektów. Następnie obiekt stwierdził, że kolekcjonuje staroświecki sprzęt wędkarski, a jego najnowszy nabytek to kołowrotek coxon aerial. Choć doskonale byłam tego świadoma, westchnęłam z zachwytem: „To dopiero rzadkość!”. Minister uśmiechnął się, skinął głową i zaczął mimowolnie wykonywać zalotne gesty, to znaczy odgarnął z czoła włosy i pogładził się po dolnej wardze

Godzina 20.49. Powiedziałam, że grałam kiedyś w golfa na polu w Spijk. Okazało się, że to znak, na jaki czekał mój rozmówca: jak z rękawa zaczął sypać statystykami, konkludując radośnie: „Mam obecnie handicap dwanaście”. Siedziałam w milczeniu z figlarną miną. Przymykając oko, minister zapytał o mój handicap. „Osiemnaście” – skłamałam. Z ulgą nagroził mnie oklaskami, po czym zaczął się symbolicznie rozbierać, to znaczy rozpiął górny guzik koszuli, poluzował krawat i podwinął rękawy.

Godzina 21.15. Obiekt wybiera się wkrótce do Wilna. „Połowa tego miasta należy do mnie” – pochwalił się, pocierając udo. „Jak w litewskiej wersji Monopolu, tyle że naprawdę” – zauważyłam, kładąc mu kokieteryjnie rękę na ramieniu i starannie odliczając w myślach do trzech. Zgodnie z zasadami gry w ciągu dziesięciu minut odwzajemnił mój dotyk.

A oto jak jeszcze minister okazywał pożądanie:

Jego nozdrza rozdymały się lekko, ilekroć zaglądał mi w dekolt.

Kiedy mówiłam, przechylał na bok głowę.

Triangulacja kontaktu wzrokowego (to znaczy trzy sekundy patrzenia

w oczy, po czym minister zawieszał wzrok kolejno na moim nosie, ustach oraz podbródku. Ta sztuczka działa niezwykle erotycznie, o ile, rzecz jasna, wykonuje ją ktoś atrakcyjny).

*Rozczarowujący fakt:*

rzadko zdarza się okazja, aby na czyjeś zlecenie uwodzić atrakcyjnych mężczyzn. Jeżeli zależy ci na przelotnych, podniecających, a bywa, że zagrażających życiu kontaktach, zarejestruj się na Tinderze. Prowokacjami zarabia się na życie. Koniec, kropka.

## Gedogen

Pieter de Groot, holenderski minister bezpieczeństwa publicznego i sprawiedliwości, odegrał się po mistrzowsku.

Wyobrażam sobie płaszcącego się przed nim Gustava, który skamle: „Ale jak zabijemy zawodową uwodzicielkę, o panie?”.

Na co minister de Groot, niepokojąco podobny do Jabby Hutta z *Gwiazdnych wojen*, odpowiada złowrogim głosem, wydobywającym się gdzieś z mezosfery:

„Sprawimy, że jej twarz znajdzie się na pierwszych stronach gazet na całym świecie”.

Gdybym umiała przegrywać, nagrodziłabym oklaskami arogancję ministra, a przynajmniej jego wyrafinowaną koncepcję zemsty. Ale przegrani rzadko padają na deski z godnością.

Wystarczyło, że wynajął kogoś z mojej własnej branży. Alice umiejętnie pokierowała mnie ku przepaści. A ja niczym leming podążyłam na spotkanie zawodowej i osobistej katastrofy.

Najgorsze w tym wszystkim jest to, że sukinsyn dał mi cenną lekcję na temat Holendrów, a mianowicie, że potrafią myśleć nieszablonowo. Nazywają to *gedogen*. We współczesnym świecie nie istnieje dokładne tłumaczenie tego terminu, gdyż oddaje on sposób rozumowania charakterystyczny dla Holendrów i tylko dla nich. Sporo w tym egzystencjalizmu, lecz zasadniczo sprawa sprowadza się do tego, że wykończenie mnie byłoby bardzo nieholenderskie. Lepiej pogodzić się z budzącym sprzeciw zachowaniem, popracować nad nim, słowem: tolerować je czy wręcz do niego dopuścić. Co nie znaczy, że nie można przy okazji zabawić się czyimś kosztem, szczególnie jeśli jest się ministrem bezpieczeństwa publicznego i sprawiedliwości.

To Pieter de Groot wynajął Alice. Bóg jeden wie, skąd Alice (czy jak tam się ona w rzeczywistości nazywa) zdobyła informacje na temat Scotta i ukrywanej przez niego dziewczyny. Podobnie jak ja jest prywatnym detektywem, więc na pewno ma swoje źródła, nielegalne metody, kontakty z brukowcami. Wraz ze swoim klientem pokonali mnie moją własną bronią, wymierzając mi siarczysty policzek.

Koń by się uśmieł. Zemsta, jakiej dokonali, nie ma sobie równych w historii; zaplanowali ją na chłodno i przeprowadzili swój plan z wkurzającą ironią.

Powinam się wycofać, obojętnym skinieniem głowy skwitować tę całą hucpę de Groota. Uznać, że tym razem zostałam pokonana, lecz przy okazji odebrałam ciekawą lekcję społeczno-kulturalną.

Sęk w tym, że styl odwetu ministra de Groota jest zupełnie nieangielski.

Rodzony ojciec zobaczy, jak całuję się z języczkiem z obcym mężczyzną. To



coś, czego absolutnie nie powinni oglądać angielscy ojcowie. Są bardzo sztywni i nie potrafią zdzierżyć myśli o tym, że ich córki zadają się z chłopakami, nawet jeśli są to ich mężowie. Katolicycy ojcowie są jeszcze gorsi. No i są jeszcze tacy, którzy mieszkają w Laurelbridge. Do tego dochodzi fakt, że niektórzy z nich (na przykład mój) mają w swoim urzędzie pocztowym cały stojak z gazetami i plotkarskimi magazynami na sprzedaż. Mieszkańcy wschodniego Dorset będą się tłoczyć po poranne wydanie brukowca Maeve – na poczcie zrobi się taki ścisk, jaki widuje się tylko na wyprzedażach w Harrodsie w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia.

Już widzę tatę, jak kuli się w okienku przed napierającą tłuszcą, a pozornie życzliwi sąsiedzi zmieniają się w spragnione krwi stado rekinów.

A oto lista osób, które szczegółowo zapoznają się z tym, jak ja, Florence Love, zarabiam na życie:

1. Mój tata.
2. Mieszkańcy Laurelbridge.
3. Mieszkańcy południowo-zachodniej Anglii.
4. Mieszkańcy całego Zjednoczonego Królestwa.
5. Mieszkańcy Unii Europejskiej.
6. Obywatele państw członkowskich ONZ.
7. Mieszkańcy pozostałych cywilizowanych krajów.
8. Bóg.

Wszyscy, których uwiodłam i skompromitowałam dla kasy, wykonają zgodnie meksykańską falę. Z wyjątkiem Scotta Delaneya – on nawet nie wstanie z miejsca. Wróci do swojej złotej klatki i poprosi dozorców, żeby nigdy więcej go z niej nie wypuszczali.

Niewykluczone, że i mama zobaczy mnie w akcji.

Serce ściska mi się boleśnie.

Należy zazdrościć Holendrom. *Gedogen* to groźne narzędzie.

Nareszcie jestem sama.

Klękam na materacu jak do modlitwy, opieram łokcie na parapecie, a podbródek na złożonych rękach i patrzę na dach naprzeciwko, gdzie koczowała Alice. Poznawała mój rozkład dnia, podsłuchiwała moje rozmowy i słała raporty ministrowi de Grootowi, informując go o moich najbardziej prywatnych poczynaniach.

Dzisiaj Florence wzięła prysznic... czytała... ćwiczyła się w kokietowaniu Scotta Delaneya... szlifowała robotniczy akcent z jego zwarciem krtaniowym i podwójnymi przeczeniami... narkotyzowała się... gadała ze swoją babcią nieboszczką... podśpiewywała... płakała... masturbowała się.

W dodatku ta chamka pożyczyła sobie najcenniejszą książkę z mojej półki z literaturą kobiecą. Nawet jej jeszcze nie przeczytałam.

Ani moja mama.

Pięścią wybijam dziurę w szybie okiennej.

Po powrocie z Tate Modern zdałam szczegółową relację Michaelowi i Sébastienowi. Kiedy wychodzili, na ich twarzach malował się wyraz niedowierzania. Oparta na parapecie patrzyłam, jak oddalają się ulicą żwawym krokiem, pogrążeni w serdecznej rozmowie, trzymając się za ręce niczym syn i ojciec, szympans i jego pan albo po prostu mój piękny brat i jego pupil z rodziny Addamsów.

Był taki czas, gdy Michael wybrałby moje towarzystwo.

Mam trzy możliwości.

Możliwość numer jeden: niezwłocznie się zabić. Ten pomysł niemal od razu przyszedł mi do głowy. Skoro po drugiej stronie niczego nie ma, to nic dziwnego, że ateści donikąd nie przechodzą – i nie jest to dowcip, tylko smutna prawda.

Oglądam swoje obolałe knykcie. Cios choku-zuki wykonałam na medal – skóra nawet nie jest draśnięta.

Możliwość numer dwa: zwać do Manchesteru i zmienić nazwisko, przywłaszczając sobie tożsamość jakiejś nieboszczki. Na przykład Anne Bland. Ufarbować włosy na rudo, w makijażu zastąpić paletę kolorów ziemi i delikatnych pasteli odcieniami różu oraz fioletu. Pozorować utykanie. Nosić koszulki polo do rozkloszowanych spódnic. Zostać (odrobinę) mniej atrakcyjną panią psycholog kryminalną. Reagować chichotem, ilekroć ktoś powie: „Wiesz, kogo mi przypominasz?”. Odpowiadać, że nie pierwszy raz to słyszę, a potem dodawać tęsknie: „Gdybym spędziła choć jedną noc ze Scottem Delaneyem, byłabym teraz zupełnie gdzie indziej”.

Spoglądając na ulicę w dole, cieszę się, że żaden z beztroskich przechodniów nie ucierpiał z powodu deszczu szklanych odłamków.

Możliwość numer trzy: zebrać się w sobie, wziąć problem na klatę i wynagrodzić straty wszystkim zainteresowanym.

A przede wszystkim zrobić, co trzeba, żeby ratować Scotta.

– Witaj, Harry. – Kiwam głową mężowi Maeve, który otwiera mi drzwi, po czym mijam go i wchodzę do mieszkania. Omiotam wzrokiem kolejne pomieszczenia.

– Maeve jest w pracy – woła za mną.

Ma amerykański akcent. Nie wiedziałam, że Maeve wyszła za Amerykanina. Ostatnio nie wdawała się ze mną w pogaduszki na temat swoich najbliższych.

– Czy ja mogę ci w czymś pomóc? – pyta.

– Jest siódma rano – stwierdzam.

Harry ma wyjątkowo pogodną minę, zważywszy na to, że właśnie przeszkodziłam mu w śniadaniu.

– Dzięki za info.

- Więc gdzie ona jest?
- Chyba na jakimś spotkaniu.
- Nie odbiera telefonu.
- Tak bywa, kiedy ktoś jest na spotkaniu.

Zapomniałam o dobrych manierach, kładę więc rękę na piersi.

- Jestem Florence.
- Domyśliłem się.

Mierzę go wzrokiem.

Niespieszony uśmiecha się do mnie. Okulary do czytania zsunęły mu się na czubek nosa. W dużej opalanej dłoni trzyma szklanicę soku pomarańczowego. W pasiastym szlafroku i kapciach z materiału przypominającego sztruks Harry Rivers wygląda na nadzianego faceta.

- Czyli jest u siebie w redakcji?

– Florence, nagraj jej się na komórkę. Na pewno oddzwoni, jak tylko będzie mogła.

To pierwszy raz, kiedy mamy okazję zamienić ze sobą kilka słów. Dochodzę do wniosku, że Harry jest zupełnie w porządku. Jego oddech pachnie owsianką, on sam zaś wydaje się facetem, którego niełatwo wyprowadzić z równowagi. To dobrze; robi wrażenie kogoś, na kim można polegać. Jest starszy od Maeve – na oko ma jakieś pięćdziesiąt trzy lata – ale szeroki w ramionach i bardzo męski. Rozumiem, że może się podobać, jeśli ktoś lubi kolesi w typie kowboja z reklamy marlboro.

- Mam do niej pilną sprawę – wyjaśniam.
- Na pewno jej przekażę, że byłaś.
- Okej.

Wychodzę. W połowie drogi do wyjścia dociera do mnie, że nie usłyszałam odgłosu zamykanych drzwi. Odwracam się. W holu stoi Harry. Oparty ramieniem o ścianę popija sok i przygląda mi się ciekawie.

- Wszystko w porządku? – pytam, marszcząc brwi.
- W jak najlepszym. Teraz już rozumiem.
- Rozumiesz? Co?
- O co tyle hałasu.

Kręcę głową, ponieważ ja niczego nie rozumiem.

Harry dodaje:

– Holenderscy ministrowie, Scott Delaney, moja własna żona... Atrakcyjna z ciebie kobieta, chociaż spodziewałem się raczej rasowej uwodzicielki.

Żar ogarnia moją szyję i policzki. Lojalna do końca niczym święty Piotr prychem pogardliwie i kręcę głową na znak, że Harry się myli.

– Och, nie psuj tego, bardzo cię proszę. Nie mów, że cię wymyśliła, żeby się ze mną droczyć. Wasze figle w jej samochodzie, w mieszkaniu twojego brata

i w naszym łóżku, na stole kuchennym i w bocznej uliczce za Smithfield Bar & Grill. Mówimy o mojej żonie.

Wyrzuca ramiona do góry, jakby był wzburzony. A nie jest. Po prostu chce mi dowalić.

– W małżeństwie to normalne, że mąż i żona spełniają nawzajem swoje fantazje erotyczne. Maeve często miewa takie skoki w bok – na moją wyraźną prośbę. Pokaż mi faceta, którego nie podnieca później słuchanie o pikantnych szczegółach takich eskapad. Zauważ jednak, że wolno jej się spotykać wyłącznie z kobietami. To taka nasza złota zasada.

– Jesteś chory.

– Och, sądzę raczej, że jestem zdrowym, pełnokrwistym facetem.

– Niestety dla ciebie, Harry, twoja żona zakochała się w jednej ze swoich podrywki.

Rozpromienia się.

– Wy, dziewczyny, uwielbiacie angażować umysł, podczas gdy jest on tylko jeszcze jedną strefą erogenną. Równie niestałą i łatwą do zmanipulowania jak szyja, dół pleców, palce u stóp albo sutki...

Odwraca się, aby wejść do mieszkania, a ja, widząc go z boku, dostrzegam, że pod szlafrokiem mu stoi. Nie próbuje nawet tego ukryć, przeciwnie – dźwiga swój wzwód równie dumnie jak kobieta ciężarna nosi swój brzuch.

Zanim drzwi delikatnie się zamkną, upewnia się jeszcze:

– Maeve ci zapłaciła, prawda? Pięć tysięcy. Za wyświadczony usługi. Naprawdę musiała cię kochać.

– To była łapówka, kretynie, chciała mnie przy sobie zatrzymać!

Szkoda mojej śliny. Harry jest już w środku.

„Byłyśmy kochankami” – informuję w myślach Harry’ego, maszerując do stacji metra przy Regent’s Park.

I wyobrażam sobie, jak mi odpowiada:

„Nie pocieszaj się, dziewczyno. Jesteśmy z Maeve swingersami, a ty byłaś naszą zabawką”.

„To było coś więcej. Przyjaźniłyśmy się i chodziłyśmy ze sobą do łóżka. Potem Maeve się we mnie zakochała. Zachowałam się honorowo i zakończyłam to, bo nie chciałam jej zwodzić”.

„Ale pieniądze wzięłaś”.

Jadąc metrem, mamroczę pod nosem: „Zrobiła z ciebie głupca, Harry Riversie”.

A także:

„Poeta to Noah Steensen, znany również jako chłopak w marynarce Dona Johnsona”.

Nie mówię tego na głos, poruszam tylko wargami do kamery, która – jak

sobie wyobrażam – jest zamontowana na zewnątrz wagonu, a jej oko obserwuje mnie przez brudną szybę niczym żądny ekstremalnych wrażeń podglądacz. Mój głos zostanie dograny w postsynchronach. Najważniejsze w tej chwili, żeby dobrze wypaść w zbliżeniu.

Budynek redakcji „Daily News” znajduje się na East Endzie przy Thomas More Square. Kołysząc biodrami, wkraczam do głównego lobby i oznajmiam dyżurującemu w recepcji ochroniarzowi, że Maeve Rivers mnie oczekuje, a zatem na pewno mnie przyjmie.

Ten jednak okazuje się zadziwiająco odporny. Wydaje zdawkowe polecenia, jakby nie miał do czynienia z ponętą kobietą.

– Proszę usiąść. Zawiadomię ją, że pani przyszła.

Posłusznie podchodzę do skupiska półokrągłych pufów. Kształtem przypominają bakterie z rodzaju streptokoków. Mamie z pewnością by się nie spodobały. Siadam na jednym z nich, a on natychmiast się pode mną zapada.

Ze stopami ułożonymi pod kątem do ud opieram łokieć na pufie stojącym najbliżej głowy. Mijającym mnie ludziom może się wydawać, że po prostu się relaksuję w pozycji półleżącej.

Bez obaw, długo tak nie zabawię.

Przez godzinę i dziesięć minut rozciągnięta na pufach w kształcie bakterii obserwuję, jak elektrycznie sterowane drzwi rozsuwają się i zamykają.

Przez lobby przewijają się tłumy ludzi. Nieczuły na moje wdzięki ochroniarz kieruje większość z nich wprost do windy. Przechodząc obok, nie zwracają na mnie żadnej uwagi – tkwię w pufach niczym w miękkim kokonie, poza tym nikt tutaj nie ma zielonego pojęcia, kim jestem.

Wstyd się przyznać, ale na myśl o ich obojętności uśmiecham się w duchu z goryczą.

Jeszcze mnie nie poznaliście.

Jeszcze...

Dotąd byłam pewna, że jestem ponad tym wszystkim, co wiąże się z kultem celebrytów w kulturze masowej. Owszem, każdy dwudziestopierwszowiecny przedstawiciel gatunku *Homo sapiens* ma niezbywalne prawo do dawki niezdrowej sensacji, ale to nie znaczy, że trzeba od razu obnosić się ze swoją prywatnością, występując w programach reality show, chwając się wszem wobec, że przeleciało się znanego piłkarza albo najmiłszego i najbardziej bezbronno wokalistę jazzowego, jaki kiedykolwiek cierpiał na syndrom sztokholmski.

Sami widzicie, co się ze mną porobiło.

Zerkam na zegarek. No dalej, Maeve! Dlaczego jeszcze nie zaprowadzono mnie do jej gabinetu?

Niezaprzeczalny fakt: Maeve nigdy mnie nie kochała.

Jeszcze bardziej niezaprzeczalny fakt: nie ma czegoś takiego jak prawda

o związku; istnieje tylko nasza subiektywna interpretacja wydarzeń. Nie jest ona w dodatku dwu- ani czterowymiarowa, a co dopiero mówić o jedenastu wymiarach postulowanych przez zwolenników teorii strun. Normalni ludzie w normalnych związkach nie postrzegają świata z wielu różnych perspektyw tak jak Picasso czy mąż Maeve, Harry.

Może błędnie zinterpretowałam zachowanie Maeve?

Wyobrażałam sobie, że wieczorami usycha z tęsknoty za mną i potajemnie wspomina nasze romantyczne schadzki. Wspominała je, a jakże – tyle że całkiem otwarcie i na użytek swojego cholernego Marlboro Mana.

Kiedy wreszcie ochroniarz instruuje mnie, jak dostać się na najwyższe piętro, mój uśmiech jest równie lodowaty jak mina.

Jeszcze mnie nie znasz, kolego. Ale to się wkrótce zmieni.

## Sensacja na pierwszej stronie

Maeve siedzi na krawędzi biurka z ramionami skrzyżowanymi w obronnym geście.

– Toby Callaghan zachowuje się, jakby wygrał fortunę na loterii. Artykuł pójdzie w tę niedzielę, czy nam się to podoba, czy nie.

– I bardzo dobrze – odpowiadam, również krzyżując ramiona. – Niech idzie. Ale odwrócimy jego tezę.

Maeve wojowniczo unosi podbródek.

– Mów.

– Zrobimy tak: sprzedam ci swoją wersję wydarzeń. Zdjęcia już dostałaś za darmo, a jeśli trzeba, mogę ci dostarczyć kolejne. Do tego ekskluzywny wywiad ze mną. Powiem tobie – to znaczy „Daily News” – całą prawdę. Jest tylko jeden warunek: musicie mnie dokładnie zacytować. Nie życzę sobie żadnej polemiki. Jeśli ktoś inaczej to opíše, pozwiemy ich i puścimy w samych skarpetkach. To ja byłam ze Scottem. I ja dysponuję nagraniem. Zrób to, czego chce Callaghan, a więc opublikuj zdjęcia, które dostałaś od goryla de Groota. Tyle że z innym komentarzem.

Maeve mruży podejrzliwie oczy.

– Spójrz na te fotki – mówię, wskazując lekceważąco zdjęcia na jej biurku. Leży tam jakieś dwadzieścia odbitek przedstawiających Scotta i mnie. – Na pierwszy rzut oka wydaje się, że wiadomo, w czym rzecz. Wasi czytelnicy tysiące razy słyszeli podobne historie. Tymczasem prawda jest znacznie bardziej interesująca. Szkoda byłoby zmarnować taki temat.

– Słucham – rzuca Maeve.

Prawda jest taka, że ja, Florence Love, specjalistka od uwodzenia oraz prywatny detektyw, zostałam okpiona przez podstawioną osobę. Okazała się nią inna prywatna detektyw, wynajęta przez żadnego zemsty obiekt mojej poprzedniej prowokacji. Na jego polecenie kazano mi uwieść znanego muzyka: miałam go obserwować, śledzić, zdobyć dostęp do jego fascynującego świata i wkręcić się do grona jego znajomych. Na koniec miałam przekreślić jego plany na małżeństwo, całując go przez pięć sekund z języczkiem.

– Nu-da – sylabizuje Maeve, ale widzę, że udaje.

Ostatecznie to on pocałował mnie. Dlaczego? Bo go upiłam, zmanipulowałam, złamałam, aby na koniec dać mu złudne poczucie bezpieczeństwa. Zaśpiewał dla mnie i odsłonił przede mną duszę. Zobaczyć czyjąś duszę to nie przelewki, zwłaszcza gdy ten ktoś z własnej woli się przed nami otwiera. Poczulałam się onieśmielona. Zbyt onieśmielona, żeby sama wykonać pierwszy krok.

- Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło – wyznaję ze śmiertelną powagą.
- Jeśli chodzi o prowokacje, jestem przecież profesjonalistką.
- I to nie byle jaką.
- Dziękuję. – Łaskawie kiwam głową i kontynuuję.

Graliśmy w rozbieranego frajera – nie dlatego, że on tego chciał, ale ponieważ go do tego nakłoniłam: robiłam cięjące oczy i wmówiłam mu, że w grach salonowych jestem kompletnie beznadziejna. Scott to mężczyzna, a mężczyźni kochają rywalizować i zwyciężać. Ani przez chwilę nie sądził, że przegra. Nie brał pod uwagę możliwości, że zakończy ten wieczór w samych slipach.

A jednak tak właśnie się stało.

Jeżeli dobrze się przyjrzeć jednemu ze zdjęć, widać na nim kolano mojego brata, co świadczy o tym, że tylko niewinnie się bawiliśmy. W pokoju był z nami mój najbliższy krewny.

Maeve udaje, że ziewa, ale oczy jej się śmieją.

Nie da się zaprzeczyć, że całowałam się ze Scottem. Zdjęcie to niepodważalny dowód. Nasz pocałunek trwał dłużej niż zwyczajowe pięć sekund i brały w nim udział nasze języki. Niestety po niecałych dwudziestu sekundach został brutalnie przerwany.

– Dlaczego? – pyta Maeve.

– Bo Scott dostał ataku śmiechu i niechcący parsknął na mnie flegmą.

Maeve też się śmieje. Opuszcza swobodnie ręce i nachyla się do przodu.

– Powiedział też: „Ale dziwnie, co?”.

– A było dziwnie?

– Dla mnie to był najcudowniejszy pocałunek w życiu.

„Możemy już tego nie powtarzać?” – poprosił Scott.

Zrobiło mi się wstyd, jakbym była nauczycielką uwodzącą maturzystę. Zaraz jednak zdałam sobie sprawę, że Scott tak tego nie odbiera. Wydawał się raczej przerażony, że mógł mnie urazić. Prawda była jednak taka, że zbyt mocno kochał swoją dziewczynę. Sam to zresztą przyznał. Powiedział, że teraz wie już na pewno, iż nigdy jej nie zdradzi. Bardzo się starał, żebym poczuła się wyjątkowa. Wyznał, że jestem tą Jedyną – dzięki mnie doszedł do cudownej konkluzji, że jest... monogamistą.

Powiedział, cytuję:

„Tak się cieszę, że cię pocałowałem, Flo-Lo. Wyobraź sobie, jak by to było spędzić z kimś resztę życia, ciągle się zastanawiając, czy nie ominęło cię coś równie wspaniałego”.

Był w tym ukryty komplement. Usiłowałam się go dopatrzeć, gdy Scott zapytał mnie, czy znam jakieś trudne słowa.

*Vice versa*, odparłam („na odwrót”), inkunabuły (pierwsze druki do roku 1500 włącznie) oraz małoduszny (kiedy ktoś zachowuje się jak ostatni mięczak).



Scott stwierdził, że tak jak ja będzie odtąd czytał słownik, siedząc na sedesie. Pisma medyczne wydały mu się jednak zbyt nużące i choć zapewnił, że szanuje mój pęd do samokształcenia, postanowił je olać. Po tym jego tekście zaśmiewaliśmy się jak wariaci przez dobre dwanaście minut.

Wieczór zbliżał się ku końcowi.

Wiedzieliśmy, że nasza znajomość także musi się skończyć. A jednak oboje czuliśmy, że połączyła nas przyjaźń tak samo prawdziwa jak wszystkie, jakie dotąd nawiązaliśmy w życiu. Scott obiecał, że napisze o mnie piosenkę równie przejmującą jak *Ben* Michaela Jacksona. „To co prawda piosenka o szczurze – dodał – ale wiesz, co mam na myśli”.

Wiedziałam.

Emocje sięgnęły zenitu. Scott zbierał się do wyjścia. Wiedzieliśmy, że więcej się nie zobaczymy, przetrząsnęłam więc kieszenie i wyciągnęłam swoją pechową dwupensówkę.

A potem uklękłam przed Scottem.

Tak jak mój tata dwadzieścia lat wcześniej, uniosłam monetę w palcach niczym ksiądz udzielający komunii. Scott nie powiedział „Amen” i nie wystawił języka, choć przez ułamek sekundy chyba się zastanawiał, czy nie tego właśnie od niego oczekuję.

Głosem zasługującym na akompaniament chóru wyjaśniłam:

„To niezwykle rzadka moneta, Scott. Egzemplarz kolekcjonerski. Coś jak czterolistna koniczyna. Albo kabalistyczny amulet”.

– Co było potem? – pyta Maeve niezainteresowana historią mojej dwupensówki.

On mnie wysłuchał, suko. Opowiedziałam mu coś bardzo osobistego, a on mnie wysłuchał.

Boli mnie jej obojętność.

Zacisnęłam palce Scotta na monecie. „Weź ją” – powiedziałam. Chciałam mu podarować część siebie. Część tej pamiętnej nocy, kiedy zdał sobie sprawę, że uwielbia swoją dziewczynę i nigdy jej nie zdradzi, bo nikt, nawet ja, nie może się z nią równać.

Dla mnie zaś pozbycie się tej monety oznaczało nowy początek, czystą kartę.

– Ile chcesz za tę historię? – Maeve buja się na krawędzi biurka, przymykając jedno oko.

– Nie chcę pieniędzy.

– A czego chcesz?

– Roli dla Michaela. W reklamie telewizyjnej. Cokolwiek uda ci się załatwić. Byle nie w jakimś gównie. Niech to będzie coś z fabułą, jak w tych reklamach z rodzinką Oxo.

Przypieczętujemy umowę uściskiem dłoni.

– A co będzie z tobą? – pyta, zanim wyjdę.

– Ze mną?

Maeve uznaje chyba, że to było pytanie retoryczne.

**Zalicz mnie, Scat!**

Gwiazdor jazzu Scott Delaney stał się obiektem niecodziennej prowokacji. Florence Love, była pracownica urzędu pocztowego ze wschodniego Dorset, próbowała uwieść celebrytę na prośbę niepoczytalnej fanki. Panna Love musiała jednak obejść się smakiem – muzyk okazał się odporny na jej sztuczki. Co więcej, zadeklarował dożgonną miłość do swojej obecnej partnerki, perkusistki Elle Mueller.

Zdjęcia zrobione w trakcie prowokacji przedstawiają pilnie strzegącego swojej prywatności artystę w negliżu i pod wpływem alkoholu. Rzecznik pana Delaneya, Harvey Cadwalader, wydał następujące oświadczenie: „Panna Love wprowadziła Scata w błąd, udając, że jest mu życzliwa. Głęboko go zraniła swoim zachowaniem. Scat jest nią rozczarowany i zażenowany tym, że z jej winy sprawił przykrość swojej partnerce oraz najbliższej rodzinie”.

W wywiadzie udzielonym na wyłączność gazecie „Daily News”, obłudna podwójna rozwódka (wymiary 86–71–89) opowiada ze szczegółami o niefortunnej próbie uwiedzenia muzyka światowej sławy (strony 6–11).

W niedzielę 27 lipca moja twarz widniała na pierwszej stronie wiodącego brytyjskiego brukowca.

Z końcem sierpnia wiedział już o mnie cały świat.

Opinia publiczna obeszła się ze mną łagodniej, niż na to zasługiwałam, a to za sprawą dwóch czynników. Po pierwsze, wszyscy kochają seksowne laseczki w typie Jessiki Rabbit, krzykliwe nagłówki i żenujące wyznania okraszone odpowiednią dozą szczerości. Po drugie, bardzo się pilnowałam, żeby nie epatować czytelników swoją inteligencją – na czas wywiadu moje komórki glejowe pozostawały w stanie uśpienia. Jak stwierdziła Maeve, na świecie jest wystarczająco dużo inteligentnych kobiet; te brzydkie mogą prezentować swoje poglądy w programie *Newsnight*.

Przez pewien czas na dachu budynku naprzeciwko mojego mieszkania koczowali paparazzi. Paru wariatów dzwoniło dla żartu do moich drzwi tylko po to, żeby dać nogę, zanim otworzę.

Zgodnie z umową miałam ciągnąć tę grę przez cztery tygodnie.

Maeve przystała na moje warunki. Miesiąc to więcej niż trzeba, żeby media zdążyły zrobić ze mnie moją własną karykaturę.

Potem sprawa umarła śmiercią naturalną.

Oczywiście proponowano mi wywiady telewizyjne, napisanie książki, własną rubrykę w czasopiśmie kobiecym, nawet występ w programie *Celebrity Big*

*Brother*, ale za każdym razem odmawiałam. Nie zależało im na prawdzie, tylko na sensacyjnej pożywce dla mas. Co za ironia: wszyscy zadawali mi pytania z rodzaju tych, na które ludzie naprawdę chcą znać odpowiedzi...

Czy kiedykolwiek brałaś udział w miłosnym trójkącie? Jak się nazywała najbrzydsza osoba, z jaką się bzykałaś? Czy gdyby twoja matka miała zostać zamordowana – gdyby groziła jej potworna śmierć w długich i wymyślnych męczarniach, a ty musiałabyś na to patrzeć i jedynym sposobem, aby ocalić jej życie, byłoby się z nią przespać, to czy byłabyś gotowa to zrobić?

Tak czy inaczej, pod względem dziennikarskim utarłam Maeve nosa, prezentując w mediach pełnię swojego potencjału, że tak powiem.

„Dziennik prowokatorki”. „Blog detektywistyczny”. Jestem na topie, Maevie. Teraz już rozumiesz, co straciłaś? Żyjemy w świecie, którym rządzą instynkty, a ludzie są tak zaprogramowani, żeby przedkładać pewne czynności biologiczne nad inne. Mam na myśli seks. Wychodzi na to, że dla kobiet takich jak ja zawsze znajdzie się rynek.

„Dla kobiet takich jak ja”...

Jeśli idzie o szczegóły sensacyjnego materiału, doszliśmy z Maeve do porozumienia – takiego, które uciszyło jej wyrzuty sumienia i moje również. Tym samym połączył nas nowy rodzaj wzajemnego szacunku.

Mimo to wciąż na swój widok unosimy konfrontacyjnie podbródki, mrużymy powieki i trzymamy gardę w gotowości. Osoby o tak patologicznych skłonnościach jak Maeve zawsze starają się wybrnąć z godnością ze związków równie popieprzonych jak nasz.

Marlboro Man może się wypchać. Jego żona nadal mnie uwielbia.

Nie wyjechałam do Manchesteru, chociaż pewnego dnia to zrobię. Jeszcze się przekonacie.

Wróciłam za to na krótko do Laurelbridge i wyznałam wszystko tacie. Opowiedziałam mu o swojej pracy, Scotcie Delaney i Pieterze de Groocie. Fatalnie to przyjął.

Po tym, jak bomba wybuchła, wystarczyła mi przechadzka po wiosce, żeby się przekonać, że tacie złość szybko przejdzie. Kobiety z Laurelbridge uznały mnie za lokalną celebrytkę, w związku z czym tata również zrobił się sławny. Nareszcie przestano go postrzegać wyłącznie przez pryzmat zaginionej żony – jego córka okazała się samorodnym talentem z Dorset. Wszyscy zawsze wiedzieli, że jestem stworzona do wielkich rzeczy. Guzik prawda. Nikt tutaj nie mógł mieć pojęcia, że będę się kiedyś całowała ze Scottem Delaneyem przez niespełna dwadzieścia sekund z języczkiem. A teraz każdy chciał mieć kawałek mnie na własność.

Później były niedzielne dodatki.

Dziennikarze rozpływali się nad tym, jaki to ze Scotta Delaneya uczciwy facet. Staroświecki amant, którego łatwo zwieść na manowce, lecz który nawet na

chwilę nie przestaje kochać swojej dziewczyny. Mój wywiad tylko ugruntował jego reputację wiernego kochanka. Przypuszczam, że jego menedżer zastanawia się teraz, czyby go częściej nie spuszczać z łańcucha.

Magazyny „Loaded” i „Cosmopolitan” opublikowały odświeżone i nieco bardziej pikantne wersje artykułów z lat osiemdziesiątych na temat tego, czy kobieta i mężczyzna mogą się ze sobą przyjaźnić.

Hm, chciałabym myśleć, że mogą.

Nigdy więcej nie spotkałam się ze Scottem Delaneyem.

On i Elle przetrwali medialną burzę, jaka się wokół nich rozpętała. Dziewczyna, o której istnieniu nikt nie wiedział, od razu zyskała powszechną sympatię. Scott nie wziął udziału w ceremonii rozdania Urban Music Awards – okazało się, że nie ma w zwyczaju chadzać na podobne imprezy. Scott i Elle nie ogłosili zaręczyn. Nie mogli tego zrobić w sytuacji, gdy tyle kobiet oszalało na punkcie niemal stuprocentowo wiernego gwiazdora, którego prawie – prawie – można uwieść. A może Scott nie potrafił się jednak zaangażować, bo nie dawały mu spokoju romantyczne wspomnienia o mnie?

Co zaś do Pietera de Groota...

Nie wymieniłam jego nazwiska jako zagranicznego polityka, który mnie wrobił. Skompromitowałam go, więc on skompromitował mnie – na pewien czas mogłam zapomnieć o dalszej karierze. Byliśmy kwita. Gdyby jednak wiadome nagranie wypłynęło w sieci albo pojawiły się inne oczerniające mnie informacje, nie omieszkam gnoja wystawić i opowiedzieć całemu światu o naszym wspólnym wieczorze. Maeve przekazała mu tę groźbę przez jego goryla Gustava.

Minister i ja ogłosiliśmy zawieszenie broni.

Natomiast moja matka...

Milczała, jak to ona. Żadnych kart z „&ratulacjami” wsuniętych ukradkiem przez szczelinę pod drzwiami. Przez chwilę zastanawiałam się, czy tamte życzenia urodzinowe – z dopiskiem „Te&o dnia myślę o Tobie” – nie były przypadkiem bonusowym ciosem poniżej pasa, wymierzonym mi przez ministra de Groota. Ale podrabianie życzeń od nieżyjących matek byłoby jednak w złym tonie z perspektywy zasady *gedogen*.

Tak więc na pewien czas odłożyłam na bok sprawę matki i Erica Steensena oraz Noaha – zwłaszcza sprawę Noaha. Trudno mierzyć się ze wszystkim naraz.

## Śmierć

– Cześć, laleczko. Może mnie dzisiaj uwiedzisz?

Pan Szynszyla zrobił się ostatnio niemożliwy, chociaż ten pozbawiony jaj kretyn wciąż mnie ignoruje, kiedy w pobliżu jest jego dziewczyna, która, nawiasem mówiąc, promiennie się na mój widok uśmiecha. Najwyraźniej według niej dobrze się znamy, skoro czytała o mnie w gazecie. Rodzinie i znajomym z pracy przedstawia mnie zapewne jako swoją najbliższą przyjaciółkę, choć w gruncie rzeczy zamieniłyśmy ze sobą raptem kilka słów.

Dla Pana Szynszyli zaś jestem potencjalną zdobyczą – pod warunkiem, że jego panny nie ma akurat w budynku.

– Wal się – odpowiadam.

– Po co, skoro mam cię po sąsiedzku? – Przygląda się, jak przekręcam klucz w zamku i zbiegam na dół po schodach.

Celowo nie kręcę biodrami, tylko tupię jak babochłop.

Mimo to woła za mną: – Jestem chętny, kiedy tylko zapragniesz! Możesz mnie uwieść za darmo!

Tak jakbym to ja płaciła facetom za tę wątpliwą przyjemność. Co za pojeb.

Plan na dzisiaj: wyrwać się z mieszkania i zajrzeć do biura.

Nie byłam tam od dwóch miesięcy. W zasadzie w tym czasie w ogóle rzadko wychodziłam; wolałam się kisić we własnym sosie.

Z początku się denerwuję, ale brodaci chłopcy w recepcji traktują mnie uprzejmie. Albo nie są mną zainteresowani, albo przez ostatnie czterdzieści dni odbywali ścisłą kwarantannę po powrocie z Księżyca – jeżeli nawet mnie poznają, skrywają to skrzętnie. Staruszkowie w środku są równie niewzruszeni. Jednoczesne wyszukiwanie informacji o osobach zmarłych i jednoczesne rozpoznawanie światowej sławy uwodzicielki przewyższa ich możliwości – neurodegeneracja to fakt potwierdzony naukowo.

Zupełnie jak za dawnych dobrych czasów...

Wciągam nosem zatechłe powietrze – zapach starego papieru jak zawsze poprawia mi humor. Czuję się tutaj bezpieczna.

Spostrzegam Zannę, podchodzę i wymierzam jej żartobliwego kuksańca w ramię.

– Jak leci?

Odwraca się, a ja natychmiast zauważam w jej twarzy cierpienie. Oczy ma zamglone, jakby cierpiała na kataraktę, a skórę barwy popiołu.

– Co się stało?

– Norman. – Nie musi nic więcej dodawać.

Niespodziewanie ogarnia mnie rozpacz. Z trudem powstrzymuję łkanie.

Prawie faceta nie znałam; prawdę mówiąc, był jednym z najmniej przeze mnie lubianych staruszków. Nie dlatego, że nie był uroczy – a nie był – ale ponieważ był cudzołożnikiem uwielbiającym dźwięk własnego głosu.

– Na co umarł? – pytam.

Zanna kładzie rękę na mojej dłoni i odpowiada takim tonem, jakby się obawiała, że mogę zemdleć:

– Miał złamane serce.

Chryste. Przytrzymuję się blatu stolika.

– Jego żona, ta Francuzka – kopnęła wreszcie w kalendarz?

Zanna kiwa głową.

– Kiedy?

– W dziewięćdziesiątym trzecim roku.

Prostuję się gwałtownie.

– To ponad dwadzieścia lat temu.

W jej słabym głosie słychać żal.

– Norm nigdy tego nie przeboleł.

Pojawia się poczucie winy.

Powinno być okazać większe zainteresowanie jego historiami. Nie był żadnym cudzołożnikiem, tylko byłym jeńcem wojennym, który dwukrotnie nawiał szkopom – raz bez kawałka nogi, drugi raz z kulą w czaszce. Potem przyłączył się do francuskiego ruchu oporu, mieszkał w trumnie i zakochał się w córce rolnika, którą przywiózł do Anglii, poślubił, a następnie zapłodnił. Ponieważ był jurny, urodziła im się córka, bo tylko jurni mężczyźni mają córki.

– Jego życie przypominało film, tyle że było prawdziwe – mówię. – Gdyby tylko nie powtarzał tych swoich opowieści tyle razy! Wywietrzył z nich przez to cały dramatyzm.

Zanna, która dobrze zna przeszłość Normy, otula się ciasniej zrobionym na szydełku rozpinanym sweterkiem i wbija w kąt niewidzące spojrzenie. Uważa, że jestem infantylna, nie mam co do tego wątpliwości.

Mimo to jej oczy proszą mnie o ostatnią przysługę.

– W najbliższy piątek jest jego pogrzeb.

Unoszę przesuwne okno w swoim mieszkaniu na ostatnim piętrze i oddycham jesiennym powietrzem. Pachnie świeżo upieczonymi ciastkami i benzyną, chociaż wyczuwa się w nim także rychłą zapowiedź słonecznych mroźnych poranków.

Słyszę zawodzenie syren policyjnych, pisk autobusowych hamulców, nieustający szum ruchu ulicznego, dobiegające z chodnika gniewne głosy. Mimo całej różnorodności etnicznej, przechodniów jednoczy wspólny język wyzwisk:

„Wal się!”, „Sam się wal!”, „Ty się wal!”.

Dawniej odbierałam te pokrzykiwania jako rodzaj sympatycznego

przypomnienia, że nie jestem sama. Dzisiaj brzmią bezbarwnie, jakby sceny rozgrywające się na dole w ogóle mnie nie dotyczyły.

To był kiedyś mój plan filmowy. W tej produkcji to ja grałam pierwsze skrzypce.

Nikt nie podgląda mnie z dachu budynku naprzeciwko. Jego widok budzi we mnie tylko bolesną refleksję: ludzie naprawdę potężni nie muszą już na mnie nasyłać prywatnych detektywów, żeby się brutalnie zemścić za doznane upokorzenia. Moje dni w roli Isabelli Purdy-Valentine dobiegły końca. Stałam się kimś innym, wystawionym na widok publiczny. Ludzie nie chcą mnie krzywdzić – chcą się ze mną zaprzyjaźnić, ale tak, żebyśmy nie byli prawdziwymi przyjaciółmi.

Wiem, co jest dla mnie bardziej przygnębiające.

W komputerze rozlega się sygnał oznajmiający nadejście nowej wiadomości.

Re: Zaginiony pszyjaciel

Środa 24/9/14, godz. 13:38

Od: tarikma68@yahoo.co.uk

Do: info@londonpiseservices.uk.net

Szanowni Państwo,

Mój pszyjaciel opóścił Brazylię. On teraz we Włoszech, gdzie wstąpił do mafii. Czy mogę liczyć na zniszkę i pomoc w odnalezieniu kogoś, kto wstąpił do mafii?

Z poważaniem,

Tarik Mohammad Amazigh

Facet jest niepoprawny, ale zawsze tak samo mnie rozwesela. Już mam mu odpisać, gdy słyszę pukanie do drzwi. Sięgam po gaz pieprzowy. Nie boję się, ale mam świadomość, że Pan Szynszyla wygląda niczym urzędnik państwowy, którego nikt by nie podejrzewał, że jest zdolny zgwałcić i zamordować sąsiadkę.

Wyglądam przez wizjer. Nikogo nie widać.

– Kto tam? – wołam.

Sébastien robi krok w tył, zadziera głowę i potrząsa wypchaną siatką.

– Zrobiłem ci zakupy! – odkrzykuje przez dziurkę od klucza.

Otwieram drzwi, a on mija mnie i zaczyna układać jedzenie w kuchennych szafkach.

Od czasu skandalu ze Scottem Delaneyem Sébastien dba o to, abym dobrze się odżywiała. Nie mam pojęcia dlaczego. Zjawia się dwa razy w tygodniu i mówi głośno i wyraźnie, jakbym była przygłucha. Poza tym zmywa i zbiera z podłogi moje brudne majtki. Mam wrażenie, że wygrałam kanadyjskiego skauta na loterii – takiego trochę złowrogiego, który w wolnym czasie najprawdopodobniej obmyśla nieczne psoty.

- Nie było takiej potrzeby – informuję go.
- Przynajmniej mam co robić – odpowiada.

Jąkanie przeszło mu jak ręką odjął. Sébastien przypisuje ów cud mojemu bratu oraz jego umiejętności dostrzegania piękna ukrytego w każdym człowieku.

Aż mnie mdli, jak to słyszę.

Jedzenie, które mi kupuje, to kompletna porażka – przypadkowa mieszanka niezharmonizowanych ze sobą produktów radžasowych, sattwiczych i tamasowych. Doktor Malik byłby w szoku. Ale nie krytykuję Sébastiena – wszystko jest bardzo smaczne, poza tym od jakiegoś czasu nie spotykam się z moim trenerem rozwoju osobistego. Powiedzmy, że na razie odstawiłam na bok ajurwedę. Od czasu do czasu warto dla odmiany kierować się własnym wyczuciem – to dopiero działa terapeutycznie!

Sébastien podnosi z podłogi moje majtasy – z tych wygodnych, które nosi się podczas okresu – strząsa je i układa równo na kaloryferze.

Mógłby się pośpieszyć i zostawić mnie w spokoju.

Zanim się tu wdarł nieproszony, miałam już obmyślony cały plan: łyknąć kilka tabletek zopiklonu i nie wstawać z łóżka aż do piątku, ponieważ poza pogrzebem Norma nic ciekawego mnie na razie nie czeka.

– Może wybralibyśmy się dziś wszyscy razem na kolację? Ty, ja i Michael?  
– proponuje Sébastien.

– Nie – burczę. – Co słyhać u mojego brata?

Sébastien przykładą osiem palców do swojej wątlej piersi.

– Jest bardzo zajęty i bardzo spełniony.

Mam nadzieję, że mówi o karierze Michaela, która istotnie rozwija się w oszałamiającym tempie. Wystąpił dotąd w reklamie margaryny roślinnej oraz klipie promującym sieć siłowni. W obu przypadkach zagrał faceta na bieżni. Nie martwi go jednak, że zostanie zaszufładowany, zwłaszcza że ma już obiecaną jednodniową rolę statysty w bożonarodzeniowym odcinku specjalnym serialu *Coronation Street*.

Nasz tata pęka z dumy.

Sébastien przysiadą na krawędzi materaca.

– Myślałaś o tym, żeby wrócić do pracy?

– Nie. – Postanawiam zwinąć świeżego skręta na potem, kiedy wresz cie zostanę sama. Marihuana sypie się na bibułkę niczym świeży tymianek do imbryka.

– Finansowo u mnie wszystko gra.

To akurat prawda.

„Daily News” wypłaca mi stałe honorarium. Wcale tego nie chciałam, lecz ich prawnicy bardzo nalegali. Dostaję podstawową miesięczną pensję i w związku z tym pod względem prawnym stanowią własność Daily News Corporation. Nie wolno mi sprzedawać innym redakcjom żadnych nowych sensacji, jak również



swoich przemyśleń ani refleksji. Mój intelekt, ciało i dusza należą obecnie do Toby'ego Callaghana, człowieka, którego nie widziałam na oczy.

Nie mam siły protestować.

– No cóż, gdybym mógł ci się na coś przydać... – Sébastien wstaje i zaczyna zbierać brudne ścierki do naczyń, chyba po to, żeby wziąć je ze sobą do domu i wyprać.

– Prawdę mówiąc, mógłbyś. – Celuję w niego skrętem i uśmiecham się. – Masz może samochód?

Słowo o anatomii Sébastiena: ma dłonie dorosłego mężczyzny, tyle że wyglądają jak u lalki. Nawet przypominają plastikowe, jakby wstrzykiwał w nie botoks (tak jak we wszystko inne, co znajduje się u niego powyżej obojczyków). Szanse na to, że byłby zdolny kierować pojazdem zaprojektowanym dla kogoś normalnej wielkości, są bliskie zeru.

– Owszem, mam – kiwa głową.

– Serio?!

– Mam pikapa.

Chyba zaraz padnę.

– Takiego zabawkowego?

– Nie, forda serii F dwunastej generacji. Chciałabyś go pożyczyć?

– Tak się składa, że aktualnie nie mam prawa jazdy. Byłabym jednak wdzięczna, gdybyś mnie gdzieś podrzucił, Seb.

Nigdy jeszcze nie zwróciłam się do niego „Seb”. Uśmiecha się od ucha do ucha.

– Teraz?

– W piątek.

– Nie ma sprawy.

– Ubierz się na czarno. Jedziemy na pogrzeb.

Jest już przy drzwiach, gdy wołam:

– Dlaczego robisz dla mnie to wszystko?

Sébastienowi opadają ręce. Odwraca się i patrzy na mnie jak na rozkosznego brzdąca.

– Michael martwi się o ciebie. Sądzi, że masz depresję.

– Boi się, że skończę ze sobą jak nasza mama.

– Właśnie.

– No to niech się nie boi, bo tego nie zrobię.

Mówię prawdę.

Większość moich dni i zaprawianych zopiklonem nocy jest całkiem znośna. Poza tym odebranie sobie życia byłoby zaprzeczeniem wszystkiego, czym zawsze się kierowałam. Samobójców nikt nie nagradza oklaskami. Do tego jestem ateistką – pokażcie mi ateistę, który chciałby umrzeć. Nawet jeśli – co mało

prawdopodobne – istnieje jakaś wyższa istota i jest Ona (On?) dajmy na to naukowcem przeprowadzającym empiryczne obserwacje na licznych planetach, w tym także na Ziemi, trudno sobie wyobrazić, aby znalazła (znalazł?) czas na stworzenie jeszcze jednej atrapy rzeczywistości dla tych z nas, którzy wykorkują – w dodatku takiej, która byłaby formą podziękowania za dotychczasowy trud i zrekompensowałyby nam udział w tym beznadziejnym eksperymencie.

– Świetnie – cieszy się Sébastien. – Ponieważ jednak Michael nie może być teraz przy tobie tak często jak dawniej, ja go zastępuję.

– Ale dlaczego?

– Bo go kocham, głuptasie.

Śmieję się głośno, bo koleś jest w błędzie. To ja kocham Michaela.

Sébastien bierze moje szyderstwo za radość.

– Ten fakt stawia nas oboje po tej samej stronie barykady – dodaje. Przygląda się swoim kolanom, głośno przełyka i oświadcza z powagą, jakby ćwiczył to wcześniej wiele razy: – Naprawdę go kocham, Florence.

Skręt miał być na później. Mimo to wtykam go między wargi i podsuwam sobie popielniczkę pod brodę.

– Tylko się przypadkiem nie pobierzcie, zrozumiano?

Sébastien przysięga uroczyście, jakbyśmy byli najlepszymi kumplami:

– Słowo honoru, że nie.

– Zaadoptujcie jednego z tych piesków, które mieszczą się w kieszeni albo coś. – Nie odrywając od niego wzroku, zapalam skręta. – Piątek, dziewiąta rano. Nie spóźnij się.

## Początek

Słowo o kremacji: aż do roku 1966 Kościół katolicki sprzeciwiał się spopieleniu zwłok. Spopielenie za życia było natomiast zupełnie w porządku – o ile chodziło o czarownice albo heretyków. Pośmiertne spalenie uważano jednak za nieracjonalne – Bóg nie miałby ciała, które mógłby wskrzesić potem do wiecznego życia.

Protestanci dla odmiany wykazali się większą wiarą w nadnaturalne zdolności naszego Pana. Tłumaczyli sobie, że skoro potrafi wskrzesić garść prochu, dlaczego nie miałby także wskrzesić garści popiołu? Postawili więc na procesy spalania, odparowywania i utleniania.

Dziwna rzecz: chociaż przyszedłam na świat po 1966 roku, odziedziczyłam w genach przestarzały rzymskokatolicki pogląd, że kremacja to coś bardzo złego. Nie dla nieboszczyka, tylko dla tych, którzy są zmuszeni się jej przyglądać.

No i proszę: uczestniczę w pogrzebie kogoś, kogo ledwo znałam, niemniej jednak mam ochotę zerwać fioletową zasłonę i objąć ramionami trumnę, rycząc wniebogłose: „Nieeeee!” Co za barbarzyński rytuał. Mimo wszystko jakoś się trzymam. Przypominam sobie, dlaczego tutaj przyszedłam: aby po raz ostatni wysłuchać historii z życia Norma:

„Jeniec wojenny o niezwykłej odwadze... wymknął się szkopom... z kulą w głowie... przyłączył się do francuskiego ruchu oporu... mieszkał w trumnie... zakochał się w pięknej cudzoziemce...”.

Kiwam głową ze wzrokiem wbitym w sufit, aby pokazać duchowi Norma, że to naprawdę świetna opowieść.

Pastor kończy przemowę, wspominając jeszcze o śmierci żony Norma w 1993 roku. Kategorycznie przy tym zaznacza, że nie wolno nam się smucić, gdyż oboje połączą się znowu w Królestwie Niebieskim, gdzie żyć będą w pokoju na wieki wieków, amen.

Chyba nie zachowałabym się właściwie, gdybym podniosła teraz rękę do góry i zapytała, skąd on to wie.

Ceremonia dobiega końca. Zanna, Sébastien i ja z powagą opuszczamy kaplicę w szyku procesyjnym przy wtórze chwytającej za serce pieśni *Wind Beneath My Wings* w wykonaniu Bette Midler.

Gdy ze spuszczonej głowami mijamy zaciągniętą zasłonę, jednego jestem pewna: tylko jedna osoba mogła wybrać ten utwór – absolutny hit wśród żałobnych ballad – na pożegnanie Norma: kobieta, której nie dane było spędzić z nim całego życia. Zanna.

Wychodzimy na zewnątrz, na wybetonowany dziedziniec. Patrzą na Zannę – stoi zagubiona niczym podstarzałe dziecko. Sięga do kieszeni po chusteczkę do

nosa; żałobnicy potrącają ją łokciami, przepychają się, żeby obejrzeć tandetne wieńce.

Zauważam, że ogrody przylegające do krematorium są zaskakująco barwne, zważywszy na porę roku i to, że tutejsza gleba w dziewięćdziesięciu procentach składa się z ludzkich prochów. Niewidzącym wzrokiem omiatam rabaty przyprószone białym pyłem – w kolorze duchów – i myślę o Normie.

Dochodzę do następujących wniosków:

To taka cholerna strata – mam na myśli jego nieodwracalnie złamane serce. Strata, bo więzi międzyludzkie to nic innego jak okrutna sztuczka ewolucji. Miłość Norma do żony nie była jakimś nieziemsko romantycznym uczuciem, tylko niezwykle skutecznym narzędziem służącym reprodukcji. Tak samo jest z miłością matki do jej potomstwa. Wystarczy spojrzeć na inne gatunki – owszem, matczyzna miłość przejawia się na rozmaite sposoby, ale pełni dokładnie tę samą funkcję: chodzi o zapewnienie młodym przetrwania.

Weźmy na przykład ośmiornice.

Samice bronią jaj z takim oddaniem, że wysiadując je, wcale nie polują. Jeżeli zgłodnieją, zjadają kolejno własne odnóża. Jak tylko młode się wylęgną, matka umiera z wycieńczenia, okaleczona, lecz szczęśliwa, że wykonała zadanie.

Albo weźmy Bambi.

Możliwe, że zniknęła dla naszego dobra – mojego i Michaela. Żeby zapewnić swojemu potomstwu przetrwanie.

Delikatnie pocieram się palcem w ramię.

Weźmy też babcię, kolejny przykład matczynego oddania: wujek Fergus był okropnym synem. Kompletnie nieodpowiedzialny, pojawiał się i znikał z jej życia, pożyczał pieniądze i nigdy ich nie oddawał, sypiał z cudzymi żonami, całował w usta małe dziewczynki, zapominał o urodzinach własnej matki, nie pofatygował się nawet, żeby być przy jej łożu śmierci ani na pogrzebie. Mimo to ona nie chciała za życia słyszeć choćby jednego złego słowa pod adresem swojego najmłodszego syna.

Wujek Fergus...

Kiedy właściwie widziałam go po raz ostatni?

Na pewno w dniu, w którym złączył swoje usta z moimi, pozbawiając mnie w ten sposób niewinności. Może jeszcze przelotnie kilka razy później, chociaż nie zostawaliśmy wtedy sam na sam.

W moim mózgu przeskakuje iskra.

– Sébastien! – wołam. – Odwieź mnie do domu. – Moje synapsy nareszcie pracują pełną parą i coś wydaje mi się wyjątkowo podejrzane.

Wujek Fergus przez cały dzień próbował szeptać mi coś do ucha. W jego aucie czeka na mnie prezent, ale to ma być nasza tajemnica. Nie wiem, z jakiej okazji – bądź co bądź, dzisiaj są urodziny babci, a nie moje. W zasadzie nie chcę

tego prezentu. Nie dlatego, że nie lubię ich dostawać – mam dopiero sześć lat – ale ponieważ wujek należy do oślizłych typów, którzy trochę za długo się przytulają i kładą dziewczynkom ręce zbyt blisko różnych wstydliwych miejsc.

Trzymam się więc mamy, lecz ona wstawia do piekarnika jedne przekąski, wyjmuje inne i przegania mnie jak natrętnego szczeniaka. W końcu idę do siebie, żeby pobawić się w spokoju lalką Barbie.

W przeciwieństwie do większości moja Barbie nie jest blondynką. Wygląda jak rodowita Hiszpanka. Ciocia Carina Campanella przysłała mi ją z Monte San Savino we Włoszech. Ciocia to siostra mamy, której nigdy nie widziałam, ale która bardzo mnie kocha. To dlatego, że ciocia Carina zna mamusię na wylot, a zatem mnie również zna.

Według cioci ta ciemnowłosa Barbie to moja bliźniaczka.

Nieprawda.

To bliźniaczka Isabelli Purdy-Valentine, najładniejszej dziewczynki w szkole. To takie niesprawiedliwe. Ona ma zęby proste jak linijka, moje rosną pod najdziwniejszymi kątami. Do tego mam między nimi przerwy. Nie obchodzi mnie, co ludzie mówią – przerwy między zębami nie przynoszą w życiu szczęścia. Do tej pory nie miałam żadnego chłopaka.

Mimo to oddałabym wszystko, żeby mieć obcisłą różową sukienkę jak moja sniada Barbie. Wiązaną na szyi. Niestety, nie mam takiej figury jak ona, poza tym mama nigdy nie pozwoliłaby mi włożyć takiej kiecki – nawet w wieku dwunastu lat. Nie to, co mama Isabelli Purdy-Valentine, która dała córce imię godne gwiazdy filmowej. Ja dostałam swoje na cześć miasta. To takie przyziemne.

Podsakuję w górę na metr, gdy wujek Fergus zagląda za łóżko, gdzie siedzę wciśnięta w kąt i żalę się swojej lalce.

Spoglądam na niego pełna poczucia winy.

Brat taty jest wysoki i pulchny. Bez pytania wciska się obok mnie. Łóżko przesuwa się trochę, wydając przy tym odgłos zarzynanego prosiaka.

Robi się ciasno i chcę wyjść, lecz wujek Fergus podciągnął swoje tłuste kolana pod brodę i zagraża mi przejście. No i ma ze sobą ten prezent, o którym mówił. Kładzie mi go na podołku.

– Wybrałem się po niego specjalnie na Capri.

Do Gwiazdki daleko, ale paczka jest zawinięta w papier z reniferami. Jestem trochę podekscytowana. Prezent okazuje się fantastyczny: to kuferek na kosmetyki – taki sam, jaki ma mama, tylko jej jest beżowy. Mój ma różowy kolor, a w środku znajduję plastikowy grzebyk (o zaokrąglonych ząbkach), lusterko z plastikowym uchwytem (ze sztucznego szkła) oraz plastikową buteleczkę perfum (pustą, ale z dziurką na prawdziwe perfumy).

Jak tylko wydostanę się z za łóżka, pożyczę od mamy jej zapach Charlie, przeleję trochę do swojej różowej buteleczki, a resztę rozcieńczę wodą, żeby nikt

się nie zorientował.

– To będzie nasz sekret – mówi wujek Fergus, przyglądając się końcówkom moich włosów, jakby były ładne. Mimowolnie się cofam, ale nie bierze sobie tego do serca.

– Nie mam nic dla twojego braciszka.

Macham lekceważąco ręką, bo jedyne, o czym teraz myślę, to żeby stąd zwiać. Jak najszybciej.

– W sumie urodziłaś się pierwsza, więc dlaczego wujek nie miałby cię od czasu do czasu obdarować jakimś drobiazgiem?

Ponoszę część winy za to, co teraz następuje. Prezent bardzo mi się podoba, ale jeszcze bardziej chcę, żeby wujek sobie poszedł. Poza tym już raz się cofnęłam, co było niegrzeczne i niewdzięczne z mojej strony.

Mówię więc to, co – mam nadzieję – wujek pragnie usłyszeć.

– Będę milczała jak grób.

– Znakomicie. Nie chcielibyśmy zdenerwować mamusi ani tatusia.

– To może schowam gdzieś ten kuferek? – proponuję rozsądnie jak duża dziewczynka.

– Koniecznie, skarbie. Nie spodobałoby im się, że ci go dałem. Oboje wiemy, kto jest ich ulubieńcem.

Marszczę czoło. To było bardzo niemiłe. Sama czasami tak myślę, lecz jeśli coś takiego mówi dorosły, brzmi to bardzo prawdziwie. W istocie czuję się tak skrzywdzona, że mam ochotę uderzyć go w tę jego starą, obwisłą twarz, która niespodziewanie się do mnie przysuwa. Jest tak blisko – za blisko – że czuję zapach jego włosów. Pachną dymem papierosowym.

– No, dalej, daj wujkowi Fergusowi buziaka i podziękuj.

Poklepuje spoczywający na moich kolanach kuferek i podsuwa mi swój pękaty policzek.

Cmokam go błyskawicznie, lecz on jest jeszcze szybszy. Odwraca się i przyciska wargi do moich ust.

W tej samej chwili słyszę głos taty. – Fergus? – krzyczy przenikliwie, a ja czuję olbrzymią ulgę.

Chwytam kuferek, okręcam się, wyrywam z uścisku wujka i wskakuję na łóżko.

W drzwiach pokoju stoi tata. Wyraz jego twarzy jasno świadczy o tym, że któreś z nas będzie miało kłopoty. Nawet nie usiłuję ukryć prezentu.

Najstarsza prawda pod słońcem: dzieci są wiecznie na cenzurowanym.

Ze skruchą oddaję tacie kuferek.

Drzwi wejściowe zatrząskują się za mną. Przedramieniem zsuwam ze stołu papiery, opakowania po daniach na wynos i stare egzemplarze „New Scientist”. Potem odpalam laptop. Chwilę to trwa, zanim zacznie działać; ostatnio rzadko go

używałam, przynajmniej nie w celach zawodowych. Nie można być prywatnym detektywem, gdy ma się twarz, którą zna cały świat.

Wyciągam z popielniczki niedopalonego skrzeta.

Nareszcie otwiera się wyszukiwarka, a ja – dzięki nielegalnie pozyskanej subskrypcji rocznych raportów kredytowych – mogę się załogować do jednej z najobszerniejszych baz danych osobowych w Wielkiej Brytanii.

Korzystanie z niej jest w gruncie rzeczy niezgodne z prawem. Popełniam więc poważne przestępstwo.

Niemoralna rada dla początkujących prywatnych detektywów: aby wyłudzić taką subskrypcję, należy zrobić dwie rzeczy.

Po pierwsze, dostać się do Rejestru Ochrony Danych Osobowych (bułka z masłem – wystarczy wejść na ich stronę, wypełnić formularz, przesłać czek i po sprawie).

Po drugie, wcisnąć agencji ratingowej jakiś kit. Możecie skorzystać z poniższych podpowiedzi:

„Tak, dzień dobry, jestem specjalistką do spraw weryfikacji pracowników zatrudnianą przez firmy państwowe i prywatne w celu przeprowadzania w ich imieniu czynności rekrutacyjnych...”.

„Tak, pracuję na zlecenie...”.

„Moje główne zadanie? Selekcja kandydatów na stanowisko...”.

„Naturalnie, ściśle przestrzegam brytyjskich standardów lustracyjnych...”.

„Tak, moja działalność regularnie podlega audytom...”.

„Normy BN 7858:2006, BN 7499, BN 8507-1:2008 oraz BN 8470:2006...”.

„Ostatnia Brytyjska Norma gwarantuje bezpieczne niszczenie wrażliwych danych. Nie słyszeli państwo o tym? No cóż, w mojej branży trzeba być na bieżąco z ustawami o ochronie danych osobowych...”.

„Tak, figuruję oficjalnie w Rejestrze Ochrony Danych Osobowych...”.

„Mój numer? Oczywiście, już podaję...”.

Bingo.

Wpisuję „Fergus Love” i łączę go z nazwiskiem mojej babci, Marthy Love.

Zwykle wyświetla się mnóstwo danych – operacje finansowe, adresy, numery telefonów, nazwy firm, wspólnicy, kierownicze stanowiska, całe wyborne menu złożone z najbardziej poufnych informacji – ale w przypadku wujka Fergususa jest inaczej.

Według rejestru Fergus do dwudziestego piątego roku życia mieszkał z babcią w Plymouth, następnie w kilku kawalerkach. Potem zniknął z radaru i stał się nieuchwytny niczym lord Lucan.

Tak jak w przypadku mojej mamy, ostatni ślad jakiegokolwiek aktywności bankowej Fergususa przypada na rok 1988.

Odsuwam gwałtownie laptop.

Czuję się tak, jakbym właśnie otrzymała cios w obręcz barkową szuflą do przerzucania węgla. Zaskakuje mnie moja własna reakcja – wybucham śmiechem. Nie jest to normalny śmiech, w każdym razie nigdy dotąd się w ten sposób nie śmiałam. Nie jestem nawet pewna, czy wydawanie tego rodzaju dźwięków ma jakiegokolwiek naukowe uzasadnienie; prawdopodobnie jestem pod tym względem wyjątkiem wśród ludzi. Przypuszczam, że Freud uznałby ów dziwny odgłos za odzwierciedlenie nieznośnej dysharmonii moich emocji. Jakkolwiek by było, prawda rozpościera się przede mną w całej okazałości, jak krajobraz na tle nieba

Nie zadaję sobie trudu, aby sprawdzić konkretną datę zniknięcia wujka Fergusa. W głębi duszy już ją znam.

Wizytówka leży obok stojącej przy moim łóżku skrzynki. „Noah Steensen”; poniżej zanotowałam jego numer telefonu.

Odbiera już po pierwszym sygnale.

– Noah? Mówi Florence Love. Co ci wiadomo na temat trupa w aucie mojej mamy?

Jego szkocki akcent jest wyjątkowo wyraźny.

– U mnie wszystko gra, dzięki, że pytasz.

– To co z tym trupem? – powtarzam.

– To nie był mój ojciec.

– Tyle załapałam. Powiedz mi po prostu, kto to był.

W tle słychać trąbienie samochodów, głośne rozmowy, sygnał jadącej karetki – Noah jest na zewnątrz, jednak odpowiada powoli, z namaszczeniem, jakby dysponował nieograniczonym czasem i zamierzał zrobić z tego faktu użytek.

– Podobno chodziło o jakiś interes, który nie wypalił. Moim ojcem zainteresowali się niebezpieczni ludzie, dlatego matka zdecydowała się powiedzieć, że to on był w tym samochodzie. Wyjechaliśmy w nocy, potajemnie. Nie wiem, kim był tamten koleś.

– Skąd ten szkocki akcent?

– Z Inverness. – Podaje mi tę informację z wahaniem, jakby nie był pewien, czy może mi ufać. – Mieszkaliśmy tam przez wiele lat.

– Czego tak bardzo bał się twój tata?

– O takich sprawach nie rozmawia się z dziećmi. Od czasu do czasu rzucali nam jakiś ochłap na odczepnego. Znam to dobrze z własnego doświadczenia. Tata inwestował w przedsięwzięcia związane z wysokim ryzykiem. Wiesz, jakie są dzieciaki – doszliśmy do wniosku, że jest winien kupę forsy chińskiej albo rosyjskiej mafii. I że jeśli nie odda długu, będzie wachał kwiatki od spodu. Tata nie miał wyjścia. Musiał upozorować własne samobójstwo i rozpocząć nowe, sekretne życie na północy.

– Miałeś dwadzieścia pięć lat, żeby mi to powiedzieć, Noah. Dlaczego dopiero teraz zacząłeś za mną łączyć?



– Bo teraz oni oboje nie żyją.

– Kto?

– Moi rodzice.

O śmierci jego ojca wiedziałam, ale mama? Wciągam ze świstem powietrze w płuca.

– Zostali zamordowani?!

– Po prostu umarli. A moja siostra Hannah wyszła za mąż i zamieszkała za granicą.

Pochylam głowę.

– Bardzo ci współczuję.

Noah kompletnie to ignoruje.

– Dzięki temu mogłem swobodnie sprawdzać swoje hipotezy. Nie mogę im już zaszkodzić.

– Ale dlaczego zwyczajnie nie zastukałeś do moich drzwi i...?

Przerywa mi:

– Musiałem się upewnić, że mogę ci zaufać. Mam żonę, dzieciaka, ktoś mógłby szukać zemsty. Wiedziałem jedynie, że w aucie siedział jakiś trup, a moi rodzice byli w to zamieszani. Mogłem sam wystawić się na strzał.

– Nic ci nie grozi – zapewniam go.

– Moja rodzina ukrywała się przez dwadzieścia lat – przypomina mi Noah.

– Wierz mi, że jesteś bezpieczny.

– Skąd to wiesz?

– Bo tamten trup w samochodzie to był mój wujek. Niejaki Fergus Love.

Cisza.

Zerkam na wyświetlacz – połączenie nie zostało przerwane.

W takich sytuacjach niezbędna jest empatia, obniżam więc ton o jedną oktawę.

– Noah, czy ty go znałeś?

– Był przyjacielem mojej mamy.

Szybko kojarzę fakty.

– Była stewardesą albo modelką prezentującą bieliznę, tak?

– Skąd, nic podobnego! Nic ich nie łączyło.

– Najwyraźniej nie znałeś zbyt dobrze Fergususa. – Zhańbiłam dobre imię jego matki. Nie zasługuję na informację, którą Noah postanawia się ze mną podzielić.

– Rzeczywiście, Florence. Za to moja młodsza siostra znała go bardzo dobrze.

– O nie... – Głos mi się załamuje, a ostatnie elementy układanki wskakują na swoje miejsca. – Gdzie teraz jesteś?

– Niedaleko.

– Czyli?

– Właśnie dojeżdżam.

Przysuwam się do okna i odruchowo zerkam na dach naprzeciwko. Naturalnie nikogo tam nie ma, więc ostrożnie wychylam się i spoglądam w dół.

Noah zawadiacko mi salutuje. Zbliża się szybko długimi krokami, pchając z boku swojego triumpha scramblera.

– Więc jednak mnie śledzisz.

– A ta znowu swoje... – Nie musi krzyczeć; jego dudniący bas bez trudu dociera aż na siódme piętro.

– Boże drogi, oczywiście, że mnie śledzisz.

– Wariatka.

– Podglądacz. – Otwartą dłonią uderzam o parapet, a potem przytrzymując krawędź, patrzę, jak Noah podchodzi do wejścia.

Kopnięciem prostuje nóżkę motocykla i opiera na niej maszynę, po czym zadziera głowę jak najwyżej i przygląda mi się. Stoi na szeroko rozstawionych nogach, a narzucony na ramiona granatowy sweter powiewa za nim na wietrze niczym peleryna superbohatera.

– W dzieciństwie częściej się uśmiechałeś! – wołam do niego.

– W przeciwieństwie do ciebie – odpowiada.

Siedzę na parapecie, z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

– Kiedy miałam sześć lat, wujek Fergus pocałował mnie w usta – rzucam nonszalancko, chociaż jakaś część mnie wciąż czuje się winna z powodu tego, co wtedy zaszło. To było niewłaściwe i ohydne, zgoda, ale kuferek tak bardzo mi się podobał! Nie zasługuję na współczucie.

Noah wcale mi go nie okazuje.

– Wygląda na to, że łagodnie się z tobą obszedł.

– Jak to? – pytam odrobinę za szybko. – Skrzywdził cię jakoś?

Marszczy gniewnie brwi.

– Po co ci ta informacja, do diabła?

– Po nic. – Zawstydzam się. – Tak tylko zapytałam.

Chociaż faktem jest, że chcę to wiedzieć – jestem gotowa poznać całą prawdę.

Noah mówi mi aż za wiele:

– Powinnaś się raczej martwić o to, co zrobił Michaelowi.

Szok zaburza moje poczucie równowagi. Głowa ciąży mi jak balast i ściąga moje ciało w tył; niewiele brakuje, żebym wypadła przez otwarte okno na chodnik siedem pięter niżej. W panice wyciągam przed siebie rękę i przytrzymuję się zasłony. Ta zrywa się z trzaskiem z karnisza.

– Michael miał wtedy trzy latka – szepczę.

– A przedtem dwa, a wcześniej rok. Pewnie nigdy się nie dowiemy. – Noah krzyżuje ramiona, odcinając się od tego tematu.

Ale ja nie potrafię.

I nie chcę.

Sięgam pamięcią wstecz. Na moje pytanie, czy pamięta wujka Fergusa, Michael odparł, że tak, ale słabo. Czy to za sprawą Fergusa umysł mojego brata się wykoleił?

Słowo o spóźnionym refleksie: gdyby ktoś nie zamordował Fergusa, sama bym to zrobiła, do kurwy nędzy!

Może niepotrzebnie krzyczę, ale nagle dociera do mnie cały dramatyzm tej sytuacji.

– Czy to nasi rodzice go zabili?

Noah Steensen uśmiecha się krzywo, jakby coś nieoczekiwanie zrozumiał, a ja wreszcie go poznaję.

To takie oczywiste. Znamy się przecież od lat.

Chłopiec w marynarce Dona Johnsona.

Niezwykle ożywiona nakreślam tło wydarzeń, jakbyśmy spotkali się na zlocie absolwentów...

– To jasne, że musieliście zamieszkać gdzie indziej. Twój tata i moja mama byli kozłami ofiarnymi. Ale jak oni to zrobili, do cholery? Mam na myśli morderstwo. Psiakrew, bo to było morderstwo. Nasi rodzice zamordowali Fergusa. Żeby zatrzeć za sobą ślady, upozorowali samobójstwo twojego taty, który rzekomo zatruł się spalinami w samochodzie. Może zresztą naprawdę musiał zniknąć z powodów biznesowych, tak jak mówiłeś.

– A co z policją? Z identyfikacją ciała? – Noah odsuwa z czoła grzywkę i wpatruje się we mnie nieruchomym wzrokiem. – Któreś z nich musiało zidentyfikować zwłoki. Kto był najbliższym krewnym twojego wujka?

– Nie, to niemożliwe. Nie zrobiłby tego – mówię słabym głosem, bo przecież mam niepodważalne dowody na to, że mój ojciec to bezczelny kłamca.

Przez dłuższą chwilę gapimy się na siebie w osłupieniu, mierząc się niewidzącym wzrokiem, rozluźnieni jak starzy znajomi.

Potem zadaję pytanie za miliard dolarów, ponieważ w tej chwili liczy się dla mnie tylko jego opinia.

Tak, jestem gotowa. Dzisiaj jestem gotowa na prawdę.

Prawie krzyczę:

– Myślisz, że moja mama się zabiła?!

Nie wiem, czy próbuje mnie pocieszyć, ale jestem mu wdzięczna z całego serca za to, co mówi.

– Twoja mama była Hiszpanką, prawda?

– Włoszką.

Opuszcza ręce i klepie się po udach jak w zwolnionym tempie, jakby wszystko mu się wreszcie poukładało.

– Makaroniarze uwielbiają się poświęcać. Jedno, co wiem na pewno o papistach, to to, że samobójstwo jest u nich bardzo źle widziane.

– Jest zabronione – dodaję szybko. – Bóg uważa nas za swoją własność, a każde życie jest darem. Zniszczyć je to rościć sobie prawo do czegoś, co należy do Boga – kompletny brak szacunku.

– Lubicie natomiast żałować za grzechy, mam rację?

– Uwielbiamy.

– Wiesz, co bym zrobił, gdybym był członkiem waszego gangu?

– Co? – pytam niecierpliwie, chociaż znam już odpowiedź.

– Pościłbym, pokutował, biczował się, a w końcu poszedłbym do spowiedzi, jak to robią katolicy.

– Ja zrobiłabym to samo – przyznaję.

– A wiesz, gdzie bym to wszystko zrobił?

– Gdzie? – Powiedz to, powiedz, chociaż to jasne jak dzień!

– Postarałbym się być jak najbliżej Najwyższego Szefa, żeby mu pokazać, jak bardzo żałuję.

– A Najwyższy Szef nie jest głupi. – Wskazuję niebo, a w nim sprawiedliwego i praktycznego Boga. – Wie, że nie ma lekarstwa na pedofilię.

– Odstrzał to jedyna metoda.

– Pod warunkiem, że zrobi się to po cichu, a potem odpokutuje jak trzeba.

– Właśnie. – Noah uderza dłonią w stół, na którym siedzi, a jego granatowy sweter opada na podłogę niczym etola wiktoriańskiej damy.

– Jak twoje małżeństwo? – pytam naraz uprzejmie.

– Dzięki niemu stanąłem na nogi. – Wygląda na to, że mówi to szczerze.

Jest dla mnie zbyt bezbarwny, więc ani trochę nie żałuję, że związał się z kimś innym.

– Niektórym to dobrze – uśmiecham się. – Czym ty się właściwie zajmujesz?

– Jestem kurierem. – Kiwa głową. – W czerwcu przeprowadziliśmy się do Londynu.

– Czyli jednak mnie nie śledzisz?

Koleś ewidentnie nie potrafi sobie radzić z emocjami. Jego oczy znów płoną gniewem.

– Nie denerwuj się. Po prostu wyglądasz na kogoś, kto prześladowuje samotne kobiety – uspokajam go. – I jeszcze ten głos...

Noah przygląda się swoim paznokciom.

– Co z moim głosem?

– Jest bardzo męski. – Ja też im się przyglądam. Są idealnie półokrągłe, tak jak lubię. Mężczyźni powinni mieć zadbane paznokcie.

– Po południu odbieram Gaby z pracy – Noah niespodziewanie zaczyna mnie wtajemniczać w swoje osobiste plany. Wstaje i podchodzi do drzwi. – Może

jeszcze kiedyś pogadamy.

– Tak, tak, na pewno.

– Co dwie głowy i tak dalej...

Nie słucham go, bo myślę już tylko o tym, żeby raz za razem triumfalnie walić dłonią o parapet. I robię to tak długo, aż brud wżera mi się w skórę; umartwienie ciała to cena za poznanie prawdy. Bambi świetnie wiedziała, jak zaplanować morderstwo – nie na darmo oglądała te wszystkie kryminały. Czy uczestniczyła w przeprowadzeniu zbrodni doskonałej – zabójstwie pedofila – po której wróciła do ojczyzny, aby odpokutować u tronu samego świętego Piotra, w Stolicy Apostolskiej?

Gdy tylko drzwi zamykają się za moim gościem, zaczynam przeszukiwać przepastne zasoby mojego telefonu. Bateria jest bliska wyczerpania, więc prędko wybieram spis numerów i w „Ulubionych” znajduję numer taty.

„Odbierz, no odbierz” – poganiam go w myślach.

– Halo, George przy telefonie. – Nie biorę tego do siebie; zawsze tak odbiera, bo nie patrzy na wyświetlacz.

– Okłamałeś mnie – oznajmiam z satysfakcją.

– W jakiej sprawie?

– Dobrze wiesz.

– Dziecko, nie zaczynaj znowu. Ile razy to przerabialiśmy? – Wydaje się jednak mniej zacięty niż zwykle. Niechętny do dalszej rozmowy i skrupowany, owszem, ale też odrobinę zaciekawiony. Z drugiej strony teraz już wie, czym się zajmuję w Londynie – a raczej czym się zajmowałam. Wcześniej nie zdawał sobie chyba sprawy z moich talentów detektywistycznych. Wie, że umiem szperać, więc nasze rodzinne sekrety nagle przestały być bezpieczne.

Zaczynam monolog w wyważony sposób:

– Bambi musiała zniknąć, i to szybko. Mam rację, prawda? Nigdy by się nie zabiła – mogła mieć różne problemy, ale pamiętam, jaka była silna. Nawet gdy dopadał ją gorszy nastrój, potrafiła sobie z tym poradzić jak każdy normalny człowiek. Jak ja, bo ja też jestem normalna. I dorosła, nawiasem mówiąc. Rozumiem, że może być ci to trudno zaakceptować, ale pewnego dnia będziesz musiał. Więc czemu, kurwa, nie dzisiaj? Tato, jestem takim samym pełnowartościowym człowiekiem jak ty!

Jeżeli nawet upomina mnie, żebym nie przeklinała, to tego nie słyszę. Za bardzo jestem na niego wściekła.

– Przez tyle lat mydliłeś nam oczy. Mam trzydzieści trzy lata, trzydzieści trzy! To doskonały wiek, żeby poznać prawdę. Poradzę sobie z nią, bez obawy. Zrobimy tak: przestaniesz mnie traktować jak wariatkę, która chwyta się brzytwy, jeśli to, co czuję tutaj – nie widzi tego, ale z całej siły uderzam się w brzuch – okaże się prawdą. Oczywiście o ile mnie kochasz, naprawdę kochasz. Kochasz

mnie w ogóle, tato?

Poza białym szumem w słuchawce niczego nie słychać. Najprawdopodobniej kompletnie się załamał albo dostał zawału. Ewentualnie mruga jak szalony. Wreszcie się odzywa, a mnie aż odbiera mowę ze zdumienia.

Mój ojciec nie zachowuje się już jak zmęczony siedemdziesięciolatek. Z trudem poznaję jego głos. Pojawił się w nim nowy, zacięty, gardłowy ton bojownika o wolność.

– Posłuchaj mnie bardzo uważnie, Florence. Dotykasz spraw, które są niezwykle niebezpieczne. Nie wolno ci się w nie angażować. – Drażni mnie jego stanowczość. Mówi tak, jakbyśmy byli sobie równi, a to dla mnie nowość. – Nie szukaj jej. Nie pomogę ci i nigdy więcej nie wrócimy już do tego tematu.

Spoglądam na wyświetlacz komórki, na zdjęcie roześmianego taty.

– Więc ona żyje? – szepczę do jego podobizny.

On zaś powtarza z uporem to, co już powiedział:

– Nie szukaj jej. Nie pomogę ci i nigdy więcej nie wrócimy już do tego tematu.

Osuwam się na podłogę we wnęce kuchennej. Siedząc po turecku na chłodnym linoleum, bezradna jak dziecko, doświadczam czegoś, co można jedynie określić jako stan bliski katatonii. Wiadomość, że wciąż mam matkę, spada na mnie jak grom i wprawia moje serce w niespokojny dygot. Mam wrażenie, że cały budynek kołysze się pode mną. Boję się, że zsunę się z podłogi w jakąś przepaść.

– Florence!

Przykładam komórkę do ucha.

– Gdzie ona jest? – pyta nagle ojciec.

Odpowiadam mu nieco mętnie:

– Najlepiej jest wyznać grzechy tym, którym podarowano moc ich odpuszczania i w obliczu świętych powierzono im łaskę szafowania Bożymi sakramentami. Pod warunkiem, rzecz jasna, że jest się katolikiem. Tak powiedział Bazyli Wielki.

– Nie pleć bzdur, Florence. Wiesz, gdzie ona jest?

Nabieram głęboko powietrza w płuca.

– Tatusiu, myślę, że jest we Włoszech, z Panem Bogiem.

Nazywam się Florence Love i nie bez powodu zostałam prywatnym detektywem.

Jestem niewiarygodnie wścibska. Z pozoru brzmi to nawet zabawnie – kiedy o tym mówię, ludzie radośnie klaszczą w ręce, a ja im wtóruję, bo bycie podziwianą nigdy mi się nie nudzi. Najbardziej cieszą mnie wtedy ich miny. Przez jedną, krótką, wolną od ściemniania chwilę szczerości tak bardzo pragną być mną!

Nie wspominam jednak o tym ani słowem Tarikowi Mohammadowi Amazighowi.

Słowo przestrogi dla prywatnych detektywów: nigdy nie zdradzajcie klientom swojej tożsamości. Wielu z nich to zwykłe świry. Wcale nie chciałabym się znaleźć na liście mailingowej któregoś z nich.

Dlatego mówię im tylko to, co chcą usłyszeć:

Re: Zaginiony przyjaciel

Piątek 26/9/14, godz. 18:38

Od: info@londonpiseservices.uk.net

Do: tarikma68@yahoo.co.uk

Drogi Tariku,

Twój przyjaciel jest we Włoszech. Dobrze znam ten kraj. Od czasów starożytnych po dzień dzisiejszy Włochy słyną ze swojej sztuki, muzyki, mody oraz legendarnej kuchni.

Spotkajmy się, aby omówić warunki współpracy. Pragnę podkreślić, że jeśli chodzi o odnajdywanie osób zaginionych, w 98% przypadków możemy pochwalić się sukcesami. Zapewniamy też, że ściśle przestrzegamy zasad moralnych, oferując zarazem klientom oraz obiektom najwyższe standardy obsługi.

Z poważaniem.

Londyńskie Biuro Usług Detektywistycznych

Nie wspominam, że „przyjaciel” to nie „pszenica” i pisze się przez „rz”. Nie dodaję też, że powinien częściej korzystać ze słownika.

Dzwoni moja komórka, ale to nie tata telefonuje. Nasza rozmowa zakończyła się dość gwałtownie. Chciałam mu przekazać, co wiem i czego się dowiedziałam, ale stanowczo mi tego zabronił. Stale powtarzał, że się mylę, odmawiając jednocześnie jakichkolwiek wyjaśnień. Muszę jednak przyznać, że spodobał mi się ten jego nowy ton. Dopiero dziś dotarło do mnie, że zabójstwo brata musiało pociągnąć za sobą określone reperkusje. Nikt nie chciałby się przyznać do czegoś takiego przed swoimi dziećmi, bez względu na to, jak bardzo zasłużoną karą byłaby taka egzekucja.

Postanawiam, że od tej pory nie będę go już gnębić.

Na wyświetlaczu miga „Michael”.

Mój braciszek.

Na widok jego imienia ogarnia mnie nagły i dojmujący smutek. Mogę się tylko domyślać, w jaki sposób nasz bliski krewny zniszczył jego ciało i umysł. Na szczęście kiedy odbieram, Michael mówi tak, jakby nawdychał się helu. Jego radość tłumi moje poczucie winy na myśl o tym, że nie dość go chroniałam, kiedy był trzylatkiem.

– Nigdy nie zgadniesz, co się stało! – piszczy do telefonu.

– Zagrasz następnego Jamesa Bonda.

– Nie.

- Kupiłeś sobie chihuahua.
- Nie.
- No to już nie wiem – odpowiadam z uśmiechem.
- Oświadczyłem się!
- Komu?
- Sébastienowi, niemądra.

Z moich ust wyrywa się gromki ryk:

- Dlaczego?!
- Zgadnij, co odpowiedział!

– To nietrudne, zważywszy na to, że mówisz, jakbyś łyknął gaz rozweselający.

- Przyjął oświadczyzny! Ustaliliśmy już datę i w ogóle.
- Ojej, Michael, chyba nie będę mogła przyjść.
- Jeszcze nie wiesz, kiedy jest ślub.
- Kiedy?
- Szóstego czerwca!
- Cholera, nie dam rady. Jestem wtedy bardzo zajęta.

Pora na przemowę, której nigdy nie doczekałam się od ojca. Przemowę, którą i tak bym wyśmiała, by na koniec zapytać, co on, do diabła, może wiedzieć o miłości, a następnie odejść nadąsana.

– Michael, zdajesz sobie sprawę, że małżeństwo to przereklamowana sprawa? Na twoim miejscu chuchałabym na ten płomień, który wszelkie oficjalne więzy gaszą w ciągu kilku dni. Owszem, dni. Czym tak naprawdę jest małżeństwo?

Michael bierze to za swego rodzaju sprawdzian.

– To bardzo poważne zobowiązanie, Flo.

– Na papierze. Ten papier strasznie wszystko utrudnia, gdy dwie osoby chcą się ze sobą rozstać. A wierz mi, że pewnego dnia tak się stanie. Och, wiem, że dzisiaj wydaje ci się to niemożliwe, ale czas płata okrutne figle. Jako twoja siostra muszę ci pokazać obie strony tej monety.

– Potrzebuję kogoś, kto zaprowadzi mnie do ołtarza – podśpiewuje wesolutki mój brat.

– Siostry, która uparcie trwa przy tobie, odkąd się urodziłaś. Siostry, która być może cię zawiodła – chociaż nie z własnej winy – za to bardzo poważnie wzięła na siebie rolę twojej opiekunki i nauczycielki życia.

– Wiem, wiem, jesteś cudowna. Prawda, że ona jest cudowna, Seb?

Chryste, ten gnom też tam jest. No jasne.

– Wobec tego nie miej mi za złe, co teraz powiem: małżeństwo to pięprzony wyrok śmierci. Nie mogę ci dać swojego błogosławieństwa. Więcej, poślubisz tego faceta po moim trupie, rozumiesz? Zabraniam ci się żenić. Bardzo mi przykro i tak dalej, ale ślubu nie będzie.



– To żart, że jesteś zajęta szóstego, prawda? – pyta Michael, jakbym powiedziała najśmieszniejszą rzecz na świecie. W tle rozlega się chichot Sébastiena.

Zwróćcie uwagę na delikatne zmiany zachodzące w mojej twarzy. Zobaczcie, jak napinają się moje mięśnie policzkowe, węzły mięśniowe kąta ust oraz mięsień potyliczno-czołowy.

Straciłam go.

– Sęk w tym, Michaelu, że zamierzam na jakiś czas wyjechać.

– Dokąd?

Słowo przestrogi: jeżeli ktoś czuje się samotny – tak strasznie samotny, jakby był świadkiem własnej autopsji – nie powinien się odzywać. Mowa to samolubny odruch biologiczny, mający na celu wyłącznie poprawę naszego samopoczucia. Na swoją obronę muszę powiedzieć, że smutek często pozbawia nas zdolności logicznego myślenia.

Gówno prawda.

Nie ma żadnego usprawiedliwienia tego, co teraz mówię:

– Chodzi o mamę. Nie mam w tej sprawie stuprocentowej pewności, ale wygląda na to, że może wieść sekretne życie w Rzymie. Zamierzam to sprawdzić. Poza tym i tak mam akurat zlecenie we Włoszech – znajomy muzułmanin zgłosił zaginięcie przyjaciela. Obawia się, że ten wstąpił do mafii. Pomyślałam, że upiekę dwie pieczenie na jednym ogniu.

Cisza w słuchawce się przedłuża, ale nie będzie trwała wiecznie. Mój kochany braciszek za chwilę zacznie kwilić – niemal słyszę, jak w jego piersi wzbiera łkanie.

W tej samej chwili bateria w moim telefonie zdycha, więc ostatnie zdanie wypowiadam już w próżnię:

– Masz teraz Sébastiena.

O nie, nie będę płakać. Jednak moje zdradzieckie nozdrza mnie nie słuchają; gromadzi się w nich lepka flegma zmieszana ze łzami. Bezceremonialnie ocieram nos wierzchem dłoni, rzucam telefon na bok i przysuwam do siebie komputer.

„Nie szukaj jej. Nie pomogę ci i nigdy więcej nie wrócimy już do tego tematu”.

Bez obaw, tatku – sama sobie poradzę, ponieważ nic lepiej nie pobudza pogrążonego w marazmie prywatnego detektywa do działania niż takie właśnie słowa.

Ale po kolei: rezerwuję bilet w jedną stronę. Port docelowy – międzynarodowe lotnisko im. Leonarda da Vinci.

## **Wstęp do sztuki prowokacji, porada nr 8:**

### **Jeżeli stracisz przykrywkę, improwizuj.**

Nie zapominaj, że na twojej stronie internetowej znajduje się długa lista specjalistycznych usług: ustalanie ojcostwa, wykrywanie kłamstw, odzyskiwanie dzieci, szpiegostwo korporacyjne, poszukiwanie osób, za których ujęcie wyznaczono nagrodę. Żadna z tych czynności nie daje detektywowi takiej satysfakcji jak przyskrzynienie niewiernego partnera, ale bądźmy szczerzy: wszystkie i tak biją na głowę pracę w okienku pocztowym.

Zalecane lektury:

*Postępowanie w przypadku porwania dzieci*

*Poradnik łowcy nagród*

*Bigamia i poligamia*

*Seryjni mordercy*

*Jak odnaleźć Bambi* (dostępne w przedsprzedaży)

Ostatnia rada – może najważniejsza, jaką możecie ode mnie otrzymać:

Postaraj się nikogo rozmyślnie nie pozbawić życia.

Doprowadź każdą sprawę do końca bez względu na to, jak bardzo byłaby trudna.

Czegokolwiek się podejmujesz, spraw się na medal.

## Podziękowania

Czasem spotykamy kogoś, kto swoją wiarą i życzliwością odmienia nasze życie, dlatego jak najserdeczniej pragnę podziękować Toby'emu Littowi, który czytał, redagował, skreślał i krytykował oraz nie pozwolił, aby Florence Love pozostała jedynie postacią w mojej wyobraźni.

Podziękowania należą się także wspaniałej Jo Unwin – najlepszej agentce w branży (szczerą prawdą) – oraz mojej wydawczyni Mari Evans i jej przemiłym współpracownikom z *Headline*: ich wskazówki i pomysły były bardzo trafne.

Dziękuję moim kolegom i koleżankom z warsztatów kreatywnego pisania *Friday Night Writes* – wiecie, o kim mowa. Błagam, nie czytajcie tej książki z czerwonym mazakiem w dłoni; kieliszek wina będzie natomiast jak najbardziej na miejscu. Oczywiście dziękuję także Julii Bell, wyjątkowej nauczycielce i mentorce.

Tomie Bilsborough – zawsze mogłam liczyć na Twoje wsparcie, za co na zawsze pozostanę Ci wdzięczna.

Wreszcie kolej na moją rodzinę – dziękuję Wam wszystkim.

## Przypisy końcowe

Pnp 8,6, za Biblią Tysiąclecia. [\[wróć\]](#)

W istocie hasło to reklamowało film Stanleya Kubricka *Full Metal Jacket* (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

